

TAJEMNICZE SAMODJSTWO

ANN RULE

CICHA ŚMIERĆ

Historia młodej kobiety, której życie
zakończyło się przedwcześnie...




SERIA
PRAWDZIWE
ZBRODNI E

18 STRON AUTENTYCZNYCH WSTRZĄSAJĄCYCH ZDJĘĆ

Historia dziwnej śmierci
Rondy Reynolds
oraz jej matki, która nie ustaje
w poszukiwaniu prawdy

ANN RULE

CICHA ŚMIERĆ

*Dla Barb Thompson oraz wszystkich rodziców oplakujących
utraczone dzieci,
a także
dla Przyjaciół i Rodzin Ofiar Przemocy
(Family and Friends of Violent Crime Victims)
z Everett w stanie Waszyngton
- którzy są po to, aby pomagać*

Tytuł oryginału: *In The Still of The Night*

Copyright © Ann Rule 2010

Copyright © for the Polish edition by Hachette Polska sp, z o.o.,

Warszawa 2011

All rights reserved

Autor Ann Rule

Tłumaczenie

Katarzyna Gącerz / Roboto Translation

Redaktor prowadzący Małgorzata Dudek

Redakcja

Marta Kucharska / Roboto Translation

Korekta

Magdalena Rozental / Roboto Translation

Skład i łamanie:

Jacek Goliatowski, Piotr Piotrowski / Roboto Translation

Zdjęcie na okładce

© Cultura / Sporrer / Rupp / Stockimage / Getty Images / Flash Press Media

Projekt okładki:

Paweł Pasternak

Wydawca

Hachette Polska sp, z o.o.

ul. Postępu 6,

02-676 Warszawa

ISBN 978-83-7575-847-4

SPIS TREŚCI

Prolog 7

CZĘŚĆ I - MARZENIA SPEŁNIONE, MARZENIA STRACONE

Rozdział 1 16

CZĘŚĆ II - NAGŁA ŚMIERĆ W TOLEDO

Rozdział 2 36

Rozdział 3 44

Rozdział 4 57

Rozdział 5 66

Rozdział 6 77

Rozdział 7 84

Rozdział 8 96

Rozdział 9 102

Rozdział 10 110

Rozdział 11 115

Rozdział 12 125

CZĘŚĆ III - BARB

Rozdział 13 139

Rozdział 14 146

CZĘŚĆ IV - ŚLEDZTWO TRWA

Rozdział 15 161

Rozdział 16 170

Rozdział 17 180

CZEŚĆ V - ŻYCIE TOCZY SIĘ DALEJ

Rozdział 18 187

Rozdział 19 201

Rozdział 20 209

Rozdział 21 224

Rozdział 22 230

Rozdział 23 238

Rozdział 24 244

Rozdział 25 250

Rozdział 26 263

Rozdział 27 270

Rozdział 28 289

Rozdział 29 303

Rozdział 30 311

Rozdział 31 316

Rozdział 32 319

Rozdział 33 330

Rozdział 34 338

Rozdział 35 345

CZEŚĆ VI - PODEJRZANI

Rozdział 36 349

Podziękowania 363

O Autorce 366

PROLOG

*Wiem, że Ojciec w Niebie kocha mnie
i dba o mnie.
Obdarzył mnie najlepszą matką,
jaką mogłem sobie wymarzyć.
Mama ma swoje wady, jak każdy człowiek.
Lecz nigdy nie zawiodła mnie w jednym:
swej bezwarunkowej miłości do mnie.*

- Freeman Thompson, brat Rondy,
mówiący w imieniu swoim i swojej siostry

2 listopada 2009

Hrabstwo Lewis w stanie Waszyngton leży w połowie drogi pomiędzy Seattle a Portland. Pozostałe większe miasta to Centralia i Chehalis - stolica hrabstwa. Licząca piętnaście tysięcy mieszkańców Centralia jest dwa razy większa niż Chehalis. Mieści się tam centrum handlowe oraz liczne motele i restauracje stojące wzdłuż autostrady międzystanowej 1-5. Kierowcy mknących z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę samochodów osobowych i ciężarówek mijają farmy i wioski o dziwnych nazwach: Onalaska, Slakum, Mossyrock, Napavine, Fords Prairie, Winlock i Toledo. Na wschodzie wznosi się otoczona lasami i jeziorami majestatyczna góra Rainier.

Na terenie całego hrabstwa rzeki i strumienie wiją się w swych krętych korytach, zalewając często okolice. W ciągu kilku ostatnich lat bywało, że mieszkańcy ledwo zdołali otrząsnąć się po jednej powodzi, kiedy uderzała kolejna wodna katastrofa. Życie jednak toczyło się dalej i ludzie z hrabstwa Lewis odbudowywali swe domy - o fundamentach na tyle wysokich, by zatrzymały następną powódź. Wśród rodzinnych archiwów znalazłam dziennik pisany przez dziadka mojego męża, wielbego Williama J. Rule'a, kaznodzieję metodystów, który podróżował konno przez zalesione tereny hrabstwa Lewis. Wielbny Rule przyjechał do Ameryki z Anglii. Był nie tylko duchownym, ale też ekspertem od osuszania szybów kopalni. Kiedy przybył na nowy kontynent, nie miał jeszcze trzydziestu lat, do tego mierzył niecałe sto sześćdziesiąt centymetrów. Wcześniej pracował w kopalniach węgla w Kornwalii i nigdy nie dosiadał konia, a w Ameryce został wędrownym kaznodzieją na dalekim Północnym Zachodzie, który w 1881 roku stanowił jeszcze dość dzikie terytorium.

Wyposażony tylko w Biblię i rozpadające się siodło, wyruszył w głąb mrocznych lasów i podmokłych okolic Mossyrock i Salkum. Głosił ewangelię, zatrzymując się u gościnnych farmerów lub drwali, których uczynne żony czasami prały jego ubrania. Staraly się również zapoznać go z lokalnymi pannami na wydaniu, martwiąc się, że nie ma kobiety, która by o niego zadbała. Gdy przemierzał wilgotne lasy hrabstwa Lewis, narażał się na ataki kugarów i niedźwiedzi. Udało mu się jednak przetrwać i dotrzeć do miasteczek z porządnymi kościołami.

Patrząc na hrabstwo Lewis w 2009 roku, trudno znaleźć miejsca, o których dziadek Rule pisał w swym dzienniku. Od tamtych czasów drzewa zostały ścięte, posadzone na nowo i wyrąbane po raz kolejny. Urodziło się kilka pokoleń nowego społeczeństwa. Wielu mieszkańców przeniosło się do większych miast: Seattle, Spokane czy Portland, lecz niektóre rodziny pionierów zostały, a ich nazwiska pojawiały się w każdym kolejnym spisie ludności. Wydaje się, że wszyscy, którzy tam mieszkają, są ze sobą w mniejszym lub w większym stopniu spokrewnieni.

Wybierani urzędnicy - nazwiska na kartach do głosowania brzmią znajomo - pozostawali u władzy przez całe dziesięciolecia. Choć wybierani politycy mają zarówno zwolenników, jak i przeciwników, tutejsza ludność niechętnie zmienia zdanie. Mieszkańcy hrabstwa Lewis twierdzą, że większość oficjeli przechodzi na emeryturę lub umiera w trakcie kadencji, a wtedy urząd zostaje przekazany dawno wyznaczonemu zastępcy. Wszystko działa jak dobrze naoliwiony mechanizm. Niektórzy mawiają, puszczając przy tym oko: „Stara gwardia musi mieć pewność, że na stanowiskach zasiądą »odpowiednie« osoby”.

Nawet jeśli to prawda, wyborcy zdają się tym nie przejmować - i tak stawiają krzyżyk przy znajomych nazwiskach. Napływ świeżej krwi zdarza się tam niezwykle rzadko.

Jakieś sto trzydzieści kilometrów na południe od Centralii i Chehalis leży Portland w stanie Oregon, a na północy, w podobnej odległości - Seattle. Dla wielu Amerykanów hrabstwo Lewis jest więc tylko osadą, która miga za oknem samochodu jadącego autostradą 1-5, lecz niektórzy zatrzymują się tam na posiłek czy nawet na nocleg. Gdy moje dzieci były małe, często robiliśmy sobie przystanek w Fort Borst Park, leżącym przy samej drodze, gdzie wysokie jodły rosły tak gęsto, że zasłaniały światło słoneczne. Park szczycił się prawdziwym historycznym fortem, w którym osadnicy walczyli z Indianami. Znajdował się tam również plac zabaw dla dzieci, a także niewielkie zoo, pełne zwierząt pogodzonych dawno ze swym losem.

W hrabstwie Lewis mieści się stanowy zakład poprawczy dla chłopców; kiedyś był tam także zakład dla dziewcząt, ale został przeniesiony. W tym miejscu pojawiają się też pierwsze kierunkowskazy prowadzące do tego, co pozostało z Góry Świętej Heleny - wulkanu, którego szczyt ćwierć wieku temu rozerwała potężna erupcja.

Inną, nowszą i dziwniejszą atrakcją turystyczną jest grupa czterech lub pięciu „dzieł sztuki” górujących nad okolicą - „największy na świecie” wiatrowskaz, pomnik Chrystusa, miniatura Statui Wolności oraz kilka innych, których symbolika nie jest tak oczywista. Ich twórca, Dominic Gospodor, umieścił je na swoich działkach wzdłuż północnego odcinka autostrady 1-5.

Najdłużej stojącą osobliwością jest zapewne „Największe Jajo Świata”. Do lat pięćdziesiątych zeszłego wieku Winlock było drugim miastem w Ameryce pod względem liczby sprzedanych jaj. W 1923 roku, aby uczcić to osiągnięcie, jak również otwarcie trasy Pacific Highway, z płótna wykonano ogromne jajko, które od tamtego czasu wielokrotnie poprawiano, stosując plastik i włókno szklane, na co chętnie łożyli lokalni przedsiębiorcy. Najnowszą wersję wykonano z betonu i pomalowano we wzór amerykańskiej flagi. Ma wysokość 3,6 metra, a waży ponad pół tony. Umieszczono je na trzymetrowym

postumencie w centrum Winlock. Mimo że produkcja jaj drastycznie spadła, w tej liczącej tysiąc mieszkańców wiosce rokrocznie pod koniec czerwca wciąż urządzi się „Festiwal Jaja”. Tymczasem trzy tysiące kilometrów dalej, w Mentone w stanie Indiana, znajduje się podobne jajo, które według tamtejszej ludności jest większe od jaja w Winlock.

Zarówno turyści, jak i miejscowi żywią się w restauracjach Country Cousin, Mary McCrank's czy Kit Carson's.

Z jednej strony hrabstwo Lewis to typowa prowincja, która - zdaniem miastowych - zionie nudą. Cynicy twierdzą jednak, że każdy człowiek pełniący tu funkcję publiczną skrywa jakiś mroczny sekret. Zapewne jest w tym nieco przesady, lecz nie wszystko, co się tam dzieje, jest widoczne gołym okiem.

Ogólnie rzecz biorąc, mieszkańcy hrabstwa Lewis są serdeczni i gościnni. Ci jednak, którzy się tam osiedlają, szybko się przekonują, że małowiatkowska sieć komunikacji uniemożliwia utrzymanie czegokolwiek w tajemnicy. Niewierni małżonkowie nie mogą liczyć na dyskrecję kolegów, gdyż plotki rozchodzą się po okolicy jak pożar w suchym lesie. Niektórzy twierdzą, że Lewis jest kwintesencją amerykańskiej prowincji - ale można to powiedzieć o każdej mniejszej miejscowości, poczynając od fikcyjnego miasteczka Winesburg z książki Sherwooda Andersona. Każdy ma sprawy, które chce zachować dla siebie, a w małych osadach po prostu łatwiej jest je dostrzec. Niektóre tajemnice nie są specjalnie interesujące, ale istnieją i takie, które mogą zrujnować życie...



Hrabstwo Lewis ma swój wkład w statystykę zabójstw, samobójstw oraz wypadków; większość z nich związana jest z autostradą 1-5, która zastąpiła Pacific Highway, stając się najszybszą trasą łączącą północ kraju z południem. Wypadki zdarzają się również na przejazdach kolejowych, po których pociągi przetaczają się niemal o każdej porze dnia i nocy.

Koroner Terry Wilson orzekał o rodzaju śmierci w większości z tych przypadków przez siedem czteroletnich kadencji. Łysiejący mężczyzna o rumianej cerze i nieodgadnionym spojrzeniu nie jest ani lekarzem medycyny, ani patologiem sądowym. Ma on tytuł „asystenta lekarza”. Jako koroner zarabia trzydzieści pięć tysięcy dolarów rocznie, ponadto pracuje w lokalnym szpitalu - właśnie jako asystent. Nie jest to sytuacja wyjątkowa, ponieważ wiele małych hrabstw w stanie Waszyngton zatrudnia koronerów, podczas gdy Pierce, King, Snohomish, Spokane i inne większe hrabstwa mają na miejscu lekarzy, a nawet patologów. Ci drudzy są oczywiście lepiej wykształceni i mogą się pochwalić bogatszym doświadczeniem w szacowaniu czasu oraz określaniu rodzaju zgonu.

Patolodzy lub koronerzy często przyczyniają się do rozwiązania zagadki nagłej śmierci - lecz mogą to również uniemożliwić.

W chwili śmierci Ronda Reynolds miała zaledwie trzydzieści trzy lata; była piękną, zdrową kobietą. Choć jej małżeństwo stało na krawędzi rozpadu, wciąż wyglądała jak panna młoda.

16 grudnia 1998 roku jej mózg przeszła kula.

Dlaczego? Jak? Niemal dwanaście lat później pytania te wciąż zadają sobie jej krewni, znajomi oraz ludzie, którzy o tragicznej historii kobiety dowiedzieli się z mediów.



2 listopada 2009 roku na czwartym piętrze budynku sądu hrabstwa Lewis rozpoczęła się bezprecedensowa rozprawa. Proces cywilny, na który Barbara Thompson, matka Rondy Reynolds, czekała bardzo długo. Choć jej córka, była funkcjonariuszka waszyngtońskiej policji stanowej, nie żyła od niemal jedenastu lat, pytania, co tak naprawdę wydarzyło się w noc jej śmierci, nadal pozostawały bez odpowiedzi. Z każdym rokiem pojawiały się nowe spekulacje.

Tym razem sędzia i ława przysięgłych nie zajmowali się orzekaniem o winie podejrzanego o morderstwo ani nawet ustalaniem,

czy w ogóle do morderstwa doszło, ten zadanie polegało na ocenie pracy koronera Terry'ego Wilsona i jego personelu w czasie śledztwa sprzed lat. Czy Wilson zachował się nieodpowiedzialnie i zaniedbał obowiązki służbowe podczas dyżuru 16 grudnia 1998 roku, a także w późniejszym okresie? To na jego polecenie podwładni naprędce ocenili rodzaj i przyczynę zgonu. Czy dokonali tego w sposób profesjonalny? A może sprawa śmierci Rondy Reynolds została po prostu zamieciona pod dywan? Barb Thompson uważała, że tak właśnie się stało.



Tamtego zimowego ranka 1998 roku wciąż panowały ciemności, gdy o godzinie 6.20 mąż Rondy, Ron - pobrali się niespełna rok wcześniej - zadzwonił na policję. Powiedział dyspozytorowi, że jego żona popełniła samobójstwo. Autorzy kryminałów nazywają takie przypadki „sprawą jednego aktu”.

Czy historia Rondy zaliczała się do tej kategorii?

Koroner Wilson nie pofatygował się na miejsce zdarzenia ani nie przeprowadził autopsji. Rzadko osobiście pojawiał się tam, gdzie doszło do zbrodni, a ponieważ nie był lekarzem medycyny, nie mógł sam wykonywać sekcji zwłok. Mógł jednak w niej uczestniczyć, czego tym razem nie zrobił. Udział w autopsji wzięła natomiast Carmen Brunton, zastępczyni koronera, która udała się do domu Reynoldsów, by przyjrzeć się ciału kobiety. Zanim została zatrudniona w biurze koronera, pracowała jako kosmetyczka i fryzjerka. Sekcję zwłok przeprowadził doktor Daniel Selove, lekarz sądowy współpracujący z koronerami hrabstw stanu Waszyngton.

Przez ponad dziesięć lat od śmierci Rondy Wilson kilkakrotnie zmieniał zdanie. Jego biuro najpierw określiło rodzaj śmierci jako „nieznany”. Następnie zapis zmieniono na „samobójstwo”. Kolejne stanowisko Wilsona brzmiało ponownie „nieznany”. Po pewnym czasie zmienił zdanie po raz trzeci i oficjalnie orzekł, że to Ronda

doprowadziła do swojej śmierci, i wpisał w akcie zgonu „samobójstwo”.

Rozprawa miała ustalić, dlaczego trwało to tak długo i dlaczego po drodze nastąpiło tyle pomyłek. Jakim cudem koroner z dwudziestosiemioletnim stażem nie potrafił podjąć decyzji przez jedenaście lat? Człowiek, który w 1998 roku piastował stanowisko szeryfa, zdążył odejść na emeryturę, a przez kolejną dekadę wielu detektywów zrezygnowało, odeszło lub zostało przeniesionych do innego wydziału.

Gdyby nie najbliżsi zmarłej, garstka śledczych oraz jeden prawnik - ludzie, którzy pracowali jako wolontariusze lub za niezwykle niskie stawki - Ronda Thompson Liburdi Reynolds została by dawno zapomniana, a jej prochy rozsypało by nad Spokane, gdzie dorastała.

Oznaczałoby to kpinę z systemu sprawiedliwości.

Ronda nie była ideałem - nikt z nas nie jest - lecz kiedy pytałam o nią ludzi, którzy ją znali, najczęściej padało jedno słowo: odwaga. Wykazywała się nią nie tylko podczas pracy w policji stanowej, ale także w życiu osobistym.

Jako osoba mająca przyjaciół po obu stronach barykady, znalazłam się w kłopotliwym położeniu. Spędziłam wiele godzin, bawiąc się sama ze sobą w adwokata diabła, aby możliwie najobiektywniej przeanalizować tajemnicę śmierci Rondy.

Tylko w przypadku dwóch opisywanych przeze mnie spraw natychmiast odczułam, że coś jest nie tak. Pierwszy raz - kiedy usłyszałam w wiadomościach o „nieznajomym z potarganymi włosami”, który zaatakował w Oregonie matkę i troje dzieci. Jedno z nich zginęło, dwoje w stanie krytycznym trafiło do szpitala. *Biedna kobieta* - pomyślałam, lecz po niecałej minucie współczucie ustąpiło miejsca podejrzliwości. Jak mówią policjanci - ta sprawa śmierdziała. „Biedną matką” była oczywiście Diane Downs¹.

¹ Historia ta została opisana przez autorkę w książce *Złożone w ofierze* (przyp. tłum.).

CZEŚĆ I

MARZENIA SPEŁNIONE,
MARZENIA STRACONE

ROZDZIAŁ 1

Kiedy wypełnialiśmy salę sądową na czwartym piętrze budynku w Chehalis w ten deszczowy listopadowy poranek, w ławach zasiadło więcej dziennikarzy niż publiczności. Zdziwiło mnie to, ponieważ każdy, z kim rozmawiałam w hrabstwie Lewis, znał sprawę tajemniczej śmierci Rondy Reynolds sprzed jedenastu lat i wszyscy mieli na ten temat jakieś zdanie. Jednak szczęściarze, którym udało się zdobyć pracę, nie chcieli ryzykować jej utraty, biorąc bez wyraźnej konieczności kilka dni wolnego. Mogli dowiedzieć się wszystkiego z lokalnej gazety „The Chronicle” lub też z prowadzonej w KITI Radio audycji Paula Walkera, który każdego dnia uczestniczył w rozprawie.

Filie sieci ABC, NBC i CBS w Seattle wysłały na miejsce kamery i reporterów, aby w wieczornych wiadomościach móc przedstawić relację z rozprawy. Niektórzy dziennikarze - w szczególności Tracy Vedder ze stacji KOMO oraz Sharyn Decker z „The Chronicle” - zajmowali się sprawą Rondy od lat. Inni nie mieszkali nawet w stanie Waszyngton, kiedy zmarła, i starali się nadrobić zaległości związane z historią, która zniknęła z pierwszych stron gazet dawno temu.

Na korytarzach czwartego piętra roiło się od ludzi - niektórzy czekali na własne rozprawy, przyczyn obecności innych nie udało mi się ustalić. Zauważyłam wiele młodych kobiet, które albo były w ciąży, albo trzymały na rękach niemowlęta. Stali tam też młodzi mężczyźni z kolczykami w uszach, ubrani w skórzane kurtki i T-shirty z wizerunkami muzyków rockowych, ale również stateczni emeryci w wieku powyżej sześćdziesięciu lat.

Przybyli, by wyrazić swoje poparcie dla Terry'ego Wilsona czy

dla Barb Thompson? Okazało się, że większość z nich chciała po prostu zostać ławnikami w jakimkolwiek procesie. Wśród nich znajdował się Dennis Waller, redaktor „The Chronicle”. Byli tam i oskarżeni, którzy wyszli za kaucją; inni przybyli tego dnia do sądu z sobie tylko znanych powodów.

Do prowadzenia procesu wyznaczono sędziego Richarda Hicksa, pracującego na co dzień w sądzie hrabstwa Thurston, które leży na północ od Lewis. Ten krzepki mężczyzna o siwych włosach i brodzie uosabiał wyobrażenie przeciętnego Amerykanina o sędziach. Nic nie mogło umknąć jego uwadze, gdy obserwował otoczenie przez okulary w czarnych oprawkach. Choć bywał jowialny, bez wątpienia panował nad tym, co działo się na sali sądowej. Dwoił się i troił, by przestrzegać zasad postępowania procesowego, a w szczególności godzin rozpoczęcia i zakończenia rozprawy.

Początkowo sędzia Hicks miał sam zdecydować, czy koroner Wilson dopuścił się zaniedbań lub popełnił błędy podczas śledztwa w sprawie śmierci Rony Reynolds. Postanowił jednak wspomóc się dwunastoosobową ławą przysięgłych. Prawnicy obu stron - Royce Ferguson reprezentujący Barb Thompson i John Justice opłacony przez biuro prokuratora hrabstwa Lewis jako pełnomocnik Terry'ego Wilsona - wybrali osiem kobiet i czterech mężczyzn oraz dwóch sędziów rezerwowych. Przysięgli mieli wysłuchać świadków, zapoznać się z materiałem dowodowym oraz dowodami poszlakowymi zebranymi przed jedenastoma laty. Ich zadanie polegało na wydaniu werdyktu. Gdyby nie udało im się podjąć decyzji lub nie zostałyby zaakceptowane przez sędziego, Hicks miał prawo obalić ich wyrok.

Prawnicy, funkcjonariusze policji, a nawet koronerzy z innych hrabstw przyglądali się przebiegowi rozprawy w tej nowoczesnej - pozbawionej okien i wyposażonej w dębowe ławy - sali sądowej. Gdyby publiczność się ścieśniła, mogło tam usiąść nawet sto osiemdziesiąt osób. Niezależnie od werdyktu w kwestii odpowiedzialności Wilsona proces był przełomowy. Dziennikarze z gazet i telewizji

każdego dnia przekazywali treść zeznań do Seattle i Portland.

Od samego początku śledziłam sprawę tajemniczej śmierci Rondy Reynolds i, jak wszyscy obecni na sali, nie mogłam się doczekać zeznań świadków, chciałam poznać dowody poszlakowe - plotka głosiła, że przemawiały przeciwko hipotezie samobójstwa - oraz zobaczyć, jakie dowody rzeczowe sąd weźmie pod uwagę. Uwagę publiczności i dziennikarzy przykuwało kilka grubych białych teczek, wypełnionych zapewne raportami policyjnymi, zeznaniami oraz zdjęciami z miejsca zdarzenia. Podobne teczki leżały na stołach powódki i pozwanego.

Co się w nich znajdowało? Próbowałam zgadnąć. Gdyby sędzia Hicks przyjął materiały w nich zawarte, poznałabym odpowiedź na to pytanie. Chciałam przeczytać każdą stronę.

Niezależnie od wyników rozprawy nie zamierzałam jednak zmieniać zdania co do napisania książki o sprawie Rondy. Historia miała tyle aspektów, ile kolorowych szkiełek jest w kalejdoskopie. Nie wiedziałam jeszcze, czy będę opisywać brutalne morderstwo, szokujące samobójstwo, czy może jeszcze coś innego. Czułam jedynie, że wszystko musi zostać powiedziane, niezależnie od tego, jak wstydliva czy nieprzyjemna okaże się prawda. Dla bliskich ofiary lub tych, na których ciążyło podejrzenie, sprawa nigdy się nie kończy.

Dlatego ta historia jest godna uwagi.

Znam swoich czytelników i wiem, że w większości są to czytani i inteligentni amatorzy powieści detektywistycznych. W przypadku śmierci Rondy Reynolds mogą samodzielnie zdecydować o czyjejś winie lub niewinności. Ja sama przez prawie dwanaście lat próbowałam przebrnąć przez płataninę zeznań i tropów.

Mam zamiar przedstawić wszystkie strony tej niezwyklej sprawy, choć od początku podejrzewałam, że niektóre osoby odgrywające w niej ważną rolę nie będą chciały ze mną rozmawiać.

Okazało się, że miałam rację.



Nawet ludzie, którzy widzą szklanę jako do połowy pełną, mają momenty zwątpienia i myślą, że ich życie jest zbyt piękne, by trwało długo. Dla niektórych ciepły powiew wiosny, przesycony zapachem kwiatów, jest trudny do zniesienia, ponieważ wywołuje obezwładniające uczucie nostalgii. Inni witają nową miłość z obawą, że utracą coś cenniejszego, niż są w stanie sobie wyobrazić. Z tego też powodu dla wielu ludzi święta są czasem ogromnego stresu.

Każdy liczy na pełne ciepła i serdeczności spotkanie rodzinne. Kiedy wszyscy już przybędą, zamyka się drzwi na klucz i odgradza od świata zewnętrznego. Co roku zmagamy się z tym podświadomym strachem, nie mogąc zagłuszyć myśli, że w drodze do rodzinnego domu ktoś z naszych bliskich może mieć wypadek.

W Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie warunki pogodowe bywają trudne, drogi często są oblodzone, a samoloty mają trudności ze startem i lądowaniem podczas burzy śnieżnej.

Zadręczając się, w milczeniu zerkamy na zegar, dopóki nie dotrą wszyscy, którzy mieli się zjawić. Śmierć bliskiej osoby w święta oznacza, że każde kolejne będą smutną rocznicą naznaczoną bolesnymi wspomnieniami. Domyślam się, że najbardziej cierpi matka. Nawet gdy dzieci dorosną, wolelibyśmy, aby były bezpieczne pod naszymi skrzydłami i nierzadko tęsknimy do dni, kiedy mogliśmy położyć je w łóżeczku i mieć pewność, że nic im nie grozi.

Barbara Thompson należała do takich rodziców, choć rzadko mówiła głośno o swoich obawach. Chciała, żeby dwójka jej dzieci dorosła, zrealizowała swoje marzenia i opuściła gniazdo. Do lat dziewięćdziesiątych musiała pozwolić dzieciom się usamodzielnic. Miała pewność, że są niezależnymi i odpowiedzialnymi dorosłymi ludźmi, którzy potrafią o siebie zadbać.

Nie zawiodła się. Ronda, która przekroczyła już trzydziestkę i pracowała w policji stanowej od niemal dziesięciu lat, odpowiadała nie tylko za bezpieczeństwo własne lecz i innych. Jaka kobieta umiałaby lepiej sobie radzić?

Barbara miała zaledwie dziewiętnaście lat, gdy urodziła Rondę.

Freeman przyszedł na świat dekadę później. Przez większość życia wychowywała dzieci sama, co stanowiło ogromne wyzwanie. Niemniej jednak zawsze stawiała je na pierwszym miejscu i zwykle pracowała na dwa lub trzy etaty, by móc je utrzymać.

Choć ona i jej matka, Virginia Ramsey, często spierały się, kiedy Barb dorastała, to matka była dla niej największym wsparciem. Virginia przez dwadzieścia lat pozostawała żoną jedyne go mężczyzny, jakiego kiedykolwiek kochała. Razem za marne grosze utrzymywali troje dzieci. Kiedy pewnego dnia mąż porzucił ją dla innej kobiety, była zdruzgotana.

„Jakimś sposobem - wspominała Barb - narodziny Rondy nadały sens jej istnieniu, a ja potrzebowałam pomocy. Zajmowała się nią, a później także Freemanem, kiedy ja w pocie czoła zarabiałam na chleb. Mama pomogła mi wychować córeczkę. Nigdy nie narzekała, a Ronda po prostu za nią przepadała”.

Chociaż dziewczynka urodziła się dwa miesiące przed terminem - nie miała paznokci, brwi ani rzęs - była ślicznym, pogodnym dzieckiem i od dnia, kiedy matka zabrała ją ze szpitala w południowej Kalifornii we wrześniu 1965 roku, nigdy nie sprawiała problemów.

Barb wychodziła za mąż dwa razy; kilkakrotnie wiązała się też z mężczyznami, lecz rdzeń rodziny zawsze stanowiły dzieci - Ronda i Freeman - i oczywiście babcia Virginia. Wspierali się wzajemnie w trudnych chwilach i wspólnymi siłami pokonywali wszelkie problemy.

Ronda, podobnie jak jej matka, kochała konie - mimo to ich hodowla nie była jej życiowym celem. Już jako dziecko postanowiła, że zostanie policjantką, szeryfem albo detektywem. Marzyła o tym, by zaciągnąć się do waszyngtońskiej policji stanowej. W tamtych czasach graniczyło to z cudem; kiedy była mała, nie przyjmowano nawet ludzi niskiego wzrostu, a co dopiero mówić o kobietach. Waszyngtońska policja stanowa składała się z wysokich mężczyzn ubranych w niebiesko-szare mundury i kapelusze o szerokich rondach. Takie wyobrażenie pokutuje do dziś - kierowcy wciąż się

dziwią, gdy zostaną zatrzymani przez niską kobietę o łagodnym głosie.

Barb sądziła, że córka z tego wyrośnie, lecz Rondą nigdy nie porzuciła dziecięcych marzeń. Choć była delikatną dziewczynką, uwielbiała galopować na swoim koniu i fascynowali ją policjanci. Nic jej nie zniechęcało. Kiedy dorastała, kobiety stopniowo zaczęły wstępować w policyjne szeregi. Uparcie dążyła więc do swego celu, ale nawet nie przypuszczała, że nagłe pojawienie się kobiety w tym męskim środowisku wywoła tak poważne problemy.

Uroczą dziewczyną ze wschodniej części stanu chciała mieć wszystko - jak mawiają niektórzy o kobietach, pragnących połączyć karierę z życiem rodzinnym. Zamierzała wyjść kiedyś za mąż, chciała też bardzo mieć dzieci. Prawie jej się to udało. Pod wieloma względami przypominała matkę, zwłaszcza uporem i wytrwałością. Obie musiały stawić czoła problemom, których większość kobiet nie jest w stanie sobie wyobrazić, lecz nie poddały się i nie porzuciły swych marzeń wbrew radom życzliwych ludzi.

Jak inne matki i córki, kłóciły się ze sobą w okresie dojrzewania dziewczyny, ale zawsze mogły na sobie polegać. Ronda szanowała Barbarę i doceniała jej poświęcenie dla rodziny.



Była środa 16 grudnia 1998 roku, dziewięć dni przed świętami Bożego Narodzenia. Ronda osiedliła się czterysta osiemdziesiąt kilometrów od rodzinnego Spokane, w okolicy zwanej przez mieszkańców stanu „wybrzeżem”. Barbara cieszyła się na pięciodniową wizytę córki, podobnie jak Freeman i babcia. Może i nie miały to być Święta jak z ilustracji Normana Rockwella ¹, ale Spokane mogło przynajmniej liczyć na śnieg, ponieważ na wschodzie temperatura była dużo niższa niż w Seattle.

¹ Norman Rockwell (1894 - 1978) - amerykański malarz i ilustrator, znany zwłaszcza jako autor okładek dla „The Saturday Evening Post” (przyp. red.).

Ronda nie przyjeżdżała tak naprawdę na Święta - wracała do domu, żeby zobaczyć się z najbliższymi, żeby usłyszeć od nich słowa otuchy i dobrą radę. Rozpadało się właśnie jej drugie małżeństwo i chociaż nie miała problemów ze znalezieniem pracy, żadna z posad, które jej zaoferowano, nie była spełnieniem jej marzeń. Wcześniej, po ośmiu latach służby w policji stanowej, złożyła wypowiedzenie. Nie widziała innego rozwiązania, ale nie mogła odżałować utraty pracy, którą tak lubiła.

Ponad dwadzieścia lat wcześniej w waszyngtońskiej policji stanowej pracowało trzydzieści pięć kobiet; dziś z tysiąca dwustu zaprzysiężonych funkcjonariuszy kobiety stanowią pięć procent, czyli jest ich około sześćdziesięciu. Dla Rondy nie miało to najmniejszego znaczenia; zawsze uważała, że będzie zaliczać się do tego niewielkiego odsetka kobiet, którym się udało.

I miała rację. Z dobrymi ocenami w szkole średniej oraz świetnymi wynikami w college'u stanowiła idealny materiał na stróża prawa. Czekano ją jednak jeszcze kilka etapów rekrutacji. Policja stanowa skrupulatnie przyglądała się każdej aplikacji. Kandydaci musieli mieć co najmniej dziewiętnaście i pół roku, doskonały wzrok i wagę proporcjonalną do wzrostu. Ronda spełniała wszystkie wymagania.

O miejsce w akademii policyjnej nie mogli ubiegać się ludzie, których kiedykolwiek skazano za przestępstwa lub wykroczenia typu kradzież, napad, przemoc wobec członka rodziny, czyny niemoralne, używanie substancji niedozwolonych czy też ucieczka z miejsca wypadku. Kary za prowadzenie pojazdu pod wpływem alkoholu lub narkotyków nie dyskwalifikowały aplikantów, jeśli miało to miejsce co najmniej siedem lat wcześniej. Nieliczne osoby, które spełniały wszystkie te warunki, musiały zdać jeszcze test sprawności fizycznej. Co więcej, sprawdzano także ich przeszłość oraz poddawano badaniu wariografem.

Ronda zdała śpiewająco. Odkąd w szkole podstawowej podjęła decyzję co do swojej kariery, przestrzegała wszelkich możliwych zasad, przepisów, regulaminów, aby w przyszłości na jej aplikacji

nie znalazła się ani jedna niepożądana uwaga. Została najmłodszą kadetką w historii kraju. Miała dwadzieścia lat i jej życie biegło dokładnie tak, jak to sobie zaplanowała.

Zanim kadeci staną się prawdziwymi funkcjonariuszami policji stanowej, muszą przejść ośmiomiesięczne szkolenie. Obóz w Shelton przypomina te, w których szkolą się żołnierze marines. Uczestników często budzi się o świcie, wyciąga z łóżek za kostki i trzyma do góry nogami. Każe im się robić pompki w błocie podczas deszczu na długo przed wschodem słońca, a nocą pokonywać zabójczo długie dystanse. Są tam najniższą formą życia. Gdy już zdobędą odpowiednie doświadczenie, prowadzą w Shelton szkolenia dla wychowanków innych szkół policyjnych, skupiając się głównie na umiejętnościach związanych z prowadzeniem samochodu.

„Nasze szkolenie bardziej przypominało trening wojskowy” - wspomina funkcjonariuszka policji stanowej z dziesięcioletnim stażem. „Tamci kadeci nie byli nawet w połowie tak zdyscyplinowani jak my. Nie lubiliśmy, kiedy do nas przyjeżdżali, bo musieliśmy im we wszystkim ustępować, dawać pierwszeństwo na stołówce itd. Wiele razy jedliśmy jako ostatni”.

Okolo jednej trzeciej kadetów waszyngtońskiej policji stanowej nie udawało się ukończyć ośmiomiesięcznego programu szkoleń. Odpadali z różnych powodów: nie spełniali standardów etycznych lub nie potrafili opanować taktyk obronnych niezbędnych w pracy, podczas której niejednokrotnie wyrusza się na patrol w pojedynkę. Inni nie radzili sobie z brakiem snu, wyczerpaniem fizycznym oraz złym traktowaniem.

Ronda wytrzymała.

Pamiętam, jak sama patrolowałam ulice w pojedynkę - czasami bywało niebezpiecznie i bardzo brakowało towarzystwa. Zawód funkcjonariusza policji stanowej jest w pewnym sensie o wiele bardziej ryzykowny niż praca detektywa w żeńskim wydziale policji w Seattle, gdzie pracowałam w wieku Rondy. W stanie Waszyngton

można mieć w samochodach szyby tak przyciemnione, że policjant nie widzi, kto jest w środku. Musi wykazać się szóstym zmysłem i nie lada odwagą, by zatrzymać pojazd, którego kierowca i pasażerowie są praktycznie niewidoczni. Przyłapani za brak świateł albo jazdę nieco powyżej dozwolonej prędkości ludzie, których wygląd nie wzbudza najmniejszych podejrzeń, mogą okazać się zabójcami uciekającymi przed policją.

Ronda zaczęła pracę w waszyngtońskiej policji stanowej 8 września 1987 roku. Dzięki dobrym wynikom w szkole kadetów została zaprzysiężona już 8 stycznia 1988 roku. Na zdjęciu pamiątkowym pozowała dumnie w nowym mundurze, ściskając rękę gubernatora Bootha Gardnera, a jej odznaka z numerem 954 lśniła w świetle fleszy.

Pierwsze zadanie, jakie otrzymała, to patrolowanie autostrady 1-5, najbardziej ruchliwej drogi w całym stanie. Następnie przydzielono ją do patrolowania zjazdu w Aberdeen. W tych czasach w policji stanowej pracowało niewiele kobiet, toteż Ronda udawała, że twarda z niej sztuka. Jej przyjaciółki wiedziały jednak, że jest uczuciowa, delikatna i często żenowały ją żarty i uwagi kolegów, lecz nie dawała tego po sobie poznać.

Connie Riker pracowała jako dyspozytorka policji stanowej w Bremerton. W skład rejonu numer 8, którym się zajmowała, wchodziło wiele hrabstw, w tym Clallam, Jefferson, Wahkiakum oraz Grays Harbor, gdzie służyła Ronda. Kobiety poznały się, kiedy młoda policjantka dostarczała do Aberdeen jakąś przesyłkę. Szybko się zaprzyjaźniły. Czasami Connie towarzyszyła jej podczas patrolu.

Riker uderzyły niewysublimowane komentarze oraz sprośne żarty, z którymi musiała sobie radzić jej koleżanka. „Wtedy molestowanie seksualne stanowiło ogromny problem w policji stanowej, ale Ronda uważała, że musi się dogadywać z chłopakami, więc stawiała się przy nich innym człowiekiem. Oni byli przyzwyczajeni »dbać« o kobiety - a jednocześnie nie mieli oporów przed wygłaszaniem

obleśnych uwag - lecz ona nie chciała, by ktoś się o nią troszczył. Była niezwykle silna”.

„Mężczyzn o podobnym charakterze określa się mianem »zawadiaki«” - mówiła Connie. „Wydawało jej się wtedy, że może wszystko. Powiedziała mi nawet, że policja w Aberdeen zamierza zatrudnić nowych pracowników i zaproponowała, że przedstawi mnie swojemu szefowi. Pamiętam, jak mnie przekonywała: »Dasz sobie radę, Connie. Będziesz świetna!«”.

„Raz powiedziała: »Owszem, trzeba wysłuchiwać różnych głu-pot, pracując z samymi facetami«. Po chwili dodała: »Ale super by-łoby pokonać barierę i zostać pierwszą policjantką w Aberdeen, co?«”.

Zachęcona przez koleżankę, Connie złożyła podanie do lokalnego wydziału policji, zdała wszystkie testy i przeszła rozmowy kwalifi-kacyjne, po których zaoferowano jej pracę. Obie z Rondą nie posia-dały się z radości. „Niestety, wkrótce potem doznałam kontuzji kola-na i nie mogłam dalej pracować. A później zachorowałam na raka. Straciłyśmy kontakt, po tym jak przeniesiono ją do Tacomy na pół roku, a ja dostałam pracę w urzędzie komunikacji”.

Obie kochały konie, co wzmocniło ich przyjaźń w czasie, gdy mieszkały w hrabstwie Grays Harbor.

Connie wciąż pamiętała szczęście przyjaciółki, kiedy na początku wakacji wyszła za mąż za kolegę z pracy, Marka Liburdiego. Ronda pokochała troje dzieci męża z jego pierwszego małżeństwa. Za-mieszkali wtedy na farmie w McCleary. Nowożeńcy zdawali się rozumieć bez słów. Poprosiła nawet, by w dokumentach policyjnych zmieniono jej nazwisko na „Liburdi”.

„Ich dom lśnił czystością” - wspominała Connie. „W końcu nie wytrzymałam i spytałam ją, jak to robi. Przecież oboje byli bardzo zapracowani”.

Przestronne pomieszczenia urządzono w bardzo przemyślany sposób. Dało się zauważyć, że Ronda lubiła ładne rzeczy i liczyła się dla niej jakość, nie ilość.

Podczas wspólnych nocnych patroli kobiety dużo rozmawiały, szczególnie kiedy było niewiele wezwań. „Miała wspaniałą osobowość, tyle z siebie dawała. Choć sprawiała wrażenie twardej, musiała mieć mężczyznę u swego boku. Faceci za nią szaleli, ale gdy poznała Marka, uważała, że już na zawsze będą razem”.

Czy Ronda popełniłaby samobójstwo? To pytanie padało podczas każdej mojej rozmowy z jej znajomymi.

„Nie!” - wykrzyknęła Connie. „Musiałyby przejść kompletną przemianę osobowości, żeby odebrać sobie życie. Miała silny charakter. Prowadziła program zapobiegania przemocy w rodzinie w hrabstwie Lewis i wierzyła w ludzi, których kochała. W mojej rodzinie zdarzały się przypadki samobójstw, więc ten temat jest mi bliski. Ronda nie była taka. Cokolwiek się działo, ona nie oglądała się za siebie. Nigdy się nie poddawała”.

Miała kilka bliskich przyjaciółek, być może dlatego, że nie czuła potrzeby rywalizowania z innymi kobietami. Chciała, żeby i one odniosły sukces. Jedną z nich, Claudia Self, pracowała w biurze prokuratora okręgowego hrabstwa Grays Harbor. Pomagała początkującej policjantce sporządzać protokoły ze śledztw. Raporty musiały być bez zarzutu, ponieważ często wykorzystywano je potem w procesach sądowych. Claudia doskonale rozumiała, jak ciężko jest Rondzie jako jedynej kobiecie w tym zmaskulinizowanym gronie. Sama pracowała wcześniej jako policjantka w Idaho i także nasłuchiwała się niewybrednych komentarzy oraz była dotykana w sposób, jakiego sobie nie życzyła.

„Ronda chciała sprawiać wrażenie twardej i szorstkiej w obyciu, ale w środku była bardzo wrażliwa” - wspominała Claudia. „Nigdy nie przeklinała; dawała z siebie wszystko. Zmieniała koła i podejmowała się trudnych wyzwań, ponieważ cały czas czuła, że musi coś udowodnić. Czasami się buntowała, nie miała wyjścia, lecz w rzeczywistości była delikatną kobietą, która potrzebowała miłości”.

„Była także wierząca” - dodała Self, przyznając jednak, że Ronda

czasem zbyt dramatyzowała i nie potrafiła kontrolować emocji. „Jeden z kolegów z pracy zażartował z niej, kiedy ścięła włosy na krótko, mówiąc: »Gdyby ktoś cię nie znał, pomyślałby, że jesteś lesbą«. Alez się na niego wkurzyła!”.

Mark pozwalał Rondzie toczyć prywatne bitwy i udowodniać, że dorównuje mężczyznom w policji. Wiedział, że da sobie radę.

Jak większość przyjaciół zmarłej, Claudia ceniła jej poczucie humoru, ale martwiła ją odwaga koleżanki, której niejednokrotnie towarzyszyła zwykła lekkomyślność. Pewnej pochmurnej nocy jechały bocznymi drogami otaczającymi Ocean Shores, miejscowość uważaną kiedyś za kurort. Sześćdziesiąt lat temu posiadłości kupowały tu gwiazdy big-bandu, Kay Kyser czy Ginny Simms, lecz okolica nie przyciągnęła nigdy deweloperów ani inwestorów. Poza sezonem i w środku nocy Claudia uważała ją za nieco przerażającą. Kiedy jechały wolno przez mgłę, która wyglądała na drodze jak smugi dymu, coś wyskoczyło nagle z gęstwiny drzew i zagroziło im drogę. Ronda ledwo zdążyła zahamować, a Claudii serce waliło jak młot. Okazało się, że przed maską stał młody mężczyzna. Podszedł do okna od strony kierowcy; najwyraźniej nie zauważył, że zatrzymał radiowóz. Tamtej nocy Ronda jeździła wozem sierżanta, w którym nie było kratki oddzielającej siedzenia tylne od przednich. Od nieznanego dało się wyczuć alkohol.

„Wyglądał młodo” - opowiadała Self. „Miał jakieś szesnaście czy siedemnaście lat. Może dlatego Ronda go nie przeszukała. Wypisała mu mandat dla »młodocianego pod wpływem alkoholu« i podwiozła go tam, gdzie chciał”. Claudia jednak czuła się nieswojo. Rozluźniła się dopiero, kiedy wysiadł z samochodu. Spytała przyjaciółkę, dlaczego go nie przeszukała, ale ona wzruszyła ramionami i powiedziała: „To tylko dzieciak”.

Kilka tygodni później Self usłyszała o dwudziestoletnim mężczyźnie o nazwisku Raymond Baca, który został aresztowany za zabójstwo kobiety na plaży. Zadźgał ją śrubokrętem. Claudia

zadzwoiła do Rondy i spytała, czy kojarzy nazwisko „Baca”. Odparła, że nie zna nikogo takiego. „To ten sam człowiek, który wyskoczył nam na jezdnię w Ocean Shores” - wyjaśniła. „Chyba miałyśmy szczęście”.

Rzeczywiście miały szczęście. Może nie zaatakował ich, ponieważ jechały we dwie, a może po prostu zdał sobie sprawę, że zatrzymał samochód policyjny. Był notowany w Kalifornii za napady i rabunki. Ronda wyrzucała sobie, że nie przeszukała go wówczas ani nie skuła kajdankami, ale wzięła sobie tę naukę do serca. Nie była supermenką. Jednak trzymała się swego motto: „żadnego strachu”.

Na pytanie, czy Ronda mogła targnąć się na swoje życie, Claudia bez wahania zaprzeczyła, podobnie jak reszta rodziny i przyjaciół zmarłej. „Zgodziłabym się z tym, że czasem dramatyzowała, ale z pewnością by się nie zabiła, a już na pewno nie strzałem w głowę”.

„Po pierwsze, bardzo dbała o swój wygląd; nazwałabym ją nawet próżną” - wyjaśniała Claudia. „Nie mówię tego w złej intencji, bo wcale mi to nie przeszkadzało. Zawsze ubierała się starannie, jej mundur wyglądał bez zarzutu, bardzo dbała o makijaż i paznokcie. Nie wierzę, że strzeliłaby sobie w głowę. Nie chciałyby, żeby ktoś zobaczył ją w takim stanie”.

Co więcej, Ronda nie uważała samobójstwa za rozwiązanie problemów. Według Claudii, gdy doznawała zawodu miłosnego lub spotykała ją inne rozczarowanie, po prostu zmieniała swoje życie.

„Pamiętam nasze ostatnie spotkanie. Pracowała w ochronie domu handlowego Macy's w Olympii. To było jakoś w okolicy Święta Dziękczynienia. Spytałam, jak jej się układa z Ronem Reynoldsem, drugim mężem. Odpowiedziała, że »mają swoje problemy«. Uznałam jednak, że to nic poważnego. Ostatni raz, kiedy ją widziałam, uśmiechała się”.

Po ośmiu latach pracy w policji stanowej Ronda odeszła i zatrudniła się jako ochroniarz w sklepie sieci Walmart, a następnie w Macy's. W ciągu ostatnich kilku lat jej życie zdawało się rozsypywać jak domek z kart. Pierwsze małżeństwo - z policjantem Markiem

Liburdim - zakończyło się rozwodem, a drugi związek nie przetrwał nawet roku, nim zbliżył się do upadku. Nie zamierzała się jednak poddać, była na to zbyt silna. Potrzebowała pobytu w rodzinnym domu, wśród bliskich, zanim postanowi, co dalej.

Nigdy się nad sobą nie uzalała. Porażki sprawiały, że wpadała w złość, ale za każdym razem czegoś się z nich uczyła. Nie chowała do nikogo żalu - przypominała w tym swoją matkę. Zazwyczaj wspólnie omawiały problemy i rozważały różne rozwiązania.

Wszyscy, którzy znali Rondę, byli przekonani, że po nieudanym małżeństwie z Ronem Reynoldsem odrodzi się jak feniks z popiołów.



Choć Barb Thompson nie mówiła tego głośno, nie rozumiała, co pociągało jej córkę w Ronaldzie Reynoldsie. Miał czterdzieści sześć lat, a więc był o czternaście lat starszy od niej. Pracował jako nauczyciel w szkole podstawowej i przewodził lokalnej wspólnotie Świadków Jehowy. Ten wysoki, siwiejący okularnik z pewnością nie był tak przystojny jak Mark Liburdi, pierwszy mąż Rondy. Potrafił jej jednak wysłuchać, kiedy zwróciła się do Świadków Jehowy po radę. Zawsze wiedział, co powiedzieć, żeby poprawić jej nastrój.

Mark i Ronda poznali Reynoldsa, kiedy przychodzili do Sali Królestwa na zgromadzenia Świadków. Dowiedzieli się, że Ron i jego żona, z którą był od dwudziestu lat, Catherine Huttula, mieszkali kilka domów od nich, w McCleary. Mieli pięciu synów, z czego trzech nadal mieszkało z nimi. Pary rozmawiały ze sobą otwarcie. Mark do dziś pamięta wyznanie Rona, że on i Katie zmagali się w młodości z uzależnieniem od narkotyków. Katie wciąż walczyła z nałogiem i miała swoje wzloty i upadki.

W tamtym czasie małżeństwo Liburdich przeżywało trudny okres; wyglądało na to, że Ron i Katie także nie byli ze sobą szczęśliwi. Ronda nie sądziła wprawdzie, że ona i Mark się rozwiodą, lecz

ich związek nieuchronnie zmierzał w tym kierunku. Gdy opłakiwała rozpad małżeństwa, utratę pracy, którą kochała, a także wcześniejsze poronienia, zatroskany Reynolds zaoferował swoją pomoc jako duchowu opiekun. Sam właśnie rozwodził się z Katie.

Początkowo wydawał się jedynie powiernikiem, ale Ronda szybko się w nim zakochała. W 1997 roku czuła się zagubiona, a on sprawił, że znów uwierzyła w siebie. Nie wiedziała, jaka jest jego sytuacja materialna; sądziła, że praca nauczyciela zapewnia dobre zarobki. Przed śmiercią swego ojca Ron przeniósł go do przyczepy kempingowej stojącej za domem, żeby móc się nim opiekować. Nie była to dla staruszka wielka zmiana, ponieważ przed chorobą Lesie Reynolds mieszkał z synem po sąsiedzku. Ron odziedziczył ten dom po ojcu.

Perspektywa opieki nad starszym, schorowanym człowiekiem oraz wychowywanie trzech dorastających chłopców, którzy trzymali stronę matki, nie była zbyt pociągająca, ale Ronda wierzyła, że uda im się stworzyć rodzinę. Potrzebowali po prostu czasu. Mark także wniósł do ich małżeństwa troje swych dzieci - i poradzili sobie. Dlatego była pewna, że prędzej czy później pokocha synów Rona. Lesie od razu zdobył jej sympatię.



Barb Thompson nie poznała Rona Reynoldsa przed ich ślubem, więc nie zdążyła wyrobić sobie o nim zdania. Martwiła ją nieco różnica wieku oraz to, że przyszły zięć ma już pięciu synów, a żonę porzucił po dwudziestu latach wspólnego życia. Liczyła, że Ronda zaczeka nieco ze ślubem i da sobie czas, by lepiej poznać partnera - lecz ona była nieugięta. Kochała go i ufała mu bezgranicznie.

Reynolds zastosował wobec Rondy metodę „odwróconego uwodzenia”. Taka technika zalotów wydała się Barb wyjątkowo dziwna. Mężczyzna wyznał bowiem Rondzie, że jest impotentem, gdyż uważał, że nie ma prawa tego przed nią ukrywać. Próbował nawet uprawiać z nią seks, ale bez powodzenia, co miało dowiedzieć, że mówi

prawdę. Współczuła mu, lecz nie przestała go kochać. Kiedy ponownie doszło między nimi do zbliżenia, cudownym sposobem zdołał osiągnąć erekcję i nie przestawał dziękować Rondzie za przywrócenie go do życia.

Barb nie wierzyła w to ani przez chwilę, lecz córka była szczęśliwa, że udało jej się ponownie obudzić w ukochanym potencję seksualną. Nigdy nie zdradzała swoich chłopaków ani męża i pomimo wewnętrznej siły zdawała się czuć pustkę bez mężczyzny u swego boku. Ron wypełnił tę lukę. Para szybko się zaręczyła i wyznała datę ślubu na 2 stycznia 1998 roku.

Na ranczu w Spokane hodowano niemal dwadzieścia rasowych koni (prawie zawsze któraś z klaczy była w ciąży) - a także kilka krów - dlatego Barb nie mogła pojechać na ślub Rondy, tym bardziej że Virginia i Freeman także bardzo chcieli uczestniczyć w ceremonii. Musiała więc zostać w domu i zaopiekować się zwierzętami.

Brat Barbary, Bill Ramsey, absolwent Akademii Marynarki oraz pilot helikopterów ratunkowych odznaczony za walkę w Wietnamie, przyleciał z Kolorado, by zastąpić siostrę na uroczystości. Uważał to za wielki zaszczyt, szczególnie że uwielbiał Rondę i Freemana; traktował ich jak własne dzieci. Bill i Barb byli bardzo zżyci, wspierali się w najtrudniejszych chwilach, toteż według niej nikt lepiej nie reprezentowałby jej na ślubie córki.

Nie chodziło o to, że Barb chciała uniknąć udziału w ceremonii. Jeśli małżeństwo z Ronem miało uszczęśliwić Rondę, dawała temu związkowi swoje błogosławieństwo. Ustaliły, że zobaczą się na Dzień Matki, a może nawet wcześniej.

Drugiego dnia nowego roku, w piątek, w hotelu Abel House w Montesano odbyła się ceremonia zaślubin. Panna młoda miała na sobie białą satynową suknię z bolerką, którą uszyła babcia Virginia, a do tego sznur pereł. Bukiet składał się z małych różyczek i konwalii. Ron ubrany był w garnitur, który nosił do pracy, oraz szarą koszulę i kolorowy krawat, lecz ten codzienny strój udekorował

różyczką i konwalią w butonierce. Na fotografii ślubnej oboje promiennie się uśmiechali.

Ron, podobnie zresztą jak Mark Liburdi, nie lubił jednej z koleżanek żony - Cheryl Gilbert* - dlatego nakłaniał Rondę, żeby zerwała z nią kontakt. Kobieta pracowała jako ochroniarz w Lucky Eagle Casino oraz jako policjantka w rezerwie w miejscowości Elma. Claudia Self opisała Cheryl jako osobę „szorstką i obcesową”. „Nie rozumiałam, dlaczego Ronda się z nią przyjaźniła - być może z litości, bo miała dobre serce”.

¹ Nazwiska niektórych osób oraz wybrane adresy zostały zmienione. Tam, gdzie pojawiają się po raz pierwszy, opatrzone je gwiazdką.

Reynolds narzekał, że Cheryl nie odstępuje Rondy ani na krok i nie szanuje ich prywatności. Być może nie wiedział, że odpracowuje dług, który zaciągnęła u koleżanki, kiedy ta była jeszcze żoną Marka Liburdiego. Ronda nie chciała wówczas zgłaszać kradzieży na policję, więc kobiety uzgodniły, że Cheryl będzie sprzątała w domu przyjaciółki.

Ron zgodził się ostatecznie, by ten układ trwał nadal, ale nie chciał widzieć jej na swoim ślubie. Ponieważ lista gości obejmowała tylko najbliższych, Cheryl nie została zaproszona. Mimo to pojawiła się na uroczystości, a panna młoda nie miała serca jej wypraszać. Pozowała z nią nawet do zdjęcia.

Ronda wiązała wielkie nadzieje ze swoim drugim małżeństwem, lecz zbyt szybko się zdecydowała o ślubie. Oboje bowiem nie wiedzieli o sobie wielu rzeczy. Gdy Ronda przechodziła trudne chwile, próbując odzyskać wewnętrzny spokój, Reynolds wydawał się miły i troskliwy. Niestety, po ślubie zauważyła w nim zmianę, choć na początku nieznaczną. Sądziła, że - jak wszyscy nowożeńcy - muszą się dotrzeć, nim osiągną pełną harmonię. Dotąd znała Rona jako duchowego przewodnika, męża innej kobiety i - bardzo pobieżnie - jako swego kochanka.

Nie miała pojęcia, jakim będzie mężem.

Na początku zamieszkali w jego domu w McCleary. To liczące półtora tysiąca mieszkańców miasteczko leży w pobliżu autostrady stanowej numer 12, która prowadzi na południowy zachód, do Aberdeen, i dalej w stronę Pacyfiku. W sezonie połowów przez McCleary często przejeżdżają rybacy. Podobnie jak inne małe miasta w regionie, ma ono swoje tradycje. Jest znane z odbywającego się latem Festiwalu Niedźwiedzia, na którym największym serwowanym przysmakiem jest gulasz z mięsa tego zwierzęcia.

Niedługo po ślubie Ron dostał pracę jako dyrektor szkoły podstawowej w Toledo w hrabstwie Lewis. Uczniowie zawsze go lubili. Po uzyskaniu tytułu magistra rozważał podjęcie studiów doktoranckich z pedagogiki.

Małżeństwo Reynoldsów kupiło w tym mieście dom przy Twin Peaks Drive. Nie odstraszała ich brzmiąca złowrogo nazwa ulicy kojarząca się z serialem *Miasteczko Twin Peaks*. Ronda wpłaciła piętnaście tysięcy dolarów zaliczki. Ponieważ była w trakcie negocjacji z policją stanową w sprawie wysokości pakietu emerytalnego, pożyczyła tę sumę od matki, obiecując ją oddać, gdy tylko otrzyma od byłych pracodawców należne jej pieniądze. Barb Thompson nie domagała się od córki szybkiego zwrotu pożyczki, jednak ta zapewniła, że spłaci dług, jak tylko otrzyma pieniądze od policji stanowej.

Wiedziała, że nie może liczyć na pełną sumę świadczeń (od dwunastu do piętnastu tysięcy dolarów), ponieważ była dłużna policji stanowej za okres, kiedy przez pomyłkę pobierała równocześnie wypłatę za zwolnienie lekarskie i odszkodowanie za uszczerbek na zdrowiu poniesiony podczas służby. Posiadała jednak dodatkowe pieniądze ze sprzedaży domu i działki, która należała do niej i do Marka Liburdiego.

Ron wyjaśnił swej młodej żonie, że po rozwodzie Katie zabrała wszystko, dlatego nie miał pieniędzy na połowę zaliczki. Mimo że Ronda wyłożyła na ich nowy dom piętnaście tysięcy dolarów, nie był zachwycony tym, że w przypadku rozstania połowa przypadnie żonie. Nie chodziło o to, że jej nie ufał, lecz właśnie stracił dorobek

całego życia, aby móc z nią być. Obiecał, że gdy oswoi się z sytuacją, doda jej nazwisko do aktu notarialnego. Ronda ufała mu bezgranicznie i rozumiała, jak bardzo przeżył rozwód i utratę oszczędności na rzecz Katie.

Do nowego domu wprowadzili się w sierpniu, siedem miesięcy po ślubie. Ron nie miał własnych mebli, toteż Ronda wyposażyla wnętrza domu swoimi. Część z nich była nowa, inne - jak gablotka i obrazy babci - miały dla niej wartość sentymentalną.

Wraz z Reynoldsami zamieszkali trzej synowie Rona oraz psy Rondy. Wciąż opłakiwała śmierć ukochanej rottweilerki, Duchess, dlatego do nowego domu sprowadziła szczeniaka tej samej rasy, którego nazwała Jewels. Wiele lat wcześniej przygarnęła starą rottweilerkę, Daisy. Miała też energicznego Jack Russell teriera, Tuffy'ego. Gdyby dysponowała większym terenem, sprowadziłaby do Toledo również swego ukochanego konia, Clabber Toe.

Był rok 1998. Ronda wciąż żywiła nadzieję na udane życie małżeńskie, dwoje lub troje dzieci oraz na sukcesy w nowej pracy.

Ostatnią rzeczą, jakiej ktokolwiek mógł się spodziewać, były ciemne chmury gromadzące się nad Rondą. Dość się już nacierpiąta przez pierwsze trzydzieści lat swego życia. Te dni jednak minęły i kobieta sądziła, że jej przyszłość maluje się w jasnych barwach.

Nie doczekała jednak 1999 roku.

CZEŚĆ II

NAGŁA ŚMIERĆ
W TOLEDO

ROZDZIAŁ 2

W Spokane była godzina 1.40 nad ranem, środa 16 grudnia 1998 roku. Barb Thompson została wyrwana ze snu dźwiękiem telefonu. Półprzytomna sięgnęła do aparatu stojącego przy łóżku, wiedząc, że po piątym dzwonku włączy się automatyczna sekretarka. Nie chciała budzić mężczyzny, z którym mieszkała - Skeetera - gdyż z powodu choroby miał problemy z zaśnięciem.

Chwyciła słuchawkę po trzecim sygnale i wymamrotała: - Halo?

Po drugiej stronie usłyszała tylko ciągły dźwięk, jakby ktoś odłożył słuchawkę. Leżała zastanawiając się, czy mogło jej się to przyśnić, miała jednak pewność, że telefon dzwonił naprawdę. Sądziła, że za chwilę znowu usłyszy dzwonek, lecz tak się nie stało.



Barb rozmawiała z Rondą zaledwie kilka godzin wcześniej. Córka dzwoniła ze swego domu w Toledo, maleńkiej miejscowości liczącej niespełna siedmiuset mieszkańców. Matka nigdy u niej nie była, choć Reynoldsowie mieszkali tam od kilku miesięcy. Podejrzewała, że już nie zobaczy nowego domu córki - trzy dni wcześniej usłyszała od niej, że Ron poprosił ją o rozwód.

Ronda powiedziała, że zamierza lecieć do Spokane w tę właśnie środę, miała przybyć dokładnie o 12.59. Rozważała wylot z Portland, ale ostatecznie wybrała Alaska Airlines; miała ruszyć z Seattle. David Bell, jej długoletni przyjaciel pracujący jako sierżant policji w Des Moines, zaoferował, że przejedzie sto dwadzieścia kilometrów i odbierze ją z Toledo, po czym zawiezie z powrotem na północ, na

lotnisko SeaTac. Dziesięć lat wcześniej Dave i Ronda spotykali się jako para. Teraz byli przyjaciółmi i zawsze mogli na siebie liczyć.

We wtorek wieczorem matka i córka długo rozmawiały przez telefon. Barb ulżyło, gdy usłyszała optymizm w głosie Rondy, mówiącej, że bez żalu zakończy jedenastomiesięczne małżeństwo. Zamierzała jednak odzyskać pieniądze zainwestowane w kupno, wykończenie oraz umeblowanie domu.

- W zasadzie cieszę się, że zacznę nowe życie - powiedziała matce. - Potrzebuję kilku dni z wami, by postanowić, co mam dalej robić.

- Na pewno? - dopytywała Barb. - Przede mną nie musisz udawać, wiesz o tym.

- Na pewno. Nic mi nie jest. Nie mogę się doczekać jutra, kiedy wreszcie się zobaczymy.

Freeman, „mały” brat Rondy, przewyższający ją o siedemnaście centymetrów, miał zawieźć matkę na lotnisko w Spokane. W drodze do domu zamierzali wpaść do babci Virginii, która mieszkała tuż obok Barb.

Z niecierpliwością czekali na spotkanie, nie widzieli się bowiem z Rondą od Dnia Matki, kiedy to wybrali się na obiad z nią i Ronem. Atmosfera była wówczas bardzo przyjemna; nikt nie dostrzegł sygnałów, że małżeństwo Reynoldsów nie jest tak udane, na jakie wygląda.

Zapewne i sama Ronda nie obawiała się o przyszłość związku. Mark Liburdi także zdążył się już ożenić po raz drugi i kobieta przyjaźniła się z nim oraz jego nową żoną, Kristą. Podczas rozmowy telefonicznej wiosną 1998 roku mówiła jej z entuzjazmem:

- Mam nadzieję, że jesteście z Markiem tak szczęśliwi jak ja z Ronem.

Z okazji majowego święta Ronda podarowała matce czarną kulkę futra - czyli Małą Daisy. W grudniu suczka była już pokaźnych rozmiarów i Barb chciała pokazać córce, jak dobrze się nią opiekowała.

Ronda miała też zobaczyć żrebaka, który przyszedł na świat kilka dni przed ich poprzednim spotkaniem. Czekał na nią również Clabber Toe. Koń poznawał ją od razu i po chwili galopowali razem po obrzeżach Spokane.

Gdy Barb i Freeman zbliżali się do lotniska, kobieta spytała go, czy chce iść z nią do bramki przywitać siostrę.

- Nie, mam, ty idź. Ja w tym czasie odbiorę jej bagaż.

Nie zdążył zatrzymać samochodu, a matka już wysiadła i błyskawicznie odwróciła się, by zamknąć drzwi.

- Spokojnie - zaśmiał się. - Ona nigdzie nie ucieknie. Masz mnóstwo czasu.

Barb Thompson weszła do głównego holu i natychmiast przypomniała sobie, że na lotnisku trwa przebudowa. Musiała przejść na sam koniec terminalu, by dotrzeć do bramki, gdzie wysiadali pasażerowie linii Alaska i Horizon. Chciała zobaczyć już Rondę i uściskać ją z całych sił, lecz kiedy podeszła do bramki, zauważyła, że lot został odwołany, a następny samolot z Seattle przybędzie dopiero o 15.00.

Mina Freemana mocno zrzędła, kiedy to usłyszał.

- Przyleci lotem numer 2198 - powiedziała matka. - Ląduje o 14.55. To nie tak długo.

Niecałe dwie godziny, ale dla niej i syna wydawały się wiecznością. Pojechali do domu, nie zatrzymując się u babci. Kiedy wchodzili do środka, telefon już dzwonił. Barb spodziewała się, że to Ronda, która zawsze uprzedzała rodzinę o jakiegokolwiek zmianie planów. Tym razem jednak dzwoniła Virginia - domagała się, żeby wyjaśniono jej, dlaczego nie wstąpili do niej z wnuczką.

- Lot jest opóźniony, mam - tłumaczyła Barb. - Wrócimy na lotnisko o trzeciej. Freeman za chwilę do ciebie przyjedzie i wróci po mnie piętnaście po drugiej.

- A niech to - odparła babcia. - Nie wiem, czy dam radę czekać jeszcze tyle czasu.

Córka starała się poprawić jej humor, zapewniając, że Ronda na pewno przyleci następnym samolotem, w przeciwnym razie z pewnością by zadzwoniła. Zawsze dzwoniła.

- Wiem, co czujesz, mamó - mówiła łagodnym tonem. - Też chciałabym, żeby już tu była. Może po okresie próbnym w Macy's zdecyduje się przenieść do Spokane i pracować dla nich tutaj. Wtedy mielibyśmy ją przy sobie cały czas. Czy nie byłoby wspaniale? Ale na razie nie ma sensu się na to nastawiać. Wiesz, co Ronda myśli o tutejszej pogodzie.

Barb wypełniła sobie czas, wstawiając naczynia do zmywarki. Kiedy po włożeniu ostatniego talerza wyjrzała przez okno w kuchni, przed domem matki zobaczyła policyjny samochód. Wyglądał na radiowóz biura szeryfa hrabstwa Spokane. Nie zaniepokoiło jej to - kiedy policjanci znajdowali rannego lub zaginionego konia, zwykle przyjeżdżali do niej pytać, czy wie, do kogo może należeć. Była najlepszym ekspertem od koni w okolicy.

Daisy nie odstępowała drzwi ani na krok. Jej ciało drżało z podniecenia - jak zawsze, gdy miała poznać kogoś nowego. Nie szczekała na obcych, wręcz przeciwnie, zawsze cieszyła się z nowego towarzysza zabaw.

Barbara Thompson zwykle chętnie pomagała przy zagubionych koniach, ale każda taka sprawa nie trwała krócej niż dwie godziny. Teraz nie chciała się spóźnić na lotnisko, jednak zdała sobie sprawę, że nie potrafiłaby odmówić. Ronda na pewno zrozumiałaby i zadzwoniła do babci Virginii, jeśli nie zastałaby matki w domu.

Otworzyła drzwi i zobaczyła starszego pana zerkającego z niepokojem na Daisy. Kobieta uśmiechnęła się do niego i powiedziała:

- Nic panu nie robi. Ona nie wie, że jest rottweilerem. Chce się tylko pobawić.

W tym momencie dostrzegła, że mężczyzna ma przyczepioną do koszuli plakietkę. Przeczytała napis: *Kapelan*.

Czego może chcieć? Poczwała ukłucie w sercu. Wizyta duchownego zwykle oznaczała, że kogoś spotkało coś złego. Nie dopuszczała do siebie myśli, że mogło to dotyczyć jej lub jej rodziny.

- Czy pani Barbara Thompson?

- Zgadza się - odrzekła, otwierając drzwi szerzej. - Ale mam tylko chwilę. Muszę jechać na lotnisko po córkę.

Rozmówca zawahał się przez chwilę, po czym powiedział:

- Mam złą wiadomość. Zmarła pani matka. Mam przekazać, żeby zadzwoniła pani do swego ojca.

Barb poczuła ulgę. Cokolwiek się stało, nie mogło dotyczyć jej rodziny.

- To niemożliwe - odpowiedziała. - Mój ojciec zmarł kilka lat temu, a matka mieszka w domu obok. Przed chwilą pan u niej był.

Kapelan naciskał.

- Mam przekazać, żeby zadzwoniła pani do swojego ojca, do biura koronera w hrabstwie Lewis.

Ulgę zastąpiła zupełna dezorientacja. *Hrabstwo Lewis?* Nie znała tam nikogo. *Zresztą, gdzie to w ogóle jest? W jakim stanie?*

- Ma pan numer telefonu? Albo nazwisko?

Pokręcił głową przepaszająco.

- Niestety, nic więcej nie wiem.

- Czy była mowa o kimś o nazwisku Ramsey, Thompson, Liburdi lub Reynolds?

Ponownie zaprzeczył. Gdyby nie przyjechał samochodem szeryfa, pomyślałaby, że cierpi na demencję - krąży po domach, opowiadając niestworzone rzeczy i denerwując ludzi. Dlaczego nie miał więcej informacji? Wszystko dałoby się szybko ustalić, gdyby podał jej jakieś nazwisko.

- To pani nazywa się Barbara Thompson? - kontynuował.

- Owszem. Ale moja matka mieszka tuż obok i ma się dobrze. Musiała zająć jakaś pomyłka.

- Ale to jest West Highway Two numer 7711*?

- Tak.

- W takim razie to adres i nazwisko, które mi podano. Miałem przekazać, żeby zadzwoniła pani do swego ojca.

Barb chciała, żeby Freeman już wrócił. Ten cały „kapelan” przyprowadził ją o gęsią skórkę. Nagle przypomniała sobie, że w Spokane mieszkała inna Barbara Thompson, kobieta, która pracowała na torze wyścigowym. W przeszłości odebrała kilka telefonów i listów skierowanych właśnie do tamtej kobiety. Nie wiedziała, gdzie mieszka jej imienniczka, ale była pewna, że biuro szeryfa może to bez trudu ustalić.

Spojrzała na zegarek i powiedziała mężczyźnie, że musi jechać na lotnisko. Ten pożegnał się i wrócił do samochodu. Barb zadzwoniła po Freemana, mówiąc, że czas ruszać.

Po raz drugi wyskoczyła z auta syna i pobiegła do terminalu, do bramki przylotów Alaska Airlines. Samolot Rondy miał wylądować za kwadrans. Wiedziała, że jest jeszcze mnóstwo czasu, ale i tak biegła korytarzem, przepychając się przez ludzi, bagaże, dzieci i wózki. Kiedy dotarła do bramki, wszystkie krzesła zajmowali już inni ludzie, ale nie zwracała na to uwagi. Stała z oczami utkwionymi w podwójne drzwi, które za chwilę się otworzą, wypuszczając dziesiątki pasażerów. Jej córka będzie jednym z nich.

„Zbliżało się Boże Narodzenie” - wspominała Barb Thompson dekadę później. „Wszyscy uśmiechali się i cieszyli. Po raz pierwszy od prawie ośmiu lat miałabym całą rodzinę w domu na Święta. Ronda musiała wracać do pracy już 21 grudnia, dlatego zaplanowaliśmy świąteczny obiad i rozdawanie prezentów trochę wcześniej. Wystarczyło, że wszyscy mogliśmy być razem”.

O godzinie 14.50 Barb obserwowała samoloty krążące nad lotniskiem i podjeżdżające po wylądowaniu do swych stanowisk przy terminalu. W końcu dostrzegła maszynę Alaska Airlines i wiedziała, że to musi być samolot Rondy. Przyglądała się, jak obsługa naziemna

nakierowuje go jaskrawopomarańczowymi pałkami, i usłyszała dźwięk wyłączanych silników.

Już widziała w wyobraźni idącą ku niej córkę. Pamiętała, że zwykle wysiada z samolotu ostatnia, bo zawsze przepuszcza rodziców z dziećmi oraz osoby starsze czy niepełnosprawne, po czym uśmiecha się szeroko, widząc, jak z twarzy jej matki znika niecierpliwość, a zastępuje ją radość.

Teraz Barb wyciągała szyję, by zobaczyć pasażerów idących na końcu. O trzeciej minęła ją ostatnia osoba - młoda matka z niemowlęciem na rękę i pięcioletnią dziewczynką, która ciągnęła ją za drugą rękę.

Nikogo więcej. *To niemożliwe*. Po chwili wyszły dwie stewardesy, rozmawiając i śmiejąc się głośno. Drzwi samolotu zatrzasnęły się. Chciała podejść do nich i zapytać, gdzie jest jej córka, ale powstrzymała się.

„Zrobiło mi się niedobrze” - wspominała. „Moje myśli pędziły z zawrotną szybkością. *Gdzie jest Ronda?* Przypomniała mi się twarz kapelana. W głowie słyszałam jego słowa: »...żeby zadzwoniła pani do swojego ojca, do biura koronera w hrabstwie Lewis«. Wtedy do mnie dotarło. *O Boże! Moje dziecko! Nie, to niemożliwe! On nie mógł mówić o mojej córce. Pewnie zasnęła w samolocie i dlatego jeszcze nie wysiadła. Za moment drzwi otworzą się i wyjdzie*”.

Jednak Ronda się nie pojawiła. Nie było jej ani w samolocie, ani na liście pasażerów.

Barb próbowała racjonalnie wytłumaczyć sobie, dlaczego córka nie przyleciała zgodnie z zapowiedzią – wymyślała różne przyczyny, ale usilnie starała się ignorować tę jedną, która męczyła ją najbardziej. Po prostu nie mogła stawić czoła takiej możliwości.

W końcu zadzwoniła na informację i poprosiła o numer do biura koronera w hrabstwie Lewis. Gdy telefonistka spytała o stan, w którym znajduje się hrabstwo, nie potrafiła odpowiedzieć. Po chwili szukania kobieta odezwała się ponownie i podała numer zaczynający się od kierunkowego 360. Pod Barb ugięły się nogi - numer do

Rondy zaczynał się od tych samych cyfr, nazwa „Lewis” jednak nic jej nie mówiła. Dotąd była przekonana, że córka mieszka w hrabstwie Thurston.

Przeczuwając to, czego nie chciała wiedzieć, Barb Thompson zadzwoniła do biura koronera. Przedstawiła się kobiecie, która odebrała telefon.

- Czy jest pani matką Rondy Reynolds?
- Tak... jestem.
- Przykro mi poinformować panią, że córka zmarła dziś rano.
- Jak? - zapytała nieswoim głosem.
- Popełniła samobójstwo.

Nie mogła w to uwierzyć.

I nigdy nie uwierzyła. Przez ponad jedenaście lat robiła wszystko, żeby odkryć prawdę o śmierci córki - chciała usunąć słowo „samobójstwo” z aktu zgonu Rondy.

Elementy nie tworzyły jednak spójnego obrazu. W tej sprawie było wielu podejrzanych i liczne motywy zbrodni. Każda z głównych postaci miała własną teorię - własną wersję tego, co stało się w grudniową noc 1998 roku.

Niektórzy wiedzą więcej, niż chcą przyznać...

ROZDZIAŁ 3

O godzinie 6.20 w zimny poranek 16 grudnia 1998 roku w biurze szeryfa hrabstwa Lewis zadzwonił telefon. Mężczyzna, który przedstawił się jako Ron Reynolds, poprosił o jak najszybszy przyjazd karetki do jego domu przy Twin Peaks Drive. Na pytanie, co się stało, odparł, że jego żona popełniła samobójstwo, strzelając sobie w głowę.

Mówił monotonnym, dziwnie spokojnym głosem. Wyjaśnił, że nie wie, co dokładnie zaszło, ponieważ przez „kilka ostatnich godzin” spał.

- Nie słyszałem strzału - powiedział. - Musiała stłumić odgłos poduszką.

- Czy pana żona ma puls?

- Nie wiem, mogę sprawdzić.

Dyspozytor usłyszał, jak mężczyzna odkłada słuchawkę. Wrócił po kilku minutach.

- Nie czuję pulsu - powiedział.

Zastępca szeryfa Gary Holt został wysłany do domu Reynoldsów minutę po przyjęciu zgłoszenia.

Funkcjonariusze policji z biura szeryfa patrolowali drogi, oddaleni od siebie o wiele kilometrów - byli więc rozproszeni po całym hrabstwie. Dotarcie do domu w Toledo zajęło Holtowi dwadzieścia jeden minut. Nie wiedział, czego ma się spodziewać, choć ze słów dyspozytora wynikało, że chodzi o ewidentne samobójstwo. Tak czy inaczej, w domu Rona i Rony Reynoldsów stało się coś złego.

Gdy wszedł do środka, został skierowany do głównej sypialni na końcu korytarza, na lewo od wejścia. Na miejscu zastał sanitariuszy,

którzy zajmowali się kobietą leżącą na lewym boku na podłodze garderoby. Obok znajdowała się łazienka.

Holt zauważył pistolet leżący na czole kobiety. Miała ona ranę postrzałową głowy, która obficie krwawiła.

Ron Reynolds był dość znany w hrabstwie Lewis - zarówno z powodu stanowiska dyrektora szkoły, jak i przewodniczenia zgromadzeniom Świadków Jehowy. Teraz jednak nie należał już do tego Kościoła - odszedł, kiedy rozstał się z żoną i zamieszkał z Rondą.

W grudniu 1998 roku wydał mnóstwo pieniędzy na podarunki świąteczne dla swoich synów - miały to być ich pierwsze Świąta z prezentami od czasów dzieciństwa. Gdy najmłodszy z nich, Josh, przyszedł na świat, rodzice należeli do Świadków Jehowy już od piętnastu lat, a zgromadzenie to nie obchodzi świąt Bożego Narodzenia.

Jako pierwszy oficer policji na miejscu zdarzenia Gary Holt dokonał oględzin ciała Rondy. Podczas wykonywania rutynowych czynności zauważył, że Ron wydawał się nienaturalnie opanowany, być może z powodu szoku. Mężczyzna powiedział Holtowi, że poszedł spać około piątej nad ranem. Był wyczerpany, ponieważ - jak twierdził - przez pół nocy starał się nie zasnąć, rozmawiając z żoną, która „mówiła o samobójstwie”.

Gdy budzik wyrwał go ze snu o 6.00 rano, leżał w łóżku sam. Wstał, żeby poszukać Rondy, ale długo nie mógł jej znaleźć. Powiedział potem jednemu z policjantów, że sprawdził, czy nie śpi na kanapie w salonie, a innemu, który przyjechał chwilę po Holcie, że poszedł do kuchni, spodziewając się zastać tam żonę, która zwykle rano karmiła psy.

Dopiero kiedy wrócił do sypialni, otworzył drzwi do garderoby i zajrzał do środka. Pamiętał, że odsunął poduszkę z twarzy kobiety, aby zbadać puls. Kiedy go nie wyczuł, poszedł zadzwonić pod 911. (To już druga wersja zdarzeń; wcześniej powiedział dyspozytorowi, że nie sprawdzał na szyi ani nadgarstku, czy żona ma puls).

Sanitariusze, którzy klęczeli przy ciele kobiety, zauważyli, że jest ono jeszcze ciepłe - lecz mogło to wynikać z faktu, iż przykryto je kocem elektrycznym, którego kabel zasilający był podłączony do gniazdka w łazience.

Ronda Reynolds miała na sobie białą flanelową piżamę w różyczki. Pielęgniarze szukali plam pośmiertnych - które pojawiają się, kiedy serce przestaje bić, a krew pod wpływem grawitacji spływa do najniższej położonych części ciała, zostawiając sinoczerwone przebarwienia. Kiedy ciało leży na twardej powierzchni, pod wpływem ciężaru skóra staje się biała. Jeśli ciało jest przesuwane, nim plamy opadowe staną się wyraźne, następuje przemieszczenie krwi, a nowe plamy będą miały bledszy odcień niż starsze. Krew Rony spłynęła najpierw do lewej przedniej części jej ciała. Następnie plamy przesuwały się na plecy, co oznaczało, że przed ich utwaleniem ciało zostało położone na noszach i przewiezione do kostnicy.

Personel medyczny sprawdził także oznaki stężenia pośmiertnego, zeszywnienia mięśni, które pojawia się krótko po zgonie. Zwykle najszybciej stężenie występuje w dolnej szczęce. Sanitariusze zdziwili się, słysząc od męża ofiary, że ostatni raz widział ją żywą o piątej rano. Stężenie było zdecydowanie zbyt wysokie, jak na osobę, która zmarła półtorej godziny temu. Zarówno plamy opadowe, jak i stężenie pośmiertne wskazywały, że Ronda Reynolds umarła około godziny 2.00 w nocy. Mąż odkrył jej ciało cztery godziny później.

Na ciele kobiety mogło być więcej obrażeń, jednak rana głowy z pewnością stanowiła bezpośrednią przyczynę zgonu. Znajdowała się na policzku, na skos od prawego ucha. Nie dało się stwierdzić, czy jest to rana wlotowa, czy też wylotowa, dopóki nie oczyszczono twarzy, szyi i włosów z ogromnej ilości krwi.

Synów Rona Reynoldsa, którzy mieszkali z nim i Ronda, obudziły dziwne odgłosy. Jonathan miał siedemnaście lat, David piętnaście, a Joshua dziesięć. Ojciec kazał im wrócić do swych pokoi i szybko

się ubrać. Następnie polecił Jonathanowi pojechać z braćmi do domu matki. Katie Huttula mieszkała trzydzieści kilometrów od nich.

Zastępca szeryfa Holt - który widział, jak chłopcy wychodzili z domu z zapasem ubrań na kilka dni - popełnił błąd, zakładając, że detektywi będą mogli porozmawiać z nimi w domu Katie. Tym samym złamano podstawowe zasady prowadzenia śledztwa, gdyż trzech główni świadkowie śmierci Rondy nie zostali przesłuchani od razu. Ich odczucia i wrażenia nigdy już nie będą takie jak w pierwszych godzinach po zdarzeniu. Do czasu, aż śledczy zdobędą ich zeznania, młodzi Reynoldsowie będą rozmawiać z ludźmi, którzy poprzez manipulację mogą starać się wpłynąć na ich wspomnienia. Detektywi nie mieli możliwości wysłuchania ich wersji zdarzeń ani zadania im jakichkolwiek pytań. Chłopcy zostali odprawieni, zanim ktokolwiek zdążył zauważyć ich nieobecność. Śledczy nie mogli nawet spytać Jonathana, dlaczego w jego pokoju unosi się gęsta chmura dymu z kadzidełka.

Ron Reynolds zadzwonił do Toma Lahmanna, kuratora oświaty okręgu Toledo, oraz Billa Waaga, dyrektora gimnazjum. Obaj przyjechali na miejsce, aby osobiście złożyć kondolencje. W domu przy Twin Peaks Drive gromadziło się coraz więcej ludzi. Zjawił się tam również David Bell, sierżant policji w Des Moines i długoletni przyjaciel Rondy. Powiedział, że zgodnie z umową przyjechał po nią, aby odwieźć ją na lotnisko w Seattle.

Ku zdziwieniu funkcjonariuszy kilka chwil później pojawiła się Cheryl Gilbert, twierdząc, że jest najlepszą przyjaciółką Rondy i ma zawieźć ją do Portland na samolot do Spokane. Odległość do Portland i lotniska SeaTac w Seattle była podobna i z obu samoloty do Spokane odlatywały o podobnej porze.

W sypialni obok telefonu wciąż leżała książka telefoniczna otwarta na stronie z numerami linii lotniczych. Ronda na pewno rezerwowała bilet na lot z jednego lub drugiego miasta, lecz zanim

śledczy uznali za prawdziwą wersję któregoś z jej przyjaciół, musieli ustalić to z pracownikami Alaska Airlines.

Cheryl Gilbert wydawała się zakłopotana i powiedziała, że nie rozumie, dlaczego Ronda postanowiła lecieć z Seattle; była przekonana, że umówiły się na wylot z Portland. Sytuacja w domu Reynoldsów wstrząsnęła nią, kobieta nie załamała się jednak całkowicie.

Ron Reynolds zachowywał spokój, najwyraźniej starając się trzymać nerwy na wodzy. Wydawało się, że nie do końca zdaje sobie sprawę z tego, co zaszło. Nawet początkujący policjant wie, że ludzie różnie reagują na tragedię i nagłą stratę kogoś bliskiego. Niektórzy są tak roztrzęsieni, że nie potrafią przestać płakać, podczas gdy inni mogą zdawać się spokojni, choć w rzeczywistości są w głębokim szoku.

Nie zaczęło nawet świtać - do najkrótszego dnia w roku pozostało pięć dni - a na miejscu zdarzenia robiło się coraz tłoczniej. Tymczasem w pobliżu ciała powinno przebywać jak najmniej ludzi. Dwóch śledczych w zupełności wystarczy, aby zrobić zdjęcia, dokonać niezbędnych pomiarów oraz zabezpieczyć, opisać i zebrać dowody. Zwykle pierwsi pojawiają się policjanci z najbliższego patrolu. Do czasu przybycia detektywów to oni zajmują się zabezpieczaniem miejsca zbrodni. Obecność rodziny, znajomych, sąsiadów - a nawet przełożonych policjantów - zwiększa ryzyko zatarcia śladów i zniszczenia dowodów.

Jerry Berry, detektyw, który miał wkrótce przejąć śledztwo w sprawie śmierci Rondy Reynolds, nazywa takie osoby „gapiszonami” i określa tak nawet pracowników biura szeryfa oraz „szefów”, którzy niepotrzebnie przyjeżdżają na miejsce zdarzenia.

W domu Reynoldsów na początku przebywali tylko Bob Bishop i Gary Holt - dwaj zastępcy szeryfa - oraz sanitariusze. Bishop przybył tam zaledwie trzy minuty później niż Holt.

Kiedy zobaczył ciało, zauważył, że kobieta leży na lewym boku,

przykryta kocem elektrycznym - wciąż włączonym - a jej głowa spoczywa na poduszce.

„Nie dostrzegłem żadnej broni” - napisał Bishop w raporcie.



Kiedy ekipa pogotowia zakończyła pracę i przygotowywała się do opuszczenia domu, Gary Holt poprosił Rona Reynoldsa do kuchni. Chciał nagrać jego zeznania, póki mężczyzna miał świeżo w pamięci wszystkie detale.

Ron powiedział mu, że poprzedniego wieczora wrócił do domu około 20.30. On i Ronda kłócili się wcześniej - postanowili już, że się rozstaną - ale bardzo się zmartwił, kiedy żona zaczęła mówić o samobójstwie. Kazał przestać jej wygadywać takie rzeczy i zaproponował, żeby z nim została.

„Znalazłem wcześniej pustą kaburę od mojego pistoletu - kontynuował - i spytałem, gdzie jest broń. Oznajmiła, że dała ją na przechowanie Dave'owi Bellowi, jej znajomemu. To mnie uspokoiło, bo wiedziałem, że w domu nie ma broni”.

(Kiedy Jerry Berry przeczytał raport Bishopa, pokręcił głową. Dowiedział się bowiem, że Reynolds był myśliwym, a mężczyźni interesujący się militariami rzadko pozwalają oddawać należącą do nich broń, zwłaszcza byłemu chłopakowi żony. Intuicja podpowiadała mu, iż Ron wściekłyby się na wiadomość, że Ronda oddała komukolwiek pistolet, który odziedziczył po ojcu).

Gdy Reynolds rozmawiał z Garym Holtem tamtego ranka o 7.13, powiedział, że zrobił wszystko, by przez całą noc nie zasnąć. Pilnował, żeby Ronda nie poddała się depresyjnemu nastrojowi. Około piątej był już jednak tak zmęczony, że najwidoczniej zasnął, sam nie wiedząc kiedy. Ostatnią rzeczą, jaką pamięta, jest to, że wyczuwał w łóżku obecność żony. Ale gdy godzinę później obudził go alarm budzika, nie zastał jej obok. Kiedy spał, nie słyszał też żadnych dziwnych odgłosów.

„Zacząłem jej szukać i znalazłem na podłodze w garderobie” - zeznał. Powtórzył kolejny raz, że zmierzył jej puls. Zauważył potworną ranę głowy i zadzwonił po pomoc.

Było to dopiero drugie zeznanie dyrektora szkoły. W trakcie śledztwa - kiedy jedni detektywi chcieli drażnić sprawę, a inni jak najszybciej ją zamknąć, podając jako rodzaj śmierci samobójstwo - miało ich być o wiele więcej.

Coś jednak nie dawało spokoju Bobowi Bishopowi. Reynolds powiedział, że nie słyszał wystrzału, ponieważ zarówno drzwi do łazienki, jak i do garderoby były zamknięte. Ronda zginęła jednak zaledwie kilka metrów od łóżka, w którym spał. Bishop podszedł do drzwi garderoby i spróbował je zamknąć. Stopy kobiety wystawały przez próg. Jej mąż zeznał, że pomieszczenie było zamknięte, a on otworzył drzwi i znalazł swoją żonę leżącą w środku. Tymczasem zastępca szeryfa doszedł do wniosku, że jest to niemożliwe, ponieważ nogi kobiety stanowiły blokadę.

Dziwne.

Ta zagadka wzbudzała potem wątpliwości wielu detektywów.

Gary Holt napisał w swym raporcie, że w lewej ręce ofiary znalazł rewolwer Rossi kaliber .32 (broń Rona), a więc Ronda wcale nie oddała go Davidowi Bellowi. Bishop zaś pamiętał, że lewą rękę ofiary zakrywał koc, a „pistolet leżał pod spodem”.

W rzeczywistości kobieta tak mocno ścisnęła koc w lewej dłoni, że wyjęcie go wymagało pewnego wysiłku.

Ronda była praworęczna. Ron - leworęczny.

Pierwsze spostrzeżenie Holta dotyczyło tego, że ofiara leżała na lewym boku, a pistolet spoczywał „przy jej czole”.

Zdjęcie policyjne ukazywało ją jednak w klasycznej pozycji embrionalnej. Lewa ręka znajdowała się pod tułowiem, a prawa dłoń spoczywała pod prawą pierś - nie tak układa się ciało po strzale w prawą stronę głowy. Czy mogłaby jakimś sposobem strzelić sobie w skroń, a następnie - jeszcze przed zgonem - lewą ręką chwycić koc, a

prawą przesunąć bliżej ciała? Mało prawdopodobne. Być może neurolog lub lekarz medycyny sądowej mógłby stwierdzić, jakie świadome czynności potrafi wykonywać osoba postrzelona w głowę.

Mimo to Holt wierzył Reynoldsowi, który od pierwszej rozmowy z biurem szeryfa zapewniał, że żona popełniła samobójstwo. Od tego momentu jego wersja zdarzeń utrzymała się w świadomości wielu ludzi uczestniczących w śledztwie. Nic nie ma gorszego wpływu na dochodzenie w sprawie śmierci niż zbyt szybkie rozstrzygnięcie tej kwestii. Kiedy ludzie przyjmą jakieś twierdzenie za prawdziwe, trudno jest ich przekonać do rozważenia innych możliwości.

Wyglądało na to, że Ronda odebrała sobie życie. Tak powiedział, kiedy wzywał pomoc. Od tego momentu wszyscy śledczy - może poza Bobem Bishopem - przyjęli to za fakt. Dlaczego zatem poczyniła tyle planów na bliższą i dalszą przyszłość, jeśli zamierzała popełnić samobójstwo w tej najciemniejszej godzinie przed świtem?

To oczywiście, że Ronda planowała wyjazd: trzy walizki czekały starannie spakowane, kosmetyczka oraz torebka z rzeczami osobistymi leżały już w czerwonym suzuki zaparkowanym przed domem. Tylnie okno zostało lekko uchylone.

Holt przeszedł korytarzem do sypialni najbliższej głównej części domu. Czuł mocny zapach dochodzący z pokoju należącego, jak się potem okazało, do Jonathana. Intensywna woń wskazywała na to, że od zgaszenia kadzidełka nie upłynęło wiele czasu.

Dlaczego chłopak palił kadzidło o szóstej nad ranem?

Detektyw wydziału zabójstw David Neiser przybył do domu przy Twin Peaks Drive osiem minut przed ósmą. Główny inspektor tego wydziału, Joe Doench, był już na miejscu. Choć nie napisał raportu wyjaśniającego przyczyny jego obecności, przyjrzał się miejscu zdarzenia i wezwał detektywa Jerry'ego Berry'ego, aby ten sporządził własną analizę zebranych dotychczas informacji.

Neiser przyznał później, że wyjął pistolet „spomiędzy dłoni ofiary”, mimo że gdy przesuwał poduszkę zakrywającą głowę Rony, zauważył na jej skórze poziomy odcisk lufy, idący od prawej skroni

w poprzek czoła. Potwierdził, że rana postrzałowa znajdowała się na ukos od prawego ucha, a lewa dłoń zmarłej ścisnęła koc.

Detektyw próbował potem wytłumaczyć się swemu przełożonemu - Glade'owi Austinowi - dlaczego usunął pistolet przed wykonaniem zdjęć dokumentujących jego położenie. Twierdził, że zrobił to bezwiednie; chciał po prostu zabrać naładowaną broń, która mogła stwarzać zagrożenie.

Jerry Berry, którego imię i nazwisko pasuje bardziej do postaci z filmu rysunkowego niż do detektywa z wydziału zabójstw, stanowił początkowo drugą połowę duetu mającego prowadzić śledztwo. Pracował on wówczas w biurze szeryfa hrabstwa Lewis i miał się zająć oględzinami miejsca zdarzenia. Do Dave'a Neisera należało przesłuchanie wszystkich świadków w okolicy.

Berry, który jest rzetelnym i dociekliwym detektywem, wykonał zdjęcia wnętrza domu i natknął się na kilka zastanawiających szczegółów. Włosy Rondy układały się tak, jakby ktoś odgarnął je, żeby przyjrzeć się ranie po kuli. Mogła też zostać przeciągnięta - jednak w garderobie brakowało na to miejsca, a na podłodze nie było żadnych śladów krwi. Podobnie zresztą jak w całym domu.

Na lustrze w łazience ktoś napisał szminką:

Kocham Cię!
Zadzwoń do mnie
(509-555-0202)

Numer telefonu należał do babci Virginii. Czy to Ronda napisała tę wiadomość? Berry zauważył, że musiałaby stanąć na stołku lub mocno wyciągnąć rękę, aby sięgnąć tak wysoko. Należało wezwać grafologa, by dowiedzieć się, czy jest to pismo rzekomej samobójczyni, czy też kogoś innego.

Detektyw uchwycił własne odbicie w lustrze, wykonując zdjęcie zostawionej wiadomości. Słowa te zdecydowanie nie pasowały do listu pożegnального.

Grafolog nie potrafił stwierdzić, kto zostawił tajemniczą wiadomość. Wątpił jednak, by napisała ją Ronda Reynolds. „Zazwyczaj piszemy na tablicy czy na lustrze na poziomie swego wzroku” - wyjaśniał. „Notka znajdowała się zdecydowanie wyżej niż miejsce, gdzie padał wzrok pani Reynolds”.

Jeśli zamierzała odebrać sobie życie, po co zostawiałaby taką wiadomość? Na pewno nie miał to być list pożegnalny. Czy chciała, aby jej samobójstwo wyglądało na zabójstwo? I kiedy zostało to napisane?

Garderoba i łazienka były w nieskazitelnym stanie, podobnie jak reszta domu. Buty Rony stały w oryginalnych pudełkach, a ubrania wisiały na wieszakach zwróconych w jedną stronę. Drobiazgi przechowywano w plastikowych pojemnikach z przykrywkami. Koszule Rona zostały starannie wykrochmalone i wyprasowane.

Jedyna rzecz, która nie leżała na swoim miejscu, to pudełko upominkowe ze słodyczami znalezione po prawej stronie ciała Rony. Berry stwierdził, że mogło zostać użyte do podparcia ramienia nieżyjącej kobiety.

Detektyw znalazł opakowanie Zoloftu, leku antydepresyjnego przepisanego na nazwisko Rony. Receptę wystawiono w maju 1998 roku, a w środku wciąż znajdowało się dużo tabletek. Gdyby zażywała lek zgodnie z zaleceniem, opakowanie skończyłoby się kilka miesięcy przed feralną nocą.

Ogromne łóżko wodne z niebieską pościelą oraz niebiesko-białą narzutą wyglądało, jakby spała w nim tylko jedna osoba. Patrząc od strony nóg, pościel po lewej była zmięta.

Tam spał Ron.

Ronda zwykle sypiała po prawej, a ta strona łóżka wydawała się praktycznie nietknięta. Poduszki na łóżku wyglądały jak ta, która przykrywała głowę ofiary.

Ponadto na stoliku nocnym od strony Rony stała butelka po whisky Black Velvet. Nie znaleziono na niej żadnych odcisków palców.

Detektywi dowiedzieli się potem, że kobieta nie piła mocnego alkoholu - wolała lżejsze drinki, a w gorące letnie dni piwo, i to tylko przy jakiejś okazji. Ron zeznał, że gdy ostatnio sprawdzał butelkę, była w jednej czwartej pełna. Twierdził, że on nie wypił nic z tego, co zostało.



Śledztwo w sprawie śmierci jest bardzo skomplikowaną procedurą. Detektywi powinni zawsze najpierw wykluczyć morderstwo, a dopiero potem analizować zgon pod kątem samobójstwa, wypadku i wreszcie śmierci z przyczyn naturalnych. Zaczyna się od miejsca zdarzenia, gdzie każdy przedmiot może stanowić potencjalny dowód rzeczowy; następnie przesłuchuje się świadków, analizuje zagadnienia takie jak rozprysk krwi, DNA, znalezione włókna tkanin czy włosy, wyniki autopsji, dane balistyczne oraz wszelkie inne materiały dowodowe, które mogą się przyczynić do oskarżenia lub uniewinnienia podejrzanego. Jest to szczególnie ważne, kiedy ofiara ginie we własnym domu, a osoba podejrzana również miała powód, by się tam znajdować. Nieznane odciski palców mogą powiedzieć znacznie więcej niż te należące do osób, które mieszkały na co dzień w miejscu, gdzie ktoś zginął.

Jedynym pewnym sposobem na połączenie odcisków palców z zabójcą jest znalezienie ich na wilgotnej krwi ofiary, zaschniętych potem jak nieme, obciążające zeznanie.

Istniały dziesiątki możliwości znalezienia ważnych dowodów w domu przy Twin Peaks Drive. We wczesnych godzinach zimnego grudniowego poranka, na kilka dni przed Świętami ludzie szeryfa hrabstwa Lewis natykali się na kolejne dziwne znaleziska, które przypominały niepasujące do siebie kawałki puzzli. Większość przebywających tam funkcjonariuszy i detektywów wierzyła jednak Ronowi Reynoldsowi, który twierdził, że jego żona odebrała sobie życie. W ich umysłach utrwaliło się przekonanie, że taka właśnie jest prawdziwa przyczyna śmierci kobiety.

Jerry Berry nie był gotowy na wydanie jednoznacznej opinii w tej sprawie, ponieważ nigdy nie sugerował się cudzą oceną sytuacji. Po przybyciu na miejsce zdarzenia w jego głowie natychmiast pojawiały się liczne pytania, nawet jeśli od chwili zgonu minęło tylko kilka godzin. Dostrzegał niepokojące szczegóły i oczekiwał, że jeśli zajdzie taka potrzeba, śledztwo będzie trwało nawet kilka tygodni.

Nie jest wcale niezwykle, że detektywi spędzają na miejscu zbrodni dwadzieścia cztery godziny lub więcej, pracując przy ciałach ofiar, dopóki nie nadejdzie czas ich zabrania. Tym razem stało się inaczej. W hrabstwie Lewis nie było patologa, a jedynie koroner, podobnie jak wiele innych mniejszych okręgów stanu Waszyngton. Ludzie wykonujący tę pracę często nie mieli wykształcenia medycznego, nie mówiąc już o specjalizacji lekarza sądowego.

Koroner Terry Wilson piastował swoje stanowisko już dwadzieścia siedem lat, ale niektóre z jego dotychczasowych orzeczeń w kwestii rodzaju śmierci niepokoiły Berry'ego. Zamiast przyjechać do domu Reynoldsów, Wilson wysłał tam swoją zastępczynię, Carmen Brunton. Ta kobieta w średnim wieku o gęstych blond włosach, które obcinała krótko i zaczesywała do tyłu, pracowała w biurze od dawna. Zwykle miała surowy wyraz twarzy i niezwykle trudno było się zorientować, co tak naprawdę myśli.

Nigdy nie ustalono dokładnej godziny przyjazdu Carmen na Twin Peaks Drive. Według jej raportu została powiadomiona o śmierci Rondy o 6.00 rano. To niemożliwe, gdyż Ron Reynolds zadzwonił pod numer 911 dopiero o 6.20. Skoro przedstawiciele biura szeryfa zjawili się tam dwadzieścia minut później, Brunton dotarła tam najwcześniej o 7.00. Po przybyciu na miejsce stwierdziła, że plamy pośmiertne pojawiły się na dolnych partiach nóg zmarłej, a w raporcie dodała, że kiedy ciało przewieziono już do kostnicy, plamy wtórne wystąpiły także na plecach.

Nie istniały żadne zapiski o tym, że ktokolwiek zbadał temperaturę wątroby zmarłej, co pozwoliłoby dokładniej ustalić czas zgonu.

Po tym, jak śledczy znaleźli Rondę Reynolds leżącą na lewym boku, przewrócili ją na plecy, żeby wykonać zdjęcia. Natychmiast zauważono, że wypływająca z rany postrzałowej głowy krew wsiąkła w piżamę, włosy, a nawet w wykładzinę, na której leżała zmarła. Gdyby została postrzelona gdzie indziej, a jej ciało przeniesiono do garderoby, krew znajdowałaby się także w innej części domu lub w którymś z samochodów.

Nigdzie indziej jej nie znaleziono.

Carmen Brunton stwierdziła również, że rana w okolicy ucha jest wylotowa oraz że rana wlotowa znajduje się wewnątrz jamy ustnej. Oba te założenia - sugerujące samobójstwo - okazały się błędne.

Ciało zostało przewiezione do domu pogrzebowego Browna w Centrala, a w Wigilię Bożego Narodzenia Brunton podpisała pierwszy z kilku aktów zgonu Rondy. W rubryce „rodzaj śmierci” wpisała „nieznany”, natomiast za przyczynę zgonu uznała „ranę kontaktową głowy z broni palnej”. Oszacowała, że ofiara zmarła „w ciągu kilku minut” po postrzale.

Z technicznego punktu widzenia było to możliwe. Ronda mogła być nieprzytomna lub sparaliżowana, ale musiałaby żyć jeszcze przez jakiś czas, ponieważ jej serce wypompuwało dużą ilość krwi. Serce zdrowego człowieka może bić, nawet jeśli mózg przestanie funkcjonować. A kiedy bije, krew płynie - lub wycieka - z tętnicy czy też z żył pomimo śmierci mózgu.

Bez wątpienia Ronda nie żyła już od jakiegoś czasu, gdy przedstawicielka biura koronera sporządzała swój raport. Pytanie, które od początku rzucało cień na sprawę, brzmiało: w jaki sposób zginęła?

ROZDZIAŁ 4

Kiedy rankiem 16 grudnia 1998 roku śledczy pracowali na miejscu śmierci Rondy, jej matka przebywała prawie pięćset kilometrów dalej, planując wizytę córki i odliczając godziny do wyruszenia na lotnisko, skąd ona i Freeman mieli ją odebrać. Nic nie zwiastowało katastrofy. Jedyne, co zastanawiało Barb, to nocny telefon i głucha cisza po podniesieniu słuchawki. Ale właściwie już o tym zapomniała.

Wiedziała, że Rondę smucił rozpad jej drugiego małżeństwa - tak samo czuła się przed rozwodem z Markiem; wcale jednak nie wydawała się zbyt przygnębiona, kiedy rozmawiały poprzedniego wieczora, między dziesiątą a wpół do dwunastej. Zadzwoiła do babci w niedzielę lub poniedziałek i powiedziała jej, że Ron zamierza wrócić do swojej ekszony. Małżeństwo Reynoldsów borykało się z problemami już od kilku miesięcy, więc nie była to szokująca wiadomość. Co więcej, wyglądało na to, że Ronda dobrze sobie radzi z zaistniałą sytuacją.

Nie wspominała o samobójstwie. Coś takiego w ogóle nie wchodziło w grę. „Było jej przykro i chodziła markotna” - wspominała matka. „Trudno się dziwić; ostatecznie dopiero co usłyszała jednoznaczny i stanowczy prośbę o rozwód. Ale nie zamierzała się załamywać. Zastanawiała się po prostu, co ma dalej robić”.

Barb nie знаła dokładnie sytuacji finansowej córki, ale podejrzewała, że nie jest najlepsza. Ronda pracowała jako ochroniarz w Bon Marche (przejętym potem przez sieć Macy's), do tego na okresie próbnym, który miał się niedługo zakończyć. Powiedziała wcześniej

matce, że przekazuje czeki z wypłatą Ronowi, który zajmuje się wszystkimi płatnościami. Sam na to nalegał, a ona chętnie przystała na takie rozwiązanie. Nie radziła sobie zbyt dobrze z prowadzeniem domowego budżetu. „Wiele razy mówiła mi, że nie zostawało jej za dużo z wypłaty” - twierdziła Barb.

Ronda początkowo nie miała o to pretensji, ale pół roku po ślubie zaczęła wyczuwać w mężu zmianę i podejrzewać, że spotyka się z inną kobietą. Potem odkryła, że to jego była żona. W dom przy Twin Peaks Drive włożyła wszystko, co miała - w tym pieniądze otrzymane od policji stanowej oraz własne meble. Teraz obawiała się, że wszystko straci.

Choć wolała mieszkać bliżej wybrzeża niż w położonym w głębi łądu Spokane, rozważała przeniesienie się tam po zakończeniu okresu próbnego w Macy's. Barb trzymała za to kciuki. Gdyby znów mieszkaly blisko siebie, miałyby pewność, że Ronda otrzymuje wsparcie finansowe - mimo iż sama też nie spała na pieniądzach. Świadomość, że jej dzieci znów są u jej boku, zapewniłaby jej komfort psychiczny.

Ronda Reynolds patrzyła w przyszłość. Bądź co bądź, miała dopiero trzydzieści trzy lata; była ładną, inteligentną i zaradną kobietą. Dopiero teraz dostrzegła u swojego męża wady, których nie widziała na początku. Wszyscy nowożeńcy tego doświadczają, lecz grzechy Rona były niewybaczalne.

„Moja córka - mówiła Barb - to osoba, która po upadku wstawała, otrząpywała się i zaczynała od nowa”.

„Cieszyła się na przyjazd do domu, bo tutaj mogła omówić z najbliższymi swoje sprawy, zamknąć ten rozdział życia i zacząć kolejny. A my chcieliśmy dać jej wsparcie, którego potrzebowała, i powiedzieć, że popieramy jej decyzje, jakiegokolwiek by one były”.



Ronda nie wsiadła do samolotu, na który czekała Barb. Ktoś z biura koronera w hrabstwie Lewis mówił jej właśnie, że jej córka nie żyje - że popełniła samobójstwo. Kobieta trzymała w ręku słuchawkę, ciężącą jak kamień. Gdy wreszcie zdołała wykrztusić z siebie cokolwiek, zapytała:

- Czy jest prowadzone śledztwo?

- Tak, proszę pani.

- Przez kogo?

- Biuro szeryfa hrabstwa Lewis. Czy podać pani nazwisko i numer telefonu detektywa zajmującego się sprawą?

- Tak, poproszę.

- Mam też namiary do Davida Bella. Prosił, by przekazać, że czeka na telefon.

Barb zapisała oba numery, które podyktował jej beznamiętny głos po drugiej stronie, i rozłączyła się. Znała wcześniej telefon Davida, ale mimo to go zanotowała.

„Zachowywałam się jak maszyna” - wspominała. „Nie wiedziałam nawet, czy oddycham. Ale musiałam, ponieważ moje serce waliło jak młot. Te kilka słów, ta sekunda, w której je usłyszałam, na zawsze zmieniły moje życie”.

„Łzy spływały po mojej twarzy. Wydawało mi się, że krzyczę na całe gardło, ale tak naprawdę nie mogłam wydać z siebie żadnego dźwięku. Ta cisza była ogłuszająca. Czułam, jakby ktoś wbijał mi w serce tysiące noży, które rozrywały je na kawałki. Cała się trzęsłam. Chciałam umrzeć - ale wiedziałam, że nie mogę”.

Szok ustąpił miejsca ogromnemu smutkowi. Potem - jak wiele matek, które doświadczyły tej niewyobrażalnej straty - Barb próbowała targować się z Bogiem. „Dobry Boże, weź mnie zamiast mojego dziecka. Oddaj mi moją córkę i weź mnie” - błagała. „Chętnie oddam swoje życie, ale nie zabieraj życia jej! Nie mojej córeczce! Nie Rondzie...”

Barb przeżyła wiele trudnych chwil, nigdy jednak nie podejrzewała, że może ją spotkać coś takiego. Rozmawiała ostatnio z córką

o jej związku z Ronem, o tym, że podejrzewała go o zdradę z byłą żoną. Ronda pogodziła się już z rozpadem swojego małżeństwa. Gdy rozmawiały poprzedniego wieczora, martwiła się bardziej o swoje ukochane rottweilery, które musiała zostawić na czas wyjazdu do Spokane. Traktowała te psy jak dzieci, których nie mogła mieć. Czy Ron i chłopcy będą je karmić? Czy zwierzęta nie zmarzną w swoich budach? Najbardziej obawiała się, że pasierbowie mogą je skrzywdzić.

Nie musiała sama borykać się z problemami. Pomagał jej wieloletni przyjaciel, człowiek godny zaufania. Dziesięć lat wcześniej Dave Bell i Ronda byli parą; brali nawet pod uwagę ślub. Choć bardzo się wtedy kochali, istniało wiele przeszkód uniemożliwiających małżeństwo. Dave był w trakcie sprawy rozwodowej i walczył o opiekę nad synami. Gdyby zbyt szybko ożenił się z ukochaną, jego była żona mogła uzyskać wyłączne prawo opieki nad dziećmi.

Tak więc kilka lat później Ronda wyszła za mąż za Marka Liburdiego. Kochała go, gdy się pobierali, ale Dave na zawsze pozostał jej przyjacielem. Nawet jeśli nie widzieli się miesiącami czy latami, oboje wiedzieli, że zawsze mogą na sobie polegać. Tak też się stało, kiedy Ronda przygotowywała się do odejścia od drugiego męża. Dave nie był wtedy z nikim związany, a ona miała być wolna już wkrótce.

„Nie chodziło o to, że rozwiedzie się z jednym mężczyzną po to, by paść w ramiona drugiego” - wspominała jej matka. „W trakcie rozwodu zamierzała walczyć o rzeczy, które jej się należały. Ron oznajmił, że nie pozwoli jej niczego zabrać - może z wyjątkiem ubrań i psów. To nie fair; przecież w ich wspólny dom zainwestowała prawie wszystko, co miała. Zabrała tam nawet cenne pamiątki rodzinne o dużej wartości sentymentalnej”.

Barb podejrzewała, że jej córka i Dave pewnego dnia się pobiorą - ale nie w pośpiechu. Bell chciał, by powoli oswajała się z jego synami, a oni z nią. „Miałam nadzieję, że jego chłopcy będą dla niej

milsi niż dzieci Rona. Z Reynoldsów tylko najmłodszy, Josh, zdawał się ją lubić. Cieszył się, że w domu będzie »mama«, która przygotowuje mu kanapki do szkoły i dopilnuje, żeby miał się w co ubrać. Był wtedy jeszcze mały”.

Thompson zdała sobie sprawę, że Dave Bell przyjechał rano pod dom przy Twin Peaks Drive, żeby odebrać przyjaciółkę. *Mój Boże - pomyślała - biedny Dave. Co zobaczył, kiedy tam wszedł...*

Tymczasem musiała też powiedzieć swojej matce, że jej ukochana wnuczka nie przyjedzie na Święta, że już nigdy nie odwiedzi rodzinnego domu. Freeman zaś miał usłyszeć, że starsza siostra została zastrzelona. Barb nie pozwalała sobie na więcej niż chwila płaczu. Jeden telefon pobudził ją do działania. Nagle stała się kobietą z misją. Zamierzała za wszelką cenę ustalić, co naprawdę spotkało jej córkę, i doprowadzić przed oblicze sprawiedliwości tego, kto ją skrzywdził.

Nie miała pojęcia, jak długo to potrwa. Nawet jeśli miałyby walczyć do śmierci, nie przejmowała się tym. Wiedziała, że bez Rondy jej życie nigdy już nie będzie takie samo; zdawała sobie sprawę, że nie ma odwrotu. Była uosobieniem silnej kobiety. Chodziła po ziemi już od pięćdziesięciu dwóch lat i wiele przez ten czas przeszła. Ze wszystkich starć wychodziła jeśli nie zwycięsko, to przynajmniej w jednym kawałku, z rodziną, którą kochała, u boku.

Była również kobietą inteligentną; postanowiła nie ujawniać zbyt szybko swoich uczuć i podejrzeń. Choć wiedziała, że jej serce będzie toczyło straszne cierpienie, zamierzała uśmiechać się i udawać, że nikogo przedwcześnie nie ocenia. W głębi duszy jednak żywiła przekonanie, że jej piękna, dobra i - tak, uparta - córka nie popełniła samobójstwa. O zamordowanie jej Barb podejrzewała kilka osób.

W jakiś sposób odkryje, kto to zrobił. Musi.



Zanim rodzina zmarłej dowiedziała się o jej nagłej śmierci, zaczęło się ściemniać. Temperatura spadła poniżej zera, a drogi pokrywała cienka warstwa lodu - zabójcza dla kierowców, którzy sądzą, że nawierzchnia jest po prostu mokra. W takich warunkach gwałtowne hamownie często kończy się wypadkiem.

Barb czuła silny wewnętrzny przymus, by lecieć lub jechać samochodem przez góry w stronę wybrzeża, ale zmusiła się do racjonalnego myślenia. To, czy wyruszy od razu, niczego już nie zmieni. Było zdecydowanie za późno na podróż. Musiała się spakować i zacząć przygotowania do pogrzebu lub przynajmniej zacząć o nim myśleć. Serce kobiety ponownie przeszył ból. Jej córka nie powinna teraz czekać na kremację czy zamknięcie na wieki w trumnie; powinna siedzieć przy choince i rozmawiać z babcią Virginia.

Co się stanie z jej psami? Jeden z nich, Jewel, to siostra Daisy; pozostałe dwa były znajdami. Pewnego wieczora na progu domu Reynoldsów pojawiła się ranna rottweilerka - i już się stamtąd nie ruszyła. Ronda nalegała, by ją zatrzymać, i żartobliwie przezwala ją Starą Daisy. Przywróciła psu zdrowie. Stara Daisy wiedziała, że to Ronda ją uratowała, i uwielbiała swoją panią. Druga przybłąda to energiczny mały Tuffy, Jack Russell terier.

Ron nie lubił psów żony, w zasadzie nie lubił żadnych psów. Upierał się, żeby trzymała je na zewnątrz, w budach, nawet zimą. Kiedy nocą temperatura spadała poniżej zera i Ronda wpuszczała je do środka, narzekał, że ich sapanie i chodzenie po domu budzi go, ponieważ „ma płytki sen”. A jeśli Ron zapomni nakarmić zwierzęta? Gdyby Barb pojechała do Toledo swoim pikapem, mogłaby zabrać je ze sobą. Jednak zajmowanie się dwoma dużymi psami i jednym małym, za to bardzo ruchliwym, z pewnością nie pomogłoby jej w prowadzeniu prywatnego śledztwa. Nie miała pojęcia, gdzie się zatrzymać ani czy w okolicy są motele akceptujące trzymanie zwierząt w pokojach.

Bardzo martwiła się o psy. Synowie Rona potrafili być okrutni dla zwierząt. Jeden z nich zastrzelił kiedyś kota i często rzucał kamieniami w rottweilery macochy. Ronda zadrezczała się za każdym razem, gdy musiała na dłużej zostawić psy pod opieką Reynoldsów, szczególnie po tym jak jej ośmioletnia suka, Duchess, zmarła, kiedy przebywała z Jonathanem. Ron zawsze twierdził, że pies zdechtł wskutek zawału, ale ona w to nie wierzyła. Wiedziała, że pies został pobity na śmierć. Barb przechowywała prochy ukochanej rottweilerki w gablotce.

Kobieta obawiała się już wcześniej o bezpieczeństwo córki, ponieważ chłopcy nigdy jej nie zaakceptowali. Ronda wyznała raz matce, że najstarszy, Jonathan, podglądał ją, kiedy brała prysznic. Kilkakrotnie przyłapała go na zaglądaniu przez szparę w zasłonce. Nie czuła się komfortowo we własnym domu.

Gdy trzeci raz zobaczyła, jak chłopak podgląda ją pod prysznicem, postanowiła działać. Jako funkcjonariuszka policji stanowej uczyła kadetów samoobrony; wielokrotnie musiała sama obezwładniać krnąbrnych podejrzanych. Miała dość zachowania pasierba, dlatego wychyliła się i chwyciła chłopaka za nadgarstki, powalając go na ziemię, twarzą do podłogi. Potem powiedziała o całym zdarzeniu Ronowi. Rozzłościła się jeszcze bardziej, kiedy mężczyzna zlekceważył jej obawy związane z zuchwałym nastolatkiem.

- Po tym wydarzeniu Jonathan ją znenawidził - opowiadała Barb Dave'owi. - Upokorzyła go i pokonała fizycznie, należało mu się. Powiedziała mi, że groził, że ją zabije.

Ronda zgłosiła zdarzenie na policję i biuro szeryfa hrabstwa Lewis przyjął skargę na chłopaka, odnotowując, że groził swojej macosze. Zgodnie z postanowieniem sądu miał na cztery miesiące przenieść się do swojej matki oraz uczęszczać na terapię, aby psycholog pomógł mu nauczyć się kontrolować gniew.

Nigdy nie przebaczył Rondzie.



Barb знаła większość osób, które krócej lub dłużej były częścią życia Rondy: Rona Reynoldsa, Dave'a Bella, Marka Liburdiego, Cheryl Gilbert, która pojawiła się w domu przy Twin Peaks Drive, żeby zawieźć przyjaciółkę do Portland, mnóstwo znajomych oraz niektórych współpracowników z Walmartu i Macy's. Część z nich lubiła, o innych nie wiedziała co myśleć. Postanowiła dowiedzieć się o nich więcej.

Przed wszystkim jednak potrzebowała snu, ale obawiała się koszmarów. Poprzedniej nocy spała krótko, była zbyt podekscytowana przyjazdem córki. Gawędziły do późna, omawiając plany. Skończyły po jedenastej. Dowiedziała się od Dave'a, że Ronda dzwoniła do niego o 23.45, a potem on do niej. Ostatni raz rozmawiali o godzinie 00.30.

I ten dziwny telefon, który obudził Barb, kiedy w końcu zasnęła.

Choć dla niektórych może brzmieć to jak objaw szaleństwa, kobieta zastanawiała się, czy ten telefon nie miał być pożegnaniem jej córki z zaświatów, w drodze do nieba, skąd nie mogła się już kontaktować. Być może zmarła właśnie wtedy - dwadzieścia minut przed drugą nad ranem - a nie o piątej czy szóstej, jak powiedział policji Ron.

Barb musiała się wyspać. Rano jej umysł się oczyścił. Nie wiedziała, czy to dobrze. Czuła, że przez resztę życia będzie się budziła, myśląc o Rondzie.



W czwartek rano Barb Thompson wstała na długo przed świtem, gotowa, by ruszyć do Seattle. Lot nad zaśnieżonymi szczytami Gór Kaskadowych trwał mniej więcej godzinę, lecz nawet o tak wczesnej porze samoloty były już zatłoczone. Dla reszty świata zbliżało się Boże Narodzenie i wielu ludzi odbywało podróże, aby spędzić ten czas z rodziną. Ona zupełnie zapomniała o Świątach.

Dave Bell obiecał wyjść po nią na lotnisko SeaTac kwadrans po ósmej i zawieźć ją do siedziby biura szeryfa hrabstwa Lewis w Chehalis. Ufała Dave'owi i rozpaczliwie potrzebowała ramienia, na którym mogłaby się wesprzeć. Poza Ronem i nią samą, Dave był zapewne ostatnią osobą, z którą Ronda rozmawiała przed śmiercią. Kiedy Barb zadzwoniła do Bella, po tym jak dowiedziała się o rzekomym samobójstwie córki, usłyszała po jego głosie, że on także jest w głębokim szoku. Liczyła, że uda im się przedyskutować podejrzenia i wstępne wnioski dotyczące tej sprawy, jadąc autostradą 1-5 na południe, do miejsca gdzie Ronda mieszkała... i gdzie zmarła.

ROZDZIAŁ 5

Barb Thompson stała na chodniku przed dolnym poziomem terminalu na lotnisku SeaTac. Zaczęło świtać, a wiatr przeszywał jej ciało jak lodowate igły. Hala przylotów była udekorowana w środku i na zewnątrz girlandami iglastych gałęzi owiniętych kolorowymi łańcuchami oraz małymi choinkami z bombkami i lampkami. W pierwszej chwili zdziwiły ją te dekoracje - potem przypomniała sobie, że przecież zbliżają się Święta. Musiała zebrać wszystkie siły, żeby wsiąść do samolotu w Spokane. Od poprzedniego dnia uczucie ścisku w żołądku ani trochę nie ustąpiło. Nie dbała o to, jak wygląda. Nie miała siły ułożyć sobie włosów, więc założyła starą czapkę z daszkiem z napisem *Classic Rope*. Musiała dostać ją od którejś z firm, kiedy zakupiła sprzęt do trenowania koni. Zaczerwienione, zapuchnięte oczy starała się ukryć za okularami słonecznymi.

„Mimo to - opowiadała potem - bałam się, że każdy, kto na mnie spojrzy, będzie wiedział, co kryje się w środku. Że jestem tylko cieniem człowieka, zombi poruszającym się siłą rozpadu”.

Czuła, że jeśli ktokolwiek by się do niej odezwał, wybuchłaby histerycznym płaczem. Czy ludzie przechodzący pośpiesznie obok wiedzieli, jak bliska jest utraty panowania nad sobą? I jak strofuje sama siebie za myślenie, że ma prawo do załamania?

Barb rozglądała się nerwowo za zielonym dodge'em Dave'a. Zawsze był punktualny. Bała się spojrzeć mu w oczy, ponieważ wiedziała, że on także cierpi. Powtarzała swoją mantrę: „poradzę sobie, muszę sobie poradzić”, jak jej się wydawało - milion razy. Według zegarka jednak czekała zaledwie trzy minuty.

W końcu dostrzegła znajomy pojazd. Bell chwycił jej torby i wrzucił do bagażnika, a potem szybko objął ją na powitanie. Ruszyli już po paru sekundach, by zrobić miejsce innym samochodom podjeżdżającym po podróżnych.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Dave skierował się na drogę, która okrążała lotnisko i wiodła na autostradę. Oboje wiedzieli, że muszą porozmawiać o tym, co się stało, lecz żadne z nich nie było na to gotowe. Barb zawsze traktowała go jak swojego zięcia - bardziej niż obu mężów Rondy. Był to człowiek pełen empatii, a do tego wzór policjanta. Jeśli miała z kimś rozmawiać szczerze, to tylko z nim. Ale pytania więzły jej w gardle.

Oboje dobrze znali tę drogę na południe, a w kolejnych latach Barb miała pokonywać ją jeszcze częściej. Minęli Tacomeę, bazę wojskową w Fort Lewis, a potem Olympic, kierując się na Centralię i hrabstwo Lewis. Starali się nie zwracać uwagi na krzykliwe świąteczne dekoracje.

Bell zaczął opowiadać o tym, jak spędził z Rondą ostatni dzień jej życia. Żadne z nich nie przeczuwało, że może stać się coś złego. A nawet jeśli ona coś wiedziała - ani się o tym zająknęła. Pomógł przyjaciółce spakować rzeczy i zanieść je do samochodu. Wspominała, że po powrocie ze Spokane rozważa zamieszkanie u swojej koleżanki. Wydawało mu się, że chodziło jej o Cheryl Gilbert.

- Nie zamierzała wracać do domu, w którym mieszkała z Ronem - wyjaśniał Barb. - Obiecała zadzwonić do mnie w środę rano i obudzić mnie, żebym na pewno przyjechał i zawiózł ją na lotnisko.

Jednak rano nie wykonała żadnego telefonu. Mimo to Bell pojechał po nią zgodnie z umową. Zadzwonił do niej po drodze i zdziwił się, że odebrał Reynolds.

- Spytałem, czy mogę rozmawiać z Rondą - opowiadał jej matce. Wziął głęboki oddech, zanim opisał, jak Ron „niemal obojętnym tonem” oznajmił, że jego żona popełniła samobójstwo. Zszokowany, postanowił jechać dalej do Toledo, by na własne oczy zobaczyć, co się stało.

Nie wierzył, że jego bratnia dusza odebrała sobie życie.

Kiedy przybył do domu przy Twin Peaks Drive, przedstawił się jako długoletni przyjaciel Rony oraz funkcjonariusz policji. Rozmawiał z zastępcą szeryfa, który przesłuchał go i wyjawiał wstępne wnioski na podstawie oględzin ciała: kobieta strzeliła sobie lewą ręką w prawą skroń; została znaleziona w garderobie przylegającej do sypialni, przykryta elektrycznym kocem, podłączonym do kontaktu.

- Ron powiedział im, że spał zaledwie kilka metrów dalej, ale nie słyszał wystrzału - relacjonował Dave.

Barbara słuchała z niedowierzaniem. Każde kolejne słowo wzbudzało coraz większe wątpliwości.

- We wtorek wieczorem pakowaliśmy jej rzeczy z sypialni - ciągnął mężczyzna. - Wzięła rewolwer z półki w szafie i dała mi go na przechowanie.

Spytał, do kogo należy broń. Odpowiedziała: „Do Rona, to pistolet jego ojca”.

Odrzekł wówczas, że nie może zabrać broni, która jest własnością kogoś innego. Ostrożnie wyjął naboje, a pistolet włożył do kabury i umieścił w szufladzie pod łóżkiem wodnym.

- Nie pamiętam, czy kule wysypałem na łóżko, czy na podłogę - powiedział Barb.

Nie wiedział, dlaczego Ronda chciała, żeby zabrał pistolet. Sama potrafiła obchodzić się z bronią - podczas pracy w policji stanowej była instruktorką strzelectwa. Posługiwała się tam berettą, a w domu miała pistolet firmy Smith & Wesson kalibru .357 Magnum, który podarował jej wuj Bill. Jej pierwszy mąż zabrał ten pistolet po rozwodzie, a kiedy odeszła z pracy, zwróciła także berettę. Bell nie wiedział nic o jakiegokolwiek innej broni.

- Czy moja córka bała się czegoś... lub kogoś? - spytała Barb.

Dave pokręcił głową.

- Nie sądzę. Po prostu była niezdecydowana. Chciała najpierw przenocować u mnie w Tukwili i stamtąd polecieć do Spokane. Ale bała się, że jeśli opuści dom, wszystko, co tam zostanie - czego nie zdąży zabrać - przepadnie i już tego nie odzyska.

Poza tym pojawiał się problem zwierząt. Ronda miała trzy psy, a on koty. Jak by się zachowały, gdyby nagle znalazły się w jednym pomieszczeniu? Nie wspominając o synach Bella, którzy byli już starsi, ale nie znali dobrze Rondy. Dave chciał, aby zapoznawali się z nią stopniowo. Nie wiedział, jak im wyjaśnić, że nocuje u nich jakaś ładna pani, praktycznie obca, do tego ze swoimi psami.

Oczywiście gdyby czuł, że coś jej grozi, to wszystko nie miałyby znaczenia.

- Zaciągnąłbym ją do siebie, nawet gdybym musiał użyć siły - zapewniał.

On i Ronda jeździli przez jakiś czas po okolicy, trzymając się za ręce. Chciał w ten sposób dodać jej otuchy. Po raz kolejny zupełnie niespodziewanie stanęła na rozstaju dróg. Z jednej strony czuła ulgę, że rozstaje się z Ronem Reynoldsem, ale z drugiej było jej wstyd, że znowu jej małżeństwo okazało się nieudane. W czasie jazdy wykonała kilka telefonów do znajomych, rozmawiała też ze swoim mężem. Z tego co słyszał Dave, ta krótka, pozbawiona emocji wymiana zdań dotyczyła szczegółów związanych z separacją.

- Zatrzymaliśmy się, żeby coś zjeść - mówił dalej. - Powiedziała, że postanowiła spędzić ostatnią noc we własnym domu. Zamierzała rozmówić się z Ronem na temat podziału majątku podczas rozvodu.

Pojechali także do domu Cheryl Gilbert, u której Ronda miała pomieszkiwać po powrocie ze Spokane. Ostatecznie jednak zmieniła zdanie. Uwielbiała jej dzieci, ale czasem czuła się osaczona przez Cheryl - ta kobieta jakimś cudem zawsze wiedziała, gdzie jest i co robi.

- Nie podobało jej się to i nie chciała dodatkowo jej zachęcać.

Dave Bell przyglądał się z samochodu, jak puka do drzwi koleżanki. Kiedy nikt nie otworzył, wrzuciła klucze przez otwór na listy.

Po powrocie do domu przy Twin Peaks Drive zobaczyli, że samochód Rona już tam stoi. Bell nie miał ochoty rozmawiać z Reynoldsem, przynajmniej na razie. Poza tym niedługo musiał się stawić w pracy.

- Pożegnaliśmy się - powiedział cicho Dave. - Wtedy widziałem ją po raz ostatni. Rozmawiałem z nią jeszcze tego samego wieczora przez telefon, i to dwa razy. Umawialiśmy się na następny dzień.

- O której? - spytała Barb. - Ja też rozmawiałam z nią we wtorek wieczorem.

- Około północy. Miała zarezerwować lot z Portland, ale powiedziałem, że dla mnie oznaczałoby to dwa razy dłuższą drogę i że wygodniej byłoby, gdyby wylatywała z Seattle. Zgodziła się i powiedziała, że zarezerwuje lot z SeaTac.

- Powiedz prawdę - naciskała Barbara. - Znałeś ją ponad dziesięć lat. Być może znasz ją lepiej niż ktokolwiek inny. Czy wydawała się wtedy załamana? Mogła myśleć o samobójstwie?

- W żadnym razie. Nigdy bym jej tam nie zostawił, gdybym wy czuł, że coś takiego chodzi jej po głowie. Zachowywała się zupełnie normalnie. Była już zmęczona i sądziła, że postępuje najlepiej, jak można postąpić w takiej sytuacji. Ale nie miała depresji i na pewno nie wyglądała jak ktoś, kto myśli o odebraniu sobie życia. Była twarda i lubiła mieć nad wszystkim kontrolę. Ronda nie poddałaby się tak łatwo...

Na jakiś czas w samochodzie Dave'a znowu zapanowała cisza. Gdy minęli Olympic, za oknem zamiast pojedynczych domków zaczęły pojawiać się farmy.

Do biura szeryfa hrabstwa Lewis w Chehalis dotarli o godzinie 11.00. Spotkał się z nimi detektyw Neiser. Wyjaśnił, że był jednym z

pierwszych śledczych w domu Reynoldsów. Wezwanie otrzymał parę minut po 7.00, niecałą godzinę po przyjęciu zgłoszenia przez policję. Stwierdził, że miał prowadzić śledztwo, ale ponieważ właśnie zaczyna mu się urlop, przekazał sprawę detektywowi Jerry'emu Berry'emu. Zapewnił Barb, że to „najlepszy detektyw w policji”.

Nie minął się z prawdą. Dużo później Barb dowiedziała się, że to Neiser zmienił początkowe położenie pistoletu - „ze względów bezpieczeństwa”. Powiedział, że nie chciał, by sanitariuszom coś się stało, gdyby przypadkiem pistolet wystrzelił. Przez ten poważny błąd proceduralny stracili możliwość ustalenia, gdzie dokładnie leżała broń, co w tym przypadku miało ogromne znaczenie.

Wyznaczenie Berry'ego na głównego śledczego, który miał wyjaśnić tajemnicę śmierci Rondy, było darem od losu, z czego jednak wtedy jej matka nie mogła zdawać sobie sprawy. Targały nią na przemian zdumienie i złość. Dlaczego życie toczyło się dalej, jakby nic się nie stało? Kogo obchodziło Boże Narodzenie? Nie знаła tego detektywa i uważała, że wszyscy chcą jak najszybciej się jej pozbyć.

„Neiser zachowywał się, jakby w ogóle go to nie obchodziło - wspominała Barb - jakbyśmy z Davidem byli natrętami, którzy krzyżują mu plany. Z trudem powstrzymywałam się, żeby nie wybuchnąć i nie wykrzyczeć mu w twarz: »Przepraszam, ale moja córka zginęła! Bardziej obchodzi pana urlop niż ludzkie życie?!«”.

Dave Bell wyczuł jej frustrację i powstrzymywał ją od wypowiedzenia tych myśli na głos. Uszczypnął ją mocno w ramię - ból sprawił, że nieco otrzeźwiała.

„Wiedział, co czuję i że lada moment stracę nad sobą panowanie. Sam też kiepsko sobie radził z frustracją, ale przynajmniej wyrwał mnie z amoku. Jeśli mieliśmy cokolwiek osiągnąć, musiałam zachować spokój i obiektywizm”.

Barbara Thompson szybko przechodziła kolejne fazy żałoby. Jej wiara w niezawodność organów ścigania i systemu sprawiedliwości

topniała równie gwałtownie. Zdawała sobie sprawę, że policja nie jest pozbawiona wad, ale dotąd darzyła ją szacunkiem. Teraz instynkt nakazywał jej ostrożność. Nie była jeszcze pewna, kogo podejrzewać o zabójstwo Rondy, lecz w głębi duszy wiedziała, że od tej chwili muszą z Bellem uważać, co mówią i robią.

„Należało zachować czujność” - mówiła potem, wzdychając. „Dave miał za sobą lata doświadczenia w policji, ale ja nie. Musiałam szybko się uczyć, trzymać język za zębami i nie okazywać żadnych emocji”.

„Mogłam to zrobić. Nie było mi łatwo, ale dla Rondy mogłam to zrobić”.



Detektyw Jerry Berry przywitał się ze swoimi gośćmi. Choć nie wyglądał na postawnego mężczyznę, jego obecność onieśmiała Barb. Patrzył jej prosto w oczy; natychmiast wyczuła, że może mu ufać. Nie uśmiechał się, ale z jego mimiki można było wyczytać życzliwość i troskę. Miał „swojskie” rysy twarzy, karnację ciemną od wiatru i słońca oraz brązowe, przerzedzające się włosy. Ubrany był w czarne spodnie, białą koszulę bez krawata, sportowy płaszcz oraz kowbojskie buty.

Podał im rękę - miał stanowczy, a zarazem delikatny uścisk. Po raz pierwszy od wejścia do biura szeryfa Barb doznała swego rodzaju pokrzepienia. Ten człowiek potrafił współczuć i przez całą rozmowę patrzył jej prosto w oczy.

„Czułam, że Bóg zesłał mi anioła stróża” - wspominała. „Cieszyłam się, że to on prowadzi śledztwo, ponieważ widziałam, że mu zależało. Ronda nie była dla niego tylko kolejnym ciałem, ale ludzką istotą, która zasługuje na to, by traktować ją z szacunkiem. Zrozumiałam, że detektyw Berry zrobi wszystko, co w jego mocy, by odkryć prawdę o śmierci mojej córki - niezależnie od tego, jakie sekrety wyjdą na jaw”.

Berry nie dostarczył im jednak wielu informacji. Nie mógł. Barb zdawała sobie sprawę, że pewne fakty należało utrzymać w tajemnicy, nawet przed rodziną ofiary. W przypadku śledztwa w sprawie zabójstwa policja nie powinna ujawniać informacji znanych tylko mordercy. Choć na usta cisnęło jej się mnóstwo pytań, kobieta starała się powstrzymać.

„Powiedział nam, że o 6.20 rano w środę Ron zadzwonił na policję oraz że zachowywał spokój, mówiąc dyspozytorowi, iż jego żona popełniła samobójstwo. Kiedy na miejsce przybyli ludzie z biura szeryfa, w domu znajdowali się Ron, jego trzech synowie oraz dwaj pracownicy kuratorium oświaty”.

Barb oburzyła się i widziała, że Dave Bell także zacisnął zęby na wiadomość, że chłopcom pozwolono opuścić miejsce zdarzenia bez wcześniejszego przesłuchania. Nawet osoby nieznające szczegółowo procedur policyjnych wiedzą, że złamano w ten sposób jedną z podstawowych zasad postępowania podczas dochodzenia.

- Kiedy przyjechałem, już ich nie było - powiedział cicho Berry. - Ale możemy przesłuchać ich później.

- To nie to samo - wyszeptała Barb.

„Ile jeszcze błędów popełnili ci prowincjonalni gliniarze? Ile niedopatrzeń i wpadek utrudni śledztwo w sprawie śmierci Rondy?”

Wyraz twarzy detektywa sugerował, że i jego dręczyły te pytania. On także był wściekły, że chłopcom pozwolono wyjść, zanim ktokolwiek ich przesłuchał, lecz nie mógł tego przyznać. Barb miała wrażenie, że chciał powiedzieć więcej, ale walczył z tym uczuciem. Nie potrafiła określić, czy zgadza się z nią, czy jedynie stosuje mechanizm obronny.

- Pan Reynolds powiedział nam, że znalazł pani córkę w garderobie, przykrytą kocem elektrycznym - mówił dalej Berry. - Tuż przy prawym uchu dostrzeżono ranę wlotową; ofiara leżała na lewym boku. Obie ręce miała pod kocem, a pistolet znajdował się na nim. Pan Reynolds stwierdził, że trzymała go w lewej dłoni.

- Przecież była praworęczna - wtrąciła Barb. - To Ron jest leworęczny.

- Skąd pani to wie?

- W maju wybraliśmy się razem obiad z okazji Dnia Matki, on, Ronda i ja. Poruszyliśmy nawet ten temat - odpowiedziała.

- Uznaliśmy to za ciekawy zbieg okoliczności, że Ron i ja jesteśmy leworęczni.

Detektyw w milczeniu wciąż patrzył jej w oczy. Tym razem Barbara nie zamilkła.

- Czy to nie dziwne, że mąż Rondy prosi ją o rozwód, ona planuje przyjechać do mnie do Spokane, mówi Ronowi, że chce finansowej rekompensaty za to, co włożyła w ich wspólny dom - powiedziała mi nawet, że odmówiła zgody na rozwód, dopóki nie minie sześć miesięcy i nie otrzyma negatywnego wyniku badań na obecność wirusa HIV - i nagle ginie? Czy nie wydaje się to panu podejrzane?

Na jego twarzy malowało się zdziwienie. Badania na obecność wirusa HIV stanowiły nowy wątek w tej i tak już skomplikowanej sprawie. Według Barb Ronda wiedziała, że Katie Huttula Reynolds od lat miała problemy z narkotykami i że Ron zdradzał ją właśnie z Katie. Obawiała się, iż mogła zostać zarażona.

Berry pomyślał wtedy, że ofiarę i jej matkę łączyła szczególna więź i nie miały przed sobą żadnych tajemnic. Odnotował to w pamięci, lecz nie dał nic po sobie poznać.

- Nie znaleźliśmy żadnego listu pożegnalnego - mówił dalej.

- Jedynie napis na lustrze wykonany szminką: *Kocham cię, zadzwoń do mnie* oraz numer z kierunkowym 509.

- To jakaś bzdura - odrzekła Barb. - Nie wierzę, że moja córka się zabiła. Żądam wszczęcia śledztwa.

- To właśnie zamierzam zrobić, pani Thompson.

- Czy uważa pan, że to mogło być samobójstwo? Widzi pan w tym jakikolwiek sens?

- Istnieją pewne zastanawiające rozbieżności - przyznał Berry. - Przykro mi, ale w tej chwili nie mogę powiedzieć nic więcej. Zapewniam panią, że zamierzam nadać tej sprawie priorytet.

Wierzyła mu, chociaż zrozumiała, że w tej chwili nie pozna przyczyny śmierci córki. Chciała przynajmniej zobaczyć ciało Rondy. Ta prośba zdziwiła obu mężczyzn.

- To zły pomysł - odparł detektyw. - Najlepiej będzie, jeśli zapamiętają pani taką, jaka była - nie taką, jak wygląda teraz.

Zatroskane spojrzenie Bella stanowiło odbicie wyrazu twarzy detektywa.

- On ma rację, Barb - powiedział szybko Dave. - Zaufaj mi, nie chcesz jej widzieć.

Dotąd nie pozwalała sobie na to, by jej myślami zawładnął obraz ukochanego dziecka z dziurą po kuli w głowie; teraz jednak pozostał się przez mur obronny, który wzniosła w swoim umyśle. Połknęła łzy i odetchnęła głęboko, bojąc się, że zwymiotuje.

Jedynie, o czym w tej chwili była w stanie myśleć, to jej córka leżąca gdzieś w kostnicy na zimnym metalowym wózku. Tak bardzo chciała pójść do niej i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Zawsze to robiła - przecież była matką.

„Chciałam powiedzieć: »Mama tu jest. Mama się tobą zajmie«, - wspominała Barb wiele lat później. „Ale wiedziałam, że nie powinienam rozumować w ten sposób. Musiałam skierować myśli na inny tor. Zaczęłam powtarzać sobie: »Widzisz jej uśmiech? Uśmiecha się do ciebie. Jest jej dobrze i ciepło. Dasz sobie radę. Uspokój się i skup na tym, co musisz zrobić«,.

Spojrzała na detektywa.

- Dobrze, jeśli uważa pan, że nie powinnam oglądać swojej córki, chcę przynajmniej porozmawiać z jej mężem.

Berry uznał, że to także nie jest najlepszy pomysł. Widział jednak, że kobieta nie da sobie tego wyperswadować. Wydawało się, że tkwią w niej ogromne pokłady siły, która przewycięża cierpienie i

szok. Większość matek w dobie po śmierci dziecka jest tylko cieniem człowieka.

Detektyw musiał się poddać.

- Nadal nie uważam tego za rozważne - zaznaczył. - Stanowczo to pani odradzam.

- Muszę to zrobić. Chcę usłyszeć, jak to wyjaśni - odpowiedziała Barb stanowczym głosem. - Poza chłopcami i Ronda tylko on przebywał wtedy w domu.

- Jest pani zdenerwowana, a my nie chcemy pogarszać sprawy.

- Obawiam się, że gorzej już być nie może.

- No dobrze - odparł Berry. - Jeśli uważa pani, że musi to zrobić, proszę tylko o opanowanie i niezadawanie zbyt wielu pytań. Proszę słuchać uważnie wszystkiego, co powie, potem wrócić do samochodu i zanotować to jak najdokładniej, a następnie przyjechać tutaj. Porozmawiamy o tym.

Barb kiwnęła głową na znak zgody. Nie chciała prosić Bella, by zawiózł ją do domu Rondy, ponieważ wiedziała, że trudno mu będzie wrócić na miejsce tragedii. Od jej śmierci minął dopiero jeden dzień, lecz wydawało się, jakby upłynął tydzień, a nawet miesiąc. Wszystko działo się w zwolnionym tempie.

Zaproponowała, że wynajmie samochód i sama pojedzie na Twin Peaks Drive, ale Dave się na to nie zgodził.

„On także cierpiał - wspominała - ale zamierzał mnie wspierać. Poprosiłam go, żeby poczekał w samochodzie. Chciałam rozmawiać z Ronem w cztery oczy. Ja i Dave nie wiedzieliśmy, czego możemy się spodziewać, ale absolutnie nie zamierzaliśmy zgadzać się z wnioskiem koronera, że Ronda popełniła samobójstwo”.

Ruszyli w kierunku Toledo. Barb zastanawiała się, co usłyszeli od swojego zięcia. A może już nie był jej zięciem?

Nagle zdała sobie sprawę, że prawie go nie zna.

ROZDZIAŁ 6

Jerry Berry nie planował zostać policjantem. Nie miał krewnych w organach ścigania i nie fascynował się nigdy tego rodzaju karierą. Co więcej, przez dwadzieścia dwa lata pracował na budowie - zaczął jako siedemnastolatek. Podobało mu się to zajęcie i dobrze zarabiał. Pamięta dumę przepełniającą go po skończonym projekcie, kiedy w blasku słońca lub rzęsim deszczu przyglądał się efektom swej ciężkiej pracy.

Zbliżając się do czterdziestki, zrozumiał, że nadejdzie czas, kiedy nie będzie mógł już dźwigać ciężkich ładunków, które nosił jako dwudziestolatek. Pod koniec dnia bolały go mięśnie, a praca na budowie nie była już tak ciekawa jak na początku.

„Musiałem zająć się czymś innym - opowiadał - ale nie miałem pewności, co chcę robić. Wiedziałem jednak, że w końcu to odkryję”.

Mieszkał wówczas w Mossyrock, miście tak małym, że nie zaznacza się go na większości waszyngtońskich map. Jak to zwykle bywa w takich miejscach, wszyscy dobrze się tam znali. Pewnego dnia Berry rozmawiał z Knute'em * - właścicielem lokalnego sklepu - kiedy ich uwagę zwrócił stojący po drugiej stronie ulicy szeryf. Rufe'a * mianował na to stanowisko burmistrz.

Wszyscy w mieście uważali go za fajtlapę. Na domiar złego nigdy nie chodził w kompletnym mundurze, a kaburę z pistoletem przywiązywał do rzemienia wiszącego na szyi. Na szczęście nie zdarzyło mu się postrzelić siebie ani nikogo innego w nogę lub inną część ciała.

- Ciekawe, co trzeba zrobić, żeby zostać szeryfem - odezwał się Knute.

Jerry nie był pewien, ale zakładał, że należy zdać jakiś egzamin, mieć czystą kartotekę i przejść szkolenie w akademii policyjnej w Burien. Nie mieściło mu się w głowie, że miejscowy szeryf spełnił te wszystkie wymogi.

Półzartem odpowiedział:

- Nie znam się na prawie, ale poradziłbym sobie lepiej niż Rufe.

Knute zasugerował mu, żeby zgłosił swoją kandydaturę.

James Roberts, burmistrz Mossyrock, nie miał własnego biura - miasteczko było na to zbyt małe. Mężczyzna prowadził sklep monopolowy, gdzie stojąc za ladą, przyjmował nie tylko klientów, ale i obywateli, którzy chcieli porozmawiać z burmistrzem.

Berry udał się do niego, a po wejściu instynktownie wstrzymał oddech, czując gęsty dym z cygara, otulający butelki na półkach, reklamy i wystawę. Ani razu nie zdarzyło mu się wejść do sklepu burmistrza i nie dostrzec szarej mgiełki wypełniającej pomieszczenie.

Podszedł do lady i oznajmił, że chce ubiegać się o stanowisko szeryfa lub raczej szefa policji - ten termin wydawał się bardziej odpowiedni u progu dwudziestego pierwszego wieku. Szeryf kojarzył się raczej z Dzikim Zachodem i światem westernów.

Roberts zmierzył go wzrokiem, wyjął cygaro z ust i zapytał:

- Masz doświadczenie?

- Nie - odparł szczerze Berry - ale mam niezłą kondycję i poradzę sobie w szkole policyjnej.

Po tym, jak biuro szeryfa hrabstwa Lewis sprawdziło jego dokumenty i nie znalazło w nich żadnych niechlubnych incydentów z przeszłości, burmistrz Roberts zgodził się wysłać go do akademii.

Przyszły detektyw nie miał problemów z zaliczeniem przedmiotów oraz treningów siłowych i wytrzymałościowych, mimo to jednak stał się obiektem drwin. Poprzedni kandydat z Mossyrock (nie Rufe)

okazał się bowiem nieuczciwy - w życiorysie, który umieścił w formularzu zgłoszeniowym, nie było ani słowa prawdy.

Jerry Berry rzeczywiście był w dobrej formie, jak na czterdziestolatka, i choć pozostali kadeci - dwa razy młodsi - przezywali go „dziadkiem”, dotrzymywał im kroku.

Noga powinęła mu się na dzień przed końcowym egzaminem sprawnościowym zaliczającym całe szkolenie w akademii. Doznał tak poważnej kontuzji lewej kostki, że każdy krok sprawiał mu ból. Koledzy chcieli powiedzieć o tym szkoleniowcom i zawieźć go do szpitala, ale to by oznaczało zakaz przystąpienia do egzaminu końcowego. „Chciałem ukończyć akademię ze swoim rocznikiem” - wspominał. „Kazałem im obiecać, że nie puszczą pary z ust”.

Nazajutrz usztywnił spuchniętą kostkę, owijając ją ciasno bandażem. Gdy zauważył, że ktoś mu się przygląda, za wszelką cenę usiłował nie kuśtykać. Na egzaminie każdy kadet miał przebiec na czas jedno okrążenie stadionu. W połowie długości toru stała dwumetrowa przeszkoda, na którą trzeba było się wdrapać. Za nią znajdował się tunel, przez który należało przeczołgać się na brzuchu. Na końcu czekał ich trzymetrowy płot z siatki, a za nim sprint do mety.

Berry poradził sobie na drewnianej ścianie i zdołał wylądować na zdrowej nodze, z przyjemnością też przeszedł do pozycji leżącej, kiedy musiał się czołgać przez tunel. Po wyjściu z niego popełnił jednak błąd, zaczynając bieg od lewej nogi.

„Kostkę przeszył potworny ból - opowiadał - jakby ktoś włożył mi w nią rozżarzony pręt”.

Biegł najlepiej, jak potrafił, ale wszyscy zauważyli, że mocno kułaje. Na ostatniej prostej wyrósł przed nim trzymetrowy płot, który wydawał się nie do pokonania. Berry ostatkiem sił podciągnął się na rękach, aby przełożyć lewą nogę przez krawędź. W połowie drogi w dół puścił się i wylądował na prawej nodze.

Utykał, ale zdołał dobiec do mety, zanim upadł. Ukończył akademię ze swoim rocznikiem. Od tego czasu o Mossyrock mówiono

z nieco większym szacunkiem. Miasteczko mogło się wreszcie pochwalić szeryfem, który ukończył akademię policyjną.

Berry zatrudnił jedną osobę - dwudziestojednoletniego kolegę z roku - Ericka Hendricksona. Chłopak miał blond włosy, mierzył sto osiemdziesiąt siedem centymetrów i ważył prawie sto kilogramów. W akademii przezywano go Mały Huey ¹, co nie było wcale lepsze od „dziadka”. Być może nawet gorsze.

¹ Baby Huey - postać rysunkowa; niesforna, przerośnięta kaczka chodząca w pieluszcze i czepku niemowlęcym, często wyśmiewana przez rówieśników (przyp. tłum.).

Jerry mógłby być ojcem Ericka, ale stanowili zgrany zespół. Zamierzali być stróżami prawa z prawdziwego zdarzenia. Zaczęli od regularnych kontroli dwóch lokalnych pubów, gdzie zwykle zaczynały się wszystkie kłopoty w miasteczku. Jazda samochodem pod wpływem alkoholu to ulubiona rozrywka wielu mieszkańców Mosyrock. W pierwszym roku pracy duetu Berry - Hendrickson aresztowania za to wykroczenie wzrosły o czterysta procent.

Nowy szeryf obiecał, że pozostanie na tym stanowisku co najmniej przez rok. Wiedział, że nie ma tam możliwości rozwoju, lecz przez dziewiętnaście miesięcy, które tam spędził, dawał z siebie wszystko. W tym czasie odkrył, że prawo i działania śledcze to coś, czym chciałby się zajmować, i postanowił dowiedzieć się na ten temat czegoś więcej. Gdy w 1991 roku zaoferowano mu posadę funkcjonariusza policji w hrabstwie Lewis, przyjął ją.

Dzięki tej wielkiej szansie, jaką otrzymał od losu, Berry z entuzjazmem patrzył w przyszłość. Nawet kiedy w zimne, zamglone noce zatrzymywał kierowców, wręczając im mandaty za przekroczenie prędkości, jazdę pod wpływem alkoholu czy bez pasów, nadal uwielbiał swoją pracę. Postawił sobie za punkt honoru zawsze pracować nieco ciężiej, niż musi, a to nie zawsze podobało się innym funkcjonariuszom z biura szeryfa. Starał się ignorować komentarze na temat swojego wieku, choć puściły mu nerwy, kiedy pewien porucznik - niemal jego rówieśnik - spytał go, czy nie uważa, że wiek

może utrudniać mu pracę.

Jerry Berry dążył do jednego celu: chciał jak najszybciej zostać detektywem. Zaczynał od zera i z dwudziestoletnim poślizgiem. Choć dopiero niedawno przekroczył czterdziestkę, młodszy oficerowie nieustannie wypominali mu jego wiek. Starał się nadrobić brakujące dwie dekady doświadczenia, które spędził na budowie.

Zapisywał się na każde możliwe szkolenie. Większość z nich dotyczyła prowadzenia śledztwa w sprawie zabójstwa. John McCroskey, ówczesny szeryf hrabstwa Lewis, zgodził się częściowo sfinansować jego doksztalcenie: zapłacił za organizowany przez FBI kurs przesłuchiwanie świadków i podejrzanych, jak również za jedenasto-dniowy kurs zaawansowanych technik prowadzenia śledztwa w sprawie morderstwa, prowadzony przez Roberta Keppela, jednego z głównych śledczych zajmujących się sprawą groźnego seryjnego mordercy, Teda Bundy'ego.

Berry jeździł raz w tygodniu do Bellevue - podróż w obie strony to ponad 250 kilometrów - na wykłady dla detektywów z wydziałów zabójstw. Od byłego szeryfa hrabstwa Multnomah, Roda Englerta, który stał się jednym z najbardziej cenionych specjalistów w Ameryce, nauczył się interpretować rozpryski krwi. Brał także udział w zajęciach prowadzonych przez Vernona Gebertha, geniusza w dziedzinie prowadzenia śledztw, który przed odejściem na emeryturę piastował stanowisko szefa wydziału zabójstw w Bronksie.

Jeśli szeryf nie miał pieniędzy na pokrycie kosztów szkoleń, Berry chętnie płacił za nie z własnej kieszeni. Nie lękał się, że zostanie detektywem w wydziale policji w większym mieście; chciał tylko być najlepszym śledczym w swoim okręgu. Jego największy dotychczasowy sukces to rozbięcie we współpracy z FBI oraz strażą leśną siatki producentów amfetaminy i odzyskanie stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów pochodzących z handlu narkotykami. Po tym wydarzeniu dzięki listowi szeryfa McCroskeya Berry otrzymał tytuł Policjanta Roku.

Już na początku pracy w biurze szeryfa hrabstwa Lewis Berry wystąpił o przydział do pięcioosobowej grupy detektywów. Po dwóch latach jego marzenie się spełniło. Od roku 1995 - kiedy to został detektywem wydziału zabójstw - do 2001 uczestniczył w dwudziestu trzech śledztwach.

Nigdy wcześniej w całej swej karierze nie miał do czynienia z przypadkiem takim jak śmierć Rony Reynolds. Ta sprawa zmieniła jego życie - podobnie jak życie wielu mieszkańców hrabstwa Lewis. Detektyw nie zamierzał rezygnować z poszukiwania prawdy na temat tajemniczego odejścia kobiety.

Z upływem lat upór Berry'ego w kwestii odmowy poparcia wciąż zmieniających się decyzji koronera Wilsona, dotyczących rodzaju śmierci Rony, oraz sprzeciw wobec zachowania przełożonych przysporzyły mu wrogów i rozsierdziły jego szefa. Może i był nieco zadziorny. Chwalił się, że jest bardzo dokładny i nigdy nie robi niczego na pół gwizdka. Tego samego oczekiwał od swych kolegów. Jego szefowie natomiast uważali, że swą drobiazgowością utrudniał prowadzenie śledztwa dotyczącego - zdaniem niektórych - ewidentnego morderstwa.

To on zachęcał matkę Rony, by nie przestawała patrzeć na ręce śledczym z biura szeryfa hrabstwa Lewis i wspierał ją w poszukiwaniu odpowiedzi na dręczące ją pytania. Barbara Thompson robiłaby to zresztą i bez pomocy Jerry'ego.

Wewnętrzne spory są na porządku dziennym w każdym wydziale policji, szczególnie jeśli toczy się tam ważne śledztwo w sprawie czyjejś śmierci. Często różne wydziały nie chcą dzielić się posiadanymi informacjami z innymi. W przypadku zabójstw dokonanych przez sektę Charlesa Mansona biuro szeryfa hrabstwa Los Angeles oraz wydział policji w tym mieście pilnie strzegły swych sekretów. W pewnym sensie każdy wydział policji jest jak firma walcząca o utrzymanie się na rynku. Ci, którzy osiągną najlepsze wyniki, wyprzedzą konkurencję. W przypadku organów ścigania wygrywa

wydział, który dostarczy najwięcej dowodów przeciwko podejrzanemu.

Przeciwnicy Berry'ego twierdzą, że wyolbrzymia on swoje zasługi oraz że zależało mu na rozwiązaniu sprawy Rondy w pojedynkę. W rzeczywistości był on po prostu całkowicie oddanym sprawie detektywem, okazującym współczucie matce ofiary. Śledczy starają się zwykle nie angażować emocjonalnie podczas rozmów z rodzinami, które kogoś straciły. Tymczasem osoby odznaczające się dużą wrażliwością zostają zazwyczaj wyśmienionymi detektywami, ponieważ cecha ta ułatwia im porozumiewanie się z ludźmi.

Barb Thompson nie wiedziała o atmosferze wzajemnej niechęci panującej w biurze szeryfa i spięciach, do których raz po raz dochodziło między jego pracownikami. Jak dotąd Berry ujawnił jej niewiele, do większości zdobytych informacji dopuszczając tylko śledczych.

Ronda nie żyła od niecałych czterdziestu ośmiu godzin, a większość personelu biura szeryfa hrabstwa Lewis już wierzyła w pozbawione emocji zeznanie Rona Reynoldsa twierdzącego, że jego żona popełniła samobójstwo.

Pomimo tego śledczy mieli do zbadania ogromną ilość tropów, z których mogli się dowiedzieć, kim naprawdę była Ronda Reynolds.

ROZDZIAŁ 7

Siedemnasty grudnia był pochmurnym, szarym dniem. Pogoda odzwierciedlała nastrój Barbary Thompson i Davida Bella, którzy opuszczali właśnie biuro szeryfa po pierwszym spotkaniu z Jerrym Berrym.

Porywisty wiatr z północy zrywał z drzew ostatnie liście. Jedynie jodły, cedry i sosny dodawały nieco zieleni, choć i one uginały się pod siłą podmuchów. Jechali w milczeniu w kierunku miejsca, które stanowiło kiedyś wymarzony dom Rondy. Barb uświadomiła sobie, że widziała go tylko na zdjęciach, które wysłała jej córka.

Wiedziała, że w którymś momencie ona i Dave będą musieli odbyć szczerą rozmowę, lecz na razie żadne z nich nie było na to gotowe. Nie wątpiła, że kochał jej córkę; ich losy przeplatały się od wielu lat. Niestety, nie zdołali sprawić, by ich związek przetrwał. Wiele lat temu, kiedy Ronda pracowała jeszcze w policji stanowej, kazała matce przysiąc, że gdyby coś jej się stało, zanim z kimkolwiek się skontaktuje, w pierwszej kolejności ma powiadomić Dave'a.

Barb podejrzewała, że córka nigdy nie przestała go kochać i w głębi serca wciąż czuła coś do dawnego narzeczonego, nawet kiedy była żoną dwóch innych mężczyzn. Sądziła po prostu, że Ronda nie próbowała nic z tym zrobić. Po tym jak się rozstali, Dave nie mógł się z nikim związać, ponieważ tkwił w nieszczęśliwym małżeństwie. W końcu się rozwiódł, ale walka o opiekę nad dziećmi trwała nadal. Kochał swoich synów i nie chciał pogodzić się z tym, że może ich stracić. Uważał, że gdyby ożenił się wtedy z Rondą, była żona odebrałby mu dzieci - nie dlatego, że nie sprawdzał się jako ojciec,

lecz ze zwykłej zawiści. Chłopcy znaczyli dla niego zbyt wiele, więc nie chciał ryzykować.

Przez te wszystkie lata Dave i Ronda nadal się przyjaźnili, lecz na małżeństwo było już za późno. Można ich porównać do jadących po różnych torach pociągów, które nigdy nie zatrzymały się w tym samym miejscu o tej samej porze.



Po rozstaniu z Dave'em Ronda zaczęła się spotykać z Markiem Liburdim, trzydziestodwuletnim kolegą z policji stanowej - wysokim mężczyzną o rudawych włosach i wąsach. Prezentował się znakomicie, szczególnie w mundurze, toteż dziewczyna szybko się w nim zakochała. Był osiem lat starszy od niej i miał już za sobą jedno małżeństwo. Po rozwodzie otrzymał prawo do opieki nad swoimi pociechami, dwoma chłopcami i dziewczynką, lecz to nie stanowiło przeszkody dla Rondy, która kochała dzieci i cieszyła się, że zostanie przybraną mamą. Pobrali się w Spokane w czerwcu 1989 roku.

Panna młoda miała na sobie suknię i kapelusik w stylu lat dwudziestych. Sama zaprojektowała ten strój, a uszyła go babcia Virginia. Mark włożył do ślubu galowy mundur.

Ronda marzyła o własnych dzieciach i dużej, „mieszanej” rodzinie. Na jakiś czas cała piątka zamieszkała w Renton, lecz w przyszłości planowali osiąść w bardziej rolniczej okolicy. Dziewięć miesięcy później zostali oboje przeniesieni do biura policji stanowej w hrabstwie Grays Harbor, położonego bliżej wybrzeża. Ceny domów były tam stosunkowo niskie, kupili więc przestronny dom przy Stilson Road w McCleary, który wydawał się idealny dla małżeństwa z gromadką dzieci.

To było spełnienie jej marzeń. Dom otaczały dwa hektary pastwisk, znalazło się więc miejsce na stajnie dla jej koni.

Za budynkiem płynął strumyk, nad którym rosły krzaki jeżyny. Mark zakochał się w przylegającej do ich posiadłości działce z lasem

i ukrytej w nim szopie. Ronda zgodziła się, by ją także kupili.

Przeżywała zapewne najszcześniejsze chwile w życiu, kiedy wychodziła na werandę i oddychała świeżym powietrzem, przysłuchując się, jak wiatr szumi w koronach drzew. Najbardziej lubiła nocne patrole, po których z przyjemnością wracała na niewielkie rancho, które tak kochała.

Dzięki roztropnemu planowaniu matki Ronda miała jeszcze jedną działkę. Po rozwodzie z Halem Thompsonem, ojcem Freemana, ustalono, że Barb przepisze posiadłość w Spokane na swoje dzieci. Tak też zrobiła, przekazując im ziemię na łączną własność z prawem dziedziczenia. Każde z nich mogło zaciągać kredyty hipoteczne, wskazując jako zabezpieczenie rancho w Spokane.

„Gdy Ronda skończyła czternaście lat, dałam jej pełnomocnictwo na moje konto bankowe” - wspominała jej matka. „Ani razu z niego nie skorzystała”.

Nowa żona Marka kochała jego dzieci, choć czasem spierała się ze swą trzynastoletnią pasierbicą, co w układach pomiędzy macochami i nastoletnimi wychowankami nie było żadnym wyjątkiem. Choć to macocha zajmowała się nią i wysłuchiwała jej problemów związanych z dorastaniem, za ideał rodzica Laurita * uważała swoją rodzoną matkę, która nie otrzymała prawa opieki. Ronda rozumiała to i nie zamierzała mówić źle o pierwszej żonie Marka.

Pewnego razu jeden z jej przybranych synów ukradł coś ze sklepu. Rzecz ta miała niewielką wartość materialną, lecz kobieta chciała dać chłopcu nauczkę. „Aresztowała” go i zabrała na posterunek. Chłopak spędził za kratkami wystarczająco dużo czasu, żeby zrozumieć powagę swego czynu, a macocha chętnie go potem wypuściła i zawiozła do domu.

Niestety, marzenia Rondy o posiadaniu własnych dzieci się nie spełniły. Kilkakrotnie poroniła. Zdawało się, że dotknęło ją to bardziej niż Marka. Choć może jego sposobem na radzenie sobie z sytuacją było zamknięcie się w sobie i nierozmawianie o nienarodzonych dzieciach. Ostatecznie miał już troje własnych, a Ronda żadnego.

Czuła się niespełniona jako kobieta.

W roku 1997 w małżeństwie Liburdich nie działa się najlepiej. Pobrali się w 1989, pełni nadziei na przyszłość, lecz teraz zdawało się, że ich problemów nie da się rozwiązać. Ronda martwiła się, że nigdy nie zdoła urodzić zdrowego dziecka, a mąż nie rozumiał, jak bardzo cierpiała z tego powodu.

Jedno poronienie - lub raczej przedwczesny poród - nastąpiło w piątym miesiącu ciąży. Gdy minął najniebezpieczniejszy okres pierwszego trymestru, przyszła mama odczuła ogromną ulgę. Wierzyła, że to dziecko donosi do końca, lecz urodziła je w domu, w łazience; nie płakało ani nie dawało znaku życia. Łożysko przylegało nadal do ściany macicy, więc matce groził poważny krwotok. Kiedy Mark wioził ją do szpitala, musiała trzymać blade ciało swego dziecka tuż nad kolanami, modląc się - choć nie do końca wierzyła w sens tej modlitwy - aby lekarze zdołali przywrócić je do życia. Nie martwiła się o siebie, chciała tylko uratować synka.

Mąż zaprowadził ją na ostry dyżur i wyszedł. Początkowo myślała, że poszedł zaparkować samochód, lecz on pojechał do pracy, zostawiając ją zupełnie samą. Ronda i jej przyjaciółka, Glenda Larson, nigdy nie wybaczyły mu, że zostawił ją w szpitalu, jakby miała zwykłą grypę czy skręconą kostkę. Czy nie widział, jak bardzo potrzebowała go w tej strasznej chwili? Kiedy ogłaszano czas zgonu jej dziecka, była zupełnie sama.

Mark i jego żona często się kłócili i „odpoczywali od siebie”. Większość ich sporów dotyczyła finansów. Ronda nie radziła sobie z pieniędzmi; potwierdzał to każdy, kto ją znał. Jeśli zapominała zapłacić jakiś rachunek, przewidywała, że mąż będzie na nią zły, toteż nie mówiła mu o tym. Wiedziała, że prędzej czy później i tak się o tym dowie, ale odsuwała od siebie tę myśl. Pewnego razu dostała od niego pieniądze na zapłacenie podatku za dom i zapomniała tego zrobić. Od tamtej pory nieustannie jej to wypominał.

Kiedy Ronda uważała, że dzieci potrzebują nowych ubrań, kupowała je za własne pieniądze. Nie korzystała ze sklepów z używaną odzieżą, jak sugerował jej Mark. Wychowywała ich jak rodzona matka; to dzięki niej zaczęły rozkwitać.

Utrata dziecka pozostawiła w niej głęboki uraz. O ile wcześniej potrafiła zbywać komentarze o podtekstach seksualnych oraz reprimendy od przełożonych - o tyle teraz sprawiało jej to ogromną trudność. Często nawiedzały ją myśli o chłopcu, któremu nie było dane rosnąć pod jej matczynym okiem.

Kartoteka Rondy w waszyngtońskiej policji stanowej zawiera wpis mówiący o tym, iż w maju 1992 roku powiadomiła swojego szefa o tym, że jest w ciąży. Przewidywany termin porodu przypadł na koniec października. Lekarz zalecił jej, by unikała podnoszenia ciężarów oraz - w miarę możliwości - nie jeździła sama na partole. W tamtym okresie udała się kilkakrotnie na zwolnienie z przyczyn zdrowotnych, a także na dłuższy urlop, po tym jak straciła dziecko.

Dla starej gwardii funkcjonariuszy stanowiła najlepszy dowód na to, że kobiety sprawiały tylko problemy, a to czyniło z nich kiepski materiał na policjantów. Mężczyźni - argumentowali - są silniejsi, nie zachodzą w ciążę ani nie mają zespołu napięcia przedmiesiączkowego. Oczywiście nikt nie powiedział tego głośno, gdyż zostałyby ukarany.

Jedyną rzeczą, której Ronda nie spodziewała się, kiedy zaczynała pracę w policji stanowej, było nieustanne molestowanie seksualne oraz podejmowane przez przełożonych kroki mające na celu zniszczenie jej kariery. Uwielbiała swoją pracę i przez całe życie dążyła do osiągnięcia tego upragnionego celu. Planowała zostać tam przez wiele lat.

Ronda zebrała niewielką liczbę pochwał, choć schwytano na swojej zmianie kilku groźnych przestępców. Funkcjonariusze z biura

szeryfa hrabstwa Lewis, a także pobliskich Grays Harbor oraz Thurston lubili ją i ufali jej. Wiedzieli, że mogą na nią liczyć, jeśli będą potrzebować natychmiastowego wsparcia.

„Nie bała się zjeżdżać z autostrady” - opowiadał jeden z nich. „Gdy jej potrzebowaliśmy, ona zawsze przyjeżdżała, nawet jeśli chodziło o ciemną polną drogę”.

I wtedy, dość nieoczekiwanie, Ronda poczuła się napiętnowana przez swych współpracowników i szefów. Została dwukrotnie upomniana na piśmie. Pierwsza nagana dotyczyła nieprawidłowości w sprawozdaniu dotyczącym kolizji:

Raport był niekompletny. Nie zawarto w nim zeznania kierowcy, diagramu, pomiarów ani zeznań świadka. Zastosowano niepoprawne kody. Po zwróceniu na to uwagi odegrała się Pani na przełożonym, poprawiając raport w taki sposób, że wyglądał nieprofesjonalnie. (...) Znalazły się w nim błędy [sic!] językowe.

Osoba sporządzająca tę opinię sama popełniła błąd, odnosząc się do języka raportu Rondy. Oskarżono ją także o oddawanie raportów po terminie oraz obwinianie innych za swoje niedociągnięcia. „Każdy powinien odpowiadać za własne czyny” - głosiła konkluzja nagany.

Można uznać, że się na nią uwzięto. Owszem, popełniała błędy, lecz ogólnie rzecz biorąc, była najbardziej kompetentnym i odważnym pracownikiem policji stanowej. Przypisywane jej zachowanie miało się nijak do jej rzeczywistego stylu pracy.

Drugi raz została skrytykowana za uszkodzenie podwozia swojego radiowozu podczas patrolu. Przełożeni uznali, że „dało się tego uniknąć”. Nie liczyło się, że podczas służby samodzielnie schwyciła groźnego mordercę, który zbiegł z Kalifornii - najwyraźniej błędy gramatyczne w jej raporcie przesłaniały jej zasługi.

Jeden z nadzorujących ją sierżantów wciąż wygłaszał pod jej adresem niestosowne uwagi o podtekście seksualnym. Podobnie jak jej matka, Ronda wcześniej dojrzała, a natura obdarzyła ją obfitym biustem. Ów sierżant, zamiast podczas rozmowy patrzeć jej w oczy, bez zażenowania wpatrywał się w jej dekolt. Kiedy poprosił, by rozebrała się do pasa, bo chce sprawdzić jej kamizelkę kuloodporną, odmówiła.

Zdarzyło się również, że major złapał ją za pierś, ewidentnie celowo, co bardzo ją rozzłościło. W przeszłości tolerowała „przypadkowe” dotknięcia oraz zbyt poufałe poklepywanie, ale tym razem uznała, że ma dość.

Jej wyobrażenie o policji stanowej jako wzorze służb mundurowych złożonych z samych porządnych facetów szybko zostało zwerfikowane, chociaż przyjaźniła się z wieloma funkcjonariuszami. Jako nastoletnia kadetka nie sądziła, że starsi stopniem i wiekiem policjanci będą w tak obcesowy sposób - nawet w jej obecności - komentować jej biust.

Ronda kilkakrotnie nie stawiała się w sądzie, gdzie miała zeznać jako świadek z ramienia policji, lub też spóźniła się na rozprawę. Szef przeszedł sam siebie, kiedy celowo zatrzymał ją, aby nie dotarła na przesłuchanie. Innym razem utknęła w korku, który utworzył się po wypadku. W tym zawodzie często się to zdarza. Podejrzewała jednak, że pewnym osobom zależało, by powinęła jej się noga i można było oskarżyć ją o zaniedbania.

Zmęczyła ją ciągła walka i choć przyszło jej to z trudem, zrozumiała, że musi odejść z pracy. Jakkolwiek prześladował ją niewielki odsetek przełożonych i wiedziała, że większość funkcjonariuszy to uczciwi ludzie - ta garstka osób dopięła swego.

Kilkoro jej kolegów z pracy obiecało poprzeć ją, gdyby zdecydowała się złożyć skargę w sprawie molestowania seksualnego. To dało jej siłę. Większość jednak nie miała pojęcia, przez co przeszła. Ronda spodziewała się, że po złożeniu skargi otrzyma wsparcie części współpracowników. Gdy jednak koledzy zorientowali się, że

grozi im za to utrata posady, wycofali się - i została zupełnie sama. Tę walkę przegrała...



Mark i Ronda nie przestawali się kłócić. Zazwyczaj kością niezgody okazywały się pieniądze. Prawdą jest, że w kwestiach finansowych czuła się jak dziecko we mgle. Przesadzała z hojnością i dość beztrzesko korzystała z debetu. Irytowało to jej męża, który wykazywał się większym rozsądkiem. Nie byli pierwszym - i na pewno nie ostatnim - małżeństwem kłócącym się o pieniądze, ale ilekroć ten problem wypływał w rozmowie, zawsze dochodziło do awantury. Po kłótni zdarzało się, że Ronda brała poduszkę i koc i spała sama na podłodze. „Ale zazwyczaj to ja lądowałem na kanapie lub gdzieś indziej” - stwierdził Mark.

Zgadzała się przynajmniej w jednej kwestii, która miała ogromny wpływ na śledztwo w sprawie śmierci Rondy: oboje nie uznawali elektrycznych koców, nie mieli czegoś takiego w domu i na pewno żadne z nich by pod nim nie spało. Jeśli nocowali u krewnych czy znajomych i znaleźli taki koc w swoim łóżku, wyłączali go lub prosili o inną pościel. Myśl o prądzie biegnącym wokół ciała podczas snu przyprawiała ich o dreszcze.

Dlaczego więc Ronda przykryła się elektrycznym kocem, kiedy opuściła łóżko, które dzieliła z Ronem? W domu znajdowało się przecież wiele zwykłych pledów.

Chociaż gdy brali ślub, darzyli się z Markiem głębokim uczuciem, z biegiem lat ich problemy się nawarstwiały. Czasami mąż odnosił wrażenie, że Ronda prowadzi podwójne życie - nie zdradzała go, lecz odkrył, że założyła skrytkę pocztową pod innym nazwiskiem, na którą przychodziła część korespondencji z banku.

Rzeczywiście to zrobiła, lecz nie chodziło o żadną tajemnicę. Sprzedała za sporą sumę jedno z koni, które trzymała na ranczu matki. Wiele z ich żrebaków i roczniaków sprzedawało się za

dziesięć do dwudziestu tysięcy dolarów za sztukę. Ronda umieściła te pieniądze na osobnym koncie, ponieważ potrzebowała funduszy na własne wydatki, żeby nie musieć wyjaśniać, na co je przeznacza ani raz po raz prosić męża o pieniądze. Później jednak i tak dodawała Marka jako współwłaściciela konta, żeby on również miał dostęp do oszczędności.

Nadal też kupowała nowe ubrania i zabawki dla trojga swych pasierbów. Wiedziała, że ich ojcu się to nie podoba - i zawsze twierdził, że mają wystarczająco dużo zabawek. Za to na swoich „zabawkach” - jak nowy samochód czy też oporządzenie i broń na polowania - nie oszczędzał. Ronda nie chciała, żeby wiedział, ile odłożyła. Poza tym lubiła obdarowywać go czasem niespodziewanymi prezentami.

Za namową Cheryl Gilbert zgodziła się, aby jej korespondencja oraz czeki z banku przychodziły na skrytkę pocztową koleżanki. Cheryl bardzo zależało, by być jak najbliżej Rondy. Uważała się za jej „najlepszą przyjaciółkę”, choć nikt poza nią tego nie potwierdzał.

Pójście za radą Cheryl okazało się błędem. Wkrótce „przyjaciółka” zaczęła zalegać z własnymi rachunkami, a wtedy bez zgody Rondy wykorzystwała czeki przychodzące na jej adres, zaciągając debet. W tamtym czasie Mark wiedział już o dodatkowym koncie żony i szybko odkrył zadłużenie.

Ronda nie chciała pozywać Cheryl do sądu ani zgłaszać sprawy na policję. Zawarły więc umowę. W ramach odpracowywania długu kobieta zgodziła się sprzątać w domu Liburdich.

Barbara starała się wytłumaczyć córce, że taka forma spłaty będzie trwała wieki, ale wiedziała, że nie ma sensu przekonywać jej na siłę. Ronda zawsze robiła, co mogła, aby pomagać innym, i chociaż pseudoprzyjaciółka wciąż próbowała wtrącać się w jej życie, było jej szkoda Cheryl. Uważała ją za bardzo samotną osobę, dlatego też nie chciała całkowicie się od niej odciąć.

Ronda miała wiele przyjaciółek. Najbliższa - Glenda - także kochała konie. Była żoną Steve'a Larsona, zastępcy szeryfa hrabstwa Grays Harbor. Ronda poznała go, kiedy podczas patrolu ktoś rozbił kamieniem szybę w jej samochodzie. Wezwała posiłki, a on przyjechał kilka minut później.

- Znam paru rzezimieszków w tej okolicy - powiedział z uśmiechem. - Lubią czasem rozrabiać. Chodźmy ich odwiedzić.

Szybko odkryli, kto zniszczył radiowóz, a sprawcy od razu się przyznali. Zawieziono ich do aresztu dla nieletnich, a policjanci, którzy ich schwytali, zaczęli rozmawiać. Kiedy Steve usłyszał, że koleżanka po fachu jest miłośniczką koni, zaświeciły mu się oczy. Powiedział, że jego żona również prowadzi stadninę. Od chwili gdy kobiety się poznały, związała się między nimi szczerą przyjaźń. Rozmawiały ze sobą niemal codziennie.

Mieszkały niedaleko siebie w McCleary. Larsonowie posiadali ogromne połacie ziemi, stajnie i kilka nagrodzonych koni. Tematów do rozmowy nie brakowało.

„Kiedy padało, uwielbiałyśmy przesiadywać w naszej stodole” - wspominała Larson dwanaście lat później. „Zajmowałyśmy się końmi i wsłuchiwałyśmy się w krople deszczu dudniące o blaszany dach”.



Pomimo swych uczuć do Marka i jego dzieci oraz wspaniałego życia, jakie wiodła na ranchu w McCleary, Ronda nie mogła udawać, że nie widzi mnożących się wciąż problemów. Nadszedł również moment, w którym zrozumiała, że nie wytrzyma dłużej w policji stanowej. Czasem, kiedy ogarniał ją gniew, myślała nawet, że byłoby dla niej lepiej, gdyby zupełnie nie miała biustu albo jeśli uznawano by ją za brzydulę. Wiedziała, że dłużej nie zniesie takiego traktowania. Na domiar złego pracodawcy kazali jej odrobić zmiany za okres, gdy nie chodziła do pracy z powodu poronienia i kiedy uszkodziła

kręgosłup po brawurowym pościgu za piratem drogowym. Ponadto musiała zwrócić pieniądze, które otrzymała od państwa w ramach odszkodowania za wypadek przy pracy. Doszło do niego, gdy zwracała na autostradzie z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę; radar oderwał się od deski rozdzielczej i uderzył ją w plecy.

Nie wiadomo, czy Ronda zdawała sobie sprawę, że nie powinna równocześnie pobierać pensji oraz dodatku za zwolnienie lekarskie. Z prawnego punktu widzenia dopuściła się oszustwa, więc pracodawca żądał zwrotu pieniędzy.

Osiemnastego października 1994 roku napisała list z rezygnacją ze stanowiska, skierowany do szefa wydziału waszyngtońskiej policji stanowej, Rogera W. Bruetta:

Chciałam należeć do policji stanowej, odkąd skończyłam szesnaście lat. To wypowiedzenie jest najtrudniejszą decyzją, jaką kiedykolwiek musiałam podjąć. Dwie najgorsze rzeczy, które spotkały mnie w tej pracy, to molestowanie seksualne i dyskryminacja ze strony przełożonych.

Śledztwo, które wszczęto przeciwko mnie, po tym jak złożyłam skargę w sprawie molestowania, dyskryminacja, odmowa wysłania na niezbędne szkolenia (pierwsza pomoc, postępowanie z nietrzeźwymi kierowcami, podnoszenie świadomości kulturowej i etnicznej), przedwczesne odebranie dostępu do skrzynki pocztowej, szafki i rzeczy osobistych w związku z przeniesieniem, a także niedostarczenie poświadczonego nakazu przeniesienia - wszystko to są dowody złej woli przełożonych mojego wydziału.

W trosce o swoje zdrowie fizyczne i psychiczne - które pogorszyło się w związku z niesprawiedliwym i nieprofesjonalnym traktowaniem (łapanie za piersi przez majora czy też wrogie środowisko pracy) składam rezygnację ze stanowiska funkcjonariusza policji stanowej ze skutkiem natychmiastowym.

Ronda podpisała list inicjałami „R. L.”.

Tym samym marzenie, którego zrealizowanie stało się jej życiowym celem, legło w gruzach.

ROZDZIAŁ 8

Mark wciąż pracował w policji stanowej, z czym jego żonie czasem trudno było się pogodzić. Nie potrafiła przestać wspominać pracy, o której zawsze marzyła, a którą bezpowrotnie utraciła. Nie mogła jednak żądać od męża, by dla niej zrezygnował z kariery.

Wiosną 1996 roku Glenda Larson załatwiła Rondzie stanowisko ochroniarza w obiekcie sieci Walmart w Aberdeen, gdzie oprócz niej pracowała także Cheryl Gilbert, która często naśladowała przyjaciółkę. Kierownik sklepu podziękował Glendzie za polecenie tak kompetentnej i pracowitej osoby. Oczywiście nie umywało się to do służby w policji stanowej, ale Ronda i tutaj wykazywała się nieprzeciętnym talentem - bez trudu dostrzegała złodziei w tłumie kupujących i entuzjastycznie podchodziła do swych nowych obowiązków.

W Walmarcie Ronda szkoliła młodszego stażem Dana Pearsona, z którym przeniosła się później do Bon Marche. „Była bardzo żywiołowa” - wspominał potem mężczyzna. „Praca z nią wiele mnie nauczyła”.

Zanim przeniosła się do Bon Marche, Dan zdążył odejść z Walmartu. Cieszył się, że znów mają okazję pracować razem. W trudnych sytuacjach zawsze przychodziła mu z pomocą; nie bała się obezwładniać rosnących złodziei. „Często działaliśmy we dwójkę” - mówił Pearson. „Niektórzy zatrzymani stawali się agresywni, a przynajmniej raz w tygodniu ktoś próbował się z nami bić. Najgorzej było w Walmarcie. Raz zgarnęliśmy kolesia, który ważył ze dwadzieścia kilo więcej ode mnie, więc od Rondy musiał być cięższy o

jakieś pięćdziesiąt. Ukraść parę dzinsów, a ona to zauważyła. Kiedy chciała go zatrzymać, próbował ją odepchnąć, ale wskoczyła mu na plecy i dosłownie wyjechała na nim ze sklepu. Niósł ją tak kilkanaście metrów. W końcu udało nam się go skuć”.

Liburdi i Pearson robili sobie psikusy przy każdej okazji. Pewnego razu Dan zobaczył mężczyznę, który pchał wózek wypełniony kartonami papierosów i nie zatrzymał się przy kasie. Kiedy wziął połowę i wyszedł, ochroniarz ruszył za nim.

Kod „500” oznaczał kradzież i na to wezwanie odpowiedziała Ronda. „Poprosiłem ją wtedy, żeby pilnowała wózka, bo facet na pewno wróci po resztę - wspominał Pearson - została więc w środku, podczas gdy ja poszedłem na zewnątrz, walczyć ze złodziejem na parkingu. Wściekła się, kiedy zobaczyła, jak wracam z nim, bo zrozumiała, że ominęła ją cała zabawa i że celowo kazałem jej zostać i wpatrywać się w wózek. Powiedziała, że obraziłem jej inteligencję. Wiedziałem, że będzie się chciała odegrać”.

Ronda ukuła własne określenie na młodszego kolegę - ponieważ nie przeszedł pełnego przeszkolenia, wzywając go, używała kodu „250” zamiast „500”. Wkrótce pozostali ochroniarze również zaczęli go tak nazywać. Nie przeszkadzało mu to, sam również się śmiał z tego żartu. Sądził, że Ronda zemściła się w ten sposób za incydent z pilnowaniem wózka.

Mylił się.

Po jakimś czasie, akurat wtedy gdy Pearson uznał, że koleżanka nie jest już na niego zła, podeszła do niego podczas przerwy i wylała mu na nogi cały kubek coli z lodem.

„Robiła takie rzeczy” - opowiadał ze śmiechem. „Miała poczucie humoru. Smarowała na przykład słuchawkę telefonu mydłem w płynie, tuż przed tym jak podeszedłem do aparatu. W pracy jednak zachowywała pełen profesjonalizm. Zawsze sprawdzała kartoteki policyjne osób, które łapaliśmy. Prowadziła naszą wewnętrzną bazę danych. Informacji na temat tych opryszków szukała w różnych miejscach”.

Niektórzy złodzieje sklepowi mieli długą historię przewinień, inni kradli po raz pierwszy. Ronda była urodzonym śledczym i pracując w ochronie, dawała z siebie wszystko. W 1997 roku ona i Dan przenieśli się do Bon Marche (późniejszego Macy's). Nosili tam dzinsy i bluzy od dresów lub płaszcze przeciwdeszczowe - jeśli wymagała tego pogoda - wtapiając się w tłum i z powodzeniem udając klientów.

Jedną z wielu pułapek, których muszą unikać pracownicy ochrony, jest zatrzymanie i aresztowanie członka mniejszości etnicznej. Trzeba szybko decydować, a później ponosić konsekwencje swojego wyboru. Pewnego razu Ronda zauważyła, jak młody Latynos idący przez dział sportowy chwycił czapkę bejsbolową wartą dwadzieścia dolarów, włożył na głowę i szedł dalej jak gdyby nigdy nic. Zatrzymała go, a on zgłosił skargę do kierownictwa sklepu, oskarżając ją o dyskryminację. Tymczasowo została przeniesiona do działu z biżuterią, ponieważ sklep unikał jak ognia podejrzeń o dyskryminację mniejszości.

„Nie mogła pozwolić mu ukraść czapki” - wyjaśniał Pearson. „Nie obchodziły jej kwestie takie jak pochodzenie, kolor skóry czy religia. Dla niej był zwykłym złodziejem”.

W przerwach Dan i Ronda rozmawiali o swoich problemach osobistych. Ich przyjaźń miała charakter czysto platoniczny, więc kobieta cieszyła się, kiedy Pearson oznajmił, że się żeni. On także życzył jej jak najlepiej.



Wtedy właśnie małżeństwo Liburdich definitywnie się rozpadło. Po ośmiu latach spędzonych razem Ronda zaczęła podejrzewać, że mąż interesuje się inną. Kobieta z agencji nieruchomości, którą wynajęli, aby sprzedała dom matki Marka, zdawała się odnosić do niego zbyt poufale. Żona próbowała stłumić budzące się w niej podejrzenia, przekonując samą siebie, że wpada w paranoję. Nie chciała żegnać się z ranczem, które tak kochała.

Ona nigdy nie zdradziła męża; kiedy już się z kimś związała, zawsze dochowywała wierności. Nie mogła jednak znieść nasilających się podejrzeń co do Marka i agentki. Okazało się, że przecucie jej nie zawiodło. Kobiety rzadko myślą się w sprawach sercowych. Zdrada to jedyna rzecz, której nie potrafiła wybaczyć.

W ten sposób doszło do rozpadu ich małżeństwa. W grudniu 1997 roku sprawa rozwodowa dobiegła końca. Dla Rondy były to smutne Święta. Mogła jednak liczyć na rodzinę i przyjaciół. Szczególnie pomocny okazał się Ron Reynolds ze Świadków Jehowy, który przez ponad rok pełnił funkcję jej powiernika i doradcy. Przez kilka lat Liburdi i Reynoldsowie mieszkali niedaleko siebie, więc pary zdążyły się zaprzyjaźnić. Żona Rona twierdziła potem, że często doradzała Rondzie, w czasie gdy ona i Mark przechodzili kryzys.

Reynoldsowie byli o kilkanaście lat starsi od Liburdich. Z czasem Ron stał się dla znajomej kimś więcej niż tylko doradcą. Gdy jej małżeństwo zakończyło się rozwodem, on i Katie także się rozstali. Mimo to mężczyzna udzielał Rondzie wsparcia duchowego i zawsze miał dla niej czas. Niejednokrotnie opowiadała Danowi, jak przemity jest Reynolds - zwłaszcza w porównaniu z jej mężem, któremu zdarzało się wybuchać gniewem.

Ronda i Glenda Larson nie lubiły, gdy na nie krzyczano, toteż po jednej sesji jazdy konnej z Markiem żadna z nich nie chciała umawiać się na kolejną. Bez wątpienia w dniu ślubu małżeństwo Liburdich łączyło coś wyjątkowego - widać to na fotografiach weselnych - lecz z biegiem lat coraz częściej dochodziło między nimi do starć wynikających z różnic charakterów i w końcu zdali sobie sprawę, że ich związku nie da się naprawić.

W 1997 roku Ronda zakochała się w Ronie Reynoldsie, a on w niej. Gdy poprosił ją o rękę, ich wspólni znajomi uznali ten krok za zbyt pochopną decyzję. Ale zakochani mieli inne zdanie. Zaręczyli się i planowali wziąć ślub w 1998 roku.

Była pani Liburdi zachowała status rozwódki tylko przez miesiąc. Sądziła, że u boku nowego mężczyzny znalazła bezpieczną przystań.

Dan Pearson obserwował koleżankę przez pierwsze miesiące po ślubie i poczuł ulgę, widząc, że pomimo szybkiego ślubu i różnicy wieku, jaka dzieliła ją i męża, jest szczęśliwa i tryska energią.

Oczywiście pojawiały się drobne problemy, lecz Ronda wierzyła, że wspólnie z mężem je pokonają. Kiedy pod koniec lata 1998 roku wyprowadzili się z McCleary, Ron sprawił sobie „prezent ślubny”: czerwonego mustanga typu kabriolet. Szybko jednak go zniszczył, uderzając z dużą prędkością w barierkę na autostradzie. Niezrażony tym wypadkiem, kupił sobie nowego pikapa.

Ronda powiedziała Danowi, że zdenerwowała się, gdy odkryła, że mąż wpłacił kaucję za byłą żonę, którą aresztowano pod zarzutem posiadania narkotyków. „Martwiła się o swoje rachunki - opowiadał Pearson. „Podejrzewała, że Ron ich nie opłaca, chociaż oddawała mu całą wypłatę”.

Kobieta odkryła też, że Katie Huttula Reynolds używała jej karty kredytowej z Bon Marche. „Wystarczyło tylko znać numer karty - wyjaśniał kolega Rondy - a nietrudno było go zdobyć. Z tego co wiem, korzystała nawet ze zniżki dla pracowników”.

Pearson starał się pocieszać i wspierać koleżankę, gdy rozmawiali w pracy o jej problemach. Miesiąc przed śmiercią zadzwoniła do niego z autostrady. „Skończyła jej się benzyna” - opowiadał. „Powiedziała, że pokłóciła się z Ronem i wyszła z domu w środku nocy. Pojechałem więc ją stamtąd zabrać”.

Był jedną z ostatnich osób, z którymi rozmawiała. Zadzwoniła do niego 15 grudnia i powiedziała, że bierze kilka dni wolnego, ponieważ jedzie do rodziny w Spokane.

„Spytała, czy po powrocie będzie mogła zatrzymać się na trochę u mnie i żony. Wydawała się zdenerwowana, ale z pewnością nie była załamana. Powiedziała, że odchodzi od męża i nie chce wracać do domu. Oczywiście zapewniłem ją, że może zatrzymać się u nas tak długo, jak zechce”.

Nazajutrz szef Pearsona pojawił się w jego domu, żeby przekazać tragiczną wiadomość: Ronda została znaleziona martwa; przyczyną śmierci była rana postrzałowa głowy.

„Zacząłem płakać” - mówił Dan, a jego oczy zaszkliły się na wspomnienie tamtego dnia. „Wszyscy, którzy z nią pracowali, bardzo to przeżyli. Na jej pogrzeb chciało iść tylu ludzi z Bon Marche, że firma musiała podstawić autobusy”.

ROZDZIAŁ 9

Niestety, w grudniu 1998 roku Ronda ponownie znalazła się na zakręcie. Jej życie kolejny raz nie potoczyło się tak, jak planowała. Miała za sobą już jedno małżeństwo - z Markiem Liburdim - a wkrótce czekał ją rozwód z Ronem Reynoldsem.

Mężczyzną, który kochał ją przez cały ten czas, był David Bell. Nie kontaktowali się ze sobą przez kilka miesięcy, ale wreszcie mógł się z kimś związać, ponieważ wygrał walkę o synów. Wciąż marzył o życiu z Rondą, ale ona - nieświadoma jego uczuć - znalazła oparcie emocjonalne i duchowe w Reynoldsie.

Gdyby nie tragiczny koniec, ich relacje można by porównać do szekspirowskiej komedii pomyłek, której bohaterka wskutek intryg i zbiegu okoliczności wychodzi za niewłaściwego mężczyznę. Tym razem zawinił pośpiech. Ronda mogła przecież poczekać z decyzją i nie wiązać się z nikim tuż po rozwodzie. Nie zdawała sobie jednak sprawy z tego, jak bardzo jest silna i inteligentna. W rzeczywistości, aby poczuć się szczęśliwą i bezpieczną, wcale nie potrzebowała mężczyzny.

Barbara Thompson rozumiała to i wiedziała, że Bell jest idealnym mężczyzną dla jej córki. „To jakby Bóg otworzył przed nią drzwi do życia, którego nie potrafiła sobie nawet wymarzyć” - mówiła. „Ale, podobnie jak Dave, nie miała szansy posmakować tego szczęścia. Dla nich było już za późno”.



Teraz, 17 grudnia 1998 roku, Bell i Thompson jechali Twin Peaks Drive. Kobieta widziała, jak twarz jej towarzysza zbladła, gdy przed nimi pojawił się jednopoziomowy dom z cegły wyłożony sidingiem. Jasnoniebieski kolor frontowej ściany - pomysł Rondy - oraz duże półkoliste okna czyniły z niezbyt atrakcyjnego budynku domek jak z bajki. Teraz zdawała się zacieniać go niewidzialna chmura.

Barb zauważyła, że trawa przed domem pożółkła i zrzedła. Przypomniała sobie fotografię przedstawiającą posadzone przez jej córkę pomiędzy jałowcami Pfizera a niskimi krzewami berberysu różowe kwiaty. Zostały po nich jedynie brązowe bezlistne gałęzie. Rosły też tam duże rośliny, których dotąd nie przesadzono z donic. Zapewne były to chryzantemy, obecnie zbrązowiałe i przemarznięte.

Ronda dowiedziała się, że mąż zdradza ją z Katie, jeszcze na wiosnę i we wrześniu omawiała z matką swoje problemy. Nie czuła się wtedy gotowa, by od niego odejść, także z powodów finansowych - nadal przekazywała mu swoje zarobki. Ron twierdził, że płaci jej rachunki i reguluje bieżące opłaty za dom. Mogła mieć tylko nadzieję, że mówi prawdę.

Wciąż liczyła na to, że małżeństwo da się uratować - dopóki późną jesienią nie odkryła, że mąż wcale nie płacił rachunków. Okłamywał ją w wielu kwestiach. Może właśnie wtedy przestało jej zależeć na pielęgnowaniu trawnika i ogródka. Zaniedbane kwiaty oddawały rozczarowanie i smutek właścicielki.

Wzdłuż ścieżki prowadzącej do domu oraz na ganku stały figurki króliczków i innych pociesznych stworzeń. Ronda je uwielbiała. Barbarze na ich widok do oczu napłynęły łzy. Pamiętała, że detektywowi Berry'emu zależało, by rozmawiała z Ronem sama, nie wiedziała jednak, czy starczy jej sił.

Spojrzała na Dave'a. Miał załzawione oczy i drżały mu ręce. Mimo dwudziestoletniego doświadczenia w policji był bliski załamania. Starał się jak mógł, lecz nie potrafił ukryć swojego cierpienia.

- Chyba rzeczywiście tu poczekam - powiedział.

Nie mogła prosić, by wszedł z nią do środka. Woląta nie wyobrażać sobie, przez co przechodzi. Zastanawiała się, czy czuje się winny, ponieważ nie uratował Rondy. Byłoby zupełnie zrozumiałe, gdyby mężczyzna taki jak Dave żałował do końca życia tego, że nie namawiał przyjaciółki, by pojechała do niego, zamiast nocować w domu. Barb również miała poczucie winy. Wciąż dręczyły ją pytania: czy istniało coś, czego nie dostrzegła; czy mogła coś zrobić, by nie dopuścić do śmierci córki?

Zauważyli, że na podjeździe stoi kilka samochodów. Nowy pikap Rona oraz suzuki tracker Rondy. Zaparkowanego tam forda taurusa odziedziczyła po ojcu w maju zeszłego roku. Nie wiedzieli, do kogo należał czwarty pojazd.

Z prawej strony budynku dobiegło ich szczekanie zamkniętych w kojcach psów. Ronda nigdy nie zostawiłaby ich samym sobie - ten argument także przemawiał przeciwko teorii o samobójstwie.

Jack Russell terrier przebywał w jednej części zagrody, a dwie rottweilerki - Jewel i Stara Daisy - w drugiej. Barb wciąż nie mogła uwierzyć, że ta pobita lub potrącona przez samochód suka wybrała akurat dom Rondy, która oczywiście natychmiast ją pokochała. Ten zimny grudniowy dzień dawał się starej psinie we znaki. Ron za nic nie wpuściłby psów do domu. Bardzo się złościł, kiedy żona postanowiła zatrzymać Starą Daisy.

Ronda starała się trzymać psy z dala od niego, by go nie denerwować. Zmieniała pory karmienia tak, żeby zwierzęta nie hałasowały rankiem i nie budziły męża.



Barb postanowiła mieć oczy i uszy szeroko otwarte i nie wykluczać żadnej możliwości. Zaczęła nawet zastanawiać się, czy mogło stać się coś strasznego, co popchnęło córkę do odebrania sobie życia.

Kiedy zbliżała się do drzwi frontowych, myślała o sobie jak o „Potężnej Mścicielce” posiadającej supermoce.

Jeśli ktoś zastrzelił Rondę, była gotowa chwycić go za gardło (wyobrażała sobie, że zabójca jest mężczyzną) i „wyszarpać z niego życie”. „Widziałam oczami wyobraźni, jak jego małe świńskie oczka wychodzą na wierzch ze strachu, a życie uchodzi z niego w mgnieniu oka” - opisywała.

W jej sercu walczyły ze sobą gniew i żal. Starła się stłumić oba uczucia i zachować zimną krew. Zapukała do drzwi, a dźwięk ten jeszcze przez chwilę rozbrzmiewał jej w uszach. Uderzyła pięścią jeszcze raz - mocniej.

W końcu drzwi się otworzyły i stanął przed nią jej zięć. Miał na sobie T-shirt i dresowe spodnie. Choć niedawno minęło południe, Barb zdała sobie sprawę, że wyciągnęła go z łóżka. Wyglądał na zdziwionego i zmieszanego.

- Musimy porozmawiać, Ron - oznajmiła chłodno.

Zaprosił ją do środka, po czym na chwilę się oddalił. Weszła do korytarzyka prowadzącego do salonu. Po lewej znajdował się drugi hol, a za nim sypialnie. Salon oddzielał od kuchni i jadalni barek. Rozejrzała się i poczuła ukłucie w sercu, gdy dostrzegła jedno z cennych siedel córki.

Wszystkie meble w salonie należały do Rondy - kanapa, fotel, szafka pod sprzęt RTV oraz duży telewizor, stoliki, lampy - wszystko. Początkowo kobieta zdziwiła się, lecz potem przypomniała sobie, że poprzednia żona Reynoldsa dostała po rozwodzie ich dom oraz wszystkie meble. Ponoć Katie zasądzone także ogromne zadośćuczynienie finansowe, niemal sto tysięcy dolarów. Ron był wściekły, lecz z matką pięciorga dzieci i kobietą z dwudziestoletnim stażem małżeńskim nie miał w sądzie żadnych szans.

Barb zajrzała do jadalni i zobaczyła w rogu dużą gablotkę w chińskim stylu, również należącą do jej córki. Półki zostały niemal całkowicie opróżnione. Zastanawiało ją, gdzie podziały się kosztowności

Rondy oraz zdjęcia, które wisiały na ścianach. Pozostały po nich tylko jasne plamy.

„No tak - pomyślała. Musiała je spakować, przygotowując się do przeprowadzki.”

Usłyszała kroki. Ron wszedł do pokoju, zapinając koszulę. Zaproponował jej kawę, ale ona nie odpowiedziała.

- Muszę wiedzieć, co się stało - wypaliła. - Jak mogło dojść do czegoś tak potwornego?

Zięć nawet na nią nie spojrział. Całą swą uwagę poświęcił parzeniu kawy. Jednak, o dziwo, zaczął mówić. Słowa wychodziły z jego ust jak po naciśnięciu jakiegoś niewidzialnego guzika. Mówił jak robot. Wydawało się, że całą wypowiedź ułożył sobie wcześniej w głowie.

- Ronda miała problemy - zaczął. - Nie była ideałem. Brakowało jej pewności siebie. Musiałem nieustannie ją podbudowywać, nawet kiedy szła na rozmowę w sprawie pracy. Ciągle powtarzała, że do niczego się nie nadaje. Nikt o tym nie wiedział, ale ona także miała swoją mroczną stronę. Potrafiła być okrutna, manipulować ludźmi, rzucać kąśliwe uwagi. Cierpiała na mitomanię i depresję maniacką. Sama się do tego doprowadziła. Nie widziała innego wyjścia.

Barb ledwo mogła oddychać. Nawet gdyby w tym przemówieniu tkwiło choćby źdźbło prawdy, jak mógł być tak okrutny? Zdawał się czerpać przyjemność z wyliczania okropnych cech, w których istnienie wierzył. Cóż mogło być gorszego niż wygłaszanie takich opinii o zmarłej osobie w rozmowie z jej matką?

Przypomniała sobie, jak Jerry Berry prosił ją o opanowanie i niezadawanie zbyt wielu pytań. Z trudem zebrała myśli.

- Jak ją znalazłeś? - spytała spokojnym głosem. W rzeczywistości miała ochotę zwyzywać go i rzucić się na niego z pięściami. Jak śmiał oczerniać jej zmarłą córkę?

Zachowała jednak kamienną twarz.

- Staralem się nie pozwolić jej zasnąć - odparł Reynolds. - Udało mi się do piątej. Nie chciałem zostawiać jej samej, bo bałem się, że coś sobie zrobi. Ale chyba zasnąłem. O szóstej usłyszałem budzik. Ronda nie leżała obok mnie. Poszedłem jej szukać. Myślałem, że jest w kuchni i karmi psy.

Barb wiedziała, że córka zmieniła porę karmienia na wieczór. Mogła wprawdzie chcieć nakarmić je przed samym wyjazdem do Spokane, w obawie że Ron zapomni tego zrobić - lecz prędzej poprosiłaby o to jedną z koleżanek.

Nie skomentowała słów zięcia.

Detektyw Berry powiedział jej, że Reynolds zadzwonił pod 911 dwadzieścia po szóstej. Dom nie był na tyle duży, żeby szukać w nim kogoś przez dwadzieścia minut, a Ronda znajdowała się tuż obok, w garderobie przylegającej do łazienki. Dlaczego nie zajrzał najpierw tam? Barb dowiedziała się także, że ciało leżało w pozycji uniemożliwiającej zamknięcie drzwi do pomieszczenia. Jak mógł tego nie zauważyć?

Kobieta wpatrywała się w niego, czekając, aż na nią spojrzy, ale zięć unikał kontaktu wzrokowego. Nie chciał nawet patrzeć w jej stronę. Kierował wzrok na miejsca znajdujące się nisko: blat kuchni, ścianę, kanapę, a nawet podłogę. Ale ani razu na nią.

Barb tymczasem przewiercała go spojrzeniem na wylot, lecz on nie zamierzał patrzeć jej w oczy.

Zdziwiona spokojnym tonem, na jaki się zdobyła, spytała:

- Dlaczego to zrobiła? Kłóciliście się?

Mężczyzna wykorzystał drugą okazję, by potępić żonę.

- Ehm... - wymamrotał - rozmawialiśmy o separacji. I... hm... Okłamała mnie, straciłem do niej zaufanie. Korzystała z moich kart kredytowych i narobiła strasznych długów. Rozmawialiśmy o tym i powiedziałem, że już jej nie ufam. Uświadomiłem jej, że to, co zrobiła, jest przestępstwem i grozi jej za to więzienie.

- Czy dała ci wcześniej do zrozumienia, że może odebrać sobie życie? Dostrzegłeś jakieś symptomy?

- Zamierzała ode mnie odejść - odparł. - Chcieliśmy na jakiś czas od siebie odpocząć. Tamtego dnia umówiłem się do lekarza w Olympii, a kiedy wracałem, zadzwoniła do mnie na komórkę. Rozmawialiśmy przez czterdzieści pięć minut. Powiedziała wtedy, że chce się zabić.

„To zadziwiająca informacja. Czyżby Ron nie wiedział, że ta rozmowa odbywała się przy świadku, Davidzie Bellu? Być może nie. A może rozmawiali z Rondą, zanim Bell przyjechał do Toledo. Zapis połączeń telefonicznych wyjaśni tę kwestię.”

Dave twierdził, że Ronda zadzwoniła do męża ze swojej komórki, kiedy jeździli po okolicy we wtorkowe popołudnie. Słyszał każde jej słowo i twierdził, że nie mówiła nic o samobójstwie. Poza tym rozmowa nie trwała trzy kwadranse. Była to krótka wymiana zdań, podczas której spokojnie omawiali szczegóły separacji. Wersja Rona różniła się diametralnie od wspomnień Bella.

- Skoro groziła, że się zabije, to dlaczego nie zadzwoniłeś na policję? - naciskała Barb.

Odpowiedź ją zszokowała.

- Myślałem o tym. Chyba trzeba było tak zrobić. Ale stwierdziłem, że jeśli nie zrobi tego teraz, to pewnie i tak spróbuje później. Dlatego pojechałem na obiad, a potem do szkoły na przedstawienie bożonarodzeniowe.

Gdy Barb starała się przyswoić jego słowa, w innej części domu dobiegły ją jakieś głosy - być może należały do synów Rona. Trzech młodszych chłopców mieszkało z ojcem i Rondą. Słyszała jednak, że obecnie przebywali w domu swojej matki.

Reynolds pospieszył z wyjaśnieniem, że gdy wrócił do domu ze szkoły, nie odstępował Rondy na krok. Najwyraźniej jego obojętność wobec cierpień żony nagle ustąpiła miejsca empatii.

- Zostałem przy niej przez resztę nocy, trzymałem ją blisko siebie - powiedział. - Przytulałem ją i powtarzałem, że rano porozmawiamy na spokojnie.

Barbara zobaczyła ruch w korytarzu. Spojrzała w tamtą stronę, spodziewając się któregoś z chłopców. Jednak to nie byli oni. Z tego samego pokoju, do którego zięć poszedł wcześniej się przebrać, wyszła szczupła kobieta w szlafroku. Barb rozpoznała Katie Huttulę Reynolds, była żonę Rona i matkę jego pięciu synów.

ROZDZIAŁ 10

Ron Reynolds i jego była żona nie byli zawstydzeni tym, że matka zmarłej zastała ich w niedwuznaczej sytuacji w trzydzieści pięć godzin po tragedii, która się rozegrała w tym domu. Najwyraźniej spali w pokoju, obok którego nie tak dawno temu Ronda wydała ostatnie tchnienie. Barbara patrzyła na Katie Reynolds, nie mogąc wydusić słowa. To, co zrobili, można porównać do spania na grobie.

„Dlaczego policja nie zabezpieczyła domu, dopóki upewniono się, że zostały zebrane wszystkie dowody?”

Katie wyglądała na wychudzoną. W przeszłości musiała być ładna, lecz teraz jej oczy wyrażały jedynie pustkę, a skóra była biała jak ściana. Podeszła do Barb i objęła ją poufale w pasie. W dłoń zdziwionej kobiety wcisnęła zgnieciony kawałek papieru.

„W zasadzie powinnam jej współczuć - wspominała potem Barb - ale nie mogłam się na to zdobyć. Wydawało się, że Ron ma nad nią całkowitą kontrolę. To zrozumiałe, przecież żyła z nim przez ponad dwadzieścia lat i urodziła mu pięciu synów”.

- Napisałam wiersz dla Rondy - wyszeptwała Katie. - Weź go. Była mi bardzo bliska.

Barb nie wierzyła własnym uszom. Tych dwoje przekroczyło wszelkie granice. Uświadomiła sobie, iż zaciska zęby tak mocno, że rozboleły ją szczęki. Ron najwyraźniej chciał jak najszybciej zapomnieć o swojej młodej żonie... choć zamierzał zatrzymać jej meble.

- Co z pogrzebem? - spytała cicho. - Planowałeś już coś?

- Nie - odpowiedział sucho.

Zdawał się poirytowany samą myślą, że miałby zostać obarczony tak uciążliwym obowiązkiem.

- Ronda chciałyby zostać skremowana - powiedziała Barb. - Jednak jeśli zdecydujesz się tego nie robić, chciałybym zabrać jej ciało do Spokane i tam ją pochować.

Oczekiwała, że obudzą się w nim w końcu jakieś ludzkie odruchy, cień troski o jej uczucia.

- Nie obchodzi mnie, co zrobicie z ciałem - odparł, wzruszając ramionami. - Bylebym nie musiał za to płacić...

I nagle, pomimo całego cierpienia, Barb poczuła pocrzepiającą obecność Boga. Wiedziała, że znajdzie w sobie siłę, by znieść wszystko - cokolwiek stanie na przeszkodzie w walce o pomszczenie śmierci Rondy. Zamierzała znaleźć odpowiedzi na wszystkie rodzące się w jej głowie pytania, nawet gdyby musiała zmierzyć się z mrocznymi sekretami córki.

Działając jak na autopilocie, naciskała dalej.

- A co z jej rzeczami? Mogę je zabrać? Psy? Biżuterię?

- Psy tak - odpowiedział szybko. - Na pewno chciałyby, żebyś ty się nimi zajęła. Miała dużo drogiej biżuterii, ale nie możesz jej wziąć. Będę musiał ją sprzedać, żeby pokryć wydatki. Resztę rzeczy zapakuję w pudła.

Jakie wydatki? - zdziwiła się Barb. Nie zamierzał przecież płacić za pogrzeb żony. Zapewne odziedziczy też ich dom. Nie chodziło jej o pieniądze; część tej biżuterii miała wartość sentymentalną, więc to nie on powinien nią rozporządzać. Poza tym co z piętnastoma tysiącami dolarów, które Ronda wyłożyła na dom? Być może część przedmiotów mogłaby stanowić dowód w sprawie i przyczynić się do znalezienia odpowiedzi przynajmniej na niektóre pytania.

Następnie Ron powiedział coś, czym skierował podejrzenia na siebie, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

- Może tego nie wiesz - zaczął, przygotowując się do wygłoszenia kolejnej krytyki pod adresem żony - ale dowiedziałem się, że nie zapłaciła raty ubezpieczenia na życie za grudzień, musiałem więc zrobić to za nią. Nadałem pieniądze, zanim wczoraj o wpół do

czwartej listonosz odebrał listy ze skrzynki. Okłamała mnie i w tej kwestii.

Po raz pierwszy w głosie zięcia pojawiły się jakieś emocje. Gniew. Najwyraźniej bardzo zależało mu na pieniądzach z ubezpieczenia. Opłacenie raty po śmierci żony było nie do końca zgodne z prawem.

Na tym nie kończyły się jego wyrzuty.

- Dała mi do zrozumienia, że jej ubezpieczenie opiewa na trzysta tysięcy dolarów, ale okazało się, że wykupiła tylko na pięćdziesiąt. Kiedy zmieniła pracę, nie wysłała do ubezpieczyciela formularza z wnioskiem o przekierowanie pobierania płatności.

Tak naprawdę Ronda podpisała zlecenie, zmieniając formę płatności z automatycznego potrącania raty z jej poborów na płatność osobistą. Usunęła z polisy swego brata i jako głównego beneficjenta wskazała Rona. Nie zwiększyła jednak kwoty, na którą się ubezpieczała. Pracownik firmy ubezpieczeniowej, spoglądając na podpis na formularzu, wyraził powątpiewanie, czy należy on do Rony.

Ron bardzo przejmował się pieniędzmi - być może bardziej niż śmiercią żony. Barb ugryzła się w język, by nie powiedzieć tego na głos. Czy to możliwe, że zięć nie otrząsnął się jeszcze z szoku po tej nagłej stracie? Znacznie łatwiej byłoby jej zaakceptować takie wyjaśnienie bulwersujących tyrad Reynoldsa. Jak mógł zachowywać się tak obojętnie i tak chętnie wykreślać Rondę ze swojego życia? Przecież kochała go i początkowo patrzyła z optymizmem na swoje drugie małżeństwo. Musiał coś do niej czuć jedenaście miesięcy wcześniej.

- Czy mogę skorzystać z jej wozu?

Barbara miała nadzieję, że znajdzie w nim jakieś ślady, coś, co mogłoby pomóc w wyjaśnieniu wydarzeń poprzedniego dnia.

- Nie - odparł natychmiast. - Muszę go zatrzymać. Jest na moje nazwisko.

- Przyleciałam tu samolotem, Ron. - Starła się znaleźć argument, który mógłby go przekonać. - Nie mam samochodu. Pomyślałam, że gdybym go teraz wzięła, mogłabym zabrać psy.

- W takim razie zgoda. Poproszę chłopców, żeby wypakowali z niego rzeczy.

Tego nie chciała. Jeśli synowie Reynoldsa oczyszczą auto i zabiorą rzeczy Rondy, mogą niechcący lub celowo usunąć także potencjalne dowody. Lepiej niech biuro szeryfa zdobędzie nakaz przeszukiwania i dokona go, zanim ktokolwiek ruszy wóz. Powiedziała więc zięciowi, że wolałaby jednak wstrzymać się z tym do czasu, aż znajdzie miejsce, w którym mogłaby umieścić psy.

- Czy będę mogła zabrać chińską gablotkę? Dostała ją od babci.

Z pewnością nie będzie tak chciwy, żeby zatrzymać i ten mebel.

- Musi zostać. Kupiliśmy do jadalni stół, który idealnie do niej pasuje.

Barb nie wiedziała, jak długo przebywa w domu córki, ale zanotowała w pamięci, że zięć ani razu nie spojrzął jej w oczy. Gdy odwrócił się do niej plecami, powiedziała, że zostanie w Toledo przez kilka dni, więc jeśli chce się z nią skontaktować, musi zadzwonić do Spokane i zostawić wiadomość.

- Zorientuję się w kwestii organizacji pogrzebu i powiadomię cię - powiedziała na pożegnanie.

Spojrzała na Katie i zdobyła się na uśmiech. Był wymuszony, lecz tamta zdawała się tego nie dostrzegać. Może miała dobre intencje, ale przeszła pranie mózgu.

Barb wyszła na zewnątrz i wsiadła do samochodu Dave'a. Rozprostowując pomięty świsstek papieru, zastanawiała się, co też Katie mogła napisać w swym wierszu. Bell przyglądał się jej ze zdziwieniem.

Tekst nosił tytuł *Tragiczny smutek*. Autorka przedstawiła w nim siebie jako kogoś, kto zawsze pomagał Rondzie. Ostatnia zwrotka wiersza brzmiała:

*Gorzko oplakuję jej tragiczną śmierć.
Choć gnębiły ją strach i troski,
Miała w sobie pokłady miłości.
Całe mnóstwo dobroci
W niej było, a mało złości.
Jak siostrę ją ukochałam
I szlocham, skoro odeszła.
W piosnkę te słowa oblekę:
Śnij słodko, moja najdroższa.*

Barb nie mogła się nadziwić tupetowi Katie. Kobieta wręczyła jej ten przesłodzony wiersz - w którym deklaruje żal z powodu śmierci Rondy - chwilę po tym, jak wyszła z łóżka zmarłej.

- Nie powiedział, że kochał Rondę - odezwała się do Dave'a - ani że jest mu przykro.

ROZDZIAŁ 11

O pierwszej po południu Dave Bell i Barb Thompson wrócili do biura Jerry'ego Berry'ego. Wciąż oszołomiona tym, jak została przyjęta w domu zięcia, odczytała na głos notatki, które sporządziła natychmiast po wyjściu. Stwierdziła, że Ron nie tylko nie wydawał się przejęty śmiercią Rondy, ale obrzucił zmarłą błotem, obrażając jej pamięć. Interesowała go wyłącznie jego sytuacja finansowa. Po śmierci żony opłacił jej ubezpieczenie. Wyznał też, że zatrudnił adwokata, ponieważ chciał mieć pewność, że otrzyma po Rondzie należną jej sumę ze sprzedaży domu w McCleary, który dzieliła z Markiem Liburdim. Berry zanotował sobie, by to sprawdzić.

Detektyw nie zdziwił się, słysząc o zachowaniu Reynoldsa. Poprzedniego dnia bowiem sam zauważył, że wdowiec zachowywał się nadzwyczaj powściągliwie. Fakt, nie utrudniał śledztwa, pozwolił nawet, żeby Berry wrócił do jego domu, by raz jeszcze obejrzeć i zmierzyć garderobę, w której zginęła Ronda. Na pewno jednak nie wyglądał na osobę pogrążoną w rozpacz.

- Od jak dawna pani córka wiedziała, że mąż zamierza zakończyć ich małżeństwo? - spytał Berry.

- Na pewno nie dowiedziała się w dniu śmierci. To nie była żadna niespodzianka - odparła ostrożnie Barb. - Kiedy rozmawialiśmy w sobotę 13 grudnia, powiedziała mi, że Ron wraca do Katie i że wie o tym od kilku dni. Ale nie układało im się już od paru miesięcy. Nalegałam, żeby sprawdziła, czy pieniądze, które mu dawała, na pewno przeznaczal na opłacanie rachunków.

Berry chciał kontynuować tę rozmowę, ale miał ważne spotkanie. Nie powiedział gościom, gdzie się wybiera, ponieważ chodziło o sekcję zwłok Rondy - nie chciał, by za jego sprawą w umyśle matki kolejny raz pojawił się obraz jej martwego dziecka.

Tego popołudnia, w czwartek 17 grudnia, lekarz medycyny sądowej doktor Dan Selove, miał wykonać autopsję Rondy Reynolds. Został wezwany z hrabstwa Snohomish leżącego na północ od Seattle, ponad sto sześćdziesiąt kilometrów od hrabstwa Lewis. Jako „objazdowy patolog” często zatrudniany był przez mniejsze hrabstwa stanu Waszyngton, kiedy tamtejsza policja potrzebowała opinii eksperta. W biurze koronera nie pracował nikt, kto mógłby dokonywać sekcji. Terry Wilson posiadał jedynie kwalifikacje asystenta lekarza.

W tej autopsji koroner nie zamierzał brać udziału. Zastąpiła go Carmen Brunton. Na miejscu obecni byli także detektyw Glade Austin oraz Jerry Berry.

Doktor Selove spojrzął na ciało leżące na stole operacyjnym. Denatka miała niecałe sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, a jej wagę oszacował na około sześćdziesiąt pięć kilogramów. Wydawała się ładna, ale zauważył to dopiero po zmyciu krwi z twarzy i blond włosów z brązowymi odrostami. Miała na sobie piżamę - górna część zupełnie zeszytniała od zaschniętej krwi - a pod nią fioletowe figi.

Najwyraźniej należała do kobiet bardzo dbających o wygląd: świadczyły o tym starannie przycięte włosy, zapewne po niedawnej wizycie u fryzjera, oraz tipsy. W oczy rzucał się zadarty paznokieć środkowego palca lewej ręki. Czy kula, która ją zabiła, zniszczyła także paznokieć? A może kobieta walczyła z kimś, próbując ratować życie? Istniało kilka wskazówek sugerujących, że doszło do użycia przemocy - oprócz uszkodzonego paznokcia były to dwa świeże siniaki na kolanie i pieszczelu lewej nogi. Mogły się pojawić kilka godzin przed śmiercią.

Patolog przyjrzał się urazowi niedaleko prawego ucha. Szybko ustalił, że jest to rana wlotowa. Wokół niej na skórze nie było śladów prochu ani innego osadu z wnętrza broni, dlatego zaklasyfikował ją jako ranę kontaktową.

Przed pociągnięciem za spust ofiara - bądź też ktoś inny - umieściła broń przy samej skórze. Według doktora Selove'a tor kuli biegł od prawej do lewej, odchylając się lekko w dół i ku tyłowi czaszki, a więc nie przeszła przez centralną część mózgu.

Badanie pośmiertne wykazało, że Ronda była - o ironio - w doskonałej formie fizycznej, nim pocisk rozerwał prawą część jej mózgu i zatrzymał się w tylnym lewym płacie. Zdaniem Selove'a śmierć kliniczna nastąpiła tuż po tym, jak kula przecięła rdzeń kręgowy. Dlatego też po postrzale ofiara nie mogła ruszać kończynami.

Stan serca, płuc, wątroby, nerek, układu moczowego i płciowego określono jako normalny. Kobieta przeszła jednak wiele poronień, choć lekarze nie potrafili wskazać bezpośredniej przyczyny tych problemów. Także doktor Selove nie dostrzegł żadnej wyraźnej deformacji narządów, która mogłaby przeszkodzić w donoszeniu ciąży do końca.

Berry poprosił o pobranie wymazów z ust, pochwy i odbytu kobiety. Selove dodatkowo pobrał także wycinki spod paznokci u rąk. Ku zaskoczeniu wszystkich okazało się, że w pochwie znaleziono niewielką ilość spermy z aktywnymi plemnikami. A zatem kilka godzin przed śmiercią Ronda odbyła stosunek lub też została zgwałcona. To wyjaśniałoby siniaki na kolanie. Ponieważ w 1998 roku dziedzina badań DNA była jeszcze w powijakach, śledczym nie udało się dopasować nasienia do konkretnego mężczyzny, dzięki analizie ten substancji mogli jednak ustalić grupę krwi.

Stężenie pośmiertne było już zaawansowane. Nikt nie miał wątpliwości co do przyczyny śmierci, ale wciąż bez odpowiedzi pozostawały pytania: „dlaczego”, „kiedy” oraz „z czyjej ręki”.

W lewej dłoni Rondy znaleziono włókna przypominające włosy oraz identyczne włókno zaczepione za złamany paznokieć. Czy próbowała zasłonić się przed strzałem? Jeśli spałaby z lewą ręką pod głową, kula nie zniszczyłaby paznokcia, ponieważ nie przeszła przez czaszkę na wylot.

Włosy lub włókna koca mogły stać się ważnym dowodem rzeczowym lub - równie dobrze - nie oznaczać zupełnie nic. Austin i Berry starali się zachować wszystko, co przydałoby się w śledztwie. Zabezpieczyli i opisali każdą rzecz, która mogła posłużyć jako dowód na poparcie teorii samobójstwa - lub zabójstwa.

Ponieważ mąż zmarłej powiedział Barbarze, że nie obchodzi go, co stanie się z ciałem, kobieta postanowiła, że jej córka zostanie skremowana.



Barb zadzwoniła do swojej matki, choć trudno było jej z nią rozmawiać, ponieważ nie mogła przekazać żadnych pocieszających informacji. Następnie zatelefonowała do Skeetera. Z jego głosu wynioskowała, że bardzo cierpi z powodu bólu. Doglądał już rancza, nie czekając na jej syna, i przyznał, że środki przeciwbólowe, które przepisał mu lekarz, nie działają.

Skeeter nie był miłością życia Barbary, lecz wnosił do jej świata życzliwość i ciepło, których tak bardzo potrzebowała. Bez wahania wspierał ją we wszystkich decyzjach. Borykał się także z własnymi problemami: tragiczną śmiercią żony, chorobą alkoholową i pogarszającym się stanem zdrowia. Mimo to stanowił nieocenione wsparcie i dawał jej siłę do dalszej walki.

Barb poznała Skeetera przez swoją przyjaciółkę, Sandy. Miała córkę, Pauline, i osiemnastoletniego syna, który wskutek wypadku doznał poważnego urazu mózgu. Został całkowicie sparaliżowany, a matka opiekowała się nim na pełny etat. Później pomagała Barbarze w opiece nad babcią Virginia.

Podobnie jak wiele innych osób pukających do drzwi Thompson, Sandy potrzebowała pomocy z koniem. Pożyczyła kucyka Pauline znajomej i teraz trzeba było go przewieźć z powrotem. Matka Rondy, jak zawsze, zgodziła się bez namysłu.

W 1991 roku Skeeter i jego żona mieli poważny wypadek samochodowy; auto jadące z przeciwka zjechało na ich pas, w wyniku czego doszło do zderzenia czołowego. Kobieta zginęła na miejscu, a mężczyznę w stanie krytycznym przetransportowano helikopterem do szpitala Deaconess w Spokane. Miał złamany kręgosłup i zapadł w śpiączkę na tak długo, że ominął go pogrzeb żony. W końcu się wybudził, lecz jego kręgosłup nie wyleczył się do końca i przez resztę życia dokuczał mu silny ból.

„Nie znałam go wtedy” - wspominała Barb. „Pracował jako mechanik i okazał się najlepszym specjalistą, z jakim kiedykolwiek miałam do czynienia. To prawdziwy geniusz”.

W 1992 roku Sandy i Skeeter mieszkali obok siebie - kobieta bardzo lubiła jego córeczkę, Cheri-Lynn. Często zabierała ją na ranczo przyjaciółki, ponieważ mała kochała konie. Czasami nawet jeździła na jednym z kucyków palomino, Spokane Gold.

Barb i jej długoletni przyjaciel, Don Hennings, rozstali się trzy lata wcześniej. Kochali się, lecz różnice charakterów okazały się nie do pokonania. Choć ich związek dobiegł końca, Don pozostał członkiem rodziny. Taki układ pasował wszystkim.

„Don prowadził Rondę do ołtarza, kiedy wychodziła za Marka. Później co kilka tygodni jeździł na ich farmę w McCleary. Pomagał doglądać koni i przywoził siano. W 1993 roku nasze uczucie po prostu się wypaliło”.

Barbara czuła się samotna, podobnie jak Skeeter. Zaprowadziła samochód do jego warsztatu i dalej - jak sama mówi - sprawy potoczyły się same. „Między nami natychmiast zaiskrzyło. Znałam już jego córkę, Cheri-Lynn. Niebawem oboje wprowadzili się do mojego domu” - opowiadała.



Ronda zginęła dwa lata po tym, jak Barb i Skeeter zamieszkali razem. Odtąd jej matka nie potrafiła myśleć o niczym innym. Na szczęście Cheri-Lynn dorosła i nie wymagała już matczynej opieki. „Skeeter zapomniał o własnym cierpieniu i pomagał mi poradzić sobie ze stratą córki” - wspominała kobieta.

Gdy zadzwoniła do niego z Toledo, zapewnił ją, że Daisy ma się dobrze. Barb wiedziała, że zawsze znajdzie czas dla tego psa. Uwielbiał suczkę prawie tak samo jak ona i nie pozwolił, by pies poczuł się opuszczony.

„Życzyliśmy sobie dobrej nocy. Potem leżałam w hotelowym łóżku, starając się zasnąć, ale sen nie przychodził. Dręczyły mnie myśli dotyczące Rondy i wyobrażenia różnych wersji tego, co stało się tamtej nocy przy Twin Peaks Drive”.

Trzy dni później znów udała się do Chehalis. Wraz z Dave'em Bellem zamierzali spotkać się na kolacji z detektywem Berrym i - być może - opracować jakiś plan. Wiedziała, że znowu będzie musiała porozmawiać z Reynoldsem i udawać, że nie podejrzewa go o spowodowanie śmierci żony.

Kobieta zamierzała powiedzieć Berry'emu o groźbach Jonathana Reynoldsa pod adresem jej córki, o niewierności Rona i jego romanse z Katie Huttulą Reynolds oraz o tym, że Ronda obawiała się zakażenia wirusem HIV, o czym wspomniała podczas ich ostatniej rozmowy telefonicznej 15 grudnia.

„Chciałam wyjaśnić detektywowi, że Ronda zrozumiała w końcu, jakim człowiekiem jest jej mąż. Zamierzałam też uświadomić go co do sumy, jaką moja córka zainwestowała we wspólny dom w Toledo. Pracowała dzień i noc, każdą wolną chwilę poświęcała na sprzątanie, malowanie i urządzenie ich gniazdka. Być może fakty te - rozważane osobno - wydają się niezbyt istotne, lecz razem ukazywały obraz Rona jako manipulatora i człowieka żadnego pieniędzy”.

Barb nie cieszyła się na pewno na kolejne spotkanie z zięciem, lecz wiedziała, że musi to zrobić. Przysięgła sobie, że nie pozwoli

mu się doprowadzić do łez - niezależnie od tego, co powie na temat Rondy. „Zastanawiałam się, czy zdradzi coś, co pomogłoby mi zrozumieć wydarzenia tamtej nocy. Musiałam się zająć przygotowaniem do pogrzebu i upewnić się, że psom nic nie grozi”.

Nie zdziwił jej widok wozu Katie przed domem, którego gospodynią jeszcze tydzień wcześniej była Ronda. Na szybach wciąż znajdował się szron, co znaczyło, że kobieta spędziła noc u Reynoldsa.

„To także mnie nie zdziwiło - stwierdziła Barb - ale nie mogłam uwierzyć, że spali w jej łóżku, kilka metrów od miejsca, w którym zmarła. Zresztą zapewne nie ograniczyli się do spania. Robiło mi się niedobrze, szczególnie na wspomnienie pseudowiersza Katie. Zmusiłam się do myślenia o czymś innym”.

Gdy usłyszała szczekanie psów, skierowała się za garaż, by się im przyjrzeć. Wydawały się zziębnięte, ale w miskach miały karmę i wodę. Wyglądało na to, że Ron zostawiał im też na noc włączone ogrzewanie. „Były takie smutne i samotne, ale obiecałam im szep-tem, że niedługo je stamtąd zabiorę”.

Tego dnia zachowywał się wobec teściowej zdecydowanie grzeczniej niż w czwartek. Zapewnił ją, że Katie i ich synowie spakowali większość rzeczy Rondy, lecz nadal nie zgadzał się na oddanie biżuterii.

- Obawiam się, że to mogłoby ściągnąć na mnie podejrzenie. Że niby miałem motyw, by ją zabić - wyjaśniał bezładnie.

Kobieta patrzyła na niego zdumiona. „O co mu chodzi?”

- Ronda kupiła komplet drogiej biżuterii - oznajmił.

Barb wiedziała o tym. Córka ceniła sobie biżuterię, którą otrzymywała w prezencie, i oszczędzała, by dokupić do kompletu pozostałe elementy. Czy Ron sądził, że będzie w stanie zataić ich wartość? (Dowiedziała się później, że zaniżył ją, podając sumę tysiąca dolarów).

- Podałem się badaniu wariograficznemu - wyznał - i nie przeszedłem go. Jerry Berry powiedział mi, że zważywszy na okoliczności,

nie jest to zaskakujące, lecz adwokat zabronił mi z kimkolwiek rozmawiać. Wiesz może, kto rzucił na mnie podejrzenie?

Po chwili zastanowienia zasugerowała, że mogła to być babcia Rondy ze strony ojca, Lavada. Mieszkała w Oklahomie, więc niełatwo było się z nią skontaktować, a Barb dbała wtedy przede wszystkim o to, by zięć przynajmniej na razie sądził, że ona mu wierzy.

Powtórzył to, co powiedział detektywom - że o piątej rano 16 grudnia Ronda żyła jeszcze i że rozmawiał z nią wówczas, pytając, czy dobrze się czuje.

- Czuwałem przy niej całą noc. Rozmawialiśmy, żeby nie zasnąć. Chciałem, by się zmęczyła i zasnęła głęboko, bo wtedy nie zrobiłaby sobie krzywdy.

Z mowy jego ciała Barb wywnioskowała, że sądził, iż całkowicie kontroluje sytuację. Uważał, że ją również przekonał, a nawet że ma nad nią pewną władzę. „Pozwoliłam mu w to wierzyć” - opowiadała potem. „Dzięki temu istniała szansa, że popełni jakiś błąd. Pewność siebie była jego największym wrogiem, ale w rzeczywistości byłam nim ja. Nie starczyło mu sprytu, żeby to zrozumieć” - mówiła z satysfakcją, wspominając swą drugą wizytę u zięcia.

Wyrecytował listę rzeczy, których nie mógł pozwolić jej zabrać, ponieważ prawnik nakazał mu nie zmieniać aktualnego stanu posiadania. Dotyczyło to także samochodu Rondy. Stwierdził, że nie może uczestniczyć w przygotowaniach do pogrzebu, ponieważ jest „zbyt zajęty”. Zaoferował jednak pokrycie części wydatków, bo czuł się „w pewnym sensie odpowiedzialny”.

Barb przygryzała wewnętrzną stronę policzków aż do krwi, by powstrzymać się od wykrzyczenia myśli, które kołatały się jej wtedy w głowie. „Chciał, żebym zabrała psy, ponieważ karma prawie się skończyła, a on nie zamierzał kupować nowej. Z trudem przeszło mi przez gardło, że nie mogę ich jeszcze wywieźć. Serce mi się krajało, ale gdybym je wtedy zabrała, nie miałabym pretekstu, by wrócić po inne osobiste rzeczy Rondy”.

Walczyła ze swym instynktem; chciała rozerwać tego człowieka na strzępy, wyrwać mu wszystkie kończyny. Uważała, że to on zabił jej córkę, i chciała widzieć jego cierpienie, lecz siłą woli utrzymywała w miarę normalny wyraz twarzy.

Ron Reynolds w końcu zgodził się zadzwonić do niej z informacją, kiedy ma przyjechać po rzeczy, które dla niej spakował. Dodał, że mogłaby zabrać już przenośne budy dla psów, żeby przygotować im miejsce. O dziwo, zgodził się, by wzięła siodło Rondy znajdujące się w salonie.

Barb skręcało na myśl, że Katie i jej synowie będą przeglądać osobiste rzeczy jej córki. Nie mogła jednak nic zrobić. Musiała zaciśnąć zęby, udawać potulną, głupią i wdzięczną, a potem wyjść.



Gdy tamtego wieczoru Dave Bell i Barb Thompson spotkali się z Berrym, opowiedzieli mu o kilku ważnych - ich zdaniem - sytuacjach, które miały miejsce w ciągu ostatniego roku. Bell wspominał między innymi, jak pewnego razu jadł obiad z Rondą podczas jej przerwy na lunch w Macy's. W tym czasie zadzwonił do niej mąż. David słyszał, co wtedy mówiła. Z tego co zrozumiał, Ron starał się przekonać ją, by została w Olympii. Stwierdził, że skoro ma pracować do późna, lepiej niech nie wraca sama po nocy.

- Spytała go, kto jest z nim w domu - relacjonował Dave.

Podejrzewała, że to Katie. Powiedziała również przyjacielowi o swych obawach związanych z HIV - i o tym, że chciała mieć pewność, iż jest zdrowa, nim rozwiedzie się z Ronem.

- Czy kiedy widział się pan z nią po raz ostatni, miała złamany paznokieć? - spytał Berry.

- Nie, widzieliśmy się we wtorek około ósmej wieczorem i wszystkie paznokcie miała jak zwykle w idealnym stanie. Kiedy jechaliśmy, siedziała obok mnie i lewą ręką trzymała moją prawą dłoń. Bardzo dbała o paznokcie i, proszę mi wierzyć, gdyby któryś

jej się złamał, na pewno by mi o tym wspomniała. Z całą pewnością mogę stwierdzić, że nie miała złamanego żadnego paznokcia. Opowiadała mi za to o wpłaconej przez nią zaliczce na kupno domu, z którego teraz musiała się wyprowadzić. Chodziło o piętnaście tysięcy dolarów.

Dave po raz ostatni rozmawiał z Rondą kwadrans przed pierwszą w nocy z 15 na 16 grudnia. Zadzwoiła do niego, by powiedzieć, że wylot z SeaTac ma o czternastej. Musiałby więc wyjechać z Des Moines o dziesiątej, by zdążyć do Toledo i z powrotem na lotnisko.

- Miała wesoły głos. Cieszyła się, że jedzie do Spokane - mówił Bell. - Powiedziała, że trochę się przespała i czuje się już lepiej. Wydawała się o wiele spokojniejsza niż wcześniej, po południu.

Sierżant z Des Moines powiedział Berry'emu, że zdenerwowało go podejście Rona Reynoldsa, kiedy rozmawiał z nim we wtorek rano w drodze do Toledo. Jego głos był rzeczowy i beznamiętny, gdy mówił: „Ronda popełniła samobójstwo”.

Spotkanie z Jerryem Berryem zakończyło się późnym wieczorem. Najbliżsi Rony utwierdzali się w przekonaniu, że została zamordowana - choć nie mogli zmusić detektywa, by to przyznał.

„W głębi duszy także to wiedział” - wspominała Barb. „Nie mógł jednak naprawić błędów, które zostały popełnione chociażby podczas oględzin miejsca zdarzenia, i znaleźć wystarczającej ilości dowodów na poparcie tego, w co wszyscy troje wierzyliśmy. Po raz kolejny zapewnił mnie, że będzie kontynuował pracę nad sprawą, i powiedział, bym w razie potrzeby kontaktowała się z nim o każdej porze”.

„Wierzyłam mu. Był uczciwym, oddanym sprawie człowiekiem”.

ROZDZIAŁ 12

Cheryl Gilbert zaferowała pomoc w przygotowaniach do pogrzebu. W końcu - jak uporczywie twierdziła - ona i Ronda były bliskimi przyjaciółkami. Teraz, zaprzyjaźniając się z jej matką, znalazła się niemal w samym centrum uwagi. zaproponowała nawet, żeby zatrzymała się u niej na jakiś czas, a Barb z wdzięcznością przyjęła zaproszenie.

Aby zająć czymś myśli, pomagała Cheryl w domu. Kiedy zamarzyły rury, wczołgała się pod podłogę i sprawdziła wszystkie wystające elementy instalacji, owinięte specjalnymi kablami grzewczymi. Znalazła miejsce, w którym doszło do spięcia w przewodach, dzięki czemu udało się naprawić system.

Cheryl, udzielając wsparcia Barbarze, zdawała się mieć szczerą intencję. Pojechała z nią nawet na Twin Peaks Drive. Ron czekał już w drzwiach i pomógł im załadować do wozu psie budy oraz kilka innych rzeczy, których nie potrzebował. Nie rozmawiali wiele, lecz zgodził się zadzwonić do biura koronera i oficjalnie przekazać pieczę nad ciałem Rondy zajmującej się pogrzebem matce. Ponieważ zbliżały się Święta, postanowili, że ceremonia odbędzie się 4 stycznia.

Reynolds ustąpił nieco i pozwolił Barb wziąć ogromne oprawione zdjęcia Rondy i Clabber Toe, jak również inne fotografie. Jej auto wypchane było budami psów, gumowymi matami dla koni i innymi rzeczami należącymi do córki - zdecydowała więc, że do Spokane pojedzie samochodem i wróci ciężarówką do przewożenia koni, by zabrać wszystkie pudła, jakie tylko Ron zgodzi się jej oddać. Zapowiedział jednak stanowczo, że nie pozwoli zabrać rzeczy „osobistych” - biżuterii, komputera i korespondencji. Zgodził się na

przekazanie starych mebli Rondy i części jej ubrań. Rozważał także zrezygnowanie z porcelany, którą otrzymała od ojca.

Barb wiedziała, że musi działać szybko, ponieważ zięć w każdej chwili może zmienić zdanie. Rzeczy, które mogła zabrać, miały niewielką wartość materialną, ale dla niej były wszystkim. „Czekałam jak wygłodniały pies na każdy ochłap, który mi rzucił” - opowiadała. „Nawet na brudne, zniszczone ubrania. To smutne. Pomyślałam, że te zwykle, pozornie nic nieznaczące przedmioty, będą wszystkim, co mi zostanie - tylko one będą przypominać o mojej pięknej córce, której już nigdy nie przytulę”.

Brakowało jej już łez. Jej ciało było odrętwiałe, a serce zmrożone. Podczas rozmowy z Ronem Reynoldsem ostrożnie dobierała słowa: nie wspominała o wydarzeniach dotyczących śmierci Rondy i skupiała się tylko na przekonywaniu go, by pozwolił jej zatrzymać jak najwięcej.

„Ten człowiek był zupełnie bezduszny” - pisała Barb w swym pamiętniku. „Nie dbał o nic. Dla niego liczyło się tylko to, żeby pozbyć się rzeczy, które uważał za śmieci, a zatrzymać te, które mogły mieć jakąkolwiek wartość materialną lub - w jego mniemaniu - w jakikolwiek sposób wiązać go ze śmiercią Rondy”.



Cheryl zasugerowała, żeby uroczystości pogrzebowe odbyły się w kościele jej ojca w Chehalis. On sam miał odprawić nabożeństwo. Pastor zaoferował swą pomoc w przygotowaniu pieśni, kwiatów i wszystkiego, czego potrzebowała rodzina zmarłej. W domu pogrzebowym Ron usiadł obok Barb, aby przejrzeć przygotowane przez zakład karty ze słowami pożegnania. W końcu wybrał taką, którą uznał za odpowiednią na pogrzeb żony.

Chęć zemsty narastała z każdym dniem. Barbara bała się, że w którymś momencie wybuchnie, lecz dzięki modlitwie i determinacji

udawało jej się tłumić to uczucie. Nie chciała sprawić przykrości swojej matce i synowi ani obrazić pamięci córki. Wiedziała, że musi pozwolić, by sprawiedliwość została wymierzona przez sąd, a nie przez kipiącą gniewem matkę.

„Byłam jak chodząca bomba zegarowa” - powiedziała. „I nikt poza mną nie zdawał sobie z tego sprawy”. Zastanawiała się, jak długo będzie w stanie się kontrolować, nim ulegnie instynktowi. „Jak długo? Odpowiedź przyszła sama: wiecznie. Słyszałam, jak mówię do siebie na głos: »Nawet jeśli ma to trwać wiecznie, nie złamię się i nie wezmę na nikim odwetu«. Złożyłam przysięgę sobie i Bogu”.

Wróciła do Spokane. Podróż w obie strony to prawie tysiąc kilometrów. Jechała górskimi drogami, w środku zimy, na dwa dni przed świętami Bożego Narodzenia. Padał śnieg, ale na szczęście pługi oczyszczały jezdnie, zostawiając na chodnikach i poboczach jedynie niewielką warstwę, która odbijała światła nadjeżdżających samochodów.

„Na drodze panował niewielki ruch” - wspominała wiele lat później. „Bezchmurne niebo rozświetlały gwiazdy. To niezwykle uczucie: siedzieć w ciepłym, przytulnym samochodzie i słyszeć tylko uspokajający warkot silnika, gdy na zewnątrz panuje trzaskający mróz i ciemności. Nie wiedziałam wtedy, ile takich podróży przez góry czeka mnie w kolejnych latach. Teraz znam każdy słupek, każdy zakręt i każdą stację benzynową na tej drodze”.

Dotarła do domu wczesnym rankiem. Nie zdążyła zamknąć za sobą drzwi, a Daisy już skakała, szalejąc z radości na jej widok. Kobieta podeszła do kanapy, żeby się położyć, a suczka stanęła obok. Jej ślepia zdawały się mówić: „Tak bardzo za tobą tęskniłam”, lecz już po chwili pojawił się w nich smutek. Daisy odwróciła się i poszła legnąć przy nogach Skeetera. Barb wiedziała, że nie będzie w domu na tyle długo, by pies wybaczył jej ostatni wyjazd. Ogarnęło ją przejmujące uczucie żalu.

Skeeter, który również na nią czekał, drzemał w swoim fotelu. Razem z Freemanem zajęli się już wszystkimi niezbędnymi pracami w stodole i przy koniach.

„Chciał mieć pewność, że dojechałam do domu bezpiecznie” - wspominała Barb z żalem. „Zamierzał mnie przytulić, pocieszyć i dowiedzieć się, co udało mi się załatwić. Ale ja nie mogłam rozmawiać. I nie chciałam. Marzyłam, by zostać sama. Czy on tego nie rozumiał? Jediną osobą, którą chciałam dotykać, przytulać, kochać, była moja córka. Jak mógł sądzić, że zajmie jej miejsce? Nie zdawałam sobie sprawy, że łamałam mu serce.

Zachowywałam się samolubnie i oziębłe, a on chciał tylko pomóc mi przez to przejść. Nie miałam pojęcia, jak bardzo czuł się bezradny”.

„Nie dostrzegałam tego, że odrzucam mężczyznę, który mnie kocha. Im bardziej starał się pomóc, tym bardziej go odpychałam. Zbyt pochłaniało mnie cierpienie i użalanie się nad sobą, by przejmować się jego uczuciami. To był początek końca”.

W tamtym czasie, zaraz po śmierci Rondy, Barb zamknęła się w sobie i myślała tylko o swojej stracie. Chciała jednak, aby ktoś zajmował się domem i czekał na nią, kiedy będzie wracała po zrobieniu tego, co uważała, że musi zrobić.

„Nie potrzebowałam niczego ani nikogo poza swoją córką” - przyznała. „Może z wyjątkiem Daisy, ostatniego prezentu, jaki dostałam od Rondy”. Suczka w końcu by jej wybaczyła, ale związek ze Skeeterem nie miał szans przetrwać.



Następnego ranka Freeman zatankował do pełna jej ciężarówkę i dołączył dokładnie wyczyszczone przyczepę do przewożenia koni. Upewnił się też, że było tam wystarczająco dużo pudeł, sznurków i narzędzi, by zapakować i przewieźć to, co Reynolds zgodzi się oddać. Barb musiała tylko wziąć czyste ubrania i mogła jechać.

Ronda nie żyła od tygodnia, lecz wydawało się, że minął cały rok. Jej matka wróciła do hrabstwa Lewis, starając się trzymać nerwy na wodzy. Jeśli znalazła sobie jakieś zajęcie, potrafiła powstrzymać się od myśli, które przenosiły ją w mroczne zaułki wspomnień.

Świąteczny obiad zjadła z rodziną Cheryl. Każdy wieczór spędzały na wspomnieniach o Rondzie. Razem ułożyły listę piosenek na pogrzeb. *The Wind Beneath My Wings* wybrała Cheryl. Babci Virginii zadedykowały *In the Sweet Bye and Bye* oraz *Peace in the Valley* zespołu Statler Brothers. Ze względu na Dave'a Bella miała zostać odtworzona piosenka *My One and Only Love*. Barb natomiast jako miłośniczka muzyki country wybrała *Against the Grain* Gartha Broksa oraz *Go Rest High* Vince'a Gilla.

Sześć dni pomiędzy Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem Barb spędziła na szczegółowym planowaniu i przygotowaniach do ceremonii. Starannie wybrała zdjęcia z każdego okresu życia Rondy, które - opatrzone muzycznym podkładem - miały być wyświetlane na ekranie w kościele.

„Przyglądając się tym fotografiom, zauważyłam, że zawsze się uśmiechała, jej oczy błyszczały, jakby stała przede mną żywa osoba. Czułam, jak otacza mnie jej miłość” - mówiła Barb. „Co noc przenosiłam się do innego świata i nie chciałam z niego wracać. Rano, otulona wspomnieniami jak ciepłą kołderką, budziłam się, słysząc, jak Cheryl szykuje się do pracy, i wracałam do rzeczywistości”.

Przechodziła teraz fazę wyparcia. Nie pozwalała, by drzazgi bólu wbiły się głębiej w jej serce. Zaplanowanie pogrzebu było ostatnią rzeczą, jaką mogła zrobić dla córki. Zajęła się osobiście wszystkimi szczegółami. Wykazała się niezwykłymi zdolnościami organizacyjnymi, planując nie tylko przebieg uroczystości, ale też transport członków rodziny.

Babcia Virginia miała przylecieć ze Spokane rankiem 4 stycznia w towarzystwie dwóch koleżanek Rondy z liceum, które praktycznie

należały do rodziny. Kiedy Barb dowiedziała się, że Reynolds także pojawi się w kościele, zrozumiała, że nie może pozwolić, by uczestniczyli w nim Freeman i Don Hennings - bała się, że sami będą próbowali wymierzyć sprawiedliwość. Obaj uważali, że to Ron zabił ich ukochaną siostrę i przybraną córkę, którą zawsze starali się chronić. Specjalnie dla nich miała się odbyć druga uroczystość pogrzebowa - w Spokane - o której Ron nie zostałby powiadomiony. Bill Ramsey przyleciał do Spokane, by wesprzeć Barbarę, gdy tylko dowiedział się o śmierci siostrzenicy. Nie mógł jednak zostać aż do 4 stycznia.

W życiu Barb było pięciu ważnych mężczyzn. Czterech z nich nie mogło brać udziału w uroczystościach pogrzebowych Rondy, ale wiedziała, że może liczyć na Dave'a Bella, choć ból i szok po stracie ukochanej dosłownie go paraliżowały. „Miałam w nim oparcie” - wspominała. „Razem udało nam się przez to przebrnąć”.



Dzień przed pogrzebem Barb i Cheryl pojechały do Toledo, by zabrać wszystkie rzeczy Rondy, które Ron pozwolił im wziąć. Zdziwiła się, że było tego tak dużo. Czerwona kanapa i fotel dwuosobowy wyglądały na nieco zniszczone, ale i tak cieszyła się, że może je mieć. Reynolds zrezygnował także z półki pod sprzęt RTV, kufra na bieliznę pościelową, dużej liczby zdjęć i - co najdziwniejsze - ze wszystkich fotografii ślubnych, a także Biblii swojej żony. Kiedy Cheryl zapytała, czy może ją zatrzymać, Barb nie potrafiła jej odmówić.

Kobiety dostały również buty zmarłej, ułożone starannie w oryginalnych pudełkach; nie były jednak nowe; podobnie jak jej ubrania. Znalazła się wśród nich suknia ślubna Rondy, jej mundur z policji stanowej oraz sporo płaszczy i kurtek. Ron spakował także koce, kołdry i podniszczone poduszki. „Podejrzywałam, że wcale nie należały do Rondy” - opowiadała Barb. „Po prostu chciał się ich pozbyć. Powiedział, że nie odda mi jej srebrnej zastawy, ale zauważyłam,

jak jeden z jego synów wynosi drewniane pudełko, w którym zawsze trzymała sztuce. Spakowałam je ukradkiem, bez zaglądnienia do środka. Przypuszczałam, że część pudeł zawiera jej kryształ, talerze z Elvisem i pamiątki po ojcu”.

Kiedy wyniosły z Cheryl kanapę i fotel - bez żadnej pomocy ze strony Rona i jego nastoletnich synów - nie pozwolono im już wrócić do środka; kazano czekać na zewnątrz, dopóki chłopcy nie wynieśli reszty pudeł. Kobiety zauważyły, że poza ubraniami zmarłej do worków trafiły też brudne i porwane sztuki odzieży.

Zięć wyraził zgodę, żeby Barb zabrała półtorametrowego fikusa, którego Don Hennings podarował Rondzie, gdy roślina miała jeszcze niewielkie rozmiary. Ostatnimi rzeczami były smycze, miski i leki dla psów, których Reynolds nie zamierzał zatrzymać. Kobiety zawiozły wszystko do wynajętego magazynu i wróciły po zwierzęta.

Gdy odjeżdżały, stało się jasne, że w domu przy Twin Peaks Drive nie ma już żadnych śladów obecności Rondy - zostały po niej jedynie drogie meble kupione przed ślubem, który odbył się rok i dwa dni wcześniej.

Pogrzeb miał miejsce 4 stycznia 1999 roku w kościele w hrabstwie Lewis. Zanim Ronda zainteresowała się doktryną Świadców Jehowy, chodziła do kościoła w Elma, gdzie pastorem był Jacob Winters *, ojciec Cheryl Gilben. Właśnie on odprawiał nabożeństwo.

Matka i babcia zmarłej oraz Dave Bell stali razem, witając tłumy ludzi schodzących się do kościoła, by oddać cześć Rondzie. Barb знаła tylko niektórych. Kilka autobusów przywiozło współpracowników jej córki z Bon Marche (Macy's), pojawili się także znajomi z Grays Harbor i hrabstwa Lewis jak również jej koledzy z dzieciństwa. Przechodzili wolno przez przedsiónek i zatrzymywali się przy zdjęciach, które postawiła tam Barb. Słyszała wiele komentarzy na temat tego, co sama zauważyła - Ronda uśmiechała się na każdym z nich.

Przez kościół przetoczyła się fala szeptów, kiedy do środka wszedł Ron Reynolds. Pojawił się z byłą żoną u boku. Para przeszła główną nawą, niemal na sam przód, gdzie mężczyzna zajął miejsce po prawej stronie, obok swego syna. Katie wraz z drugim synem usiedli bezpośrednio za nim. W dalszych rzędach usadowiła się garstka współpracowników Reynoldsa, a także detektywi Berry i Steve Burrell. Nawet oni wydali się zdziwieni wyraźnym podziałem na dwa obozy, odzwierciedlającym się w zajmowanych przez ludzi ławkach.

Barb Thompson wstała i na drżących nogach wyszła na środek, by opowiedzieć o córce. Jej ostatnie słowa nie pozostawiały wątpliwości co do misji, której postanowiła się poświęcić:

- Odebrano nam ją tak nagle i w sposób tak brutalny, że nie znajduję słów, by wyrazić przepełniający moje serce ból i gniew. Wiem jedno. Nie spocznę, dopóki nie zrozumieję, co zaszło, dopóki nie usłyszę odpowiedzi na moje pytania. Wtedy będę wiedziała, że Ronda może w końcu odpoczywać w pokoju!

Na swoje miejsce wracała niemal po omacku, bo oczy zaszyły jej łzami. Potem na ambonę wchodziły kolejne osoby, które pragnęły opowiedzieć o Rondzie, jej pracowitości, poczuciu humoru, empatii dla innych oraz radości życia.

Z technicznego i prawnego punktu widzenia Ron był wdowcem, lecz zdawało się, że śmierć żony nie zrobiła na nim wrażenia i od razu ruszył do przodu ze swoim życiem - jakby małżeństwo z Rondą stanowiło tylko przystanek na jego drodze. Katie Huttula wyglądała na wstrząśniętą, lecz on nie okazywał żadnych emocji. W jego oczach nie dało się dostrzec łez. Nie zdecydował się na wygłoszenie przed zebranymi wspomnienia o żonie.

Kiedy było już po wszystkim, Berry podszedł do Barb, uściskał ją szybko i wyszeptał:

- Trzymaj się, moja droga. Jestem umówiony z pewnymi osobami, które mogą powiedzieć nam coś nowego. Będziemy w kontakcie.

Nagle wyrósł przed nią Ron Reynolds.

„Podszedł do mnie i najwyraźniej chciał coś powiedzieć” - wspominała. „Ukrywałam uczucia tak długo, że tym razem nie zdołałam ich powstrzymać. Zanim zdążył się odezwać, usłyszałam, jak wyrzucam z siebie słowa: »Jakie to uczucie, wiedzieć, że jesteś jedyną osobą, która mogła temu zapobiec? Mam nadzieję, że Bóg nie będzie miał litości dla twojej duszy«”.

Dave Bell zbyt późno chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie. Dwóch mężczyzn, których nie знаła, odciągało także Reynoldsa. Była wściekła, że do niej podszedł, że przyprowadził na pogrzeb Katie. Paliło ją wspomnienie wszystkich chwil, kiedy zagryzała wargi i udawała, że okrutne oskarżenia pod adresem Rondy jej nie dotyczą.

„W tej chwili straciłam szansę na wyciągnięcie od niego jakichkolwiek informacji i na odzyskanie pozostałych rzeczy Rondy” - mówiła później. „A wszystko przez to, że powiedziałam to, co myślałam. Teraz bez wątplenia wiedział, że jestem przekonana, iż to on zabił moją córkę”.



Po nabożeństwie Judy i Larry Semankowie rozmawiali po cichu z Virginią Ramsey. Nie chcieli powiedzieć za dużo - to nie był odpowiedni moment - lecz oboje czuli, że coś jest nie tak. To właśnie z nimi - siostrą Reynoldsa i jej mężem, emerytowanym policjantem - miał rozmawiać Jerry Berry.

W dniu śmierci Rondy, o godzinie dziewiątej rano, pojechali do domu w Toledo. „Panował tam zupełny chaos” - stwierdził Larry. „Ron żartował ze swoimi kolegami z kuratorium i pakował prezenty na Święta. Od jakiegoś czasu nie należał już do Świadców Jehowy, więc obchodził Boże Narodzenie. Nie wyglądał na człowieka pogrążonego w żałobie”.

Za zgodą Berry'ego Larry rozejrzał się po domu szwagra i włosy stanęły mu dęba. Jako stróż prawa z dwudziestoletnim doświadczeniem przeszedł liczne szkolenia z zakresu metod prowadzenia śledztwa i w tym przypadku dostrzegł wiele kwestii, które powinny budzić wątpliwości funkcjonariuszy.

„Po pierwsze - wspominał - od razu po wejściu czuło się zapach świeżego prania. Tamtego ranka ktoś musiał uprać całą masę ubrań”.

Widział, że drzwi do garderoby nie mogły zostać zamknięte, ponieważ nogi Rondy wystawały poza próg. Przyjrzał się napisowi na lustrze i od razu stwierdził, że nie jest to list pożegnalny.

Jako zastępca szeryfa i przez jakiś czas także pracownik biura koronera Larry Semanko widział w swym życiu wielu martwych ludzi. Śmierć Rondy nie pasowała do żadnego znanego mu schematu. Wraz z Judy postanowili podzielić się swymi przemyśleniami z rodziną zmarłej. Zamierzali także powiedzieć o wszystkim detektywowi Berry'emu.



Druga msza za Rondę odbyła się w kościele luterańskim w Spokane - mieście, w którym dorastała. Ron Reynolds w niej nie uczestniczył, za to Dave Bell przyjechał samochodem z wybrzeża. W kolejnych latach Barb przekonała się, że zawsze mogła na niego liczyć, nigdy nie opuścił jej, kiedy walczyła o prawdę. „Ojciec” Rondy, Don Hennings, także tam był - stał w jednym rzędzie z Barb, Virginia, Skeeterem i Freemanem. Kościół wypełniali znajomi zmarłej z rejonu Spokane. Znaleźli się wśród nich również funkcjonariusze waszyngtońskiej policji stanowej.

Nikt z najbliższej rodziny kobiety nie potrafił się zdobyć na zakopanie urny z prochami. Przysięgli sobie nie robić tego, dopóki nie poznają odpowiedzi na pytanie, co tak naprawdę się stało. Barb umieściła urnę w szklanej gablocie w salonie, gdzie trzymała trofea córki z czasów, gdy dziewczyna uprawiała jeździectwo.

Zakończył się rok 1998. Dla Rony rozpoczął się nadzieją, a dla jej matki niewielkimi wątpliwościami; dla Rona Reynoldsa być może nawet nastrojem radości. Dwanaście miesięcy po ich ślubie odbył się pogrzeb Rony. Teraz dla Barb, Virginii i Freemana nastąpiły jeszcze cięższe czasy, ponieważ nie mogli zrobić nic więcej, by uczcić pamięć córki, wnuczki i siostry. Odeszła, a oni nie do końca jeszcze rozumieli znaczenie słów „na zawsze”.

Barb wierzyła, że nowy rok przyniesie jakieś odpowiedzi - być może nawet aresztowanie. W istocie jednak ona i jej bliscy nie wiedzieli, co ich czeka i ile lat minie, zanim na jaw wyjdzie wiele sekretów.

CZEŚĆ III

BARB

ROZDZIAŁ 13

Jerry Berry poprzysiął sobie, że doprowadzi tę sprawę do końca - że nie spocznie, dopóki nie znajdzie wiarygodnego wyjaśnienia tragedii, która rozegrała się w domu przy Twin Peaks Drive. Nie był gotów na składanie obietnic Barbarze Thompson. Ta biedna kobieta przechodziła przez piekło, a on nie chciał dawać jej swego słowa, nie mając pewności, że zdoła go dotrzymać.

Nie zdawał sobie wówczas sprawy, że matka Rundy nie tylko pozostanie z nim w kontakcie - ale będzie go wręcz prześladowała. Czuła, że znalazła ostatniego sprawiedliwego, który dąży do odkrycia prawdy - nie mogła sobie pozwolić na to, by go stracić.

Choć detektyw podziwiał Barb, wkrótce zaczął się przez nią wzdrygać na dźwięk telefonu. Nie mógł się bowiem dzielić większością swych podejrzeń, a nie chciał też kłamać ani pomijać prawdy. Lecz kobieta sama nadawała się na dobrego śledczego - bez trudu zdobyła numery telefonów do jego biura, domu, na komórkę, a nawet do policyjnego radiowozu.

Nie chodziło o to, że nie lubił z nią rozmawiać. Czasem to ona wpadała na jakiś pomysł lub podsuwała mu tropy do zbadania. Po prostu nie mógł mówić jej wszystkiego, co wie. Każdy detektyw wydziału zabójstw musi zatrzymać pewne informacje wyłącznie dla siebie - szczególnie jeśli znane są tylko zabójcy - aby odróżnić prawdziwych podejrzanych od osób, które celowo zwracają na siebie uwagę policji. Nie może także ujawniać swych zamiarów osobom postronnym.

„Początkowo byłem na nią zły” - wspominał. „Potem nawet się przed nią ukrywałem, ponieważ nie miałem jej nic do powiedzenia. Znała na pamięć moje numery telefonów. Jeśli widziałem na wyświetlaczu, że to ona dzwoni, po prostu nie odbierałem”.

Jerry ożenił się jakiś czas wcześniej - z Susan, pracownicą biura prokuratora okręgowego. W 2003 roku Susan przeniosła się do Seattle, a po śmierci teściowej zrezygnowała z pracy, żeby opiekować się niepełnosprawnym bratem Jerry'ego. Miała miękkie serce i często patrzyła z dezaprobatą na męża, jeśli nie odbierał domowego telefonu. Oboje wiedzieli, że dzwoni zapewne Barb Thompson.

- Dlaczego z nią nie porozmawiasz? - dopytywała. - Nie szkoda ci jej?

Oczywiście, że współczuł matce Rundy. Nie mógł jednak robić jej nadziei, poza tym zależało mu na prawidłowym prowadzeniu tego dochodzenia - popełniono już przecież wystarczająco dużo błędów. Wydawało mu się, że jest jedyną osobą w biurze szeryfa hrabstwa Lewis, której nie zależy na jak najszybszym i najdyskretniejszym załatwieniu sprawy. Ostateczne uznanie tego przypadku za samobójstwo zamykałoby temat. Detektyw uważał jednak, że niezależnie od tego, jak długo będzie trwało śledztwo, najważniejsze jest dowiedzieć się, kto zabił tę kobietę.

Wraz z innymi detektywami przesłuchał świadków, którzy opowiedzieli mu o tym, jak bardzo przygnębił Rondę rozpad jej drugiego małżeństwa. Wszyscy funkcjonariusze poza nim uważali, że jest to wystarczający powód do odebrania sobie życia. Wygodnie byłoby zamieść sprawę pod dywan i zapomnieć, lecz z kolejnymi miesiącami w hrabstwie Lewis pojawiało się coraz więcej plotek.

Spora liczba ludzi nie zgadzała się z tezą, że Ronda mogła kiedykolwiek chcieć popełnić samobójstwo. Od jej byłego męża, Marka Liburdiego, Berry usłyszała, że wyrządzenie sobie tak wielkiej krzywdy byłoby sprzeczne z jej charakterem. To fakt, nie rozeszli się w całkowitej zgodzie, ale Mark stanowczo stwierdził, że była silna i - niezależnie od sytuacji - nie poddawała się.

Ronda zadzwoniła do Liburdich o 22.20, niedługo przed śmiercią. Mężczyzna słuchał, jak zostawiała wiadomość na sekretarce. Wydawała się zdenerwowana, ale nie podniósł słuchawki.

- Dlaczego odniósł pan takie wrażenie? - spytał Berry.

- Od razu wiedziałem, że coś jest nie tak, ponieważ głos jej drżał i był o ton wyższy niż zazwyczaj.

- Rozumiem, że już go pan kiedyś słyszał?

- Tak. Pierwsze, co przyszło mi do głowy, to że pokłóciła się z mężem. Co do przyczyny, mogłem się tylko domyślać.

Liburdi nie sądził, by Ronda się czegoś bała - poza tym wiadomość była skierowana do jego żony, Kristy. Chciała porozmawiać o sprzedaży rancza w McCleary, gdzie mieszkała wcześniej.

- Widziałem ją w najcięższych chwilach jej życia - mówił mężczyzna - i nigdy nie wspomniała o samobójstwie. W ogóle nie powiedziała nic, co sugerowałoby, że to rozważa.

Małżeństwo Liburdich miało dobre relacje z byłą żoną Marka. Krista zajmowała się sprzedażą domu teściowej, a później także rancza w McCleary. Rondę i Marka wciąż wiązały pewne kwestie finansowe. Mieli podzielić własność rancza. Załatwienie formalności musiało potrwać - ale Reynolds już upominał się o pieniądze. Krista wyznała Berry'emu, że Ronda zamierzała w testamencie przekazać dochód ze sprzedaży swojej matce. Nie było tego wiele - jakieś sześć, siedem tysięcy dolarów.

Sprawa jednak okazała się bardziej skomplikowana, niż sądzili, i musieli wynająć radcę prawnego, który miałby ich reprezentować.

- Mówiła mi pani, że po śmierci Rondy jej mąż rozmawiał z panią i stwierdził, że minionego wieczora była bardzo zdenerwowana i przez to zrezygnował z umówionej wizyty u lekarza?

Krista potaknęła, dodając, że zadzwoniła do Rondy w środę 08.19 rano, nie mając pojęcia, że kobieta nie żyje.

- Odebrał Ron. Powiedział mi, co się stało. Musiałam zatelefonować do niego jeszcze raz tego samego dnia, i wtedy zaczął

opowiadać, co się działo we wtorek. Stwierdził, że był u lekarza, a żona zadzwoniła do niego, bardzo zdenerwowana i zła... Musiał wyjść i po drodze jeszcze gdzieś pojechać. Do domu dotarł po czterdziestu pięciu minutach. Przez cały ten czas rozmawiał z Rondą przez komórkę, by mieć pewność, że nic jej nie jest. Mówił, że kłócili się cały wieczór, że nie chciał pozwolić jej zasnąć... Niestety, nad ranem sam zapadł w sen.

Reynolds przedstawił kobiecie prawie tę samą historię, którą opowiedział policjantom.

- Podobno szukał jej po całym domu, aż w końcu znalazł ją pod ubraniami w garderobie - dokończyła Krista.

Opis momentu, w którym odkrył zwłoki Rondy, przedstawił bez emocji. Berry zanotował, że za każdym razem gdy Reynolds opowiadał komuś swoją wersję wydarzeń, zmieniał jakiś szczegół - lecz wszyscy, którzy z nim rozmawiali, zgadzali się co do jednego: nie zachowywał się jak człowiek, który stracił żonę.



Ronda miała wiele koleżanek; kilka z nich pracowało w policji. Parę lat wcześniej zawarły one pakt - postanowiły, że będą się nawzajem wspierać i bronić swych racji. Jedna z nich, także funkcjonariuszka policji stanowej - która ukończyła akademię kilka roczników po Rondzie - popełniła samobójstwo. Kiedy się o tym dowiedziały, były zszokowane. Poprzysięgły sobie, że żadna z nich nigdy się na to nie zdecyduje oraz że będą dzwonić do siebie, jeśli poczują się przygnębione.

Ronda należała do zajadłych krytyków samobójstwa. „Odebranie sobie życia nie rozwiązuje problemów. Sytuacja może się poprawić tylko wtedy, gdy zostaniemy, by sprawdzić, co się wydarzy” - mówiła. Nikt z jej znajomych nie wierzył, że się zabiła. Wszyscy zgadzali się, że zrobił to ktoś inny.

Wielokrotnie prowadziła kursy bezpiecznego posługiwania się bronią palną oraz walki wręcz dla kadetów i funkcjonariuszy z

innych miast. Umiała się obronić. Mogła powalić na ziemię mężczyznę cięższego od niej o pięćdziesiąt kilogramów. Czy zwyciężyłaby jednak w nierównej walce z dwoma osobami? Zapewne nie.



Ronda stała się inspiracją dla kobiety, która nigdy jej nie spotkała, z którą nigdy nie zamieniła ani słowa. Lauren Sund * natknęła się na sprawę Rony przez przypadek i dzięki niej - chociaż wcale nie zamierzała zostać stróżem prawa - postanowiła wstąpić do waszyngtońskiej policji stanowej.

Pod koniec 1998 roku kobieta pracowała w firmie windykacyjnej, gdzie zajmowała się zdobywaniem kontaktów do osób wystawiających czeki bez pokrycia. „W stanie Waszyngton – wyjaśniała - prawo daje wierzycielowi możliwość wykonania trzech telefonów do domu dłużnika, a także jednego do jego miejsca pracy”.

„Ron Reynolds - lub ktoś podpisujący się jego nazwiskiem - płacił czekami w sklepie spożywczym. Wszystkie były bez pokrycia. Całkowite zadłużenie wynosiło 1800 dolarów”.

Lauren nie wiedziała, kim jest Reynolds ani gdzie pracuje, kiedy zadzwoniła do niego w połowie grudnia 1998 roku. Mężczyzna, który odebrał telefon, rozłączył się bez słowa, gdy tylko usłyszał, o jaką sprawę chodzi.

Kiedy zadzwoniła następnym razem, odebrał dwunastoletni lub trzynastoletni chłopiec, tak przynajmniej oceniła po głosie. Lauren wykorzystwała zdolności aktorskie i udawała młodszą, niż jest w rzeczywistości. Powiedziała, że Ron dał jej swój numer do pracy, ale go zgubiła. Chłopiec, czyli najmłodszy syn Reynoldsa, Josh, odparł, że tata pracuje w szkole podstawowej w Toledo, i podał jej numer telefonu.

Gdy zadzwoniła do sekretariatu 18 grudnia 1998 roku, nie miała pojęcia, kim jest Ronda ani że zginęła zaledwie dwa dni wcześniej. Poprosiła o rozmowę z Ronem Reynoldsem, zastanawiając się, jaki może być jego zawód. Zakładała, że jest nauczycielem lub dozorcą.

Po chwili do telefonu podszedł mężczyzna, który - ku zdziwieniu rozmówczyni - przedstawił się jako dyrektor szkoły. Sund wyjaśniła, kim jest, i spytała go, czy zamierza oddać 1800 dolarów, które jest winien.

„Strasznie się wściekł” - opowiadała Lauren. „To była najgorsza rozmowa, jaką przeprowadziłam w tamtej pracy. Przyprawiła mnie o dreszcze. Powiedział, że dwa dni temu niespodziewanie zmarła jego żona i że tego samego dnia wprowadziła się do niego jego eks-żona! Nie mówił jak ktoś, kto opłakuje śmierć bliskiej osoby”.

- To Katie, moja była żona, wypisała te czeki - wyjaśnił, jakby była to najzwyklejsza rzecz na świecie. Nie wydawał się zły za to, co zrobiła.

Zszokowana Lauren starała się nie zdradzać swych uczuć i dała mu tydzień na spłatę długu wraz z odsetkami. Wkrótce Ron zwrócił pieniądze sklepowi; Sund nie wiedziała, skąd je wziął, ponieważ sprawdzenie tego nie należało do jej obowiązków. Nie uważała też, by miała z czym iść na policję, choć zachowanie mężczyzny wydało jej się dziwne. Postanowiła przeczytać wszystkie artykuły na temat śmierci Rondy.

Sprawa Rona, a zwłaszcza historia, którą jej opowiedział (z czego wszystko okazało się prawdą), tak ją zainteresowała, że zapisała się na zajęcia z amerykańskiego systemu sprawiedliwości odbywające się w lokalnym college'u.

„W 2002 roku jeden z moich wykładowców wymagał napisania pracy zawierającej przykłady prowadzenia śledztwa, a ja wybrałam sprawę Rondy Reynolds” - wspominała Lauren. „Nie wiedziałam, od czego zacząć, więc wykładowca poradził mi, żebym zadzwoniła do tamtejszego biura szeryfa i przytoczyła swoją rozmowę z Ronem. Detektyw, który odebrał telefon, nie wykazał najmniejszego zainteresowania tym, co miałam do powiedzenia. Od czasu do czasu wydawał z siebie mruknięcie, potwierdzające jego obecność, ale słyszałam,

że tak naprawdę ma to wszystko w nosie. Powiedział oczywiście, że oddzwoni, a przecież nie spytał mnie nawet o nazwisko ani nie zapisał mojego numeru! Po prostu mu nie zależało”.

Niezrażona podejściem detektywa, zgłosiła się do waszyngtońskiej policji stanowej. Pracuje tam do dziś i kocha to, co robi.

Gdy parę lat później dowiedziała się, że Barb Thompson poszukuje informacji związanych ze śmiercią córki, skontaktowała się z nią i zaoferowała pomoc w rozwiązaniu sprawy. Ona także uważała, że doszło do zabójstwa. Choć detektyw z hrabstwa Lewis nie zainteresował się jej zeznaniami, ona nie zapomniała o Rondzie i podejrzanym zachowaniu wdowca.



Barbara poruszała się po zupełnie nowym terenie, pełnym zasadzek, objazdów i kłód rzucanych jej pod nogi przez ludzi, którzy - jak sądziła - powinni pomagać w dochodzeniu do prawdy. Przez kilkadziesiąt lat życia stawiała już czoła tylu pozornie niemożliwym do pokonania przeszkodom, że nie bała się niczego, co przygotował dla niej los.

ROZDZIAŁ 14

Barb Thompson radziła sobie z każdym wyzwaniem, jakie stawiało przed nią życie, i dotychczas wychodziła z tych starć bez szwanku, a czasem wręcz odnosiła z nich korzyści. Nagła śmierć Rondy nauczyła ją pokory.

To kobieta, która wybaczała wielu osobom niezasługującym na przebaczenie. Urodziła się w San Diego 4 maja 1945 roku jako najmłodsze z trojga dzieci.

„Byłam oczkiem w głowie mojego ojca” - wspominała. „Zachowywał się wspaniale wobec mojej siostry, a tym bardziej wobec mnie. Ale mój brat nie miał tak dobrze. On i mama stanowili ofiary przemocy domowej” - dodawała z goryczą.

Warren Ramsey twierdził, że jest pół krwi Indianinem plemienia Czirokezów; pewniejszy jednak jest fakt, iż był alkoholikiem. Virginia doświadczała z jego strony agresji fizycznej i psychicznej. Wraz z dziećmi przeprowadzała się tam, dokąd chciał mąż. Z San Diego przenieśli się kolejno do Oregonu, Nebraski, Illinois i w końcu do Utah. Barb uczęszczała do kilku różnych szkół w Salt Lake City i Murray.

Gdy miała trzy lata, mieszkali na farmie w Oregonie. Ojciec pracował w cegielni. Hodowali kury na mięso i jajka, a przez jakiś czas również króliki.

Warunkom, w których żyli, daleko było od luksusu. Dziewczynki bały się wychodzić do ubikacji znajdującej się na zewnątrz, ponieważ musiały minąć „starego, wrednego gąsiora”, który je dziobał. Warren kazał synowi łapać ptaka za szyję i trzymać go, za każdym

razem gdy musiały tamtędy przejść. Barb wiedziała, że jeśli Bill nie złapie gąsiora, ojciec ukarze go za pomocą skózanego pasa.

„Któregoś dnia musiał łapać tego starego gąsiora chyba z pięć razy. W końcu miał dość” - wspominała. „Znajdowałam się w połowie drogi do wychodka, kiedy go wypuścił. Ptak mnie dogonił. Nie zrobił mi krzywdy, trochę mnie podziobał i pobił skrzydłami. Kiedy poskarżyłam się tacie - byłam przecież rozpuszczoną małą księżniczką - chwycił za pas i zbił brata”.

Poprzysięgła sobie, że już nigdy nie zrobi ani nie powie niczego, co sprawiłoby, że ojciec ponownie ukarze Billa w ten sposób. Bardzo kochała brata i nie chciała patrzeć, jak cierpi.

Po jakimś czasie przenieśli się do miasta, gdzie Warren znalazł pracę jako kierowca śmieciarki. Pamięta, że wielokrotnie widziała, jak matka płacze w sypialni, próbując zamoczyć bułkę w mleku, by móc cokolwiek zjeść.

„Ją także bił” - opowiadała Barb. „Twarz i usta miała tak spuchnięte i posiniaczone, że ledwo mogła mówić, a co dopiero jeść”.

U małej Barbary szybko wykształciła się wrażliwość społeczna, dlatego też postanowiła wyznaczyć siebie na obrończynię rodziny. Pewnego wieczoru ojciec wszedł do kuchni rozwścieczony, ponieważ w szopie z węglem znalazł niedopałek papierosa.

- Które z was paliło?! - krzyczał.

Wiedziała, że to nie ona ani jej brat. Podejrzewała, że mogła to zrobić siostra lub też nawet starszy od nich syn sąsiadów. Lecz pas poszedł już w ruch - ojciec bił każdego, kto nawinął mu się pod rękę.

„Mnie ledwo dotknął, dla siostry był nieco surowszy, ale wyżywał się głównie na moim bracie. Nie mogłam patrzeć, jak obrywa, więc się przyznałam. Wiedziałam, że nie ukarze mnie zbyt surowo. Tak też się stało. Każde przewinienie uchodziło mi płazem i dostawałam wszystko, czego zapragnęłam - nawet jeśli nie było nas na to stać, co zresztą zdarzało się dość często”.

Serce pękało jej na widok matki przygotowującej obiad, a następnie czekającej, aż dzieci zjedzą. Dopiero wtedy siadała do stołu i jadła to, co zostało. „Jeśli w niedzielę jedliśmy kurczaka, dzieci dostawały tyle, ile chciały, potem tata nakładał porcję dla siebie, a mama zwykle zadowalała się szyją. Jeśli jej się poszczęściło, brała resztę mięsa, którego my nie daliśmy rady zjeść”.

„Nigdy nie narzekała. W naszym domu dzieci nie chodziły głodne. Teraz, patrząc w przeszłość, wiem, że ona na pewno głodowała, ale my nie”.

Warren Ramsey utrzymywał dyscyplinę w domu za pomocą siły. Nikt nie rozumiał, dlaczego tak brutalnie traktował syna. Nie podobało mu się nawet to, że Bill zbierał karty z wizerunkami samolotów, dlatego to Barb bawiła się z nim w zgadywanie nazw na podstawie obrazków. W wolnym czasie Ramsey kazał synowi pomagać przy samochodach. Chłopak nie dostawał kieszonkowego i nie pozwalano mu chodzić na szkolne zabawy.

Bill miał obsesję na punkcie latania i jego jedynym celem było zostać pilotem, lecz ojciec nie zgodził się, by poszedł do odpowiedniej szkoły. Barb znalazła sposób także i na to. Choć pilotaż nie interesował jej w najmniejszym stopniu, powiedziała ojcu, że bardzo chce wstąpić do organizacji Civil Air Patrol, wiedząc, iż Warren pozwoli jej na to i wyśle z nią brata, aby się nią opiekował.

„Nie cierpiałam tego miejsca, ale czułam się szczęśliwa, mogąc patrzeć, jak mój brat spełnia swoje życiowe marzenie”.

Bill Ramsey był geniuszem. „Miał same piątki” - opowiadała siostra. „Kiedy senator stanu Utah dowiedział się o jego osiągnięciach, otrzymał stypendium Akademii Marynarki Wojennej, lecz nie mógł tam jechać. Musiał pokryć koszty podróży do Maryland z własnej kieszeni, a ojciec nie zamierzał mu pomóc”.

Warren подарował Barb szarą klacz. Urodziła ona akurat źrebaka, którego dziewczyna uwielbiała. Już jako piętnastolatka kochała

konie. Nauczyła zwierzę kilku sztuczek. Brat jednak znaczył dla niej więcej, toteż bez chwili zastanowienia sprzedała konia, by zdobyć pieniądze na bilet lotniczy dla Billa. Dzięki temu chłopak w końcu uwolnił się od brutalnego ojca i mógł uczyć się latać.

„Poza tym jednym razem, kiedy poszczuł mnie gąsiorem - śmiała się Barb - zawsze mogłam na niego liczyć. Po prostu zasługiwał na tę szansę”.

Młody Ramsey latał helikopterm ratowniczym w Wietnamie. Po odejściu z marynarki pracował jako pilot dla prywatnych firm poszukujących nowych zasobów mineralnych, zakładających linie wysokiego napięcia oraz ratujących turystów po zejściu lawiny. Po dziś dzień lata helikopterami, pomagając w gaszeniu leśnych pożarów. Tylko najbardziej doświadczeni piloci potrafią manewrować nad płomieniami i znaleźć odpowiednie miejsce, by zrzucić ogromne masy wody lub środków chemicznych.

„Podziwiałam go” - wspomina Barb. „Wciąż go podziwiam. Lecz dwaj mężczyźni, za których wyszłam, przypominali bardziej mego ojca. Kiedy dorastasz, patrząc, jak matka pozwala się znieważać - i do tego nadal kocha swojego męża - zaczynasz wierzyć, że tak właśnie wygląda miłość, że idzie w parze z przemocą. Dlatego poślubiłam podobnych ludzi. A Ronda odziedziczyła to podejście po mnie”.

Jest to schemat znany pracownikom i wolontariuszom schronisk dla kobiet. Choć Barb obiecywała sobie, że nie wyjdzie za mężczyznę podobnego do swego ojca, zrobiła to.

Jej starsza siostra opuściła rodzinny dom i wyszła za męża, kiedy Barb miała kilkanaście lat. Potem wyprowadził się także jej brat. W domu nic się nie zmieniło, ale liczyła, że matce będzie łatwiej ze świadomością, iż dzieci są już samodzielne. Przeniosła się do Kalifornii i zamieszkała z siostrą.

W ostatniej klasie szkoły średniej w San Diego uczyła się pilnie, chcąc zdobyć na koniec jak najlepsze oceny. Wtedy zdarzyło się coś,

czego nikt się nie spodziewał. W 1963 roku, po dwudziestu dwóch latach małżeństwa, ojciec nagle zostawił matkę dla młodszej kobiety. Odwiózł ją do Kalifornii i porzucił niedaleko miejsca, gdzie mieszkały Barb i jej siostra. Virginia zadzwoniła do córek, a one natychmiast po nią przyjechały.

Kobieta nigdy nie pracowała, nie płaciła rachunków ani nie robiła nic, co przygotowałoby ją do życia bez mężczyzny. Czuła się zdruzgotana i upokorzona.

Barb lada dzień miała skończyć szkołę średnią w Kalifornii. Jednak zbyt późno zdała sobie sprawę, że po przeniesieniu się z innego stanu brakowało jej punktów z historii. Choć nie zbywało jej na talentie do nauki i nie bała się ciężkiej pracy, stwierdziła, że rodzina jest najważniejsza. Razem z matką i siostrą musiały jakoś przetrwać. Przełknęła gorzką pigułkę i pomyślała, że nadrobi braki w edukacji w przyszłości.

Virginia i Barb wynajęły niewielkie mieszkanie. Razem zdołały uciulać na czynsz. Matka pracowała wieczorami jako kelnerka, a córka w dzień jako asystentka w firmie ubezpieczeniowej. Choć dziewczyna miała już osiemnaście lat, a Virginia wciąż była stosunkowo młodą kobietą, obie przez większość czasu pracowały i nie rozglądały się za mężczyznami. Naznaczone przemocą lata spędzone z Warrenem oraz to, jak została potraktowana przez jedynego mężczyznę, którego kiedykolwiek kochała, zniechęciły matkę Barb do angażowania się w związek.

W kolejnych latach obie zdobyły nowe umiejętności. Barb pracowała w księgowości, a wieczorami dorabiała za barem, nawet pięć razy w tygodniu. Virginia poszła na kurs szycia na maszynie; po jego ukończeniu mogła się zatrudnić w fabryce. Miały wiele pracy i jeśli zaszła taka potrzeba, nie bały się wykonywać zajęć typowych dla mężczyzn. Na przykład Barb zaangażowała się w jednej z pierwszych w kraju firm wynajmujących ciężki sprzęt budowlany: RENT-IT-SERVICE.

Ciepły klimat, dostęp do zatoki Santa Catalina oraz rozmaite gatunki kwiatów, które kwitną cały rok, czyniły z San Diego idealne miejsce do zamieszkania. Do tego ruch samochodowy w latach sześćdziesiątych był tam znacznie mniejszy niż obecnie.

Barb miała urodę gwiazdy filmowej i często chodziła na randki. Wcześniej wyszła za mąż i zaszła w ciążę na początku 1965 roku. Urodziła Rondę 16 września. Ojciec dziewczynki, Ronnie Scott, nie był gotowy na założenie rodziny.

„Ten związek przypominał wyboistą drogę” - wspominała kobieta. „Wujek Ronniego zaproponował mi pracę w Dallas i przeprowadziliśmy się tam z dzieckiem w 1966 roku. Mama podążyła za nami kilka miesięcy później, by pomóc mi zająć się Rondą. Bardzo ją kochała”.

Barb często pracowała na dwa etaty. W Teksasie zatrudniła się w Wales Transportation, firmie produkującej betonowe belki. Stanowiła wzór pracownika: zorganizowanego i potrafiącego wykonywać kilka rzeczy jednocześnie. Pewnego dnia umiejętności te miały jej się przydać nie tylko w życiu zawodowym.

Poślubiła mężczyznę ulepionego z tej samej gliny co jej ojciec. Ronnie Scott pił zdecydowanie za dużo, a kiedy wypił, robił się chorośliwie zazdrosny - choć żona nie dawała mu żadnych powodów.

Gdy próbowała od niego odejść, zrozumiała, że znalazła się w pułapce. Pewnego dnia mąż związał ją i zakneblował, a potem wyszedł kupić film do aparatu. Nie była pewna, co zamierza zrobić, ale wiedziała, że nie czekają nic dobrego. Po alkoholu Ronnie stawał się zupełnie innym człowiekiem.

Próbowała uwolnić się z więzów - bezskutecznie. Udało jej się za to przetoczyć do okna i wyskoczyć. Na szczęście nie było wysoko, a do tego po chwili zauważył ją sąsiad.

Nie chciała zgłaszać na policję, że Ronnie ją zgwałcił; według prawa był jej mężem, choć od dawna nie czuli się sobie bliscy. Działo się to na wiele lat przed wprowadzeniem do amerykańskiego

prawa możliwości oskarżenia własnego małżonka o gwałt. Lecz uczucie przerażenia, które ogarnęło ją w chwili, gdy nie mogła się uwolnić, sprawiło, że nie chciała dłużej być z Ronniem.

Ich związek należał nie tylko do burzliwych, ale również krótkich. Rozstali się w 1968 roku, kiedy Ronda miała trzy lata. Scott zginął w wypadku samochodowym cztery lata później, w czerwcu 1972 roku. Teraz to Barb była jedyną żywicielką rodziny. Dziękowała Bogu, że ma przy sobie matkę, która pomaga jej w opiece nad dzieckiem. Ufała jej całkowicie, a córka cieszyła się, że babcia Virginia mieszka z nimi.

Ronda była uroczym dzieckiem o zaróżowionej buźce - ta cecha pozostała jej do końca życia. O swojej pierwszej wnuczce Virginia mówiła, że jest „samą radością”.

„Nie sprawiała żadnych kłopotów” - opowiadała matka. „W szkole miała zawsze dobre oceny. Nigdy się nie buntowała, nie tknęła narkotyków ani alkoholu. Babcia nauczyła ją szyć i gotować, a jeśli obrywała za nieodrobienie pracy domowej, po pocieszenie szła właśnie do niej. Moja matka całym sercem angażowała się w jej marzenia i plany, dlatego tym mocniej odczuwała gorycz każdej jej porażki. Była dla niej czymś w rodzaju bezpiecznej przystani”.

Ronda miała wiele marzeń i zdołała spełnić większość z nich. Kochała psy i konie, została mistrzynią jeździectwa, zdobywając trofea i specjalne wstążki jeszcze przed trzynastymi urodzinami. Miłość do koni dzieliła z matką.



Barb wyszła za mąż po raz drugi w marcu 1974 roku. W Teksasie poślubiła Hala Thompsona. Ich syn, Freeman, urodził się w Dallas 2 lipca w 1975 roku.

Cała rodzina przeniosła się na Północny Zachód, gdy w czerwcu 1976 roku Hal dostał pracę w Spokane. Barb Thompson w końcu zapuściła korzenie. Zakochała się w terenach wschodniego Waszyngtonu, gdzie można hodować konie, a dzieci mają mnóstwo

miejsca do zabawy. Dziś, po trzydziestu czterech latach, wciąż mieszka w tym samym domu. Ze względu na zły stan zdrowia kilka lat temu Virginia musiała przenieść się do Barb, by córka mogła się nią opiekować.

Ronda poszła do piątej klasy w szkole Airway Heights położonej blisko bazy wojskowej sił powietrznych Fairchild. Tęskniła za Teksasem, toteż mówiła z przesadnym południowym akcentem. Z jakiegoś powodu złościło to jej rówieśniczki. Poza jedną.

Pewnego dnia Rahma Starret zobaczyła, że kilka dziewczyn przewróciło kogoś na ziemię i zaczęło go kopać. „To była Ronda” - wspominała. „Biło ją pięć czy sześć dziewczyn, więc przepchnęłam się i ją uratowałam”.

Obie mieszkały na farmie. Córka Barb miała swoje konie, a Rahma lubiła hodowane przez rodziców krowy. Wkrótce zaczęły spędzać razem wiele czasu.

„Zawsze była pogodna” - opowiadała o niej przyjaciółka z dzieciństwa. „I silna psychicznie. Wierzyła w równouprawnienie kobiet i zawsze broniła koleżanek, które źle traktowano”.

W gimnazjum Ronda nosiła aparat ortodontyczny, a Rahma zażyczyła jej tego. „Tylko bogate dzieci miały aparaty na zęby. Spytałam mamę, czy też mogę taki dostać, ale ona zaśmiała się i powiedziała, że nie potrzebuję go, nie ma więc sensu niepotrzebnie wydawać pieniędzy”.

Dziewczynki poszły razem do tej samej szkoły średniej, położonej trzydzieści kilometrów na zachód od Spokane, i codziennie dojeżdżały razem autobusem.

„W ostatniej klasie Ronda mówiła, że chce zostać policjantką. Od razu pomyślałam, że będzie w tym dobra” - mówiła Rahma. „Była sprawiedliwa, wyrozumiała i uczciwa”.

Po ukończeniu szkoły nie widziały się przez kilka lat, a potem Rahma została zaproszona na pierwszy ślub przyjaciółki. „Kiedy dowiedziałam się o jej śmierci, myślałam, że wciąż jest z Markiem Liburdim. Pamiętam, że uwielbiała jego dzieci”.



Przez lata Barb starała się w rozmowach z dziećmi nie krytykować ich ojców. Doświadczyła przemocy, zarówno fizycznej, jak i psychicznej, lecz nigdy nie żaliła się Rondzie ani Freemanowi. Zależało jej, by szanowali swych ojców.

Hal Thompson był wspaniałym człowiekiem - poza momentami, gdy pił. Wtedy stawał się kimś zupełnie innym. Pewnego wieczoru, gdy mąż akurat wyszedł, Barb zauważyła, że jeden z koni zachorował. Wprowadziła go do przyczepy i zawiozła do weterynarza, a po powrocie sama umieściła zwierzę w zagrodzie.

„Nagle - wspominała kobieta - przy oknie samochodu od strony kierowcy pojawił się Hal. Trzymał w ręku naładowaną trzysta pięćdziesiątkę siódmkę, jakieś kilka centymetrów od mojej głowy. Bełkotał, że ukradłam jego konia. Nie chciał słuchać żadnych wyjaśnień. Wtedy myślałam, że to naprawdę mój koniec”.

Po raz kolejny uratował ją sąsiad. Przejeżdżając, zobaczył, jak Hal przystawia żonie pistolet do głowy, i zadzwonił na policję. Kiedy mąż wytrzeźwiał, z przerażeniem słuchał relacji o swoich wyczynach z poprzedniego dnia.

Barb jednak wiedziała, że jeśli znów wypije, może się to zdarzyć ponownie, a przecież nie zrezygnuje z alkoholu. Zastanawiała się, czy może jeszcze liczyć na udany, oparty na zaufaniu związek z mężczyzną. Po rozwodzie nie miała głowy do romansów - wychowywała dwójkę dzieci i utrzymywała matkę.

Dona Henningsa poznała na długo przed ślubem z Halem i przez cały ten czas utrzymywali ze sobą kontakt. Choć on także związał się z kimś innym, często o nim myślała. Don był dobry dla niej i dla dzieci - Warren Ramsey i Ronnie Scott nawet się do niego nie umywali. Uwielbiał Rondę i stał się dla niej, jedynym prawdziwym ojcem”.

Typem urody przypominał Johna Wayne'a. Był barczysty i przystojny na swój szorstki sposób, stworzony do noszenia kowbojskiego kapelusza, i - jak na kowboja przystało - miał cerę ogorzałą od wiatru i słońca.

Jego krewni mieszkający w Ritzville w stanie Waszyngton nigdy nie mieli wątpliwości, że ci dwoje kochają się prawdziwą miłością, lecz los nie pozwalał im ze sobą być. Choć bardzo im na sobie zależało, mieli różne cele w życiu i odmienne zainteresowania.

Wzbogacona o życiowe doświadczenie i mądrość Barb pewnego dnia zdała sobie sprawę, że Don był jedynym mężczyzną, którego naprawdę kochała. Być może dlatego tak bardzo bolało ją, że córka i Dave Bell podążali podobną drogą. Obie nie miały szczęścia w miłości i obie zaprzepaściły szansę na szczęśliwy związek. Barb nie powiedziała, gdzie i kiedy poznała Henningsa. Dużo podróżował, a w latach 1964 - 1965 niezwykle rzadko przebywał w swym rodzinnym mieście. „Niech czytelnicy sami rozgryzą, jak to było” - mówiła wymijająco. „To nie jest książka o mnie, tylko o Rondzie”.

Ale oczywiście Barb również jest bohaterką tej historii.

„Don i ja nigdy się nie okłamywaliśmy, nie krzywdziliśmy się nawzajem - po prostu różniliśmy się od siebie i mieliśmy inne cele. Nie wypieraliśmy się tego, że się kochaliśmy. Pokazaliśmy później Rondzie i Freemanowi, że tylko dlatego, że dwoje ludzi nie może być ze sobą, nie znaczy, że nie mogą się przyjaźnić, a nawet tworzyć rodziny”.

Niektórzy w Ritzville uważali, że to Don jest prawdziwym ojcem Rondy. Barb odniosła się do tych plotek w następujący sposób: „Gdy jakiś dociekliwy sąsiad pytał o to jego matkę, uśmiechała się tylko swoim pełnym życiowej mądrości uśmiechem. Jego rodzice kochali moje dzieci jak własne wnuki i bardzo przeżyli to, że nasz związek nie zaowocował małżeństwem”.

Jednak para nie zamieszkała ze sobą. „Nigdy, przenigdy nie zapraszałam mężczyzny do sypialni, jeśli nie był moim mężem” -

wyjaśniała. „Moje dzieci nie miały cienia wątpliwości, że ich matka nie uprawiała seksu po rozwodzie z Halem. Mężczyźni w moim życiu byli przedstawiani dzieciom jako przyjaciele i tak mieli się zachowywać w ich obecności”.



Barb Thompson była bardziej wymagająca niż większość rodziców. Jako samotna matka z wieloletnim doświadczeniem zawsze zachowywała czujność. Wierzyła, że dzieci nauczą się czegoś, tylko jeśli same tego doświadczą. Wraz z babcią Virginia codziennie zapewniały Rondzie i Freemanowi porządne śniadanie. Obiad pojawiał się na kuchennym stole, kiedy cała rodzina zjawiała się w komplecie. Jedli przy wyłączonym telewizorze, który dzieci mogły włączyć dopiero po odrobieniu lekcji.

Kiedy Ronda miała siedemnaście lat, dostała własnego konia, którego nazwała Clabber Toe. Zakwalifikowali się na zawody Quarter Horse Youth World Show w Tulsie w Oklahomie, gdzie skakał z taką łatwością, jakby urosły mu skrzydła. Aby pozwolić sobie na ten wyjazd, dziewczyna musiała przez jakiś czas oszczędzać. Pomogli jej także dwaj hodowcy koni ze Spokane, którzy dostrzegli jej talent i poświęcenie, obserwując, jak ćwiczy po kilka godzin dziennie.

Barb nie pozwalała córce ubierać się do szkoły w szorty, biodrówki, bluzki z dekoltem lub odsłaniające brzuch. Podkreślała, że jej dzieci same ponoszą konsekwencje swojego zachowania, więc nie powinny poddawać się presji rówieśników.

Ronda i Freeman jeszcze jako nastolatki dziękowali matce za to, że była taka „upierdliwa”. Po latach docenili jej usilne starania o to, by chronić ich przed złem tego świata. Żadne z nich nie eksperymentowało z narkotykami ani alkoholem; większość młodzieńczej energii wykorzystywali na jazdę konną.

Zapewne łatwiej byłoby Barb nie dostrzegać pewnych rzeczy - szczególnie że pracowała na dwa etaty. Lecz odetchnęła z ulgą,

gdy jej pocięchy przeszły bezboleśnie i bezpiecznie przez okres dojrzewania.

Wszystkie decyzje, które podejmowała, wychowując dzieci, były właściwe - o ile w ogóle można nazwać je „właściwymi”. To, co w przypadku jednego dziecka wydaje się właściwą metodą wychowawczą, może nie działać na inne. Nie zdawała sobie jednak sprawy, że wpływ na jej potomstwo miała ta sfera jej życia, której nie potrafiła kontrolować. Choć bardzo starała się uczynić dom miejscem bezpiecznym i pełnym miłości, Freeman i Ronda dorastali ze świadomością, że ich rodzina nie ma zbyt dużo pieniędzy. Brakowało im także „prawdziwego” ojca. Gdy matka pracowała do późna, opiekowała się nimi babcia. Wydawali się zadowoleni z życia - i zapewne tak było - a tym, że dorastali w niepełnej rodzinie, nie różnili się od połowy dzieci w szkole.

„Sądziłam, że Ronda nie miała pojęcia o werbalnej i emocjonalnej przemocy, której doświadczałam ze strony swych mężów - mówiła Barb z żalem - lecz odkąd skończyła osiemnaście lat, rozmawialiśmy o chłopakach, którzy jej się podobali. Cierpiałam, kiedy zdałam sobie sprawę, że jej zainteresowanie budzili przede wszystkim »brutale«. Obserwowała mnie i moje reakcje i uważała, że tak właśnie wygląda miłość”.

Ronda próbowała ułożyć to sobie w głowie.

- Nie rozumiem tego. Starałam się przerwać to, błędne koło - powiedziała raz matce. - Może na tym właśnie polega wyzwanie: by zmienić tych mężczyzn. Może dlatego się w nich zakochiwałam.

„Uświadomiłam sobie - wyznała mi Barb niedawno - że odkąd moja córka zaczęła rączkować, rozumiała wszystko, co działo się wokół”.

CZEŚĆ IV

ŚLEDZTWO TRWA

ROZDZIAŁ 15

Osiem dni po śmierci Rondy wypadła Wigilia. Tego właśnie wieczoru koroner hrabstwa Lewis, Terry Wilson uznał, że rodzaj jej śmierci jest „nieznany”. Jego biuro nie podało, ile czasu zajmie poznanie prawdziwych przyczyn zgonu.

Ta śmierć „nieznanego rodzaju” wiązała się z wieloma niewyjaśnionymi wątkami. Za każdym razem, gdy śledczy z biura szeryfa sądzili, że coś mają i że elementy układanki zaczynają do siebie pasować, pojawiało się coś, co burzyło całą koncepcję.

Detektyw Berry został głównym prowadzącym tę sprawę, ponieważ Dave Neiser wyjechał na urlop. W tamtym czasie Jerry'ego uważano za wysmienitego śledczego. Początkowo cieszył się, że ma taką opinię, ale zmienił zdanie, gdy otrzymał sprawę Reynolds. Wstydział się za błędy i zaniedbania popełnione przez kolegów na początku śledztwa, w domu przy Twin Peaks Drive - wiedział, że niektórych z nich nie da się naprawić.

16 grudnia, kilka godzin po zabraniu ciała Rondy, detektyw wrócił na miejsce zdarzenia. Musiał dokonać pomiarów, szczególnie w garderobie i łazience. Nie spodziewał się nowych odkryć. Od rana miejsce to zostało „zanieczyszczone” przez wiele osób, ważne dowody usunięto lub przeniesiono, a przez cały dom przewinęły się tłumy - zarówno śledczych, jak i osób postronnych.

Gdy wrócił tam po południu, stwierdził, że garderoba jest niewielkich rozmiarów: półtora metra na niecałe dwa. Widział, że stopy Rondy wystawały za próg, uniemożliwiając zamknięcie drzwi.

Bał się myśleć, jakie dowody rzeczowe mogły zostać dotychczas zniszczone. Ponadto większości sąsiadów Reynoldsów nie przesłuchano. Później również nikt się tym nie zajął.



Nasienie znalezione w wymazie pobranym z pochwy ofiary podczas autopsji nie zostało zachowane, prawdopodobnie nie zbadano go też pod kątem grupy krwi mężczyzny, do którego należało, choć na tej podstawie udałoby się może ustalić jego tożsamość.

Dave Bell zaprzeczył, jakoby on i Ronda odbyli stosunek ostatniego dnia, który spędzili razem. Za to Ron Reynolds wydawał się dumny, kiedy przyznał, że tej nocy on i jego żona uprawiali seks. Berry'emu wydało się to podejrzane: kobieta tak zdenerwowana, jak przedstawił to Reynolds, nie miała raczej odpowiedniego nastroju. Bardziej prawdopodobne wydawało się, że została zgwałcona.

Będąc drugi raz w domu w Toledo, Jerry Berry wykonał więcej zdjęć. „Co chwila coś wzbudzało moje podejrzenia” - wspominał. „Jedyną osobą, która twierdziła, że Ronda miała myśli samobójcze, był jej mąż. Opowiadał mi, jak zmuszał się, by nie zasnąć przez całą noc i nie pozwolić żonie odebrać sobie życia. Również tylko on utrzymywał, że piła alkohol. Butelka black velvet, którą znaleźliśmy w sypialni, była pusta - lecz on twierdził, że wcześniej znajdowało się w niej płynu na dwa lub trzy drinki. Obok butelki stały dwie szklanki i puszka pepsi”.

Stało się to punktem spornym. Podczas autopsji oraz badań laboratoryjnych nie znaleziono ani śladu alkoholu we krwi czy moczu Rondy. Kto zatem opróżnił butelkę whisky? Ron nie został przebadany na obecność alkoholu lub narkotyków we krwi, podobnie jak jego synowie.

Do tego dochodziła kwestia stanu łazienki w domu Reynoldsów. Gdy na miejsce dotarli pierwsi policjanci, Bob Bishop, jeden z zastępców szeryfa, zauważył, że kafelki i lustro głównej łazienki były zaparowane - jakby ktoś tuż przed ich przyjazdem brał prysznic. Obrączka Rona wciąż leżała na zlewie w łazience przylegającej do sypialni małżonków, a policjanci dostrzegli jaśniejszą obwódkę na serdecznym palcu jego lewej dłoni.

Dlaczego mężczyzna, który przed chwilą odkrył zwłoki swojej żony, udał się pod prysznic? Żeby zmyć z siebie krew lub ślady prochu? A może zrobił to pod wpływem szoku?

Ślady prochu znalezione na skórze rąk czy ubraniu podejrzanego uważano kiedyś za podstawowy dowód w śledztwie dotyczącym śmierci osoby zabitej z broni palnej. Jest to również częsty element powieści detektywistycznych. Niektóre laboratoria policyjne jednak nie tracą czasu na wykonanie badań na obecność prochu, ponieważ osad o zbliżonym składzie chemicznym (bar, antymon, ołów) może się pojawić w różnych okolicznościach. Nawet wytarcie rąk papierowym ręcznikiem daje podobne wyniki na obecność prochu.

Prawnik Reynoldsa twierdził, że na dłoni Rondy znajdowały się drobiny prochu. Jej mąż natomiast nie został przebadany pod tym kątem. Glade Austin powiedział, że i tak nic by to nie dało - sędzia nie włączyłby wyników badań do materiału dowodowego.

Niemal od samego początku Berry miał przecucie, że śmierć Rondy to „upozorowane samobójstwo”, i pracował nad sprawą z takim właśnie przekonaniem. Nie podobało się to szeryfowi Johnowi McCroskeyowi oraz pozostałym policjantom z biura szeryfa hrabstwa Lewis.



Laboratorium waszyngtońskiej policji stanowej opracowało raport balistyczny na temat broni i kuli, która zabiła Rondę Reynolds. Strzelano z rewolweru firmy Smith & Wesson kalibru .32; w magazynku znajdowało się jeszcze pięć pocisków.

Raymond Kusumi, kryminalistyk pracujący w tymże laboratorium, przetestował broń. Rewolwer działał sprawnie, nie odnotowano żadnych defektów. Siła nacisku spustu przy ręcznie napiętym kurku wyniosła 1,47 kilograma (3,25 funtów), a przy samonapinaniu prawie 5 kilogramów (11 funtów). Łuska naboju, który ranił kobietę, miała wyżłobienia wykonane przez wyciąg i wyrzutnik łusek rewolweru, a wyglądające identycznie jak wyżłobienia na łuskach kul

wystrzelonych w laboratorium.

Dowodziło to bezwzględnie, że Rondę Reynolds zabito z broni, którą testował Kusumi.

Wystrzelenie z pistoletu o całkiem sporej sile nacisku przez ofiarę byłoby niemożliwe, biorąc pod uwagę pozycję, w której znaleziono jej ciało. Jak wyjaśnić fakt, że pistolet rzekomo wylądował na jej czole, a nie zsunął się na bok, pchnięty siłą odrzutu? Wraz z rozwojem śledztwa pytanie to będzie zastanawiało kilku specjalistów z dziedziny balistyki. Rana znajdowała się tuż przy uchu Rondy, lecz położenie rewolweru zaprzeczało prawom fizyki. Uwzględniając ponadto fakt, że obie dłonie kobiety - gdy ją znaleziono - leżały pod kocem, samobójstwo wydaje się najmniej prawdopodobnym rodzajem śmierci.

Podczas gdy mieszkańcy hrabstwa Lewis cieszyli się Świętami, choinką i prezentami, detektyw Jerry Berry próbował wyjaśnić sam sobie, dlaczego fizyczne aspekty zdarzenia nie układają się w całość.

Wypadki nie mogły potoczyć się tak, jak przedstawiał to Ron Reynolds...



Jedną z osób, która pojawiła się w domu Rondy rankiem 16 grudnia, była czterdziestojednoletnia Cheryl Gilbert. Berry zauważył, że garnęła się do pomocy przy śledztwie, wykazując się niespotykaną nadgorliwością. Pomimo bólu, jaki mogła sprawić jej śmierć przyjaciółki, kobieta zdawała się cieszyć, że jest w centrum uwagi i wszyscy zadają jej pytania.

18 grudnia detektyw nagrał jej oficjalne zeznania. Na początek zapytał:

- Czy może pani opowiedzieć o swoich relacjach z Rondą Reynolds?

- Poznałyśmy się w listopadzie 1991 roku, w domu moich rodziców podczas obiadu z okazji Święta Dziękczynienia. Od tamtej pory

byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami. Rozmawiałyśmy prawie codziennie.

- Kiedy po raz ostatni?

- O 22.30 we wtorek, piętnastego. Zadzwoiła do mnie do domu. Widziałyśmy się tego samego dnia, wyszłam od niej około wpół do czwartej po południu. Spędziłam tam chyba godzinę.

- Rozumiem. Jak zachowywała się podczas tego spotkania? Może mi pani powiedzieć, o czym rozmawiałyście?

Tym pytaniem otworzył tamę: z ust Cheryl wylało się morze słów.

- Była bardzo zdenerwowana. Kiedy zadzwoniła przed moją wizytą, opowiedziała mi o rozmowie z mężem. Stwierdził, że kocha ją i swoją byłą żonę jednakowo, ale postanowił wrócić do Katie. Poprosił Rondę, żeby się wyprowadziła. Zaproponowałam, by na jakiś czas zatrzymała się u mnie. Mieszkałyśmy już wcześniej razem, jakoś w 1991 albo w 1992 roku w Elmie. Wiedziała, że zawsze może na mnie liczyć. W trakcie naszej pogawędki była niezwykle zdenerwowana i mówiła, że czuje, jakby ogarnął ją mrok, tak bardzo jest jej źle. Powiedziałam, że doskonale ją rozumiem, ponieważ siedem lat wcześniej sama przeszłam przez rozwód i wtedy to ona mnie wspierała. Spojrzałam na nią z ukosa, bo przeszło mi przez myśl, że zrobi sobie coś złego. Zauważyła to. Patrząc mi prosto w oczy, oświadczyła: „Nie, nigdy bym tego nie zrobiła”. Obie wiedziałyśmy, że chodzi o samobójstwo. To oczywiście, że Ronda nie odebrałaby sobie życia.

Cheryl należała kiedyś do rezerwowych funkcjonariuszy policji w miasteczku Elma i pamiętała zawarty z koleżankami pakt - postanowiły, że żadna z nich nie targnie się na swoje życie.

- Niezależnie od tego, czy ostatni raz widziałyśmy się wczoraj, czy dziesięć lat temu, w razie kryzysu miałyśmy do siebie dzwonić. Samobójstwo nie stanowiło rozwiązania, a ona sprzeciwiała mu się najbardziej.

Cheryl rozwinęła swoje wcześniejsze zeznanie dotyczące tego, że

Ronda opróżniła łóżko wodne, które dzieliła z Ronem. Zrobiła to, kiedy widziały się 15 grudnia.

- Przyniosła wąż z garażu i powiedziała: „Wylewamy wodę. Nie zamierzam pozwolić jego byłej spać w moim łóżku!”.

Tak też zrobiły.

Cheryl Gilbert opowiadała wszystko z wielkim przejęciem. Zznała, że przyjaciółka spytała, czy nie zawiozłaby jej następnego ranka do Portland, skąd miała lecieć do Spokane.

- Czy zaczęła się pakować? - wtrącił Jerry.

- Trochę. Pozbierała kilka potrzebnych rzeczy. Poprosiła mnie przez telefon, żebym pojechała do szkoły i porozmawiała z Ronem. Chyba chciała, abym przekonała go do zmiany decyzji. Spytałam: „Mam potem zajechać do ciebie?”, a ona odparła: „Tak, pomożesz mi się spakować i pojedziemy na lotnisko”.

Z każdą odpowiedzią na pytania detektywa Cheryl stawała się coraz ważniejsza w życiu Rondy - przynajmniej w jej własnym mniemaniu.

Wspomniła o dwóch młodszych synach Reynoldsa, których widziała w domu tamtego popołudnia.

- Jeśli chodzi o wtorkowy telefon z 22.30: to ona zadzwoniła do pani czy pani do niej?

- Dzwoniła do mnie wcześniej, ale mnie nie zastała. Spytała moją córkę, czy mogłaby u nas zamieszkać, a córka odparła, że jak najbardziej, zawsze znajdzie się dla niej miejsce. Ronda zamierzała kupić pojedyncze łóżko i przewieźć je do mnie, ponieważ mam cztery sypialnie; miała zająć tę czwartą. O wpół do jedenastej zadzwoniła do mnie. Spytałam, gdzie jest, a ona powiedziała, że u siebie. Ponownie napełniła łóżko wodne...

Cheryl zapytała, gdzie w takim razie jest Ron, a przyjaciółka stwierdziła, że w drugim pokoju.

- Pomyślałam, że chodzi o salon, ponieważ zwykle tam spędzał wieczory. Oglądali dwa różne programy w oddzielnych pokojach.

Cheryl jeszcze raz zaoferowała jej podwiezienie do Portland następnego ranka, ale Ronda odparła, że jeszcze to potwierdzi.

Kobieta nie była pewna, dlaczego przyjaciółka zmieniła plany i została w swoim domu na noc.

- Zostawiła u mnie klucze do mojego domu i wróciła do siebie.

Nie wyjaśniła, dlaczego nie wspomniała o tym podczas wieczornej rozmowy.

Rano zawsze ugodowo nastawiona Cheryl zawiozła dzieci do szkoły, po czym udała się do Toledo, żeby porozmawiać z Ronem. Na parkingu dla personelu nie zauważyła jednak jego samochodu.

- Pojechałam więc do ich domu i weszłam bez pukania. Stał tam policjant. Spytałam go, czy jest Ronda. Spojrzał na mnie i rzucił: „Nie”. A potem Ron podszedł do mnie i powiedział, że się zastrzeliła.

- Kiedy ostatnio rozmawiała pani z panem Reynoldsem? - spytał Berry.

- Rozmawialiśmy... hm... w czwartek rano, siedemnastego. Zadzwoił do mnie.

- On do pani? - upewnił się Berry ze zdziwieniem. - Po co?

- Chciał wiedzieć, czy kontaktowałam się z jej mamą i babcią w Spokane. Poprosił mnie o numer telefonu Barb. Podobno nie dzwonił do nich, bo nie był pewien, czy ktoś ich już nie poinformował.

- Wypytywał panią o rodzinę zmarłej?

- Tak, powiedziałam, że rozmawiałam z nimi w środę wieczorem, a on spytał: „Obwiniają mnie?”. Odparłam, że nie wiem, co nie do końca jest prawdą.

- Czy kiedykolwiek wspominał o swojej sytuacji finansowej?

- Owszem. Spytałam: „Ron, co się stało? Wiem, że mówiłeś jej wczoraj rano, że chcesz wrócić do byłej żony”. A on na to: „To nie do końca tak”. Oskarżył Rondę o zadłużenie jego karty kredytowej na dwadzieścia pięć tysięcy. Ale to niemożliwe, w ich domu nie pojawiło się aż tyle nowych rzeczy. Wiem, że wydała 1300 dolarów na naprawę samochodu, no i kupili zestaw mebli do jadalni. Ale poza

tym nic - nie widziałam u niej żadnej nowej biżuterii. Nie miała aż tylu ubrań. Pracowała przecież w Bon, gdzie kazali jej nosić rozciągnięte swetry i dresy. Dostała nawet kilka kompletów od firmy. Ale w domu nie pojawiło się nic drogiego.

(W tamtym czasie tylko firma windykacyjna wiedziała o długu na 1800 dolarów zaciągniętym przez Katie Huttulę, wystawiającą czeki bez pokrycia).

Cheryl Gilbert zeznała, że Ron szukał wszędzie polisy ubezpieczeniowej Rondy. Kiedy uprzedziła go, że Virginia Ramsey będzie zapewne chciała zatrzymać część pamiątkowej biżuterii po wnuczce, a także gablotkę w chińskim stylu, którą jej podarowała, mężczyzna odparł: „Nie oddam żadnej biżuterii, muszę ją sprzedać, żeby opłacić część rachunków”.

Berry zbliżał się do końca przesłuchania.

- Czy Ron Reynolds zdradzał jakiegokolwiek oznaki żalu? Mówił, że będzie mu brakowało żony?

Cheryl pokręciła głową.

- Powiedziałam mu wtedy: „Ona naprawdę cię kochała”, a on na to: „Wiem”. A kiedy wychodziłam z ich domu tamtego ranka, objęłam go, a on stwierdził tylko, że jest mu przykro. Nic więcej.

- Czy jest coś jeszcze, o czym - według pani - powinienem wiedzieć?

- W tej chwili nic nie przychodzi mi do głowy, ale powiem tyle: to nie powinno było się stać. Nie wierzę, że Ronda się zabiła.

Barbara Thompson także w to nie wierzyła. Nawet jeśli Cheryl rzeczywiście była najbliższą przyjaciółką zmarłej, nikt nie znał Rondy tak dobrze, jak jej matka. Nie wiedziała jednak wszystkiego. Nikt nie wie wszystkiego o drugiej osobie, nawet matki o swoich dzieciach.

„Żaden rodzic nie zna swojego dziecka na wylot” - wyjaśniała Barb. „Nawet jeśli matce wydaje się, że tak jest, wie o swoim dziecku tylko tyle, na ile ono pozwala. Jej lub jego partner zna je w specjalny, intymny sposób, a przyjaciele znają tę osobę jeszcze z innej strony”.

Barb starała się walczyć z poglądem, że jej córka popełniła samobójstwo - z poglądem, który koroner Terry Wilson podzielał i zamierzał oficjalnie potwierdzić. Ona nie wierzyła, że Ronda, którą знаła, mogła odebrać sobie życie. Odkąd pamiętała, motto jej córki brzmiało: „Żadnego strachu!”. Zarówno w pracy w policji stanowej, jak i w życiu codziennym zamiast uciekać przed problemami, starała się stawiać im czoła.

„Mogłabym się pogodzić z jej śmiercią, gdyby zginęła w wypadku. Przyjęłabym nawet, że popełniła samobójstwo, gdybym wiedziała, że taki był jej wybór. Miałoby to jakiś ostateczny wymiar. Musiałam jednak poznać prawdę, a to okazało się niezwykle trudne. Docierały do mnie bowiem same kłamstwa”.

Pomimo całej sympatii i wsparcia ze strony Cheryl przed pogrzebem Barb zdziwiła się, gdy usłyszała treść jej zeznań dotyczących ostatnich dni córki. Wątpiła, by Ronda prosiła ją o rozmowę z mężem.

- Sama rozwiązywała swoje problemy - powiedziała Berry'emu - a Ron nawet nie lubił Cheryl. Po cóż Ronda miałaby prosić ją o interwencję w sprawie swojego małżeństwa?

Thompson wróciła do Spokane, lecz regularnie jeździła do hrabstwa Lewis, wierząc, że w ciągu kilku miesięcy prawda o śmierci jej córki wyjdzie na jaw.

Tuffy, Jack Russell terier, znalazł szczęśliwy dom u Cheryl, jednak rottweilerki Jewels i Stara Daisy zostały zabrane przez Barb. Suka, którą Ronda przywróciła do zdrowia, wydawała się bardzo przeżywać stratę swej pani i wciąż biegała tam i z powrotem, próbując ją znaleźć.

„W końcu natknęła się na torbę ze starymi ubraniami Rondy” - opowiadała Barb. „Wyciągnęła jedną z jej koszul nocnych, zaniosiła na swoje poślanie i dopiero wtedy mogła wreszcie zasnąć”.

ROZDZIAŁ 16

Środowisko pracy Jerry'ego Berry'ego stawało się coraz bardziej wrogie. Już dawno przestał być nowicjuszem w dziale detektywów. Jego przełożeni i inni śledczy traktowali go teraz jak wyrzutka. Niemniej jednak nadal pracował nad rozwiązaniem tajemnicy śmierci Rondy Reynolds.

11 lutego 1999 roku jechał wozem policyjnym autostradą 1-5 na północ, kiedy zobaczył przed sobą samochód Katie Huttuli. Zamrugał lampą błyskową, a kobieta, rozpoznawszy go, zatrzymała się na poboczu. Uśmiechnęła się do niego i chętnie zgodziła się na rozmowę. Zjechali z autostrady, a Berry spytał, czy nie przeszkadzałoby jej, gdyby nagrał jej zeznania.

- Ależ skąd - odparła.

- Czy może mi pani powiedzieć, skąd znała Rondę i jak wyglądały wasze relacje?

- Przyjaźniłam się z nią kilka lat, zanim pobrali się Ronem. Jak pan wie, był moim mężem niemal ćwierć wieku i urodziłam mu pięciu synów. Przyjaźniłyśmy się, do tego stopnia, że kiedy wzięli ślub, nadal utrzymywałyśmy dobre stosunki.

- Wspomniała pani wcześniej, że były mąż dzwonił do pani z pracy 15 grudnia.

- Tak.

- Czy przypomina pani sobie treść tej rozmowy?

- Oczywiście. Od czterech miesięcy Ron i Ronda mieli problemy małżeńskie i rozważali rozstanie. Latem zadzwonił do mnie i spytał, czy nie chciałabym do niego wrócić. Od kilku miesięcy rozmawialiśmy przez telefon na temat naszego pojednania, lecz miało do niego

dojść, tylko gdyby im się nie ułożyło. Zachęcałam go zresztą, by w miarę możliwości pracował nad swoim związkiem.

Katie zeznała, że we wtorek 15 grudnia Reynolds dzwonił do niej ze szkoły. Powiedział, że Ronda od niego odchodzi, wyjeżdża do Spokane, a także że zamierzają się rozwieść.

- Spytał mnie, czy po koncercie w szkole, który miał się skończyć o dwudziestej pierwszej, przyjechałabym do Toledo z Tumwater, gdzie mieszkałam, żeby porozmawiać o możliwości pójścia na terapię w celu naprawienia naszych relacji, a w przyszłości również odbudowy naszego małżeństwa.

Stwierdziła, że Ron dzwonił do niej tamtego popołudnia - nie ze szkoły, lecz z przychodni kardiologicznej.

- A potem telefonowała pani do niego piętnastego wieczorem?

Katie zaczęła plątać się w zeznaniach. Pamiętała, że wróciła do domu między dziesiątą a jedenastą wieczorem i sprawdziła wiadomości na sekretarce.

- Ron nagrał się wcześniej, mówiąc, że Ronda postanowiła nocować w ich domu, więc nie powinnam przyjeżdżać. Obiecałam dzieciom, że się pojawię, dlatego chwyciłam za słuchawkę i odzwoiłam. Odebrała ona. Powiedziała mi, że jednak nie będzie rozwodu, że ona tego nie chce. Poradziłam jej więc, aby dalej pracowali nad swoim małżeństwem. Nie chciałam się wtrącać. Odłożyłam słuchawkę i poszłam spać.

Mówiła dalej, że Ronda zadzwoniła kilka minut później i poprosiła ją, by porozmawiała z Ronem. Katie nie chciała tego robić, lecz ona przekazała mu już słuchawkę. Po raz kolejny kobieta poradziła swemu byłemu mężowi i jego młodej żonie, by się uspokoili, położyli spać i wyłączyli telefon. Przedstawiała siebie jako głos rozsądku, osobę, która starała się tylko pomóc.

Według Huttuli Ronda zaczęła się z nią przyjaźnić, po tym, jak straciła w wypadku swoją przyrodnią siostrę. Poznała ją, gdy obie były już dorosłe, ale szybko znalazły wspólny język. Niedługo jednak mogły się sobą cieszyć.

- Bardzo ją to przygnębiło, ale wtedy nie mówiła o samobójstwie. Chociaż pamiętam, że kiedyś rzeczywiście o tym wspominała.

- Czy mówiła, jak odebrałaby sobie życie?

- Staralam się to sobie przypomnieć, ale nie wydaje mi się, aby mówiła coś o sposobie.

Berry spytał kobietę, czy wiedziała coś na temat polis ubezpieczeniowych, jakie mogła posiadać Ronda.

- Ronowi wydawało się, że wykupiła jakąś polisę, ale nie był pewien, czy uwzględniła ona również samobójstwa, bo zazwyczaj tak nie jest.

Reynolds wystąpił już o wypłatę pieniędzy z ubezpieczenia, lecz Katie albo nie miała o tym pojęcia, albo udawała, że nic o tym nie wie.

- Czy jest coś jeszcze - pytał detektyw - co według pani mogłoby nam pomóc w śledztwie?

- Rondzie nigdy nie brakowało godności i wdzięku. To mi się w niej podobało. Wydaje mi się jednak, że bywało jej ciężko... Nie potrafiła sobie radzić z ludźmi... Widziałam, jak bardzo rozpaczała i ile łez przelała po rozstaniu z Markiem. Była naprawdę przybita, ale nie chciała zażywać prozacu, który przepisał jej lekarz. Nie przyznawała przed sobą, że może mieć depresję maniacką. Zresztą postępuje tak większość cierpiących na nią osób.

Słowa te uderzyły Berry'ego. To u Huttuli stwierdzono zaburzenia osobowości, podczas gdy nie istniały żadne dowody na to, by Ronda miała depresję maniacką. Detektyw wiedział również, że nigdy nie przepisano jej prozacu. Siedząca obok niego kobieta, która opowiadała o problemach psychicznych zmarłej, zdawała się zatem opisywać samą siebie. To Katie zmagala się przez lata z uzależnieniem od narkotyków i depresją. Berry uważał, że to ona byłaby bardziej skłonna do odebrania sobie życia. Tymczasem rozmówczyni chętnie rozprawiała o neurozie ofiary.

Tylko dwoje ludzi mówiło o rzekomych tendencjach samobójczych Rony Reynolds: jej owdowiały mąż oraz jego była żona, którzy od dnia jej śmierci mieszkali razem.



Koledzy Berry'ego z pracy zaczęli z niego pokpiwać. Dave Neiser mówił o nim: „Z każdej sprawy zrobi zabójstwo”, a opinię tę dzielali też inni.

„Podczas sporów na temat sprawy - które mają tu miejsce niezwykle rzadko - zorientowałem się, że pracuję w coraz bardziej wrogim otoczeniu” - wspominał detektyw. „W hrabstwie Lewis tak się po prostu nie postępuje. Trzeba wykonywać rozkazy i działać zgodnie z wyznaczonym planem”.

Tego nie mógł zrobić.

26 maja 1999 roku jego szef, Glade Austin, ogłosił w imieniu biura szeryfa, że oficjalnie zamyka śledztwo dotyczące Rony Reynolds, uznając jej śmierć za samobójstwo. Ludzie szeryfa McCroskeya nie interesowali się teoriami Berry'ego. To było samobójstwo i koniec.

Według Austina każdy, kto czytał akta sprawy, widział zdjęcia i formułował opinię na podstawie dostępnych informacji, zgodziłby się, że Reynolds najprawdopodobniej sama odebrała sobie życie. Ponadto stwierdził, że Rod Englert, były detektyw wydziału zabójstw z Oregonu oraz jeden z najznakomitszych ekspertów w kraju z dziedziny badania śladów krwi, poparł jego tezę.

(W rzeczywistości Englert, z którym przyjaźnił się od wielu lat, poinstruował Austina, by spróbował odtworzyć całe zdarzenie i na tej podstawie wyciągnąć odpowiednie wnioski. Nie przeprowadził dogłębnej analizy sprawy Rony Reynolds. Gdy mu o niej wspomniałam, odparł, że na pewno nie poparł sierżanta Austina i że nie przedstawiono mu żadnych dowodów poszlakowych).

Glade Austin pracował w biurze szeryfa hrabstwa Lewis od dwudziestu siedmiu lat. Od samego początku uważał śmierć Rondy za samobójstwo.

Dwa dni później Jerry Berry wydał własny komunikat:

Jako główny detektyw prowadzący śledztwo nie zgadzam się obecnie z tą konkluzją i nie uważam, że było to samobójstwo. Swoją opinię opieram na fakcie, iż sprawę rozstrzygnięto wyłącznie na podstawie zdjęć oraz raportu. Ludzie, którzy tego dokonali, nie mieli kontaktu z osobą podejrzaną ani nie brały udziału w dochodzeniu. Wciąż istnieje wiele niezgodności oraz dowodów poszlakowych, które - według mnie - wykluczają samobójstwo.

Dlatego też jedyne, co mogę w tej sytuacji zrobić, to wyrazić swoją opinię: uważam, że sprawa ta nie powinna zostać zamknięta, lecz zawieszona.

Berry korzystał z własnych notatek, nie wiedział zatem, że po zakończeniu śledztwa większość dowodów rzeczowych została zwrócona lub zniszczona. Detektyw sądził, że wciąż są one przechowywane w szafce z dowodami w biurze szeryfa, na wypadek gdyby pojawiły się nowe informacje. W ciągu kilku pierwszych dni po śmierci Rondy wykonał liczne zdjęcia wnętrza domu przy Twin Peaks Drive. Uważał, że nadal znajdują się one w aktach, i liczył na wykorzystanie ich w śledztwie.

Wyrażona przez niego opinia na piśmie została włączona do akt, lecz nikt na nią nie zareagował. Wiosną 1999 roku sprawa otrzymała status „zamknięta” - a nie „zawieszona”.

Ponieważ biuro szeryfa uznało śledztwo za zakończone, przychylnono się do prośby Barb Thompson o udostępnienie jej akt, ponieważ prawo daje taką możliwość. Czy bez doświadczenia i wiedzy śledczego miała szansę zrozumieć ich treść? Akta spraw związanych

z czyjąś nagłą śmiercią - morderstwem, samobójstwem, wypadkiem czy też zgonem z przyczyn naturalnych - mogą być zawile i trudne do rozszyfrowania. Zawierają mnóstwo kodów, skrótów, terminów medycznych oraz wyniki różnego typu badań. Barb zamierzała to wszystko rozpracować i postanowiła sprawdzić każdą rzecz, której nie rozumiała.

„Nie wyklucza to ponownego otwarcia postępowania” - napisał Glade Austin, dając kobiecie iskierkę nadziei. „Jeśli w przyszłości pojawią się istotne informacje, wznowimy śledztwo”.

Szeryf John McCroskey jednak w swej opinii napisał: „Nie istnieją dowody ani informacje wspierające jedną teorię, a wykluczające pozostałe, toteż prawdopodobnie sprawa ta pozostałaby na zawsze nierozwiązana i otwarta”.

Berry nie widział w tym nic złego. Prosił jedynie o zakwalifikowanie jej jako „zawieszanej - bez rozstrzygnięcia”. Przez lata był lojalny wobec swych pracodawców i chciał utrzymać ten stan rzeczy. Nie istniały żadne przesłanki nakazujące szybkie zamknięcie śledztwa; nie brali udziału w wyścigu ani nie próbowali ustanowić rekordu w jak najszybszym zamykaniu spraw. Szukali prawdy, a to może czasem potrwać.

Obawiał się, że pomimo tego, co pisał Glade Austin, śledztwo nie zostanie ponownie wszczęte. Akta będą zbierały kurz w policyjnym archiwum. Gdy Barbara pokazała mu zdjęcia z miejsca zdarzenia, które przekazali jej detektywi hrabstwa Lewis, spojrział na nie raz, przyjrzał się uważniej, a następnie wykrzyknął:

- Mój Boże, Barb! Większość z nich została zrobiona dopiero dwa dni po zdarzeniu!

Przebiegł palcem po liście dowodów włączonych do akt, które otrzymała matka zmarłej, i znalazł liczne kody oznaczające, że dokumenty zostały „zwrócone” lub „zniszczone”.

- Wspaniale - rzucił z przekąsem. - Zniszczyli wszystkie dowody. Nigdy nie dojdzie do aresztowania.



W styczniu 2001 roku, gdy sfrustrowany detektyw zbyt natarczywie domagał się ponownego wszczęcia śledztwa w sprawie Rondy, został przeniesiony do patrolu ulicznego. To oznaczało degradację. Szeryf stwierdził, że jest to „standardowa procedura”, ponieważ wszyscy zastępcy i detektywi są regularnie przenoszeni z jednego stanowiska na inne. „Przeniesienie” z detektywa na funkcjonariusza patrolującego boczne drogi hrabstwa Lewis Berry odebrał jednak jako policzek.

Przydział ten okazał się znacznie bardziej niebezpieczny niż praca detektywa. Mimo zranionej dumy po latach funkcjonariusz potrafił przytoczyć kilka jaśniejszych momentów swych nowych obowiązków. „Raz, kiedy zakuwałem w kajdanki podejrzanego, podziobał mnie rozwścieczony kogut” - opowiadał ze śmiechem. „Wolałbym chyba, żeby rzucił się na mnie pies, bo ten ptak nie chciał mnie puścić!”.

Berry pracował na patrolu w wyznaczonych godzinach, lecz w wolnym czasie wracał do sprawy Reynolds, powiększając listę rzeczy, które nie pasowały do teorii samobójstwa.

Być może największy błąd popełnił, kiedy zwrócił się do szefa wydziału kryminalnego Joego Doencha z prośbą o wysłanie akt do sławnego detektywa Vernona Gebertha, by ten przejrzał je i wydał opinię, ewentualnie udzielił wskazówek. Doench początkowo również uważał, że w sprawie Rondy istnieją pewne niezgodności, dlatego spełnił prośbę podwładnego.

Vernon Geberth, którego książka *Practical Homicide Investigation: Tactics, Procedures and Forensic Techniques* („Śledztwo w sprawie zabójstwa: metody, procedury i techniki kryminalistyczne”) stanowi biblię każdego śledczego, jest emerytowanym komendantem wydziału zabójstw nowojorskiej dzielnicy Bronx. Uczestniczył w ponad ośmiu tysiącach śledztw, a obecnie prowadzi kursy dla detektywów w całym kraju. Miał być pierwszym ekspertem, który wypowiedział się w sprawie śmierci Rondy Reynolds.

Detektyw z hrabstwa Lewis uczestniczył kiedyś w kursie prowadzonym przez Gebertha i był pod wielkim wrażeniem. Uważał, że jeśli ktokolwiek spoza jego wydziału mógł rzucić nowe światło na śledztwo, które prowadził, to tylko Vernon Geberth. Choć zawsze mówi to, co myśli, i z pewnością nie słyńie z taktu, jest poważany jako ekspert w całej Ameryce.

Geberth wyraził swą opinię na temat błędnie przeprowadzonego śledztwa, a jego raport był miażdżący. Postępowanie biura szeryfa hrabstwa Lewis nazwał „hańbiącym epizodem dla całej policji”.

Niewiele istnieje przypadków, w których z pełną stanowczością mogę stwierdzić: »To było zabójstwo«. Moim zdaniem, jako profesjonalisty - pisał Geberth - denatka padła ofiarą morderstwa. Wbrew temu, co twierdzi jej mąż, nie popełniła samobójstwa. Przede wszystkim nie pasuje ona do profilu. Co więcej, jej mąż jest jedyną osobą twierdzącą, że odebrała sobie życie. Przesłuchiwani świadkowie zdecydowanie temu zaprzeczają. Osoby bliskie zmarłej są przekonane, że nie miała skłonności samobójczych, kochała życie i nigdy nie brała pod uwagę takiego rozwiązania. (...)

Poczyniła zarówno długoterminowe, jak i krótkoterminowe plany. Wieczorem, kilka godzin przed śmiercią, zarezerwowała bilet lotniczy. Jej przyjaciel oraz były narzeczony, sierżant wydziału w Des Moines, pomagał jej spakować się do podróży. Dzwoniła do niego jeszcze tego samego wieczoru. Wydawała się spokojna i przedstawiła określony plan działania, zgodnie z którym miał zawieźć ją rano na lotnisko. (...)

Fakty i okoliczności jej śmierci są wysoce podejrzanane i niezgodne z dochodzeniami na temat samobójstw, z którymi niżej podpisany miał do czynienia. Niespójne zeznania złożone przez jej męża nie zostały w żaden sposób zweryfikowane przez policję. Co więcej, całkowity brak oznak żalu przez

całe śledztwo sugeruje, że mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią żony. (...)

Specjalista złagodził nieco swą opinię stwierdzeniem, że nie jest rzadkością, by policja tak szybko zamykała śledztwa dotyczące ewidentnego samobójstwa. Napisał jednak także: „[Berry] jest dobrym detektywem, który ryzykował karierę, by dotrzeć do prawdy. Znakomicie wywiązywał się ze swoich obowiązków”.

Raport nowojorskiego eksperta rozwścieczył detektywów z hrabstwa Lewis. Joe Doench krzyczał:

- Zrobił z nas bandę idiotów!

W rezultacie Doench, za zgodą szeryfa McCroskeya, zakazał Berry'emu dalszej pracy nad tą sprawą, nawet w czasie wolnym.

Ponadto - głosiło rozporządzenie - jeśli ktokolwiek wspomni coś na ten temat, ma pan osobiście się u mnie stawić!

Od tego momentu każdy raport Berry'ego był krytykowany. Wyślano go nawet na konsultacje do psychologa.

„Ze wzorowego pracownika stałem się nagle czarną owcą” - mówił ponuro detektyw. „W końcu w grudniu 2001 roku złożyłem wypowiedzenie...”

Długo znosił krytykę i szykany. To, że oddał odznakę, nie znaczyło jednak, iż zaprzestawał poszukiwania odpowiedzi na pytanie, co naprawdę stało się przed trzema laty w nocy z 15 na 16 grudnia. Zapewnił Barb Thompson, że będzie kontynuował pracę nad sprawą. Zamierzał przyjrzeć się raz jeszcze każdemu aspektowi śmierci jej córki i odkryć szczegóły, które wcześniej mogły mu umknąć.

Matka ofiary i detektyw już dawno zostali przyjaciółmi i pracowali razem nad znalezieniem czegoś, co zmusi biuro szeryfa do ponownego otwarcia śledztwa. Jerry i jego żona, Susan, stali się najgorliwszymi zwolennikami Barb. Uznawali jej rację i wspierali jej

walkę o wymazanie słowa „samobójstwo” z aktu zgonu córki.

Jerry dotrzymał obietnicy, że nie policzy za swą pracę ani centa. Kobieta była mu wdzięczna, zastanawiała się jednak, dlaczego to robi. Nie miał przecież pracy, utrzymywała go żona. W końcu wyznał, że zamierza zdobyć licencję prywatnego detektywa i w ten sposób zarabiać na życie.

„Nie martw się o to” - uspokajał ją. „Dam sobie radę. Nie przestanę walczyć o sprawiedliwość dla Rondy”.

ROZDZIAŁ 17

Jerry Berry zaczął od samego początku sprawy, zaznaczając każdą rzecz, która wydała mu się dziwna. W tym czasie wciąż nie miał pojęcia, ile dowodów rzeczowych i zdjęć zniknęło z przechowywanych w biurze szeryfa akt dotyczących śledztwa. Przesłuchał pozostałych świadków, po czym przedstawił swoje odkrycia i wnioski.

W ciągu pół roku od śmierci Rondy detektyw spisywał wszystkie niezgodności, jakie zauważył w zeznaniach i działaniach świadków oraz osób znajdujących się na miejscu zdarzenia. Patrząc na nie ponownie - jak czynił to wielokrotnie w późniejszych latach - nie mógł zrozumieć, dlaczego dochodzenie zostało zamknięte.

Czy żaden prokurator nie był skory do postawienia zarzutów? Prawdą jest, że w okresie przedwyborczym prokuratorzy okręgowi chwalili się wygranymi rozprawami, a ten zawiły przypadek mógł pogorszyć ich statystyki. Gdyby jednak ktoś odważył się podjąć to wyzwanie i wygrałby w sądzie, sprawa Rondy mogłaby przynieść mu rozgłos i przyspieszyć karierę.

Berry stworzył listę dwudziestu jeden wątpliwości:

1. Gdy pana Reynoldsa spytano na miejscu zdarzenia, czy jego żona była lewo- czy praworęczna, nie potrafił odpowiedzieć. Rozsądnym jest chyba założenie, że każdy człowiek wie, którą ręką posługuje się jego współmałżonek. Osoba leworęczna odruchowo umieściłaby broń w lewej ręce ofiary, co wyjaśniałoby reakcję pana Reynoldsa na zadane mu pytanie.

2. Pan Reynolds zeznał, że w butelce po black velvet znajdował się alkohol wystarczający na dwa drinki i że żona wypila go w nocy. Tymczasem badanie toksykologiczne wykłuzyło obecność alkoholu w jej organizmie.

3. Jeśli podczas trwającej 45 minut rozmowy telefonicznej pan Reynolds próbował przekonać żonę, by nie myślała o samobójstwie, to dlaczego w drodze do domu postanowił za-trzymać się na obiad i udać się na szkolne przedstawienie? Z pewnością nie tak zachowuje się mąż przejęty stanem psychicznym żony.

4. Pan Reynolds zeznał, że położyli się z żoną do łóżka koło dziesiątej wieczorem i od tamtej chwili nie spuszczał z niej oka, do momentu aż zasnął o piątej rano. Zeznania świadków oraz wykaz połączeń telefonicznych świadczą o tym, że Ronda rozmawiała przez telefon do godziny 00.45 i prze-bywała w sypialni sama. Powiedziała ona przyjaciółce, że Ron znajdował się w drugim pokoju. Zostało to częściowo po-twierdzone przez najmłodszego syna.

5. Według zeznań pana Reynoldsa drzwi do garderoby były zamknięte, a gdy je otworzył, znalazł w środku martwą żonę. Pozycja ciała wykluczała taką możliwość: drzwi musiały być otwarte lub uchylone, gdyż nogi ofiary blokowały je, uniemożliwiając zamknięcie. Widać to wyraźnie na zdjęciach.

6. Ofiara była przykryta kocem elektrycznym, pod którym znajdowały się obie jej ręce, lecz pistolet leżał po zewnętrznej stronie koca, co wyglądało, jakby ktoś próbował wcisnąć go w dłoń ofiary. Dla jasności: pomiędzy skórą a pistoletem znaj-dował się jeszcze koc.

7. Stwierdzono wystąpienie plam pośmiertnych, które po-jawiają się zwykle po ośmiu lub dwunastu godzinach od mo-mentu zgonu.

8. Stwierdzono również, że doszło do powstania stężenia pośmiertnego - o wiele większego niż u ofiary, która leżała martwa przez tak krótki czas (od piątej do szóstej rano), nawet przy uwzględnieniu skutków działania koca elektrycznego.

9. Eksperci twierdzą, że śmierć mózgu nastąpiła natychmiast i nie mogło dojść do żadnych świadomych ruchów po postrzale, co potwierdza, że nawet gdyby strzelała sama do siebie, nie mogłaby potem przykryć się kocem.

10. Włosy Rondy zostały odgarnięte do góry, jakby ktoś chciał odstąpić ranę i przyjrzeć się jej.

11. Kobieta miała zniszczony paznokieć, co może oznaczać, że doszło do walki.

12. Wiadomości na lustrze w łazience nie można uznać za list pożegnalny. Sugeruje ona bowiem, że ofiara kochała pana Reynoldsa i chciała, by zadzwonił do niej do domu jej babci w Spokane.

13. Niemal pół godziny zajęło panu Reynoldsowi skontaktowanie się z policją, po tym jak wstał o szóstej rano (niezbyt szybka reakcja).

14. Pan Reynolds zeznał, że sprawdził puls za uchem Rondy dwoma palcami, lecz na śladach krwi na szyi ofiary nie widać, aby ktoś jej dotykał.

15. Zeznania świadków oraz jego samego wskazują, że pan Reynolds ma lekki sen - a jednak nie usłyszał wystrzału, który miał miejsce kilka metrów od jego łóżka.

16. Badania na obecność śladów prochu na dłoniach ofiary nie stwierdzają jednoznacznie, że trzymała ona broń.

17. Na pistolecie nie znaleziono żadnych odcisków palców.

18. Synowie pana Reynoldsa nie widzieli, jak David Bell oddaje Rondzie pistolet, z którego wyladował wcześniej naboje. Bell twierdzi, że umieścił broń w schowku wskazanym

przez Rondę - w miejscu, gdzie zwykle przechowywał ją pan Reynolds.

19. Sprawdziłem szufladę pod łóżkiem wodnym, gdzie David Bell umieścił broń. Znajduje się ona po stronie łóżka pana Reynoldsa, więc nie dałoby się jej otworzyć i wyjąć broni bez budzenia go.

20. Nie udało mi się zlokalizować „brązowej kabury”, w której przechowywany był pistolet.

21 Ewidentny brak smutku czy poczucia winy podczas rozmowy telefonicznej z dyspozytorem policji oraz późniejsze zachowanie pana Reynoldsa w czasie śledztwa czyni go podejrzanym.

Wszystkie te uwagi były prawdziwe. W roku 2001 budziły takie same wątpliwości jak w grudniu 1998. Berry nie zanotował jednak wszystkich swoich zastrzeżeń. Zrobił to, gdy mijały kolejne miesiące i lata.

CZEŚĆ V

ŻYCIE TOCZY SIĘ DALEJ

ROZDZIAŁ 18

Reynolds niezbyt długo mieszkał ze swoją byłą żoną. Choć wprowadziła się do domu przy Twin Peaks Drive zaledwie kilkanaście godzin po śmierci Rondy, jej eksmąż zdawał się uważać ją jedynie za połączenie niańki z pokojówką - zajmowała się najmłodszymi synami i wykonywała prace domowe. Została tam do maja 1999 roku, lecz ich związek nie przetrwał próby czasu.

Ron stał się gorącym towarem na rynku matrymonialnym małego miasta - wdowiec, wysoki, niebrzydki, do tego dyrektor szkoły, a więc całkiem majątny. Lokalna społeczność zupełnie zignorowała podejrzenia, że nie mówił całej prawdy na temat śmierci Rondy. Był lubiany przez uczniów, którzy uważali go za dowcipnego i doceniali fakt, że pamiętał ich imiona, nawet na długo po tym jak ukończyli szkołę.

Wiele osób współczuło mu, że stracił żonę w tak tragicznych okolicznościach.

Jedną z kobiet, którym się spodobał, była Blair Connery *. Jej młodszy syn uczęszczał do szkoły podstawowej w Toledo i wypowiadał się bardzo pochlebnie o „panu Reynoldsie”. Blair niedawno się rozwiodła i sama wychowywała dwóch synów. Brała udział w wielu wydarzeniach z życia szkoły, także sportowych. Jesienią 1999 roku, jakieś dziewięć miesięcy po śmierci Rondy, dostrzegła Reynoldsa stojącego samotnie przy linii bocznej podczas meczu futbolowego. „Podeszłam do niego i przedstawiłam się” - wspominała kobieta. „Działalam spontanicznie”.

Stanowili kompletne przeciwieństwa i może stąd wzięło się wzajemne zainteresowanie. Blair jest piękną kobietą o dużym biuście, długich blond włosach, lśniących oczach i wspaniałym poczuciu humoru.

„Nie spodziewałam się niczego po tej rozmowie - mówiła - ale on zadzwonił kilka dni później i zaprosił mnie na randkę. Zgodziłam się i tak wyglądał początek niemal trzyletniego związku”.

Blair święcie wierzyła w niewinność Rona w sprawie podejrzonej śmierci Rondy i współczuła jego synom: Jonathanowi, Davidowi oraz Joshowi, którzy właściwie zostali bez matki. Katie Huttula bardzo ich kochała, lecz burzliwy tryb życia często uniemożliwiał jej opiekę nad dziećmi. Czasem znikwała, nie mówiąc nikomu, dokąd się wybiera. Blair wiedziała, że była żona Reynoldsa nie mieszka z nim od kilku miesięcy.

Jeśli rodzina Katie znała jej obecne miejsce pobytu, nie zdradziła go nikomu.

Connery postawiła sobie za cel wzbogacenie życia Rona i jego trzech chłopców o kobiecy pierwiastek. Wiedziała, że miał jeszcze dwóch starszych synów i co najmniej jedną byłą żonę, ale mimo wszystko wydawał jej się zagubiony. Wyobrażała sobie nawet, jak jej dzieci zaprzyjaźniają się z jego synami. Początkowo wydawało się to możliwe, gdyż chłopcy byli w podobnym wieku.

„Wszędzie chodziliśmy razem, jak rodzina” - wspominała Blair. „Na szkolne uroczystości, mecze. Obchodziliśmy razem święta. W takich momentach szczególnie ważna jest obecność mężczyzny, który reprezentuje autorytet ojca, oraz kobiety stanowiącej przy najmniej jakiś substytut matki. Nie potrzebowałam wiele czasu, żeby zakochać się w Ronie”.

Gdy kobieta zaczęła spędzać więcej czasu w domu Reynoldsa, nabrała pewności, że Katie Huttula już tam nie mieszka - choć zostało tam wiele jej drobiazgów, jakby lada moment miała tam wrócić. Nowej partnerce Rona nie przeszkadzało to jednak, tym bardziej że mijały miesiące, a po ekszynie nadal nie było śladu.

Blair zawsze uważała, że Ron jest z nią szczery. Już na pierwszej randce wyznał, że „nie może się kochać”, i podobnie jak w przypadku Rondy - o czym nie wiedziała - ziarno padło na podatny grunt. Pomyślała, że jego impotencja wynika z traumy, której doznał po samobójczej śmierci żony.

Connery cieszyła się, że zdołała zapewnić partnerowi poczucie bezpieczeństwa, dzięki któremu udało mu się spełnić w sypialni. Uznała to za swój sukces i znak, że darzył ją zaufaniem - tak dużym jak jej wiara w niego. Odtąd kochali się codziennie, lecz ku swojemu rozczarowaniu kobieta odkryła, że Ron jest egoistycznym kochankiem i nie zwraca uwagi na jej potrzeby. Widać poprzednie partnerki nie uświadomiły mu, że seks można traktować inaczej. Ich stosunek kończył się, zanim na dobre się zaczął. Po wszystkim mężczyzna odwracał się na bok i zasypiał.

Mimo problemów z seksem w okresie świąt Bożego Narodzenia 1999 roku ich związek można już było uznać za dojrzały i udany. Blair dobrze zarabiała, ponadto miała trochę oszczędności, dlatego nie żałowała pieniędzy na prezenty dla Rona i jego synów. Spędzał w jej domu dwie lub trzy noce w tygodniu. Kupiła nawet piętrowe łóżko, żeby Josh, najmłodszy z chłopców Reynoldsa, także mógł tam nocować. Ona z kolei gościła przy Twin Peaks Drive w każdy weekend, opiekując się wszystkimi swymi mężczyznami.

„Prasowałam rzeczy Rona - mówiła z goryczą - i gotowałam im obiad. Przygotowywałam tyle jedzenia, żeby starczyło im na cały tydzień. Robiłam im nawet zakupy. Było mi żal tych chłopców. Dlatego starałam się zapewnić im w miarę normalny dom. Gotowałam, sprzątałam, prałam, pieliliam ogródek. Przedstawiłam go swoim znajomym i miałam nadzieję, że nasze dzieci się polubią”.

Tymczasem synów Rona i Blair nie połączyła głębsza więź, mieli zupełnie odmienne zainteresowania. Reynolds nie miał żadnych przyjaciół, a jedyne osoby, które odwiedzał z nową partnerką, to jego matka, Laura, i jej partner, Tom Reed. Laura ubóstwiała swojego

jedyne go syna i wierzyła w każde jego słowo. Wszystko, co jej mówił, brzmiało o wiele sensowniej niż plotki krążące po hrabstwie Lewis.

Choć Laura nie widziała świata poza synem, Blair wyczuła, że Tom nie podzielał jej entuzjazmu. Czasem łapała go na tym, jak przyglądał się Reynoldsowi z dziwnym wyrazem twarzy. Pewnego razu, gdy byli sami, Reed spytał ją, czy uważa, że Ron „to zrobił”, sugerując, że chodzi o zabójstwo Rondy. Kobieta potrząsnęła głową i odpowiedziała z przekonaniem: „Nie!”. Była oburzona, że mężczyzna zadał jej takie pytanie.

Jako osobie uczynnej i dobrodusznej zajęło jej wiele miesięcy, nim zorientowała się, że jest raczej pomocą domową niż partnerką czy nawet kochanką. Była usłużną i - przede wszystkim - darmową gosposią. Ron uważał za oczywiste, że będzie prowadziła jego dom równie sprawnie jak swój.

Gdy w styczniu 2000 roku minął nastrój bożonarodzeniowy, zniknęło też uczucie Reynoldsa do Blair. Jak za dotknięciem czarodziej-skiej różdżki. „Stał się zupełnie oziębły” - wspominała, zadziwiona jego nagłą zmianą. Wciąż jednak chciała wierzyć, że jest niewinny, dlatego tłumiała narastające w niej wątpliwości. Miał przecież tyle problemów, także ze zdrowiem. Regularnie chodził do kardiologa i brał leki na rozrzedzenie krwi, by zapobiec zatorom. Pewnego razu, zeskakując z przyczepy swego pikapa, rozciął nogę i zaczął mocno krwawić. Blair była przy tym i zdołała zatamować krwawienie. Po-tem zawiozła go do szpitala, gdzie zszyto mu ranę.

Dzieci zawsze były dla Connery najważniejsze, tym bardziej nie-pokoili ją metody wychowawcze Rona. Gdy nocował u niej, zostawiał w domu dwóch nastoletnich synów; pozwalał im oglądać filmy pornograficzne, kiedy tylko chcieli. W ich pokojach roilo się od gazet dla dorosłych. Słuchali muzyki grunge i Blair podejrzewała, że mają kontakt z narkotykami, lecz ich ojciec się tym nie przejmował. Zaczęła się więc zastanawiać, czy nie jest nadopiekuńcza wobec

swoich dzieci, ale nie potrafiłaby normalnie funkcjonować, nie mając pewności, że są całkowicie bezpieczne, z dala od narkotyków, alkoholu i pornografii. Hrabstwo Lewis walczyło z problemem narkotykowym, zdarzały się tam przypadki rozprowadzania metamfetaminy, toteż kobieta wolała zachować szczególną ostrożność.

Pewnego wieczoru przebywała sam na sam z Jonathanem Reynoldsem, który miał wówczas dziewiętnaście lat. W którymś momencie zapadła niezręczna cisza - żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć. Jonathan nagle uniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy, a po chwili oznajmił: „Nie zabiłem Rondy!”.

Na te słowa ciało Blair przeszył dreszcz. Nigdy nie zasugerowała, że miał z tym coś wspólnego; nigdy nawet nie rozmawiała z nim o macosze. Dawno już zauważyła, że Jonathan i David fascynują się śmiercią. David często mówił o zabijaniu zwierząt. Bardzo się zdenrowowała, gdy zobaczyła jego pokój - ozdobił go żółtą policyjną taśmą, której ludzie szeryfa użyli podczas śledztwa w sprawie śmierci Rondy.

„Nie pojmowałam, jak można zrobić coś takiego” - mówiła Blair. „Musiałam przypomnieć mu, co się stało z tą biedną kobietą”.

Bez wątpienia chłopcy byli inteligentni - tak jak ich rodzice. Dostawali piątki w szkole bez specjalnego wysiłku, a po Katie odziedziczyli też talent muzyczny.

Blair słyszała jednak historie o tym, jak Jonathan i David nienawidzili macochy. Jeden z nich zajmował się jej ukochaną Duchess, kiedy niespodziewanie zdechła. Ronda martwiła się zawsze, gdy musiała zostawiać psy z synami Rona. Ponoć Jonathan kopnął raz jedną z jej rottweilerek, kiedy była jeszcze szczeniakiem.

Connery wiedziała także, że po śmierci Duchess Ronda zadzwoniła do swojej matki i powiedziała, że według męża pies zmarł na zawał, ale ona widziała, iż zwierzę zostało dotkliwie pobite. Niedługo potem zniknął także jej owczarek niemiecki. Barb spytała ją

wtedy, czy „synowie Rona zabili i jego”, ale córka unikała odpowiedzi. Nie chciała kłopotów.

„Słyszałam nawet, że jeden z chłopców groził, że ją zabije” - mówiła Blair długo po odejściu od Rona. „Nie podobało im się, że mówiła im, co mają robić...”

Blair nie знаła Rondy, ale w którymś momencie zdała sobie sprawę, jak mało wie o samym Ronie, choć spędzała z nim tak wiele czasu. „Nie wiedział, co to emocje” - opowiadała. „Nie złościł się ani nie cieszył. Pamiętam, że okazał uczucia jeden jedyny raz, kiedy zrobił mi scenę o dawnego chłopaka, który był wtedy śmiertelnie chory. Nie chciał, żebym się z nim przyjaźniła. Tak naprawdę nie miał najmniejszych powodów do zazdrości - to było zupełnie niedorzeczne”.

Przed wszystkim Ron nigdy nie opowiadał o swoim dzieciństwie. „Wolał, żeby przeszłość pozostała zamkniętym rozdziałem” - stwierdziła Blair.

„Ten dom spowijała jakaś tajemnica - wyznała kobieta - lecz nigdy nie udało mi się jej poznać”.



Być może w domu rodzinnym Rona także kryły się jakieś tajemnice. 30 maja 1951 roku Laura Reynolds urodziła w wieku trzydziestu lat trzecie dziecko. Jej pierwszy syn, Ron, przyszedł na świat dwa i pół miesiąca za wcześnie i ważył niecałe półtora kilograma. Rodzice opowiadali historie o tym, jak to musieli wkładać go do ciepłego piekarnika, by utrzymać ciepłotę ciała noworodka. Był to syn, na którego Laura i Leslie czekali z utęsknieniem, miał bowiem przekazać nazwisko rodowe następnym pokoleniom. Tymczasem urodził się tak mały, że nie dawano mu szans na przeżycie. Rodzice poprzyśięgli sobie, że zrobią wszystko, by tak się nie stało.

Mały Ronnie przeżył. Tak bardzo go jednak hołubiono, że wyrósł na rozpuszczzonego chłopaka. Rzadko słyszał słowo „nie”.

Rodzice dawali mu wszystko, o co poprosił. W wieku czterech lat chciał mieć kuczka - i otrzymał go, ale opieką nad zwierzęciem została obarczona jego starsza siostra, Judy. Kilka lat później ten sam scenariusz powtórzył się z koniem. Ron szybko tracił zainteresowanie rzeczami, które dostawał, a poza tym nie cierpiał obowiązków i brania na siebie jakiegokolwiek odpowiedzialności. „Nigdy nie zajmowałem się zwierzętami” - wspominała Judy.

To ona, starsza od brata o pięć i pół roku, wykonywała większość prac poza domem, które zwykle należą do chłopców. Nie przeszkadzało jej to, ponieważ nie lubiła obowiązków domowych i o wiele bardziej wolała nosić drzewo, niż zmywać naczynia czy ślać łóżka.

Leslie Reynolds nie należał do bogaczy. Wręcz przeciwnie. Pracował jako mechanik w tartaku należącym do Simpson Lumber Company w McCleary i zawsze musiał być na zawołanie, gdy psuło się jedno z urządzeń. Ale jakoś udawało mu się zarobić na utrzymanie rodziny, być może dzięki wrodzonemu pracoholizmowi. Czasem wydawało się, że spędza więcej czasu w zakładzie niż w domu.

Reynoldsowie rzadko spotykali się całą rodziną, ponieważ Leslie nieustannie pracował. Laura Church Reynolds pochodziła z rodu dobrze znanego w hrabstwie Lewis. Miała dziewięć siostr, a każda z nich urodziła co najmniej troje dzieci. Święta mogły więc być wyjątkowo radosnym czasem, ale Ron nie lubił swoich kuzynów. Kiedy przychodzili do jego domu, nie pozwalał im się bawić swoimi zabawkami, choć sam bez przeszkód korzystał z ich rzeczy, gdy wraz z rodzicami odwiedzał ich domy.

Po kilkudziesięciu latach wciąż pamiętają, że Ronnie był skarżypytą. Jeśli nie chcieli grać w to co on, biegł do mamy na skargę. I zwykle stawiał na swoim.

Będąc jeszcze dzieckiem, poprosił o zamontowanie zamka w drzwiach do jego pokoju. Żaden z jego kuzynów czy znajomych nie miał tam wstępu. Nic więc dziwnego, że dzieci w rodzinie nie

przepadały za nim. Obecnie uważają, że Ron nie zmienił się zbyt wiele i nadal jest samolubny, manipuluje ludźmi, nie dbając o ich uczucia.

„Przede wszystkim interesują go pieniądze” - mówiła jego kuzynka, Julie Colbert. „Kiedy miałam osiemnaście lat, pojechaliśmy do Arizony i wzięliśmy go ze sobą. Po drodze zatrzymaliśmy się w knajpie, gdzie stały automaty do gry. Ronnie wrzucał ćwierćdolarówki, ale nic nie wygrał, aż w końcu zrezygnował. Mijając go po drodze do toalety, dla zabawy wrzuciłam pieniążek i wygrałam. Z maszyny wysypało się tyle monet, że mogłam je zbierać garściami”. Ron dostał szału, a potem się obraził. Julie zaproponowała, że odda mu połowę wygranej, ale on odmówił. Uważał, że należy mu się całość. „Cały Ronnie” - westchnęła. „Nigdy nie miał cienia współczucia czy zrozumienia dla innych”.

W pewnym momencie jego kuzyni oraz rodzeństwo odcięli się od niego i nie traktowali go jak członka rodziny ani nawet jak znajomego. Nie przejął się tym.

Judy od zawsze miała problemy z wagą. Brat drażnił się z nią i wołał na nią „grubas”, a nawet gorzej, nie przejmując się tym, że rani jej uczucia.

Rodzice kazali obu córkom pracować, gdy tylko osiągnęły odpowiedni wiek. Musiały same zarabiać na swoje ubrania. Z Ronem było inaczej. Kiedyś zamarzyła mu się kurtka warta sto dolarów. „Rodzice mu ją kupili” - opowiadała. „A my nie dostawałyśmy niczego, chyba że same na to zarobiłyśmy”.

Phyllis, o sześć lat starsza od Judy, wyszła za mąż młodo i przeniosła się do Karoliny Południowej. Od tamtej pory utrzymywała sporadyczne kontakty z rodziną w McCleary.

Wyszła za mąż za Larry'ego Semankę, który przez dwadzieścia lat służył w biurze szeryfa, a cztery lata pracował jako zastępca koronera Terry'ego Wilsona. Pobrali się z Judy młodo, ale ich małżeństwo było szczęśliwe i przetrwało długo. Para często musiała opiekować się Ronniem pod nieobecność rodziców, którzy nie chcieli

zostawiać go samego. Zwykle było to nieprzyjemne doświadczenie, gdyż Judy miała zakaz dyscyplinowania brata.

Czasem Semankowie nie mogli się powstrzymać, ponieważ Ron nie zachowywał się niezdolnie. Raz kopnął Judy butem kowbojskim i nabił jej wielkiego siniaka, lecz Reynoldsowie zganili ją, a nie ukochanego synka. Judy nie mogła nawet wtrącić słowa, by powiedzieć, co zrobił jej brat. Gdy Larry dał mu raz lekkiego klapsa, ten poskarżył się matce i Reynoldsowie byli wściekli na zięcia.

Ponieważ po porodzie prawie stracili jedynego syna, nigdy nie przestali się o niego martwić. Dawali mu wszystko, czego zapragnął, mimo że wyrósł na zdrowego chłopca i w żaden sposób nie dało się po nim poznać, że urodził się jako wcześniak.

Powszechnie znanym faktem była zachłanność i chciwość Rona. Te cechy towarzyszyły mu już w dzieciństwie. Kiedy czegoś chciał - czy to ubrań, zabawek, czy pieniędzy - po prostu to dostawał. Jako uczeń liceum w Elmie pewnego dnia wraz z kolegą upił się i rozbił na drzewie samochód, który podarowali mu rodzice. Nie był nowy, ale za to w bardzo dobrym stanie.

Leslie i Laura nie potrafili przyjąć do wiadomości, że ich syn mógł spowodować wypadek pod wpływem alkoholu, toteż chętnie uwierzyli w kłamstwa, jakie zaserwował im Ron. Przekonał ich, że nie usiadłby za kierownicą, gdyby wcześniej coś wypił. Co więcej, zapewnił ich, że nie wziął alkoholu do ust. Reynoldsowie przyjęli jego słowa za dobrą monetę i natychmiast kupili mu drugi samochód. Tym razem matka kazała zamontować w nim ochronną „klatkę”, gdyby jej synowi miał przydarzyć się jeszcze jakiś wypadek. Po tym zdarzeniu koledzy ze szkoły zaczęli na niego wołać „rajdowiec Ron”.

Był niezwykle inteligentnym nastolatkiem i zawsze zdobywał dobre stopnie. Miał kilkoro przyjaciół, chociaż nie można go uznać za duszę towarzystwa. Pod względem wyników w nauce należał do pierwszej dziesiątki w szkole. Rodzice byli z niego bardzo dumni. Ich świat kręcił się wokół syna.

W latach sześćdziesiątych ekipa uczniów szkoły średniej w Elmie z rocznika Rona była bardzo zgrana i tak pozostało. Na zjeździe z okazji czterdziestej rocznicy ukończenia szkoły, w sierpniu 2009 roku, pojawiło się ponad stu absolwentów.

Ron poznał Catherine Huttulę w liceum, chodzili do tej samej grupy kościelnej, lecz nikt nie pamiętał, czy już wtedy tworzyli parę. Chłopak spotykał się wówczas z Donną Daniels, a Katie była od niego znacznie popularniejsza. „Należała do zespołu cheerleaderek, więc chłopcy bardzo się nią interesowali. Co roku wybierano ją na przewodniczącą klasy” - mówił mężczyzna, który chodził z nią do szkoły.

Ron wystąpił w przygotowywanym przez najstarsze roczniki przedstawieniu pod tytułem *He Thinks He's a Rabbit*. Niektórzy z jego kolegów uważali, że ma swoją mroczną stronę, lecz jeden z nich wyznał: „Zawsze uważałem Reynoldsa za grzecznego, ale strasznie nudnego chłopaka”.

Już wtedy miał osobowość kameleona. Bez trudu dostosowywał się do oczekiwań ludzi, z którymi się stykał - o ile czegoś od nich potrzebował. Jeśli nie miał interesu w utrzymywaniu dobrych stosunków z daną osobą, nie starał się jej przypodobać, a zazwyczaj po prostu ją ignorował.

Ożenił się młodo, zaraz po szkole średniej. Z Donną Daniels, która została jego pierwszą żoną, spotykał się już w liceum. Była to bardzo religijna i naiwna osoba. Wielu znajomych określało ją jako „najsłodszą dziewczynę na świecie”.

Nowożeńcy przenieśli się do Pullman, gdzie znajdował się Uniwersytet Stanu Waszyngton. Wkrótce Donna poroniła. Ich małżeństwo nie przetrwało. Mówiąc o swoich żonach, Ron Reynolds często nie podawał nawet imienia Donny. Od dwóch dekad kobieta jest w szczęśliwym związku małżeńskim z drugim mężem, z którym ma syna i córkę. Wiele osób sądzi, że Catherine Huttula była pierwszą i jedyną żoną Reynoldsa - przed Rondą Liburdi - lecz nie jest to prawdą.

Na studiach zarówno Catherine, jak i Ron eksperymentowali z narkotykami, ale to ona wpadła w szpony nałogu. Według rodziny, znajomych i kolegów ze studiów Katie zmagiała się z uzależnieniem od nielegalnych substancji oraz od leków na receptę przez cztery dziesięciolecia.

Ron, Katie i inne dzieci z McCleary i Elmy miały szczęśliwe i beztrudne dzieciństwo. Mieszkając w małych miasteczkach, mogły bez obaw korzystać z zabaw na świeżym powietrzu. Rodzeństwo Huttulów często grało w berka czy w klasy, a nawet w chowanego w lokalnym domu pogrzebowym.

Po ukończeniu liceum Catherine i jej koleżanka zapisały się do szkoły pielęgniarskiej w Arizonie. Tam jej problemy z narkotykami nasiliły się i szybko została wyrzucona z uczelni.

Rodzina Katie prowadziła w Elmie aptekę i dobrze radziła sobie finansowo, jednak dotknęły ją liczne tragedie. Pani Huttula urodziła pięcioro dzieci: Carla, Janice, Catherine, Toma i Mary. Carl zginął w Wietnamie w 1967 roku, kiedy jego helikopter został zestrzelony podczas ewakuacji rannych żołnierzy. Jego kolega z oddziału pamiętał, że maszyna eksplodowała w powietrzu. Osiemnastolatek został pochowany w zamkniętej trumnie, a ceremonia odbyła się w domu pogrzebowym, w którym bawił się jako dziecko.

Nie chciał jechać do Wietnamu. Jeden z jego przyjaciół pamiętał, jak znalazł go pijanego w sztok, czołgającego się po śniegu kilka dni przed wyruszeniem na wojnę. Próbował przejść przez ulicę do rodzinnego domu. „Nie szło mu najlepiej, więc zanim zaprowadziłem go do domu, zabrałem go do siebie i nieco otrzeźwiłem”.

Catherine miała szesnaście lat, gdy zginął jej ukochany brat. Była zdruzgotana. Choć nadal wydawała się radosną dziewczyną, ci, którzy ją znali, twierdzili, że po stracie Carla nigdy nie doszła do siebie.

Janice została nauczycielką, lecz nigdy nie wyszła za mąż, a Katie w końcu zdobyła dyplom pielęgniarki. Nie raz traciła jednak pracę w szpitalu, gdy okazywało się, że z zamykanych szafek ginęły

leki. Tom Huttula, który przejął rodzinną aptekę, był zmuszony zakazać tam wstępu starszej siostrze, po tym jak odkrył, że liczba opakowań leków przywożonych w dostawach nie zgadza się z liczbą tych, które znajdowały się w szufladach.

Mary cierpiała na depresję i jesienią 2004 popełniła samobójstwo. Możliwe, że w tym okresie mieszkała z Katie, lecz opinie na ten temat się różnią.

Pani Huttula często chorowała, dokuczała jej migrena i inne dolegliwości, a koleżanki Katie ze szkoły często widziały, jak leżała na kanapie w salonie, czekając na leki, które miał przywieźć z apteki jej mąż lub syn. Właśnie taki obraz matki Catherine zachowali w pamięci znajomi dziewczyny. „Gdy dziś o tym myślę - mówiła jedna z przyjaciółek - dochodzę do wniosku, że Catherine pod wieloma względami przypominała matkę. Ciągłe narzekała na zdrowie. Za to jej ojciec był wspaniałym człowiekiem”.

Inne wspomnienia o pani Huttuli były jeszcze mniej pozytywne. Kobieta prowadziła zajęcia z pierwszej pomocy w szkole średniej w Elmie i uczniowie zapamiętali ją jako „wredną”. Jedna z dziewcząt - jak się potem okazało, daleka kuzynka Rona Reynoldsa od strony matki - zaszła w ciążę i bardzo starała się to ukryć. „Pani Huttula powiedziała o tym całej klasie. Miałam ochotę zapaść się pod ziemię” - wspominała wiele lat później. „Nawiązywała do mojej sytuacji jeszcze kilkakrotnie, wykorzystując ją jako przykład tego, co spotyka dziewczęta, które nie zachowują cnoty. W końcu poinformowałam o tym dyrektora i przestała”.



Po rozwodzie z Donną Daniels Ron zaczął się spotykać z Catherine Huttula, kiedy oboje studiowali przez jakiś czas na Uniwersytecie Stanu Waszyngton. Choć nie byli parą w szkole średniej, nagle zrodziło się między nimi uczucie - jedno lgnęło do drugiego jak mucha do miodu.

Ron ukończył college, a po dwóch latach zdobył także tytuł magistra, dzięki czemu mógł zostać nawet dyrektorem szkoły. Na studiach radził sobie jeszcze lepiej niż w liceum. Objął swoją technikę uczenia się kolegom. Wcześniej rozmyślał o danym rozdziale z podręcznika, czytał jego streszczenie, a następnie spisywał pytania, jakie - według niego - mogły się pojawić na teście. Potem szukał w tekście odpowiedzi na te pytania. W ten sposób oszczędzał wiele czasu i osiągał lepsze wyniki w nauce.

Chociaż Katie nie stanowiła materiału na żonę idealną, Ron poślubił ją i dał jej pięciu synów. Biblijne imiona - Simeon, Micah, Jonathan, David i Joshua - otrzymali zapewne dlatego, że rodzice zaangażowali się głęboko w działalność Świadków Jehowy.

„Brat zabraniał synom bawić się z moimi dziećmi przez piętnaście lat” - opowiadała Judy. „Razem z dziećmi kuzynów tworzyliśmy ogromną rodzinę, lecz po wstąpieniu do Świadków Jehowy uznał nas wszystkich za »pogan«”.

Wkrótce po ukończeniu studiów przez Rona jego rodzice się rozwiedli. Judy miała świadomość, że choć byli małżeństwem przez ponad trzydzieści lat, matka nie czuła się szczęśliwa. Choć Laura jej o tym nie wspominała, córka wyczuwała, że ojciec kochał żonę bardziej niż ona jego. Nigdy się nie kłócili ani nie krzyczeli na dzieci, ale Judy po prostu wiedziała. Mimo to sądziła, że zawsze będą razem. Przeżyła więc szok, widząc, jak jej rodzina się rozpada. Obiecała sobie utrzymywać bliski kontakt zarówno z ojcem, jak i z matką.

Żadne z nich nie wzięło ślubu po raz drugi, chociaż Laura żyła z Tomem Reedem ponad trzydzieści lat. Był przemiłym człowiekiem, uprzejmym i przyjaznym wobec wszystkich. Ojciec Rona natomiast zamieszkał w domu obok swego jedyne syna.

Jak podejrzewała Blair, w domu rodzinnym Rona istniały jakieś sekrety, lecz wynikały one ze starań, by rodziną Reynoldsów postrzegano jako idealną. Tymczasem Laura i Leslie wydawali się o wiele szczęśliwsi, żyjąc osobno. Ron pozostał ich chlubą, genialnym

synkiem. Oboje byli w niego zapatrzeni jak w obrazek. Nawet Tom Reed - pomimo początkowych wątpliwości - uwierzył, że syn jego wybranki nie byłby zdolny postąpić niemoralnie, a co dopiero złamać prawo. Uważał go za swojego przyjaciela.

Im dłużej byli razem, tym bardziej Connery gnębiło pytanie: czy w plotkach o udziale Rona w nagłej śmierci jego żony tkwi ziarno prawdy? Jednak nie z tego powodu postanowiła z nim zerwać. Miała po prostu dość prowadzenia dwóch domów i etatu gosposi w obcej rodzinie. A brak uczuć ze strony Rona uniemożliwił jej przebicie się przez niewidzialny mur, którym się otoczył.

ROZDZIAŁ 19

Zdrowie Lesliego Reynoldsa pogorszyło się w połowie lat dwięćdziesiątych. Ron i Katie przekonali go, że nie powinien mieszkać sam; jego dom stał obok ich posiadłości. Nie wiadomo, czym się kierowali; jego mieszkanie było o wiele wygodniejsze niż przyczepa kempingowa stojąca na ich podwórzu, do której go przenieśli. Katie obiecała gotować teściowi obiady i robić pranie; zapewniała go też, że syn będzie się nim opiekował. Mieli się zająć również płaceniem jego rachunków. Zbliżający się do osiemdziesiątki Leslie Reynolds chorował na raka i zdradzał wczesne oznaki choroby Alzheimera. Przekazał więc swoje dochody synowi, któremu bezgranicznie ufał.

Phyllis mieszkała w Karolinie Południowej, ale Judy, która osiedliła się sto kilometrów od ojca, starała się utrzymywać z nim kontakt, lecz Ron jej to utrudniał. Obawiał się, że będzie próbowała ubiegać się o spadek, lecz była to ostatnia rzecz, o jakiej myślała kobieta. Chciała po prostu wiedzieć, jak się czuje jej ojciec i czy niczego mu nie brakuje.

Przyczepa, w której mieszkał staruszek, była podniszczona. Stał tam wąski tapczan, gdyż nie starczyło miejsca na wygodne łóżko. Mężczyzna nie mógł nic sam gotować i czuł się samotny. Wyznał córce, że Katie i Ron nie pozwolili mu wchodzić do ich domu.

Leslie dawał synowi pieniądze przez całe życie. Nie był biedny; dostawał emeryturę, miał oszczędności. Zapłacił nawet za prawników Rona podczas jego rozwodu.

Judy Semanko dowiedziała się, w jakich warunkach żyje jej ojciec, gdy jedna z ciotek, Edna Arnot - która pracowała w opiece społecznej i sprawdzała sytuację starszych osób - zadzwoniła do niej po wizycie u Lesiego. Ani w szafkach, ani w lodówce nie znalazła u niego prawie żadnego jedzenia. „Kup mu wszystko, czego potrzebuje” - powiedziała Judy. „Wysłałam ci pieniądze w tej chwili i natychmiast tam jadę”.

Kiedy dotarła do McCleary zobaczyła, że jej ojciec bardzo schudł i porusza się z wielkim trudem. Oznajmiła bratu, że zamierza zabrać go do siebie na jakiś czas, ale on odparł, że lekarz odradzał ojcu zmianę otoczenia.

Katie nie należała do wzorowych gospodyń. Wciąż była uzależniona od różnych substancji - poczynając od leków na receptę, na metamfetaminie i marihuanie kończąc. Nałóg to pierwsza rzecz, o której wspominali ludzie poproszeni o opisanie Catherine Huttuli. Nie przestała zażywać tych wszystkich środków, nawet kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży. Jej przyjaciele i krewni już dawno nauczyli się chować przed nią leki, ponieważ zwykle po jej wizytach z szafek w łazience znikwały całe fiolki.

Judy zdała sobie sprawę, że wbrew obietnicom szwagierka wcale nie dba o jej ojca. Leslie był przede wszystkim niedożywiony.

Pewnego dnia zadzwonił do niej roztrzęsiony.

- Katie powiedziała, że z moich oszczędności nic nie zostało - mówił. - Wyślą mnie do domu starców...

- Masz pieniądze, tato - uspokajała go. - Nie martw się, wszystko wyjaśnię.

Udało jej się ustalić, że choć jego konto nie zostało wyczyszczone, znajdowało się na nim znacznie mniej środków, niż kiedy wprowadzał się do przyczepy u swego syna.

Judy zdołała w końcu zabrać ojca do lekarza, najpierw jednak musiała mu kupić porządne ubranie. Cała jego odzież była stara i poplamiona. Poprosiła Rona o trzysta dolarów na buty, koszule

i spodnie, ale on upierał się, że sam zabierze ojca do sklepu i kupi mu, co trzeba.

W tamtym czasie Leslie Reynolds nie mógł już chodzić, do tego bał się rozgniewać Katie. Miał posiniaczone jedno ramię, a na tej samej wysokości rękaw koszuli został naderwany. Ktoś - Judy nie doszła kto - musiał szarpnąć gwałtownie staruszka.

Kobieta zamierzała udowodnić lekarzowi, że ojcu przyda się pobyt w jej domu. Martwiła się o jego zdrowie, ponieważ odkryła, że ani Ron, ani Katie nie podawali mu leków w odpowiednich dawkach o wyznaczonych porach.

- Dali mu całe opakowania, żeby sam aplikował sobie leki. Za jednym razem brał ich zdecydowanie za dużo - oświadczyła lekarzowi.

Była zdziwiona, gdy doktor stwierdził, że nie widzi powodu, dla którego nie miałyby zabrać Lesliego do siebie - uważał to wręcz za dobry pomysł.

W domu Semanków stan starszego pana nieco się poprawił, ale objawy choroby Alzheimera pozostały. Stopniowo tracił pamięć i łatwo gubił wątek podczas rozmowy. W dniu swoich urodzin siedział po obiedzie w fotelu i cały czas zadawał wszystkim to samo pytanie:

- Ile mam lat?

W końcu Judy powiedziała:

- Dziś skończyłeś osiemdziesiąt, tato!

- A niech mnie, ale jestem stary! - odparł.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Odkąd ojciec zachorował, takich wesołych akcentów w ich codziennym życiu było coraz mniej. Pod opieką Semanków stan Lesliego poprawił się na tyle, że mógł wrócić do syna.

Gdy Ron ożenił się z Rondą, życie staruszka w domu w McCleary uległo znacznej poprawie. Kobieta gotowała mu pożywne posiłki i dbała o niego. Mimo to choroby, które dotychczas go dręczyły - rak i alzheimer - wciąż nie dawały mu spokoju, więc stało się jasne, że

należy czuwać nad nim dwadzieścia cztery godziny na dobę. Judy znalazła dla niego bardzo dobry dom opieki, lecz już po tygodniu personel zadzwonił do niej z informacją, że nie mogą się zajmować człowiekiem w tak złym stanie.

Kiedy chciała odebrać ojca, okazało się, że zrobił to już jej brat. Kobieta nie wiedziała jednak, gdzie go umieścić. W końcu znalazła staruszkę w szpitalu w Centralii. Wkrótce potem został przeniesiony do szpitala w Olympii, gdzie zmarł w maju 1998 roku.

Ron odziedziczył po ojcu dom i pieniądze. Rozwód z Katie sporo go kosztował, uważał zatem, że to jemu należy się majątek Lesliego. Żadna z siostr nie walczyła z nim o spadek, czyli dom, samochód i mocno okrojone oszczędności. Gdy go otrzymał, oddał auto jednemu ze swoich synów.



Na początku nowego milenium Blair miała powody, by zastanawiać się, czy Ron ją zdradza. Wcześniej coś takiego nie przeszłoby jej nawet przez myśl. Praca dyrektora pochłaniała wiele czasu, a rady pedagogiczne i zebrania rodziców wyjaśniały jego nieobecność w domu.

„W końcu zaczęłam podejrzewać, że znów widuje się z Katie” - wspominała. „Znalazłam jego rachunek z karty kredytowej, gdzie figurowały kolacje dla dwojga w drogich restauracjach”.

Podobnie jak Ronda, Blair nie rozumiała, dlaczego Ron wciąż pomaga swojej byłej żonie. Spłacił na przykład jej samochód. Cokolwiek ich łączyło, najwyraźniej nie wygasło całkowicie. Być może kiedyś Katie była atrakcyjna, lecz zbliżając się do pięćdziesiątki, wyglądała na wychudzoną i wyniszczoną przez nałóg. Gdyby chodziło o innego mężczyznę, Connery pomyślałaby, że jest mu szkoda kobiety, z którą spędził ponad dwadzieścia lat swojego życia, ale na własnej skórze odczuła, że ten mężczyzna nie jest zdolny do empatii. Huttula musiała mieć na niego jakiś haczyk.

W końcu kobieta zaczęła się zastanawiać, jaki jest prawdziwy cel „wyjazdów na polowania” do lasów w okolicy Aberdeen. „Zabierał materac i kładł go na naczepie pikapa, rzekomo po to, by było mu wygodniej podczas czajenia się na zwierzyńcu” - śmiała się na wspomnienie jego opowieści. „Oskarżyłam go o romans z Katie, ale się wyparł”.

Tkwiła w tym związku dłużej, niż powinna, tylko ze względu na synów Rona. Odrzucało ją jego zbytne przywiązanie do pieniędzy - także jej. „Otrzymał przecież majątek po śmierci Rondy - pięćdziesiąt tysięcy dolarów z ubezpieczenia. Poza tym zarabiał siedemdziesiąt tysięcy rocznie. Raty za dom były niskie, ale i tak chciał, żebym złożyła wniosek o kartę kredytową, którą zamierzał obciążać swoimi rachunkami. Nie widziałam powodu, by to robić. Nie byliśmy nawet małżeństwem, więc odmówiłam”.

Czy pieniądze te miały wspomóc jego byłą żonę? Blair w to wątpiła. Może chciał po prostu powiększyć własne oszczędności, aby nie martwić się o finanse po przejściu na emeryturę.

Connery nie zastanawiała się, czy poza Huttulą mogą być też inne kobiety. Jej starszy syn właśnie się żenił i przygotowania do ślubu całkowicie ją pochłonęły. Nie miała czasu śledzić poczynąń Reynoldsa. Przyznała sama przed sobą, że nie interesuje jej już stały związek z tym człowiekiem.

„Prawdę mówiąc, nigdy nie byłam do końca pewna, gdzie przebywał Ron w danym momencie” - wyznała. „Coraz bardziej się od siebie oddalaliśmy i nie miałam czasu zajmować się jego sprawami”.

Pewnego wieczora zadzwoniła do niego i powiedziała, że chce mu przywieźć kilka rzeczy.

- To nie jest najlepszy moment - odparł, nie kryjąc zdenerwowania.

Spytała, czy ktoś z nim jest, a on w odpowiedzi wymamrotał parę niezrozumiałych słów. W pierwszej chwili pomyślała, że jest u niego Katie. Później dowiedziała się jednak, że to nie z byłą żoną spędzał

wieczory w restauracji. Spotykał się z Sandrą *, nauczycielką z Toledo. Widywał się także z innymi kobietami, o których nawet nie wiedziała. Dotarło do niej wreszcie, że najwyraźniej Reynoldsowi nie jest znana idea wierności.

„Lubiłam Sandrę” - stwierdziła Connery. „Na tyle, na ile ją znam. Też pochodziła z hrabstwa Lewis. Była całkiem zgrabna i miała piękne włosy. Dużo przeszła w życiu. Młodo wyszła za mąż i zaraz potem urodziła dziecko. Małżeństwo szybko się rozpadło, bo najwyraźniej oboje do tego nie dorośli, ale kontynuowała naukę, skończyła studia i została nauczycielką”.

Sandra posiadała ogromne połacie ziemi, co łączyło ją w pewien sposób z Rondą, Blair oraz Katie. Każda z nich miała majątek lub nieruchomości, na które ciężko zapracowały lub które po kimś odziedziczyły. Nowa przyjaciółka Reynoldsa pochodziła z całkiem zamożnej rodziny.

Connery pragnęła zaspokoić swoją ciekawość. Dzięki pracy miała dostęp do pewnych transakcji kupna i sprzedaży działek. Odkryła, że Sandra zmieniła akt notarialny zaledwie kilka miesięcy po związaniu się z Ronem, czyniąc go współwłaścicielem swojej posiadłości, co oznaczało dla niego błyskawiczne pomnożenie majątku.

W istocie każdy związek Reynoldsa wzbogacał go - nie duchowo czy uczuciowo, lecz finansowo. Najpierw ożenił się z pochodzącą z zamożnej rodziny Katie Huttulą. Potem związał się z Rondą, która pomogła spłacić i urządziła jego dom; ostatecznie Barb Thompson nie otrzymała z powrotem drogich mebli, za które płaciła jej córka, ani jej biżuterii. Blair wniosła do ich związku pieniądze i własną pracę, gotując, piorąc, sprzątając, robiąc zakupy i dbając o ogród. Poza tym ona także nie należała do biednych.



Katie opuściła dom Rona na jego prośbę wiosną 1999 roku. Wkrótce po tym chwaliła się przed dawnymi koleżankami ze szkoły,

że „mieszkała u Vince'a Parkinsa *”, innego kolegi z liceum w Elmie.

Pewnego dnia Parkins nagle bardzo źle się poczuł. Powiedział Huttuli, że musi jechać do szpitala. Zawiozła go tam i troskliwie opiekowała się nim, kiedy wracał do zdrowia.

Jego przypadłość wydawała się znacznie poważniejsza niż grypa żołądkowa, którą podejrzewał u siebie mężczyzna. Lekarze zlecili badania i znaleźli w jego układzie trawiennym... arsenik. Prawie każdy człowiek ma w organizmie śladowe ilości tej substancji, a jej poziom u osób mieszkających niedaleko rzek lub wybrzeża oceanu w stanie Waszyngton przekracza średnią. Lecz ilość arsenu w ciele Vince'a Parkinsa zagrażała jego życiu. Wyjawił on Katie odkrycie lekarzy.

Kiedy wypisano go ze szpitala, nie mógł się z nią skontaktować, więc dotarł do domu o własnych siłach. Po przekroczeniu progu zobaczył, że kobieta spakowała swoje rzeczy i zniknęła. Zdziwiony całą sytuacją, powiedział rodzinie:

- Nie wiem, po co miałyby to robić, ale zastanawiam się, czy Katie chciała mnie zabić.

Inny mężczyzna wyznał znajomym ze szkoły Huttuli i Parkinsa, że miał z tą kobietą przykre przeżycia. „Córka Huttulów była dziwna. Poszedłem z nią dwa razy na randkę - o dwa razy za dużo”. Nie chciał zdradzić, co zrobiła, że tak bardzo się do niej zraził.



Barb Thompson zastanawiała się, jakim sposobem Ron zdołał odebrać pieniądze z polisy na życie Rondy. Napisała do firmy ubezpieczeniowej w Iowa i choć personel nie chciał jej tego zdradzić, zgodzili się wystać dokumentację do biura szeryfa hrabstwa Lewis. Detektyw Neiser otrzymał następujące informacje: 12 września 1998 roku (a więc trzy miesiące przed śmiercią) Ronda nabyła prawo do ubezpieczenia na życie dzięki pracodawcy - firmie Walmart - na sumę pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Ubezpieczenie w każdej chwili

mogło zostać zmodyfikowane - na przykład poprzez zwiększenie sumy na życzenie klienta. Kobieta terminowo wpłacała składki w wysokości 6,5 dolara miesięcznie. Taka kwota wpłynęła także do biura ubezpieczyciela 18 grudnia i została zaksięgowana 22 grudnia - sześć dni po śmierci Rondy.

Gdy Ron Reynolds złożył wniosek o wypłatę pieniędzy z polisy, podał się za wykonawcę i beneficjenta. Sprawa została załatwiona uprzejmie i bez zbędnych problemów, choć środki otrzymał dopiero we wrześniu 1999 roku.

Firma wysłała do niego list o następującej treści:

Panie Reynolds,

Pańskie wpływy z ubezpieczenia zostały ulokowane na specjalnym koncie utworzonym na pana nazwisko. Daje to Panu możliwość elastycznego korzystania ze środków - wybierania części na bieżące potrzeby, przy jednoczesnym zabezpieczeniu przyszłości finansowej. Ponieważ rozumiemy, że może potrzebować Pan czasu do namysłu, by podjąć decyzję w sprawie funduszy, chcielibyśmy zapewnić, że może Pan przechowywać środki na tym koncie tak długo, jak Pan sobie życzy. Dodam, że oferujemy również atrakcyjne oprocentowanie.

Zarówno Ron, jak i Catherine byli niezwykle łakomi na pieniądzu. Katie otrzymała po rozwodzie prawie sto tysięcy dolarów, czego eksmąż nigdy jej nie darował, zwłaszcza że kobieta wydała tę sumę w rok.

Spodziewał się zainkasować trzysta tysięcy z ubezpieczenia po Rondzie. Barbara pierwsza widziała jego zdenerwowanie, gdy okazało się, że kwota będzie znacznie mniejsza. Przejął się tym znacznie bardziej niż śmiercią żony.

Reynolds wypłacił pięćdziesiąt tysięcy z konta firmy ubezpieczeniowej, gdy tylko pieniądze zostały udostępnione.

ROZDZIAŁ 20

Pod koniec lata 2001 roku detektywi hrabstwa Lewis zaczęli ponownie analizować przypadek Rondy. Barb Thompson ucieszyła się na wieść, że w biurze szeryfa nastąpiło jakieś poruszenie z powodu nowego zainteresowania sprawą. Miała nadzieję, że to prawda.

W okresie przedświątecznym przypadała trzecia rocznica śmierci Rondy. Wcześniej Jerry Berry wręczył szeryfowi swoje wypowiedzenie. Mąż zmarłej uważał, że przeszłość należy zostawić w spokoju. Miał dość zadawanych mu pytań i podejrzeń oraz tego, jak patrzyli na niego niektórzy ludzie. Musiał zdawać sobie sprawę, że pozostał głównym „kandydatem na podejrzanego”. Dwudziestego szóstego lipca 2000 roku szeryf McCroskey wysłał list do Barb Thompson. Napisał w nim, między innymi:

Jak w każdym śledztwie, także i w tym popełnione zostały błędy, lecz żaden z nich nie zmienił faktów, na których się opieramy... Niestety, jedyny podejrzany w sprawie skorzystał ze swoich praw i wziął adwokata.

Reynoldsa reprezentowali odtąd Brett Ballew oraz Rayburn Dudenbostel z Elmy, który wiele lat był prawnikiem Laury i Lesliego. Opisał on Rona jako „człowieka o wrażliwej psychice, który przeżył straszną tragedię i bardzo cierpi”. Stwierdził, że pytania zadawane jego klientowi przez ludzi szeryfa ponad dwa lata po zdarzeniu rozdrapały wiele niezabliźnionych do końca ran. „Można sobie wyobrazić, co czuje człowiek, gdy po przebudzeniu odkrywa, że jego żona

popęłniła samobójstwo, a następnie zostaje oskarżony o jej zabicie. Do tego okazuje się, że policja nie wywiązała się ze swoich obowiązków”.

Ponieważ śledztwo w sprawie śmierci Rondy miało zostać wznowione, adwokat odmówił udzielenia reporterce gazety „The Chronicle”, Sharyn Decker, jakichkolwiek informacji, które pozornie mogłyby oczyścić Reynoldsa z zarzutów, lecz zostać potem wykorzystane przeciwko niemu.

Dudenbostel powiedział, że nie ma wątpliwości, iż jego klient jest niewinny. Zauważył, że mogło to zostać ustalone od razu, gdyby wykonano badania na obecność prochu na jego dłoniach. Dodał, że Ron przeszedł pomyślnie drugi test wariograficzny, zgadzał się na kolejne przesłuchania, przekazał próbki swego DNA i pisma oraz udostępnił bilingi telefoniczne i rachunki z kart kredytowych.

Adwokaci chcieli uczestniczyć we wszystkich przesłuchaniach klienta. To nie powinno było odstraszyć podwładnych szeryfa McCroskeya, bo przecież każdy podejrzany ma prawo do obecności adwokata podczas przesłuchania, co jednak nie oznacza, że jest nieetykalny.

14 grudnia 2001 roku Reynolds przygotował się do jeszcze jednej rozmowy z organami ścigania reprezentowanymi tym razem przez sierżanta Glade'a Austina. Blair Connery uważała, że Ron nie stresował się tym spotkaniem, gdyż prawnicy przeprowadzili z nim liczne próby przesłuchania, aby wiedział, jak ma odpowiadać. Pamiętała, że adwokaci poinstruowali także Jonathana Reynoldsa, jak ma się zachowywać oraz co mówić podczas spotkań z detektywami z biura szeryfa. Była to standardowa procedura, choć od świadków oczekuje się, rzecz jasna, mówienia prawdy.

Przedświadczone przesłuchanie odbyło się trzy lata po śmierci Rondy. Trwało dość długo - na taśmach zarejestrowano dwie godziny rozmów. Rozpoczęło się o 18.12, a zakończyło o 19.48. Blair

Connery czekała w biurze Dudenbostela, nie mając pojęcia, jakie zeznania składa Ron.

Austin, zanim przeszedł do poważniejszych kwestii, rozpoczął od podstawowych pytań: o datę urodzenia, zawód i adres. Na początek podziękował Reynoldsowi za jego dotychczasową współpracę.

- Cofnijmy się o kilka lat. Kiedy dokładnie poznał pan Rondę? - spytał wreszcie.

- Kilka lat przed naszym ślubem. Należałem wówczas do Świadków Jehowy, a ona przychodziła na spotkania. Przyjaźniła się z moją byłą żoną. Stąd się znaleźliśmy.

Detektyw i podejrzany ustalili wspólnymi siłami, że miało to miejsce zapewne w 1996 roku.

Ron zeznał, że jego pierwszą żoną była Catherine Huttula. Delikatnie mówiąc, minął się z prawdą. Nawet nie wspomniał o kobiecie, z którą rzeczywiście wziął pierwszy ślub - o Donnie.

Stwierdził, że zbliżył się do Rondy po rozwodzie z Katie. Pobrali się 2 stycznia 1998 roku i zamieszkali w McCleary, przy Elma-Hickland Road.

- Jak długo tam państwo mieszkali? - pytał dalej Austin.

- Hm... Pobraliśmy się w styczniu, a dokumenty kupna domu w Toledo podpisałem w sierpniu tego samego roku.

- Jak podsumowałby pan swoje małżeństwo z Rondą?

- Dobrze, układało nam się. Nie kłóciliśmy się ani nic. Nie mieliśmy specjalnych problemów. Czasem jakąś sprzeczkę z dziećmi, wie pan, jak to jest. Ale dogadywaliśmy się. Jedyne, co szkodziło naszemu związkowi, to pewne nieuczciwe zagrania z jej strony.

- Podejrzewam, że czasami mogło być jej ciężko - macocha wychowująca trzech chłopców...

- Zapewne tak. Nie przywykła do takiej sytuacji.

W tym miejscu się mylił. Mark Liburdi miał przecież dwóch synów i córkę, a Ronda pełniła rolę ich matki przez osiem lat.

- Czy pana synowie mieli trudności z zaakceptowaniem żony?

- Pewnie tak.

- Rozumiem. Co doprowadziło państwa do decyzji o separacji czy też o rozwodzie?

- Cóż, docierało do mnie coraz więcej informacji o tym, co wyrażała z kartami kredytowymi... Mieliśmy jedną, na której zadłużenie wyniosło sześć tysięcy dolarów. Były też... yyy... inne karty. Zacząłem otrzymywać powiadomienia o kolejnych długach. Kiedy ją o to spytałem, nie chciała mówić prawdy i wykręcała się, że to karty do konta Marka i nie powinny być przysyłane na ten adres. Wciąż wymyślała nowe wymówki i kłamała, więc stopniowo traciłem do niej zaufanie...

- Pamięta pan, kiedy to się zaczęło? - przerwał mu Glade Austin.

- Zacząłem nabierać podejrzeń jakoś w sierpniu... między sierpniem a listopadem. Coraz bardziej mi się to nie podobało, ponieważ wyzywano nas firmy windykacyjne.

- Czy wiedział pan o istnieniu tych kart kredytowych?

- Nie - odparł Reynolds. - Za każdym razem kiedy próbowałem uzyskać dokładną informację, ona kręciła. Mówiła rzeczy w stylu: „Zajmę się tym, to jakaś pomyłka”.

Ronda nie mogła, rzecz jasna, odeprzeć już tych zarzutów, a Ron przez lato i jesień romansował z ekszoną, miał więc swoje za uszami.

Ktoś sfałszował informacje, aby uzyskać kartę kredytową - lub też kilka - na nazwisko „Reynolds”, podając się za jego żonę. Ale która z jego żon to zrobiła?

W jednym z supermarketów Katie Huttula bez wiedzy Rondy wypisała czeki bez pokrycia o łącznej wartości 1800 dolarów. Czy to możliwe, żeby właśnie ona była ową żoną zaciągającą kolejne długi?

Glade Austin skupiał się jedynie na Rondzie i zadawał pytania tak, jakby sugerował, że sam uważa ją za osobę nieuczciwą. Ron gorliwie przytakiwał.

- Przejrzałem... yyy... Po jej śmierci zacząłem przeglądać dokumenty i znalazłem potwierdzenie na to, że część kart wystawiono na moje nazwisko. Zadzwoiłem do tych firm i otrzymałem kopie wniosków o wydanie tych kart. Okazało się, że podrobiła mój podpis.

- Zapewne nie nosił pan tych kart w swoim portfelu?

- Nie.

- Kiedy w końcu stwierdził pan, że tak dalej być nie może, i zaczął rozmawiać z nią o rozstaniu?

- Rozważałem to bardzo długo, chyba cały listopad, ale rozumie pan... Dopiero parę godzin przed jej samobójstwem rozmawialiśmy o tym otwarcie. Oznajmiłem jej, że chcę, by się wyprowadziła, ponieważ zawiodła moje zaufanie.

- Tego dnia po raz pierwszy powiedział pan: „To koniec, wynoś się” czy „Wyprowadź się”...

Ron pokręcił głową.

- Nie ująłem tego w ten sposób. Starłem się być miły, wie pan. Wciąż mi na niej zależało i bardzo bolało mnie, że tak mnie potraktowała. W końcu jednak zrozumiałem, że muszę myśleć przede wszystkim o przyszłości swoich synów. Nie mogłem dłużej pozwalać jej tak postępować.

Jak na człowieka potrafiącego wygłaszać charyzmatyczne przemówienia na konferencjach naukowych, w odpowiedzi na pytania detektywa Ron Reynolds wyjątkowo często zacinął się i jękał.

Im dłużej trwała rozmowa, tym gorzej funkcjonowała jego pamięć. Utrzymywał, iż 15 grudnia 1998 roku po raz pierwszy powiedział żonie, że między nimi koniec. Nie przypominał sobie, w którym momencie dnia to się stało. Sądził, że rozmowa mogła mieć miejsce, zanim Ronda opróżniła łóżko wodne, lecz nie miał co do tego pewności. Rozmawiali o separacji w domu, nikogo przy tym nie było. Podczas tego zeznania nie wspominał o wizycie u lekarza w Olympii.

- Czy pana rodzina obchodziła Boże Narodzenie? - zmienił temat Austin.

- Przygotowywałem się do tego. Ronda nie chciała obchodzić Świąt z powodu przynależności do Świadków Jehowy, ale ja i chłopcy zamierzaliśmy kupić choinkę, prezenty i spędzić Boże Narodzenie w domu.

- Nie należał pan już do Świadków Jehowy?

- Nie.

- A czy 15 grudnia miał pan wizytę u lekarza? Czy przed tym spotkaniem lub po nim prowadził pan z żoną jakąś dłuższą rozmowę? Pamięta pan, kiedy i gdzie się rozpoczęła?

- Stałem na parkingu kliniki specjalistycznej w Olympii, gdzie przyjmuje mój kardiolog. Po wizycie wyszedłem na zewnątrz i zobaczyłem, że Ronda dzwoniła dwukrotnie. Oddzwoniłem więc do niej, kiedy jeszcze byłem na parkingu.

- Rozmowa trwała osiemdziesiąt cztery minuty, prawda? - spytał Austin.

- Zdałem sobie z tego sprawę dopiero później, wiedziałem tylko, że trwało to długo. Raz po raz rzucała coś, co mnie martwiło, więc nie chciałem się rozłączać. Zauważyłem, że zaczęło się robić późno, skierowałem się zatem w stronę domu, wciąż z nią rozmawiając. Zbliżałem się już i...

- Dobrze - przerwał Austin. - Może pan sprecyzować, co takiego zaniepokoiło pana w jej słowach?

- Wydawała się przynębiona naszym rozstaniem i... zaczęła sugerować, że miała myśli samobójcze. Opowiadała o swojej koleżance z policji stanowej, która się zabiła, i rzuciła coś takiego: „Nigdy nie rozumiałam, dlaczego to zrobiła, ale teraz wydaje mi się, że to przynosi ukojenie”. Wie pan, nie jestem ekspertem, ale kiedy ktoś mówi takie rzeczy, wiadomo, że sprawa jest poważna. Dlatego rozmawiałem z nią i starałem się ją uspokoić, mówiąc, że wszystko się ułoży, i tak dalej. Zamierzałem wrócić do domu, ale kiedy wjeżdżałem do Toledo, stwierdziła: „Nie przyjeżdżaj, nic mi nie jest i...”

Austin po raz drugi przerwał swemu rozmówcy, ale głos Reynoldsa kończącego swoją wypowiedź zagłuszył jego pytanie:

- ...i dam sobie radę”.

- Czy mówiła coś jeszcze? Coś, co pana zaniepokoiło?

Wybity z rytmu Reynolds milczał przez chwilę.

- Cóż, nie pamiętam tej rozmowy aż tak dokładnie. Nie mam zbyt dobrej pamięci, ale... Ogólnie wydawała się przybita.

- Czy groziła wtedy, że popełni samobójstwo? Powiedziała wprost, że chce to zrobić?

- Nie, raczej nawiązywała do tego. Jakby głośno myślała. Zmar-twiła mnie.

Rzeczywiście Reynolds nie był dobry w przypominaniu sobie szczegółów, przykładów, a nawet całej wymiany zdań. Często się wahał. Nie pamiętał, czy to podczas rozmowy przez telefon, czy też później w domu Ronda stwierdziła, że nie chce bez niego żyć.

- Przyjechał pan do Toledo i miał pan wrócić do domu, ale ona powiedziała ...

- Przekonywała mnie, że już wszystko jest dobrze i że nie muszę przyjeżdżać. Zbliżała się pora występu w mojej szkole, więc zjadłem coś na szybko i udałem się na przedstawienie. Myślałem, że już się uspokoiła.

Po tym jak uznał, że nie musi wracać prosto do domu, wpadł na hamburgera do Betty's Place w Toledo.

Wyglądało na to, że tego ostatniego dnia życia Rondy nadzwyczaj często zmieniał zdanie. Najpierw bał się o nią, kiedy dzwoniła - uważał, że może chcieć odebrać sobie życie. Nie skontaktował się jednak z nikim w tej sprawie i jadąc do Toledo, stwierdził, że żonie nic już nie grozi.

Wyjaśnił, że jako dyrektor musi uczestniczyć w różnych akademiach i przedstawieniach - dlatego o dziewiętnastej pojawił się w szkole i został tam do 21.30.

- Zwykle wychodzę ostatni, by upewnić się, że wszystkie drzwi są zamknięte, a w budynku nikt nie został.

Kiedy przybył do domu, zobaczył na podjeździe samochód Dave'a Bella. Policjant z Des Moines najwyraźniej pomagał Rondzie wnosić rzeczy z samochodu z powrotem do domu.

- Wydaje mi się, że zanosila wszystko do swojego pokoju. Nie zostałem na zewnątrz i nie patrzyłem, co robią - opowiadał Reynolds. - Nie chciałem się wtrącać. Wszedłem do środka i porozmawiałem z synami, ponieważ wyglądali na zdenerwowanych.

Powiedzieli mi: „Ronda wynosi jakieś rzeczy z domu”, ale uspokoiłem ich, mówiąc, że po prostu zamierza się wyprowadzić.

Ron zeznał, że nie zamienił ani słowa z Dave'em Bellem. Skupił się na rozmowie z synami.

- Zrozumieli, o co chodzi, i już się nie denerwowali. W ogóle wszyscy byli wtedy spokojni.

- Czy synowie wspominali, że pan Bell nie zabrał broni?

- Nie, nic o tym nie wiedziałem. Chłopcy widzieli, jak oddawał jej broń, ale informacja ta dotarła do mnie dopiero po jej śmierci.

Reynolds powiedział, że pomógł Rondzie napełnić łóżko wodne.

- W tym czasie trochę rozmawialiśmy.

- Czy poruszyli państwo temat jej wcześniejszych planów - zanim Dave Bell przywiózł ją do domu?

- Nie mówiła, co zamierzała wcześniej. Wyznała tylko, że postanowiła zostać w domu i spróbować się pogodzić... Powtarzałem jej, że już podjąłem decyzję. Nie dawałem jej nadziei.

Mężczyzna zeznał, że jego synowie położyli się spać później niż zwykle. Pokój Joshua znajdował się na końcu korytarza i przylegał jedną ścianą do garderoby obok sypialni Rona i Rondy. Jonathan spał w pierwszym pomieszczeniu od strony drzwi wejściowych. Zaprojektowano je jako pokój rodzinny, miało więc dwuskrzydłowe, przeszklone drzwi. David zajął sypialnię w rogu domu.

Być może widok Rondy z innym mężczyzną wywołał zazdrość męża, a może - przynajmniej chwilowo - wydała mu się przez to bardziej atrakcyjna. W każdym razie wyznał, że tamtego wieczoru doszło między nimi do zbliżenia.

- Kochaliśmy się... yyy... a potem ona wstała i poszła do łazienki wykonać kilka telefonów. Mamy tam gniazdko telefoniczne. Następnie wróciła do łóżka i cały czas była przy mnie, także kiedy zasypiałem.

Spytany o butelkę whisky, którą detektywi znaleźli w sypialni, nadal nie potrafił wyjaśnić tej kwestii.

- Czy wie pan coś o tym, by żona piła tamtego wieczora jakiś alkohol?

- No cóż - zaczął wolno Reynolds - mieliśmy butelkę, właściwie część, może jedną czwartą whisky Black Velvet. Zauważyłem ją w sypialni i... hm... Mogła coś pić, ale ja tego nie widziałem, więc nie wiem. W każdym razie butelka na pewno tam stała, a to nie było coś normalnego... Wydaje mi się, że rano już jej nie widziałem.

Wysokoprocentowy alkohol stał zwykle w kuchni, w szafce nad lodówką. Ron nie pamiętał, by widział na podłodze w sypialni puszkę pepsi i szklanki. Nie miał pojęcia, kto mógł opróżnić butelkę.

Nie wiedział też, o której położył się spać. Leżał już w łóżku, kiedy Ronda położyła się po wykonaniu kilku telefonów. Pamiętał, że dzwoniła między innymi do jego byłej żony, Katie. Miało to miejsce, zanim uprawiali seks, tak przynajmniej mu się wydawało. Dodał też, że zasnął przed Rondą.

- O której się pan obudził?

- Pamiętam, że obudziłem się na moment około piątej albo piątej trzydzieści, bo spojrzałem na zegarek. Nie sprawdzałem, czy żona śpi, ale czułem jej obecność w łóżku, dlatego zasnąłem ponownie i obudziłem się na dźwięk budzika.

- O której godzinie zadzwonił?

- Ustawiłem go na szóstą, ale nie wstałem równo o tej godzinie, byłem bardzo zmęczony. Drugi dzwonek zawsze uruchamia się po dziewięciu minutach. Nie jestem pewien, o której się obudziłem. .. A budzik spieszy się o pięć minut...

Austin czekał, aż Ron Reynolds zakończy swój strumień świadomości.

- Skoro wiadomo, kiedy zadzwoniłem pod 911, oznacza to, że musiałem wstać po trzecim dzwonku budzika i... yyy... pewnie leżałem jeszcze chwilę, żeby się rozbudzić. Gdy zobaczyłem, że Ronda nie ma w łóżku, poszedłem jej poszukać. Zajrzałem do salonu, ponieważ czasami, kiedy nie mogła spać, kładła się tam na kanapie... ale jej nie znalazłem. Wróciłem więc do sypialni, zajrzałem do łazienki i tam ją zobaczyłem.

Wyrzucił z siebie słowa niezwykle szybko, zdawały się na siebie zachodzić. Jednak pamięć mu szwankowała. Nie był pewien, po jakim czasie odkrył ciało żony, ale wydawało mu się, że „raczej niedługo po tym, jak budzik zadzwonił po raz trzeci”.

- Gdy tylko ją znalazłem, zadzwoniłem pod 911 - mówił. - Nie oddychała, nie ruszała się, więc stwierdziłem, że muszę wezwać pomoc.

- Rozumiem. Czy zrobił pan coś poza tym? Sprawdził, co z dziećmi, zajrzał do drugiej łazienki lub skorzystał z niej? Czy badał pan ciało żony w jakiś sposób? Zauważył pan coś niepokojącego?

- Podniosłem poduszkę, by spojrzeć na Rondę, i zobaczyłem, że strzeliła sobie w głowę. Nie ruszała się, więc jedyne, o czym pomyślałem, to telefon na pogotowie.

- Jaka broń znajdowała się w domu w czasie tego zdarzenia? pytał Austin.

- Mam zestaw karabinów myśliwskich i specjalnych karabinków do trenowania strzelania do celu. Miałem jednostrzałowego remingtona, dwudziestkę dwójkę, i winchestera, trzydziestkę trójkę. Poza tym... strzelbę, nie pamiętam marki, kaliber dwadzieścia... I jeszcze springfielda .30-06. Wydaje mi się, że miałem automat, dwudziestkę dwójkę mojego ojca i francuski karabin Lebel 8 mm z pierwszej wojny światowej, także należący do niego. To chyba wszystko. No i ten pistolet.

- Ten, którego użyła?

- Tak.

Reynolds wiedział, że chodzi o broń kalibru .32, lecz nie mógł przypomnieć sobie nazwy producenta. Nie sądził, by kiedykolwiek z niej strzelał.

- Jak wszedł pan w posiadanie tego pistoletu?

- Kiedy mój ojciec zachorował, zaczął mówić rzeczy typu: „nie chcę dłużej żyć” i tak dalej. Więc zabrałem mu całą broń, jaką miał, żeby nic sobie nie zrobił..

Ron Reynolds był pewien, że Ronda miała świadomość, jakie pistolety i karabiny znajdują się w domu, nie sądził jednak, by posiadała własną broń. Powiedział, że w wieczór przed śmiercią żony znalazł kaburę pistoletu ojca kalibru .32 leżącą po prawej stronie toalety.

- Podniosłem ją i wróciłem do sypialni. Spytałem: „Gdzie jest pistolet mojego ojca?”, a ona odparła: „Dałam go Dave'owi”.

Wziąłem więc kaburę i schowałem do szuflady pod łóżkiem, gdzie zawsze leżała.

Nie wspominał o tym wcześniej, ale stwierdził, że nie martwił go brak pistoletu, gdyż miał pewność, że ma go znajomy żony. Zapomniał o tym, że znalazł kaburę w momencie, gdy rozmawiał z policjantami zaraz po ich przyjeździe. Nie pamiętał też, czy sprawdzał puls Rundy raz, czy dwa razy. Niektórym śledczym powiedział, że badał oznaki życia, zanim zadzwonił po pomoc, ale teraz był przekonany, że nie sprawdzał pulsu, dopóki nie kazał mu tego zrobić dyspozytor.

Powtórzył to, co mówił wcześniej: drzwi do łazienki oraz do garderoby były zamknięte - choć te drugie mogły być lekko uchylone. Nie miał problemu z wejściem do garderoby, gdzie leżała. Jej głowa znajdowała się w głębi pomieszczenia, bliżej ściany pokoju Josha. Stopy leżały przy drzwiach.

Podkreślił, że zarówno on, jak i Josh mają twarde sen, nic więc dziwnego, że żaden z nich nie słyszał wystrzału.

Reynolds był nieugięty i nie dał Rondzie szans na jakąkolwiek rekompensatę finansową za utratę domu. Na pytanie, jak mogła zadłużyć karty kredytowe na dwadzieścia pięć tysięcy, odparł, że zapewne wysyłała pieniądze matce i babci. Dodał także, że Barb Thompson ukradła przyczepę dla koni Markowi Liburdiemu.

(Prawda jest taka, że przyczepa należała do Rondy, a ona dała ją swojej matce. Podczas negocjacji w sprawie podziału majątku wściekły Mark pojechał z grupą policjantów do Spokane, by odzyskać przyczepę. Po śmierci jego byłej żony funkcjonariusze skonfiskowali pojazd, gdyż to zmarła figurowała jako właścicielka. Zgodnie z prawem przedmiot należał teraz do Rona, a nie Marka. Przez lata przyczepa pozostawała w magazynie policyjnym. Nie wiadomo, czy Reynolds w końcu ją odebrał).



Na pytanie, czy Ronda brała narkotyki lub piła, przesłuchiwany potrząsnął głową.

- Zazywała jakieś ziołowe leki i chyba coś na bezsenność. Cheryl Gilbert mówiła, że Ronda brała dziurawiec. Pamiętam nawet, że widziałem buteleczki z takimi lekami. Znalazłem receptę na Zoloft, ale chyba jej nie zrealizowała.

- Funkcjonariusze obecni na miejscu zdarzenia uważali, że nie okazał pan tamtego ranka zbyt wiele emocji. Czy może się pan jakoś do tego odnieść?

- Byłem w szoku - odparł Ron. - Nie pierwszy raz straciłem ukochaną osobę. Nigdy nie załamywałem się od razu. Nerwy puszczaają mi dopiero po jakimś czasie, kiedy jestem sam.

- Jedną z pierwszych rzeczy, jaką pan wtedy zrobił... Zacznę inaczej. Po telefonie na pogotowie, kiedy obudził pan synów... Co działo się przed ich wyjściem z domu?

- Dyspozytor pomógł mi, bo nie wiedziałem, co robić. Spytał: „Czy w domu są dzieci?”, a ja odparłem, że tak. Nie pomysślałem

o tym. Zadzwoiłem do Katie i ustalilem, ze pojedą do niej. Jonathan miał już prawo jazdy, zawiózł więc braci do matki.

Reynolds przyznał, że w jego domu pojawiło się kilka osób. Zadzwoił do swego przełożonego i przekazał mu, co się stało, toteż Tom Lahmann przybył na miejsce, podobnie jak Bill Waag, dyrektor drugiej szkoły w Toledo.

- Zadzwoiłem też do swojej matki. Przyjechała z Reedem. Pojawili się także Cheryl Gilbert i jej ojciec, który jest pastorem. Po jakimś czasie dotarli również moja siostra ze szwagrem. Nie pamiętam kto jeszcze.

- Judy i Larry Semankowie?

- Tak, spędzili u nas kilka godzin.

- Według detektywa Berry'ego spytał go pan: „Czy są jakieś dowody wskazujące na mnie?”. Co miał pan na myśli?

- Tak, pamiętam to. To było dwa dni po śmierci Rondy, miałem depresję, nie wychodziłem z łóżka. On zadzwonił do mnie i poprosił, żebym przyjechał do biura szeryfa. Przesłuchał mnie, a potem chciał, bym poddał się badaniu na wykrywaczu kłamstw. Pewnie odniosłem się do tego.

Mężczyzna przyznał bez skrępowania, że zapłacił składkę za ubezpieczenie już po śmierci żony. Twierdził, że nie spodziewał się otrzymać więcej niż pięćdziesiąt tysięcy dolarów, choć skarżył się przeciw Barbarze Thompson, że Ronda rzekomo sugerowała, iż suma ubezpieczenia wynosi trzysta tysięcy. Austin nie drążył tematu.

Spytał za to Rona, w co był ubrany, kiedy obudził się i odkrył ciało. Okazało się, że mężczyzna, który nie przypominał sobie większości szczegółów, pamiętał, co miał na sobie konkretnego dnia trzy lata wcześniej.

- Flanelowe spodnie i bluza wkładana przez głowę.

- Czy pamięta pan, co się później stało z tymi ubraniami?

- Przekazałem je swojemu prawnikowi... W trakcie śledztwa powiedziałem adwokatom, że nikt nie badał moich ubrań i nie zadawał

mi na ten temat żadnych pytań, uznali więc, że lepiej będzie, jeśli przekażę to, co miałem na sobie.

- Prawnikom czy policji?

- Prawnikom.

- Czy ubrania te zostały wyprane między porankiem 16 grudnia a momentem przekazania ich pańskim prawnikom 22 stycznia?

- Nie jestem pewien. Mogło tak być.

(Może zostały uprane tego samego poranka, gdy zmarła Ronda. To wyjaśniałoby, dlaczego po wejściu do domu przy Twin Peaks Drive Larry Semanko czuł zapach świeżego prania).

Tak, przyznał Ron, on i jego była żona, Katie Huttula, mieli romans, który rozpoczął się pod koniec lata 1998 roku. Utrzymywał jednak, że przez cały ten okres doszło pomiędzy nimi do zbliżenia tylko jeden raz. Po śmierci Rondy Katie wprowadziła się, żeby pomóc mu z chłopcami.

- Tamtego dnia gdy zginęła Ronda, została na noc, by zająć się synami, ale wprowadziła się znacznie później, a w maju już z nami nie mieszkała.

- Ronda powiedziała kilku osobom - zaczął Austin - iż stwierdził pan, że kocha zarówno ją, jak i była żonę, lecz ze względu na synów zamierza pan wrócić do ich matki.

- Nic takiego nie mówiłem. Gdyby Ronda nie zawiodła mojego zaufania, nawet przez myśl by mi nie przeszło, żeby wrócić do Katie.

- Rozumiem. Nie jestem pewien, czy udzielił pan odpowiedzi na poprzednie pytanie - ponieważ koliduje to z zeznaniami innych osób - czy pana była żona spała u pana w noc po śmierci Rondy, czy też kilka dni później? Pamięta pan, kiedy pierwszy raz do tego doszło?

- Mogła tam być tego wieczoru, ale nie spała ze mną. Może położyła się na kanapie albo w pokoju któregoś z chłopców.

To dziwne stwierdzenie. Dom przy Twin Peaks Drive nie jest aż tak duży. Jakim cudem Katie Huttula tak skutecznie ukryła się przed Ronem, że nie wiedział, gdzie ona jest?

Glade Austin formułował pytania w taki sposób, by otrzymać konkretne odpowiedzi - ułatwiał Reynoldsowi zeznawanie. Detektyw sądził, że Ronda popełniła samobójstwo, a jego raporty zawierały liczne negatywne stwierdzenia na jej temat, jakby celowo przeszukał archiwa waszyngtońskiej policji stanowej, by udowodnić, że była neurotyczką, a do tego złą policjantką.

Czy Glade Austin brał po uwagę możliwość, że Katie Huttula przebywała w domu przy Twin Peaks Drive jeszcze jedną noc wcześniej - w godzinach, gdy nikt nie wie, co tak naprawdę zaszło? Jeśli tak, nie zbadał tego wątku.

Jego decyzja, by nie dociekać, kto przebywał w domu Reynoldsów od wieczora 15 grudnia do wczesnych godzin porannych dnia następnego, z perspektywy czasu wydaje się nieprzemyślana. Austin, jak większość detektywów hrabstwa Lewis, wierzył, że Ronda odebrała sobie życie - i nie ma powodu szukać innego człowieka, który mógł pociągnąć za spust.

ROZDZIAŁ 21

Zaczął się rok 2002. Jerry Berry nie pracował w policji prawie od miesiąca, lecz nadal uważał, że Ronda Reynolds padła ofiarą morderstwa, dlatego planował kontynuować śledztwo jako prywatny detektyw. Barbara Thompson nie zamierzała nigdy zrezygnować z poszukiwania prawdy. Była o wiele bardziej zdeterminowana, niż sądzili pracownicy biura szeryfa hrabstwa Lewis. Sprzedała część koni, by móc opłacić podróże, telefony, prawników oraz pokryć inne wydatki, które pojawiały się podczas jej własnego dochodzenia.

Wydawało się już, że nie ma nadziei, kiedy w pierwszym tygodniu stycznia 2002 roku biuro szeryfa hrabstwa Lewis ogłosiło, że po raz kolejny przeklasyfikowano śmierć Rondy. Berry, choć zdziwiony takim obrotem spraw, nie przerywał swoich działań.

Koroner Terry Wilson ponownie określił rodzaj śmierci jako „nieznany”. Co najlepsze, detektywi hrabstwa Lewis znów otwierali sprawę. Od śmierci Rondy minęło nieco ponad trzy lata. Teraz wyglądało na to, że przekonanie Barb i Jerry'ego, iż została ona zamordowana, w końcu znajdzie potwierdzenie w działaniach policji.

Urażeni negatywną oceną działań śledczych wystawioną przez Vernona Gebertha, szeryf McCroskey i jego detektywi poprosili o kolejną opinię. Tym razem szef wydziału kryminalnego Joe Doench wystosował oficjalną prośbę o przyjrzenie się sprawie śmierci Rondy do członków waszyngtońskiego oddziału biura Prokuratora Generalnego, prowadzących bazę danych dotyczącą zabójstw i gwałtów dokonywanych w stanie Waszyngton i Oregon (Homicide

Investigation Tracking System, HITS). HITS jest aplikacją przeznaczoną do przechowywania informacji związanych z przestępstwami, które funkcjonariusze umieszczają tam dobrowolnie.

Podobnie jak Program Ścigania Brutalnych Przestępców (Violent Criminal Apprehension Program, VI-CAP), HITS stał się główną bazą szczegółowych informacji na temat groźnych przestępców oraz popełnionych przez nich zbrodni. Powstał w 1987 roku, po serii mordów - dokonanych przez tak niebezpiecznych morderców jak „Zabójca znad Zielonej Rzeki”, zidentyfikowany później jako Gary Ridgway, czy Ted Bundy - które przetoczyły się przez Północny Zachód. Bez wątpienia HITS jest ważnym narzędziem w systemie prawnym. Jego śledczy są wybierani głównie spośród emerytowanych detektywów z Waszyngtonu i Oregonu.

W ciągu roku ludzie obsługujący HITS odpowiadają na około osiemset próśb o wsparcie. Ich oficjalnym zadaniem jest „zbieranie i analiza danych, łączenie ich i udzielanie organom ścigania informacji, które ułatwią śledztwo, przyspieszając tym samym ujęcie i ukanie brutalnych przestępców”.

Prośba Doencha przekazana została do HITS 28 listopada 2001 roku, lecz ogłoszenie ponownego otwarcia śledztwa w sprawie Ron- dy nastąpiło dopiero po kilku tygodniach. W tym czasie sierżant Glade Austin przesłuchał ponownie Rona Reynoldsa - nie dowiedział się jednak niczego nowego. Wdowiec nadal twierdził, że żona po- pełniła samobójstwo. Spośród osób niepracujących w organach ści- gania przy tej wersji upierali się tylko on i Katie Huttula.

25 kwietnia 2002 roku prokurator stanowa Christine Gregoire (obecnie urzędująca drugą kadencję jako gubernator stanu Waszyng- ton) wysłała szeryfowi McCroskeyowi opinię opracowaną przez zespół HITS. Podpisali się pod nią główny śledczy John H. Turner, starszy śledczy/analitik George Fox oraz starszy śledczy/analitik Richard Steiner.

Przejrzeli trzy grube segregatory akt składające się z raportów, transkrypcji przesłuchań, wyników badań wariograficznych oraz licznych zdjęć i artykułów z gazet. Zespół HITS nie przeprowadził niezależnego śledztwa.

Wysnuwając swe wnioski, nie bierzemy pod uwagę emocji, polityki ani zewnętrznych nacisków. Dowody zostały ocenione osobno przez każdego śledczego, a następnie przez cały zespół. Każdy aspekt przeprowadzonego śledztwa przeanalizowano podczas oddzielnego spotkania zespołu.

Zacznijmy od tego, że nie ma śledztwa, które byłoby tak krytykowane za nieuwzględnienie różnych potencjalnych rozwiązań. Podstawowe techniki śledcze powinny być takie same we wszystkich dochodzeniach, w których należy brać pod uwagę zabójstwo, dopóki nie zostanie dowiedziona inna przyczyna śmierci.

Wyglądało na to, że śledczy z HITS zgadzają się z poglądem Berry'ego i Thompson, iż detektywi z biura szeryfa zawiedli i zbyt pośpiesznie uznali śmierć Rony za samobójstwo, nie rozważając nawet opcji zabójstwa.

„Dołączamy listę zagadnień, które według nas powinny być zostać wzięte pod uwagę” - pisali. Poniżej znajdowało się zestawienie błędów popełnionych przez policjantów. Argumentowano, że w przyszłości może ono posłużyć jako materiał szkoleniowy. Raport stwierdzał, że po wejściu do domu Reynoldsów rankiem 16 grudnia 1998 roku ludzie z biura szeryfa powinni byli:

1. Zabezpieczyć teren całego domu, a nie tylko jeden pokój, jako miejsce zbrodni, i zakazać wstępu cywilom oraz funkcjonariuszom organów ścigania - niezależnie od stopnia - którzy nie byli bezpośrednio zaangażowani w śledztwo.

2. Wykonać test na obecność prochu na rękach i ubraniu Rona Reynoldsa.

3. Zebrać ustne lub pisemne zeznania personelu medycznego.

4. Po opuszczeniu domu przez dzieci Reynoldsa jak najszybciej je przesłuchać.

5. Sporządzić rejestr zdjęć wykonanych na miejscu zdarzenia, aby kontrolować, gdzie się znajdują.

6. Oznaczyć sfotografowane przedmioty znajdujące się na miejscu zdarzenia.

7. Każdą fotografię opatrzyć datą i godziną jej wykonania.

8. Udokumentować warunki oświetlenia i temperaturę w pomieszczeniu.

9. Ponumerować i skatalogować strony raportu.

10. Zmierzyć miejsce zbrodni, co umożliwiłoby odtworzenie przebiegu zdarzeń w późniejszym czasie.

11. Wyjaśnić sprzeczności w raportach funkcjonariuszy.

12. Jak najszybciej udokumentować i zawrzeć w aktach informacji o wszystkich materiałach dowodowych.

13. Zachować kompletne akta sprawy, nie dopuszczając do utraty zdjęć, negatywów oraz dowodów.

Śledczy z HITS nie uważali jednak, by którykolwiek z trzynastu wymienionych błędów - ani nawet wszystkie - mógłby budzić wątpliwości co do ich decyzji lub wpłynąć na ich wnioski.

Przeprowadzono dokładną analizę przedstawionych dowodów, uwzględniając informacje i opinie z drugiej ręki. Zbadano pełne spektrum dowodów, w tym przeszłość denatki, wydarzenia poprzedzające jej śmierć, ułożenie ciała oraz zmiany pośmiertne, niezgodności w zeznaniach świadków, a także motyw lub jego brak.

W końcowych wnioskach specjaliści z biura Prokuratora Generalnego napisali:

Dowody wykazują, że pani Reynolds była przygnębiona i położyła się w garderobie po uprzednim pozyskaniu pistoletu męża. Ułożenie rąk i koca oraz umiejscowienie broni sugeruje, że pani Reynolds przykryła się kocem elektrycznym, przytrzymując go lewą dłonią. Trzymając pistolet w prawej ręce, wystrzeliła jeden nabój, który przeszedł przez poduszkę, przebił kość czaszki tuż przy prawym uchu i utkwił w mózgu. Trajektoria pocisku wskazuje, że rana została zadana przez ofiarę. Postrzał spowodował natychmiastową śmierć. Broń opadła na prawą część czoła, gdzie pozostawiła wyraźny ślad. Później pan Reynolds lub ktoś inny usunął ją z tego miejsca.

Następnie broń osunęła się na podłogę, trafiając między dłonie, na wysokości twarzy ofiary. Palec wskazujący prawej ręki, którym naciska się spust, pozostał lekko wysunięty.

Nasz jednomyślny wniosek brzmi: śmierć Rondy Reynolds nastąpiła w wyniku zamierzonego, zadanego przez nią samą strzału w głowę i powinna zostać zakwalifikowana jako samobójstwo.

Ta zadziwiająca konkluzja wstrząsnęła Barbarą. Jak detektywi z HITS mogli wyeliminować emocje, oceniając okoliczności śmierci jej córki? Jak mogli zlekceważyć wszystkie niezgodności, wyniki sekcji zwłok, motyw oraz liczne dowody poszlakowe i rzeczowe, które aż krzyczały, że Ronda nie popełniła samobójstwa?

A jednak to zrobili. Wydawało się, że rozdźwięk między podejściem śledczych policji i popierających ich emerytowanych detektywów a Barb Thompson i jej zespołu wolontariuszy pogłębia się coraz bardziej. Kobieta czuła, że dla biura szeryfa i śledczych z HITS ważniejsza niż dotarcie do prawdy jest wygrana.

Czy szli w zaparte, ponieważ zapędzili się w kozi róg i nie widzieli żadnego innego sposobu na wyjście z sytuacji z twarzą?

A może to Barb była zaślepiona własnymi wyobrażeniami na temat utraconej córki?

ROZDZIAŁ 22

W przeszłości pisałam wiele artykułów na temat zabójstw, które miały miejsce w hrabstwie Lewis; w wyniku śledztwa winny za każdym razem stawał przed obliczem sprawiedliwości, po czym trafiał do więzienia. Działo się to, między innymi, dzięki zaangażowaniu Glade'a Austina.

Wiedziałam, że pewnego dnia opiszę sprawę Rondy, choć czasem wątpiłam, czy kiedykolwiek zostanie rozwiązana. Z upływem lat zdawało się coraz mniej prawdopodobne, że ktokolwiek zostanie aresztowany za odebranie jej życia.

Mimo to postanowiłam opowiedzieć o tych wydarzeniach, uwzględniając wszystkie wątpliwości oraz pytania, na które dotąd nie poznaliśmy odpowiedzi. Wydawało mi się niesprawiedliwością, że Ronda miałaby zostać zapomniana.



Nie tylko ja martwiłam się o zakończenie tej historii. Sierżant Austin także czuł się zmuszony do napisania dodatkowego raportu podsumowującego jego uczucia i decyzje związane ze śledztwem w sprawie śmierci Rondy Reynolds. Wydawał się przekonany, że popełniła ona samobójstwo, równie mocno, jak Jerry Berry - że została zamordowana. Poniżej zamieszczam raport Austina.

Glade Austin, 30.01.2002

Dziesiątego stycznia 2002 roku powiadomiono mnie, że w „The Chronicle” ukazał się artykuł dotyczący prowadzonego

przez nas śledztwa. Następnego dnia skontaktowałem się z panem Ballew. Stwierdził, że czytał tekst i nie uważa, by krzywdził on jego klienta. Powiadomiłem go, że zamierzam wydać kilka oświadczeń i przesiać mu je w dniu publikacji, aby mógł przekazać je panu Reynoldsowi.

W tej samej gazecie pojawił się potem drugi artykuł, z wypowiedzią kuratora oświaty okręgu Toledo popierającą Rona Reynoldsa.

W ostatnich dniach przebywałem na zwolnieniu oraz na urlopie, a od 8 marca przechodzę na rentę z powodu problemów zdrowotnych. Regularnie jednak przeglądałem akta sprawy w domu, aby przygotować ostateczny raport. Przekazałem szefowi wydziału kryminalnego Joemu Doenchowi informacje, co według mnie powinno jeszcze zostać zrobione, aby mógł wyznaczyć śledczego do dokończenia sprawy. Niemal wszystkie informacje, jakie tu omówię, znajdują się w moich wcześniejszych raportach. Będzie to próba złożenia wszystkiego w całość i wyjaśnienia, dlaczego uważam, że było to samobójstwo.

W dniu śmierci Rondy Reynolds Gary Holt przesłuchał jej męża. Zeznanie to w toku śledztwa zostało rozwinięte, lecz zachowało spójność. Opowiedział tę samą historię wiele razy. Kolejne wersje różniły się tylko szczegółami, o które uzupełniał pierwotny przekaz.

Mówił, że rozmawiał z żoną przez telefon, że myślała o tym, by się zabić, a on próbował ją od tego odwieść. Okazało się, że rozmowa ta trwała osiemdziesiąt cztery minuty, co potwierdzają zarówno wykazy połączeń uzyskane od operatora sieci komórkowej, jak również biling telefonu domowego. Od Cheryl Gilbert i Davida Bella wiemy, że Ronda była przygnębiona i zasmucona, toteż trwająca tak długo rozmowa wydaje się zgodna z tym, co zeznał pan Reynolds.

W późniejszym przesłuchaniu wyjawiał, że zatrzymał się na obiad w Toledo i udał się na szkolne przedstawienie - co z kolei stoi w sprzeczności z czasem trwania rozmowy telefonicznej oraz faktem, że martwił się o żonę. W pierwszym zeznaniu jednak powiedział, że zachęcał ją, by skontaktowała się z kórymś ze swoich przyjaciół, ponieważ on przebywa w Olympii, oraz że Ronda zgodziła się po kogoś zadzwonić. Stwierdziła, że mąż nie musi wracać prosto do domu, gdyż czuje się już lepiej. Pan Reynolds zrozumiał, że ma przyjechać do niej David Bell, co później okazało się prawdą.

Podczas zeznań zaznaczył, że sprawdzał puls na szyi żony, a gdy go nie wyczuł, zadzwonił po pomoc. W mojej pierwszej rozmowie z nim spytałem, czy sprawdzał puls dwukrotnie, a on odparł: „Nie, tylko raz”. Na nagraniu z dyspozytorni numeru 911 wyraźnie słychać, jak zapytany o to, czy sprawdzał oznaki życia, pan Reynolds odpowiedział: „Nie, czy mam to zrobić teraz?”.

Zeznał, że wrócił do domu i wszedł do sypialni, a stamtąd do łazienki, gdzie na podłodze obok toalety znalazł kaburę na pistolet kalibru .32 należący do jego ojca. Spytał żonę, gdzie jest broń, a ona odparła, że przekazała ją Davidowi Bellowi. Z zeznania pana Bella wiemy, że tylko częściowo była to prawda. Próbowana przekazać mu broń, lecz on rozładował pistolet i albo oddał go jej, albo włożył do szuflady. Uważam, że zeznanie to jest szczególnie ważne. Przynajmniej jeden z synów pana Reynoldsa przechodził obok pokoju i widział, jak David Bell wręcza Rondzie pistolet. Chłopcy nie podzielili się tą informacją z ojcem; powiedzieli mu o tym dopiero po tragicznym zdarzeniu. (...) Wydaje się, że kobieta wyjęła broń z kabury i ukryła gdzieś w domu - najprawdopodobniej w łazience lub garderobie, skoro kabura została znaleziona przez pana Reynoldsa obok sedesu w łazience. W tym samym czasie

zauważył on wiadomość na lustrze i rzekomo poprosił żonę, by ją startła, czego najwyraźniej nie zrobiła.

Spytany, czy według niego piła jakiś alkohol, odparł, że widział, jak robi sobie drinka, ale nie wiedział, ile spożyła; w każdym razie w butelce nie było zbyt dużo whisky. Jeśli działo się to wczesnym wieczorem, ilość, jaką wypita, mogła z łatwością zostać wchłonięta i wydalona z organizmu przed momentem jej zgonu około piątej rano.

Napytanie o otwartą książkę telefoniczną odparł, iż żona zamierzała lecieć do matki i że miała zabrać ze sobą jednego psa. Pracownik linii Alaska potwierdził później, że zarezerwowała wylot do Spokane o godzinie 22.36 oraz że zamówiła transporter dla psa.

W swym pierwszym zeznaniu Cheryl Gilbert powiedziała, że Ronda była zdruzgotana rozpadem swojego małżeństwa. Świadek przebywała 15 grudnia w domu Reynoldsów. (...) Z rozmowy wynikało, że tego dnia Ronda naciągnęła mięsień podczas pakowania rzeczy. Cheryl Gilbert przesłuchiwał drugi raz detektyw Berry i zeznała wówczas, że przyjaciółka czuła się w ostatnich dniach tak, jakby otaczał ją mrok; była przybita. Pani Gilbert zaczęła się obawiać, że może ona coś sobie zrobić, choć ani razu nie padło z jej ust słowo „samobójstwo”. Lecz, jak zeznała, Ronda spojrzała na nią i powiedziała: „Nie, nigdy bym tego nie zrobiła”. Wydaje się więc, że obie miały na myśli to samo.

Rozmawiałem z Cheryl Gilbert kilkakrotnie i stwierdziła, że nigdy nie podejrzewała Rona Reynoldsa o zabicie żony. Zeznała, że gdyby wykluczyć samobójstwo, brałaby raczej pod uwagę zagrożenie ze strony Jonathana. Opierała się na słowach Rondy, która twierdziła, że chłopak wielokrotnie wchodził do łazienki, gdy brała prysznic. (...) W późniejszym czasie, składając osobne zeznania, zarówno Jonathan, jak i pan Reynolds zaprzeczyli, jakoby podobne incydenty kiedykolwiek

miały miejsce. Nie mam podstaw podejrzewać, że nie mówią prawdy.

Przesłuchując Jonathana, dowiedziałem się, że w wieczór poprzedzający śmierć Rondy ani razu nie przebywał w sypialni rodziców, podobnie jak nie wchodził tam w nocy ani rano 16 grudnia, dopóki nie usłyszał od ojca, że macocha nie żyje.

Aby uznać Jonathana za podejrzanego o jej zabicie, należy przyjąć, że musiał otworzyć drzwi do sypialni, przejść obok ojca, który leżał w łóżku, otworzyć drzwi do łazienki i garderoby, wystrzelić, zamknąć drzwi, ponownie przejść obok ojca i wrócić do swego pokoju. Nie wydaje się to wiarygodne, tym bardziej że pan Reynolds przeszedł badanie na wykrywaczu kłamstw; gdyby wiedział o takim zdarzeniu, nie udałoby mu się przejść pomyślnie tego testu. Ponadto nie znajduję żadnego motywu, który miałby skłonić Jonathana do popełnienia takiej zbrodni - zwłaszcza że wiedział, iż macocha zamierza się wyprowadzić.

Ronda poprosiła Cheryl Gilbert, by zawiozła ją rano na lotnisko w Portland, co później okazało się niezgodne z tym, co powiedziała Davidowi Bellowi, a także z faktem, że zakupiła bilet na lot z SeaTac do Spokane. Zważywszy na liczbę telefonów, jakie wykonała tamtego wieczoru, prawdopodobnie jest, że mogła powiadomić Cheryl o zmianie planów.

Ron Reynolds zeznał, że żona nakłoniła go do odbycia stosunku w nocy 15 grudnia oraz że doszło podczas niego do wytrysku. Wyniki autopsji potwierdzają, że pobrane wymazy wskazują na obecność spermy. Zapytałem Davida Bella, czy 15 grudnia między nim i Ronda doszło do czynności seksualnych, lecz stanowczo zaprzeczył, jakoby coś takiego miało miejsce.

(...) David Bell został przesłuchany rankiem 16 grudnia na miejscu zdarzenia, a później jeszcze raz - przeze mnie. Opowiedział o incydencie z próbą przekazania broni oraz o tym,

że wyładował naboje i schował pistolet do szuflady. Zeznał, że całe zdarzenie wydało mu się dziwne. (...) Zapytałem, dlaczego rozładował cudzy pistolet, ponieważ to dość niezwykle zachowanie, jak na policjanta. Odparł, że to nawyk - robi to zawsze, gdy w domu znajdują się dzieci.

Po załadowaniu samochodu swoimi rzeczami, zwróceniu kluczy od domu Cheryl Gilbert i zatankowaniu Ronda spytała Bella, czy może zatrzymać się u niego, dopóki nie stanie na nogach. Odpowiedział, że nie jest to dobry pomysł, ponieważ mieszkają z nim jego dzieci, które jej nie znają. Nie chciał przywozić jej do siebie późnym wieczorem w takich okolicznościach. Poza tym miał w domu koty, a ona musiałaby przywieźć ze sobą psy. Zaproponował, że zawiezie ją gdzie indziej, ale postanowiła wrócić do siebie.

Austin rozmawiał też z Kristą Liburdi. Powiedziała, że Ronda zadzwoniła do niej w sprawie podziału zysków ze sprzedaży rancza, na którym mieszkała z Markiem. Według Kristy ostatnie słowo należało zwykle do Rony, lecz tym razem zgodziła się, żeby to Mark zdecydował, jak podzielić pieniądze.

Detektyw udał się do siedziby waszyngtońskiej policji stanowej i wynotował wszystkie udzielone jej nagany, listę urazów, których nabawiła się w pracy, oraz zobowiązania finansowe kobiety. Odkrył, że Ronda zgłosiła się także do adwokata - Susan Sampson - z prośbą o zbadanie wszelkich stawianych jej zarzutów.

Anette Sandberg, która została później mianowana szefową całej policji stanowej, pracowała wówczas w wydziale spraw wewnętrznych i zajęła się wyjaśnianiem sprawy. Jakimś sposobem całe dochodzenie zniknęło z akt policji. (Sandberg ustaliła w końcu, że zarzuty położonych wobec Rony były bezpodstawne).

Sierżant Austin kontynuował swoją misję mającą na celu wykazanie, że zmarła miała depresję i była nieuczciwa. Choć nie dał mu do myślenia fakt zainkasowania przez Rona Reynoldsa

pięćdziesięciu tysięcy z ubezpieczenia - nawet to, że opłacił składkę po śmierci żony - chętnie wynajdywał przykłady na rzekome krętactwa Rondy. Zauważył, że ktoś użył dziesięciu różnych wersji jej imienia i nazwiska, aby otrzymać kredyt: nazwiska panińskiego, „Liburdi”, „Reynolds” oraz dziewięciu różnych numerów ubezpieczenia; ponadto jako inicjał drugiego imienia raz podawano „E.”, innym razem „F.”.

Glade Austin nie wziął pod uwagę tego, że kilka różnych osób mogło próbować uzyskać karty kredytowe na nazwisko podobne do Rondy. A była przecież Katie Huttula, walcząca nieustannie z uzależnieniem, która podrabiała czeki na krótko przed śmiercią żony Rona. Była Cheryl Gilbert, która wykorzystywała konto przyjaciółki, by wypisywać czeki na opłacenie własnych rachunków - a Ronda pozwalała kobiecie spłacić ten dług sprzątaniem jej domu. Był wreszcie Ron Reynolds, dla którego pieniądze wydawały się ważniejsze niż cokolwiek innego.

Teraz, gdy Ronda już nie żyła, łatwo było obwiniać ją o te wszelkie machlojki.

Austin pisał dalej:

Wydaje się, że pewne zachowania Rondy Reynolds wskazują, iż nie była uczciwą ani wiarygodną osobą. (...) Opinię tę potwierdzają zeznania jej męża odnośnie do pieniędzy, które sprzeniewierzyła w czasie trwania ich małżeństwa, oraz sfałszowania jego podpisu na licznych wnioskach o wydanie kart kredytowych, na których zaciągnęła potem tysiące dolarów długu. Należności te zostały umorzone, gdy pan Reynolds zdołał udowodnić, że to nie on podpisywał się na formularzach...

Jeśli nie on, to kto?

Odnosi się wrażenie, że gdyby sierżant Glade Austin mógł, przedstawiłby Rondę w jeszcze gorszych barwach. Zignorował

całkowicie argumenty przeczące temu, że popełniła samobójstwo. Podważał także wiarygodność Barb Thompson, twierdząc, iż ma tylko jednego konia. W tamtym czasie hodowała ich dziesiątki.

Ronda i Freeman od dawna figurowali jako współwłaściciele ranca w Spokane. Barb umieściła ich nazwiska na akcie notarialnym, choć sama tam mieszkała i była jedyną osobą, która hodowała konie rasy quarter i asystowała przy narodzinach źrebaków oraz tresurze koni. Chciała jednak mieć pewność, że w przypadku jej nagłej śmierci dzieci otrzymają posiadłość i dzielają ją równo między siebie.

Austin najwyraźniej postrzegał Rona Reynoldsa jako uprzejmego dyrektora szkoły, a Rondę jako osobę „sprzeniewierzającą” majątki i - na domiar złego - zakłamaną. W raporcie przedstawił sytuację w czarno-białych barwach.

Posunął się nawet do przekręcenia wypowiedzi adwokat Rony, przez co zupełnie zmienił znaczenie słów, które wygłosiła po tym, jak dowiedziała się o śmierci swej klientki.

Pani Sampson stwierdziła, iż nie dziwi się, że Ronda Reynolds popełniła samobójstwo; dziwiła się, że nie zrobiła tego już wcześniej.

Poproszona o komentarz w tej sprawie, Susan Sampson nie kryła oburzenia. „Użyty przeze mnie termin »zdziwienie« - mówiła - odnosił się do informacji, że zginęła była policjantka o imieniu Ronda. Dowiedziałam się o tym przed podaniem tego faktu do publicznej wiadomości. To dlatego, gdy okazało się, że zginęła Ronda Reynolds, powiedziałam, że nie dziwi mnie, iż chodzi o moją klientkę - bo ileż kobiet o takim imieniu mogło pracować w policji stanowej? Nie miało to nic wspólnego z przekonaniem, że powinna ona odebrać sobie życie już wcześniej. Absolutnie tak nie myślałam”.

ROZDZIAŁ 23

Wiosna 2002 roku stanowiła trudny okres dla Barbary Thompson. Czowała się jak pionek na ogromnej szachownicy. Traciła grunt pod nogami. Ronda nie żyła od ponad trzech lat, a ona coraz bardziej oddalała się od odkrycia, co tak naprawdę zaszło.

Miała jednak lojalnych sprzymierzeńców, między innymi Sharyn Decker, która napisała długi artykuł o tej sprawie w „The Chronicle”. Ona także nie wierzyła w samobójstwo Rondy. Wszyscy bliżsi znajomi zmarłej nadal odmawiali zaakceptowania możliwości, że odebrała sobie życie. Jerry nie zamierzał się poddawać, ale Barb obawiała się, że ludzie zapomną. Każdy ma przecież własne życie i własne problemy.

Wiedziała też, że potrzebuje prawnika oraz specjalistów od badania miejsca zbrodni, którzy mogliby przeanalizować różne aspekty tej sprawy i przyjrzeć się dowodom. Nie stać jej było na zatrudnienie takich ludzi. Berry nigdy nie policzył za swoją pracę ani centa; pochłaniała go chęć dotarcia do prawdy.

Kobieta postanowiła utrzymywać zainteresowanie tematem poprzez media. To był jedyny sposób, by ludzie nie zapomnieli o Rondzie. Po publikacji artykułu Decker w „The Chronicle” Barb otrzymała niespodziewanie telefon od niejakiego Marty'ego Hayesa. Powiedział, że jesienią 2002 roku zamierza ubiegać się o stanowisko koronera hrabstwa Lewis. Terry Wilson piastował tę funkcję od dziesięcioleci i wyborcy chyba nie wyobrażali sobie w tej roli nikogo

innego, mimo że krążyły plotki o braku poszanowania przez niego godności zmarłych - lecz nie były zbyt rozpowszechnione.

Barb wielokrotnie próbowała umówić się na spotkanie z Wilsonem, ale on zawsze odmawiał. Jediną osobą z jego personelu, z którą kiedykolwiek rozmawiała, była Carmen Brunton.

Marty Hayes - jako rywal obecnego koronera - spytał Thompson, czy udostępniłaby mu kopie akt ze śledztwa w sprawie śmierci córki.

„Zachowywałam wobec niego podejrzliwość. Po tak długiej bezowocnej walce nie ufałam nikomu poza Jerrym” - opowiadała. „Powiedziałam Marty'emu, że skopiowanie materiałów będzie kosztowało sto pięćdziesiąt dolarów plus koszty wysyłki. Jeśli przyśle mi czek, przekazę mu kopie tego, co udało mi się zdobyć. Stwierdziłam, że jeśli miałby zostać wybrany na koronera, powinien zapoznać się ze sprawą Rondy. Jak mogłam być tak opryskliwa? Nie mieściło mi się w głowie, że Marty po prostu bardzo chciał mi pomóc”.

Berry przekonał ją, że Hayes może okazać się niezwykle przydatny.

Marty Hayes, zawsze uśmiechnięty, tęgi mężczyzna, przekroczył już czterdziestkę. Prawem i organami ścigania interesował się odkąd skończył dwadzieścia dwa lata. Pracował jako funkcjonariusz rezerwowy, a nawet jako strażnik w elektrowni jądrowej w Idaho oraz w stanie Waszyngton. Rzadko spędzał w jednym miejscu dłużej niż dwa, trzy lata. Uczęszczał na wiele kursów dla zaawansowanych z zakresu prawa i medycyny sądowej; był ekspertem z dziedziny balistyki i broni palnej. Chciał ukończyć prawo w Concord Law School w Los Angeles, na uniwersytecie online, który jako pierwszy w kraju oferował stopień Juris Doctor. (Otrzymał już dyplom z prawa i obecnie przygotowuje się do egzaminu adwokackiego).

Kiedy w 1995 roku zamieszkał w hrabstwie Lewis, otworzył własną szkołę strzelniczą; dziesięć procent uczniów stanowili w niej

funkcjonariusze policji. Hayes szacuje, że w ciągu piętnastu lat działalności przeszkolił pięciuset policjantów i dużo więcej osób prywatnych. Uczy bezpiecznego obchodzenia się z bronią oraz podstaw ochrony domostwa. O broni palnej wie właściwie wszystko.

„Czytałem o śmierci Rony Reynolds i zacząłem się zastanawiać, jak podchodzono do tej sprawy” - wspominał mężczyzna. „Sądziłem, że mógłbym się przydać, dlatego z chęcią wysłałem Barbarze czek”.

Kobieta przekazała Marty'emu raporty ze śledztwa oraz informacje, jakie udało jej się zebrać samodzielnie.

„Zaoferował, że przeprowadzi testy - balistyczne, ale nie tylko. Miał zbadać siłę odrzutu, dźwięk, głośność wystrzału - czy poduszka rzeczywiście zagłuszyłaby ten odgłos? Chciał to zrobić *pro bono*. Oznaczałoby to, że nad sprawą Rony pracowaliby dwóch ekspertów, i to za darmo! Poczulałem, że szczęście znów się do mnie uśmiecha. I że może nam się udać”.

Aby uniknąć oskarżeń o konflikt interesów, Hayes mógł zacząć działać oficjalnie, przeprowadzając testy mogące wyjaśnić zagadkę śmierci Rony, dopiero po wyborach w 2002 roku. Do tego czasu analizował raporty, zdjęcia i dokumenty, które wysłała mu Barbara.

Początkowo zamiast odpowiedzi znalazł jeszcze więcej pytań.



Koroner Terry Wilson był trudnym przeciwnikiem. Spędził wiele lat na swoim stanowisku i w tym czasie zdołał zyskać popularność wśród starej gwardii hrabstwa Lewis, która bagatelizowała historie dotyczące jego osoby. Prawdą jest, że nigdy nie pojawiał się na miejscu zbrodni; tego niewdzięcznego zadania zawsze podejmowała się wyznaczona przez niego osoba. Nie brał też udziału w sekcjach zwłok. Podpisywał dokumenty, które precyzowały przyczynę i rodzaj śmierci na podstawie opinii swych zastępców lub mobilnych

patologów podróżujących po stanie. Chętnie za to udzielał się na aukcjach charytatywnych i imprezach towarzyskich w hrabstwie Lewis. Gdy dziennikarze prosili go o komentarz w jakiejś sprawie, zbywał ich.

Tracy Vedder, reporterka stacji KOMO-TV w Seattle, nakręciła później szokujący półgodzinny materiał dotyczący Wilsona. Na pierwszy rzut oka był on sympatycznym człowiekiem, głową rodziny, ojcem dwóch utalentowanych córek i niezwykle wysokiego syna, który stał się gwiazdą koszykówki.

Jako najważniejsza osoba w biurze koronera nie powinien uchylać się od odpowiedzialności - lecz nigdy nie przejmował się tym, co nazywał „pogłoskami”. Vedder pogrzebała w jego przeszłości i to, co odkryła, zszokowało ją.

Jeden z przypadków dotyczył śmierci chłopca na przejeździe kolejowym - ciało ofiary zostało dosłownie rozszarpane na kawałki. Pracownicy biura koronera usunęli jednak tylko co większe fragmenty, pozostawiając na miejscu wiele szczątków. Aby oszczędzić cierpień rodzinie, przyjaciele udali się na miejsce i pozbierali z torów krwawe resztki.

Inna sprawa: mężczyzna w średnim wieku dostał zawału, więc wysłano karetkę, która miała zawieźć go do najbliższego szpitala. Niestety, zmarł w drodze. Biuro koronera skierowało ambulans z ciałem z powrotem do domu zmarłego. Zgodnie z zaleceniami sanitariusze pozostawili zwłoki przed domem. Po pewnym czasie syn i córka mężczyzny przyjechali tam i zastali na podjeździe nosze z ciałem swego ojca. Ten widok wstrząsnął nimi do głębi. Nie mogli pojąć, jak ktoś mógł tak po prostu porzucić zwłoki na zewnątrz, zamiast wnieść je do domu i położyć na łóżku.

Trzeci przypadek dotyczył pewnego technika elektryka, który zmarł nagle na zawał serca. Jego ciało zabrano do kostnicy, lecz rodzina odkryła, że wraz z ciałem zniknął specjalistyczny sprzęt elektroniczny. Jego dom dosłownie oczyszczono z wartościowych przedmiotów. Nie wiadomo, czy zastępcy koronera nie zamknęli za

sobą drzwi, czy też sami dokonali grabieży. Nie doszło do żadnego aresztowania w związku z tą sprawą.

Najwyraźniej w hrabstwie Lewis trudno jest umrzeć z godnością.

Terry Wilson przetrwał na swym stanowisku do listopada 2002 roku, a w mających wtedy miejsce wyborach zdobył o wiele więcej głosów niż którykolwiek z jego przeciwników - w tym Marty. Dopiero wtedy Hayes mógł swobodnie oddać się pracy nad badaniem okoliczności śmierci Rondy Reynolds.

Wraz z Barbarą i Jerryem 29 grudnia 2002 roku spotkali się z zastępcą szeryfa Bobem Bishopem. On i Berry zgodzili się, że byli jedynymi funkcjonariuszami w biurze szeryfa hrabstwa Lewis, którzy sądzili, że Ronda została zamordowana.

Członkowie zespołu HITS twierdzili, że nie rozmawiali ze śledczymi związanymi z tą sprawą - usłyszawszy o tym, Bishop kręcił głową z niedowierzaniem, zapewniając, że osobiście przekazał im swoje wnioski.

Detektyw powiedział, że prawa ręka Rondy znajdowała się pod kocem, a lewa mocno się na nim zaciskała. Jakim sposobem doszli oni do opublikowanych w swej opinii wniosków, nie mając zdjęć ukazujących, gdzie znajdowała się prawa dłoń ofiary? Otóż założyli, że kobieta zastrzeliła się, toteż jej prawa ręka musiała leżeć na kocu. Stanowiło to przykład rozumowania wstecznego.

- Jak zatem ułożone były jej dłonie? - spytała Barb.

- Leżała na boku, przykryta. Widziałem tylko niewielką część jej lewej dłoni. Prawa znajdowała się całkowicie pod kocem. Broni nie zauważyłem.

Bishop pamiętał, że po stronie łóżka, na której spała Ronda, brzeg pościeli był schludnie włożony pod materac; poza tym brakowało poduszki.

- Wyglądało to zupełnie inaczej niż na zdjęciu, które tu macie - stwierdził. - A strona Rona była bardziej zmięta.

To Bob zauważył parę na lustrze w łazience - jakby ktoś dopiero co wyszedł spod prysznica. Miał też pewność, że intensywny zapach kadzidełka pochodził z pokoju Jonathana.

Zastępca szeryfa obiecał, że w przypadku ponownego otwarcia sprawy Rondy zgodzi się zeznawać na temat tego, co widział oraz o czym rozmawiał ze śledczymi zespołu HITS.

ROZDZIAŁ 24

Mężczyzna, którego Barb nazywała Skeeterem, postanowił od niej odejść, lecz nie winiła go za to. Wciąż obsesyjnie dążyła do znalezienia zabójcy Rondy i wszystkie pozostałe sfery jej życia zeszły na drugi plan. Skeeter doszedł do wniosku, że był dla niej tylko osobą od pilnowania psów i doglądania koni. Choć przyszło jej to z trudem, w końcu przyznała mu rację. Brakowało go jej, ale równocześnie nie zamierzała poddawać się, dopóki nie otrzymała odpowiedzi, które należały się jej córce. Do dziś Barb pozostaje jednak w bliskim kontakcie z córką Skeetera, Cheri-Lynn.

Ponadto zajmowała się też babcią Virginią, której zdrowie pogarszało się z roku na rok. Cieszyła się, kiedy Freeman ukończył z wyróżnieniem inżynierię i matematykę na Gonzaga University. Im także poświęcała zbyt mało czasu, lecz wierzyła, że rozumie ich, jak bardzo ich kocha, i że pewnego dnia wszystko wróci do normy. Miała nadzieję, iż stanie się to jak najszybciej.

Freeman znalazł wkrótce dobrą pracę jako inżynier w Seattle. Mieszkał w Bellevue, na przedmieściach położonych ponad dwadzieścia kilometrów na wschód od centrum miasta. 23 czerwca 2003 roku późnym wieczorem wracał do domu motocyklem, który niedawno sobie kupił. Padało, więc droga była śliska. Według policyjnego raportu jechał tylko czterdzieści kilometrów na godzinę, lecz kiedy przechylił pojazd podczas skręcania, tylne koło wpadło w poślizg. Pojazd przewrócił się, a mężczyzna spadł z niego, uderzając plecami w krawężnik. Jego głowę chronił najmocniejszy możliwy

kask, lecz i tak pękł on wskutek uderzenia o beton.

Motocykl Freemana stanowił najnowszy dostępny model wyposażony w skrytkę do przechowywania prawa jazdy. Policjanci nie wiedzieli o tym, dlatego przez jakiś czas figurował on w aktach jako „nieznany mężczyzna”.

Przetransportowano go helikopterem do szpitala Harborview. Został przyjęty na ostry dyżur w stanie krytycznym. Policjanci z patrolu, którzy przyjęli zgłoszenie o wypadku, przeszukali dokładnie roztrzaskany motocykl oraz ubrania kierowcy. Znaleźli adres w Bellevue i powiadomili o zdarzeniu jego współlokatorów.

O 3.30 rano funkcjonariusze policji dotarli do Barbary Thompson. Oznajmili, że jej syn miał wypadek. Jedyne, co byli w stanie jej powiedzieć, to że znajduje się w stanie krytycznym.

Zdawało się, że los, pech czy też coś innego postanowiło odebrać kobiecie oboje dzieci. Pomyślała, że nie przeżyje, jeśli straci także Freemana.

Drżącymi rękami wybrała numer telefonu do Harborview. Lekarze zajmujący się jej synem oznajmili, że znajduje się on w śpiączce wywołanej urazem mózgu. Brano pod uwagę operację polegającą na wywierceniu w kościach chroniących mózg otworów mających zapobiec uszkodzeniu substancji szarej, do którego mogło dojść w wyniku jej spuchnięcia i ucisku na czaszkę. Ponadto mężczyzna miał trzy pęknięte kręgi oraz kilka złamanych żeber.

Nie było wiadomo, czy przeżyje ani jak poważne będą skutki obrażeń mózgu.

Barbara wykonała kilka telefonów. Jedna z jej przyjaciółek natychmiast zaproponowała, że znajdzie kogoś, kto zajmie się babcią Virginą. Konie, które akurat w tym czasie poddawano szkoleniu, zostały przewiezione do innych trenerów. Zapewniono ją także, że zwierzęta pozostające na ranchu otrzymają odpowiednią opiekę. Ktoś obiecał również zająć się jej domem.

„Znajomi przyjechali z samego rana” - wspominała. „Zajęli się wszystkim. Jeden z sąsiadów zebrał tysiąc dolarów w gotówce, a inny udostępnił mi swój nowy samochód z przebiegiem wynoszącym zaledwie tysiąc kilometrów! Był zatankowany i gotowy do drogi”.

Barb przyjechała do szpitala Harborview w niecałe cztery godziny po telefonie policji. Zastała Freemana w głębokiej śpiączce. Opała na krzesło obok jego łóżka. Wsłuchiwała się we wszystkie pikanie i szumy urządzeń monitorujących bicie jego serca, puls, ciśnienie krwi, opuchliznę mózgu i nacisk od środka na czaszkę.

Modliła się żarliwiej niż kiedykolwiek wcześniej, a przez ostatnie cztery i pół roku często to robiła. Pragnęła, by jej syn ocalał, ale nie mogła prosić o darowanie mu życia, jeśli miałby doznać paraliżu. „Błagałam Boga, by oddał mi Freemana zdrowego lub go zabrał. Wiedziałam, że syn nie chciałby żyć, nie będąc w pełni sprawnym, więc nie byłoby fair prosić, by przeżył za wszelką cenę, tylko dlatego, że nie mogłabym pogodzić się z jego odejściem”.

Przez sześćdziesiąt dziewięć godzin Freeman leżał w śpiączce. W końcu otworzył oczy. Barb widziała, że jej nie poznaje. Nie mógł też ruszać nogami ani rękami. „W tych długich godzinach, gdy pozostawał nieprzytomny, wszystkie urządzenia wskazywały, że funkcje życiowe są w normie. Czasem ledwo się w niej mieściły, ale lekarze nie tracili nadziei”.

Jej syn leżał w szpitalu trzydzieści cztery dni. Po raz kolejny okazało się, że Barb zawsze może liczyć na Dave'a Bella. „Był moim aniołem stróżem - kiedy myślałam, że dłużej nie dam już rady, on mnie wspierał”.

Członkowie wspólnoty kościelnej, do której należał Freeman, przynosili jej co najmniej dwa posiłki dziennie. Na zmianę przygotowywali jej pożywienie i przychodzili posiedzieć z nią lub ją zastąpić, by mogła oderwać się i przez chwilę odpocząć. „Nie czułam się osamotniona. Otoczyli mnie niezwykłą troską”.

Freeman cudem wrócił do zdrowia. Pod względem determinacji i siły woli nie miał sobie równych. Wrócił do domu na wózku

inwalidzkim, ale w Spokane kontynuował rehabilitację. Matka była blisko niego, gdy odzyskiwał zdrowie i koordynację ruchową. Udało mu się to w stu procentach. Wrócił do pracy, kupił dom i kontynuował naukę na Gonzaga University. Gdy matka go potrzebuje - on jest przy niej.



Choć Barb wzięła „urlop” na czas leczenia Freemana, nie zamierzała zrezygnować z misji znalezienia zabójcy swej córki. Jej własne „akta” wypełnione były nazwiskami ludzi, którzy znali Rondę, Rona, jego synów czy też Katie. Zaczęła również zgłębiać zasady działania amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości. Zarówno Berry, jak i Hayes stali się aktywnymi członkami jej zespołu dochodzeniowego, który śledczym z biura szeryfa był solą w oku. Spodziewali się bowiem, że kobieta podda się już na początku, kilka lat wcześniej. Nie mieli pojęcia, jak wytrwałe i pełne poświęcenia potrafią być matki.

W ciągu pięciu i pół roku, które minęło od śmierci Rondy, Barb przekonała się między innymi o prawdziwości powiedzenia: „Noc najciemniejsza jest tuż przed świtem”. Zawsze gdy myślała, że nie zdoła walczyć dalej, działo się coś, co kazało jej wytrwać. Przychodził kolejny świt.

Dla uczczenia pamięci córki oraz w celu zebrania informacji założyła stronę internetową www.JusticeforRonda.com („sprawiedliwość dla Rondy”). Znalazł się na niej krótki opis nierozwiązanej sprawy oraz zdjęcia Rondy: od czasów, kiedy była jeszcze szkrabem, aż do momentu, gdy odbierała z rąk gubernatora odznakę waszyngtońskiej policji stanowej. Strona internetowa dawała Barb nadzieję, ponieważ kobieta otrzymała mnóstwo e-maili od osób popierających jej działania. Ludzie wierzyli jej i wspominali jej córkę jako energiczną, pełną życia i szczęśliwą młodą kobietę.

Jedną z wiadomości wysłano 25 czerwca 2004 roku o 2.38 nad ranem. Pisała ją osoba, po której Barb nigdy by się tego nie

spodziewała: Katie Huttula. Forma znajdującej się poniżej wiadomości jest zgodna z oryginałem.

droga Barb, dopiero dziś dowiedziałam się o tej stronie. Nie miałam pojęcia, że poczyniłaś takie postępy w sprawie Rhondy [sic!]. Chcę, byś wiedziała, iż nie wierzę w to, że się zabiła. Jestem przekonana, że została zamordowana. Nie wiem przez kogo ani dlaczego, ale jej zabójca (czy też zabójcy) powinien zostać odnaleziony i postawiony przed sądem; kimkolwiek jest ta osoba (osoby).

Poza tym, co powiedziałam Tobie i policji, nie posiadam żadnych innych informacji.

Kochałam Rhondę. Wiem, że mój pobyt w Toledo po jej śmierci był niestosowny. Przekazując Ci mój wiersz, nie chciałam przysparzać Ci jeszcze więcej bólu, ale tylko w ten sposób potrafiłam wyrazić, co czuję. Śmierć Rhondy była prawdziwą tragedią... Ja żyję. Lecz jestem całkiem sama.

To krzyż, który muszę nieść [sic!] Choroba psychiczna i wcześniejsze uzależnienie oraz przestępstwa, jakie pod jego wpływem popełniałam, także są częścią tego krzyża.

W tym roku, w Święto Dziękczynienia, zabiła się moja czterdziesto pięcioletnia [sic!] siostra.

Moi cudowni rodzice wciąż żyją i jestem z nimi bardzo związana. Jako córka wiem, jak ważna jest w życiu matka. Nie mam pojęcia, co zrobię, jeśli umrą przede mną.

Chciałam odpisać osobiście na twoje ogłoszenie.

*Pozdrawiam
Catherine*

Co chciała przekazać Katie w tym dziwnym poście? „Była przekonana”, że Ronda została zabita, i dała do zrozumienia, że może za to odpowiadać więcej niż jedna osoba, lecz jednocześnie utrzymuje,

iż nie posiada żadnych informacji na temat tych ludzi. Wydawało się, że Huttula cierpi na depresję - o wiele poważniejszą niż ta, którą przypisywano Rondzie.

Czy wiadomość od Catherine była tylko wołaniem o pomoc i współczucie, czy też kobieta rzeczywiście mogła coś ukrywać w sprawie śmierci Rondy i z rozmysłem dawała pewne sygnały? A może to kolejna ślepa uliczka, jakich w tej historii nie brakowało?

Barb chciała dowiedzieć się czegoś więcej od Katie, lecz nie zdołała jej odnaleźć.

ROZDZIAŁ 25

Przez osiem lat Barb Thompson wielokrotnie próbowała spotkać się z koronerem Wilsonem, lecz on zawsze odmawiał. W końcu, 24 marca 2006 roku, zgodził się porozmawiać w swoim biurze w Chelalis. Barbarze towarzyszył Larry Semanko, emerytowany zastępca szeryfa hrabstwa Lewis, były zastępca koronera, a także mąż siostry Rona Reynoldsa, Judy. Nareszcie matka zmarłej mogła stanąć twarzą w twarz z człowiekiem odpowiedzialnym za orzekanie o rodzaju śmierci jej córki.

W spotkaniu uczestniczyła także Carmen Brunton, zastępczyni Wilsona oraz jedyna osoba z jego biura, która pofatygowała się na miejsce zdarzenia.

- Dlaczego określił pan czas zgonu mojej córki na piątą rano? - spytała Barb.

- Tak zostało to ustalone na podstawie zeznań jej męża, który przebywał z nią do tej godziny - odparł mężczyzna.

- Nie brał pan pod uwagę innych przesłanek?

Terry Wilson powiedział, że przeanalizował także raport z sekcji zwłok sporządzony przez doktora Selove'a, jak również zeznanie Rona Reynoldsa. I nic poza tym.

Barb spytała go o fragment dokumentu dotyczący „czasu pomiędzy napaścią/początkiem choroby a zgonem”.

- Napisał pan „minuty”. Na jakiej podstawie?

Nie pamiętał.

Poprosiła go, by przeczytał opinię wydaną przez neurochirurga, doktora Johna Demakasa, który stwierdził, że wypompowanie

takiej ilości krwi, jaka znajdowała się wokół ciała, zajęłoby sercu od trzydziestu do sześćdziesięciu minut.

- Czy po zapoznaniu się z tym tekstem - zaczęła - rozważyłby pan zmianę „minut” na „od trzydziestu do sześćdziesięciu minut”?

Rozmówca potrząsnął głową.

- To, co napisałem, może oznaczać dwie minuty albo i sześćdziesiąt. Nie widzę powodu, by to zmieniać.

Barb poprosiła więc o inną zmianę. Biorąc pod uwagę obecność dwóch rodzajów plam pośmiertnych na ciele Rondy - których pojawienie się musiało trwać kilka godzin - czy rozważyłby zmianę czasu zgonu na przedział od 1.30 rano do 3 lub nawet od 1.30 do 5.00?

Odpowiedź brzmiała: „nie”.

- Taka zmiana oznaczałaby oskarżenie Rona Reynoldsa o zabójstwo, a tego nie mogę zrobić.

Stwierdzenie to wstrząsnęło kobietą. Dlaczego Ron miałby być wykluczony z kręgu podejrzanych? Czy koroner ukrywał pewne informacje po to, by chronić „osobę, która mogła zostać uznana za podejrzaną”?

- Dlaczego nie? - nalegała. - Oznaczałoby to po prostu, że Ron kłamał co do momentu, w którym widział Rondę żywą po raz ostatni.

Barb czuła, że nie posuwa się ani o krok do przodu. Spytała Wilsona, czy byłby skłonny zmienić opinię co do samobójstwa jej córki, gdyby przeczytał to, co ze sobą przyniosła. Odparł, że może przejrzeć materiały, ale zajmie to prawdopodobnie kilka tygodni.

Półtora miesiąca później zastępczyni koronera Carmen Brunton zadzwoniła do Barb i powiedziała, że choć Wilson przeanalizował jej dowody, nadal nie widzi powodu, by zmieniać zapis w dokumentach.

- Na jakiej podstawie i dlaczego wciąż trzyma się teorii, że to było samobójstwo? - pytała kobieta drżącym głosem.

- Tego nie wiem - stwierdziła Carmen, po czym się rozłączyła.



Na początku lata 2006 roku Thompson, Berry i Hayes znaleźli się w impasie. Potrzebowali prawnika, który zna się na swojej pracy. Jednak tego typu usługi słono kosztują, a Barbara nie miała na to funduszy. Jerry i Marty nie naliczali ani centa za setki godzin swej pracy, starając się zrehabilitować Rondę i usunąć zapis o samobójstwie.

Marty wpadł na pewien pomysł. Znał prawnika, który mógł zechcieć podjąć się tego wyzwania, nawet jeśli nie poszłoby za tym wysokie wynagrodzenie.

- Zadzwoń do niego. Najwyżej odmówi. Nazywa się Royce Ferguson, jest dobry. Powiem mu, że napisałaś do Wilsona w maju, grożąc wytoczeniem procesu.

Mężczyźni spotkali się na pizzy. Barb, Jerry i Marty chcieli doprowadzić do rozprawy sądowej, aby wymóc kontynuowanie śledztwa, które w sumie trwało już osiem lat. Gdyby im się udało, dokonaliby prawdziwego przełomu - i dlatego właśnie Hayes podejrzewał, że Ferguson zechce się tego podjąć.

Prawnik słuchał, jak Marty przedstawiał najważniejsze kwestie. Zanim skończyli posiłek, zgodził się spotkać z matką Rondy. Nie zobowiązał się jeszcze do niczego, ale chciał jej wysłuchać.

Jednosobowe biuro Fergusonona znajdowało się w Everett, jakieś dwieście kilometrów na północ od hrabstwa Lewis. Nie miało w sobie nic z ostentacyjnego przepychu niektórych kancelarii: skórzanych foteli, grubych dywanów, ogromnego biurka ani obrazów. Mężczyzna nie uruchomił też czasomierza, kiedy zaczęli rozmawiać. Barb poznała już kilku sławnych prawników i szybko zrozumiała, że za cały ten blichtr odpowiadały właśnie godzinowe stawki. Wiedziała, że nie stać jej, by ich zatrudnić.

Powitanie przez uprzejmą asystentkę pierwszy raz od dawna napełniło ją optymizmem. Royce wyglądał na pięćdziesiąt kilka lat, był raczej drobnej budowy i nosił niemodną fryzurę.

Choć zajmował się wieloma głośnymi sprawami sądowymi, nie mówił o nich. Dopiero podczas zbierania materiałów do tej książki opowiedziałam Barb o niesamowitych przypadkach, z jakimi musiał się zmierzyć jako obrońca. Niektóre z nich były śmiertelnie poważne, inne niemal komiczne.

Prawnik ten ma liczne zainteresowania: od wędkowania, poprzez gotowanie, historię, muzykę, po pisanie i redagowanie podręczników waszyngtońskiego prawa stanowego oraz procesowego. Obie jego książki cytowane są jako wykładnia prawa przez stanowy sąd apelacyjny, a nawet Sąd Najwyższy, ale najbardziej fascynuje go sama praktyka prawa.

„Każdy prawnik ma inne cele i marzenia” - pisał Ferguson na swym blogu. „Mnie chodzi przede wszystkim o to, by pomagać zwykłym ludziom, brać sprawy, które inni prawnicy odrzuciliby jako zbyt trudne lub niemożliwe do wygrania, rozwiązywać w nowatorski sposób problemy prawne. Na koniec pragnąłbym po prostu otrzymać podziękowanie za dobrze wykonaną pracę. Chciałem chyba być bohaterem i pomagać »tworzyć prawo«, zajmując się sprawami, które trafią do podręczników”.

„W moim przypadku pieniądze nigdy nie wpływały na podjęcie takiej, a nie innej decyzji. Sprawy, które mnie pociągały, zwykle wiązały się z wynagrodzeniem minimalnym... lub żadnym. Ponoć Abraham Lincoln powiedział kiedyś: »Zrób coś dobrze jako prawnik, a pieniądze przyjdą do ciebie same«, czy jakoś tak. To prawda”.

W okresie dorastania Royce podziwiał postaci takie jak: Lincoln, Atticus Finch z powieści *Zabić drozda*, Don Kichote, detektyw Harry Callahan grany przez Clintę Eastwooda, jak również różnych bohaterów kowbojów galopujących po ekranach czarno-białych telewizorów. Po latach sam zaczął walczyć z wiatrakami, reprezentując zarówno ludzi dobrych, jak i złych.

W sprawie dotyczącej najstraszniejszej być może serii podpaleń na Północnym Zachodzie od lat, Ferguson bronił Paula Kellera,

dwudziestosiedmiolatka, który pracował jako dyrektor działu marketingu w firmie swego ojca. Postawiono mu zarzuty siedemdziesięciu siedmiu podpaleń, które przez sześć miesięcy - latem i jesienią 1992 roku - budziły przerażenie wśród mieszkańców czterech waszyngtońskich hrabstw. Straty finansowe wynikające ze zniszczenia budynków mieszkalnych, kościołów, firm i domów spokojnej starości sięgały czternastu milionów dolarów.

Do największej tragedii doszło 22 września 1993 roku, kiedy to w pożarze domu seniora Four Freedoms zginęły trzy starsze kobiety. Dziewięćdziesięcioletnia Bertha Nelson, siedemdziesięciosiedmioletnia Mary Dorris i o siedem lat młodsza od niej Adeline Stockness straciły życie, a kilku innych mieszkańców zostało poważnie rannych. Szkody materialne wyceniono na pół miliona dolarów.

Royce Ferguson nie twierdził, że mężczyzna jest niewinny, wniósł jednak o wysłanie go na leczenie, ponieważ już w dzieciństwie borykał się z problemami psychicznymi. Wykazywał się wówczas taką nadaktywnością, że ojciec wywoził go kilka kilometrów od domu i zostawiał tam w nadziei, że chłopak choć część energii zużyje na powrót.

Keller, którego w ręce policji wydał jego własny ojciec, otrzymał wyrok dziewięćdziesięciu dziewięciu lat pozbawienia wolności i przebywa obecnie w więzieniu. Tymczasem stanowe zakłady karne nie mają wystarczającej ilości pieniędzy, by zapewnić Paulowi pomoc psychiatryczną i dowiedzieć się, przeciw komu lub czemu występował, wzniecając kolejne pożary.

W jednej ze swych książek, *Ann Rule's True Crime Files: Vol. I*. („Z archiwum prawdziwych zbrodni. Część 1”), opisałam także inną sprawę, którą zajął się Ferguson. Jednym z najbardziej przerażających zabójców w historii stanu Waszyngton był Charles Campbell, który w 1974 roku - mając dwadzieścia kilka lat - zgwałcił Renae Wicklund, przez cały czas trzymając nóż na gardle jej córki, Shannah. Trafił do więzienia, ale zwolniono go warunkowo już w 1982 roku.

14 kwietnia 1982 Campbell wrócił do domu Wicklund w Clearview i zabił Renae oraz Shannah, jak również Barbarę Hendrickson, pięćdziesięcioletnią kobietę mieszkającą po drugiej stronie ulicy. Niemal natychmiast został aresztowany i oskarżony o potrójne zabójstwo. Człowiek ten uosabiał koszmar każdego obrońcy: był niewdzięcznym klientem, nie zamierzał współpracować z żadnym z prawników, którzy go reprezentowali.

Na obrońcę Campbella wyznaczono Royce'a; miał mu partnerować Ken Lee, główny prawnik prowadzący tę sprawę. Pracowali razem mniej więcej rok, lecz zajęcie to stało się tak frustrujące, że Lee poprosił o zwolnienie z obowiązku obrony oskarżonego. Choć Ferguson mógł nadal reprezentować Campbella, w prośbie kolegi dostrzegł i dla siebie szansę na porzucenie tej niewdzięcznej sprawy. Wyznaczono nowych obrońców.

Prawdopodobnie żaden z nich nie chciał doprowadzić do wypuszczenia Campbella na wolność - był on zbyt niebezpieczny - ale starali się przynajmniej ocalić go od stryczka. Daremnie. Morderca opluł gubernatora, który odwiedził go w celi, podczas wizyty uderzył w głowę własnego syna, a na dodatek postąpił okrutnie wobec pracowniczki więzienia, którą uwiódł i zapałdnił.

W kolejnych latach Campbell pisał i dzwonił do Royce'a z zakładu, w którym przebywał - oczywiście na koszt odbiorcy - prosząc o kopie różnych wyroków sądowych oraz dokumentów związanych z konkretnymi sprawami. Prawniki spełniały jego prośby, ponieważ uważał, że nawet tak nędzny skazaniec zasługuje na niewielką pomoc w dążeniu do zachowania życia.

Dwanaście lat później, w 1994 roku, Ferguson reprezentował dziennikarza, który chciał nagrać egzekucję Campbella. Sąd oddalił wniosek, argumentując, że byłoby to sprzeczne z konstytucją stanową, w której znajduje się zapis: „Nie przysługuje prawo dostępu do obrazów ukazujących śmierć przez powieszenie”.

W maju 1994 roku Campbell wyczerpał możliwości apelacji. Wiedząc, że zbliża się jego koniec, ponownie skontaktował się

z Royce'em. „Szukałem właściwych słów, by powiedzieć skazanemu człowiekowi, że nic więcej nie mogę dla niego zrobić. Nie chciałem się z nim żegnać - wyjaśniał później - ponieważ wówczas straciłby tę resztkę nadziei, która wciąż się w nim tliła, ale musiałem to jakoś zakończyć. Taki list na zasadzie »bez urazy«, żeby nie powiedzieć wprost: »Koles, jesteś już martwy«”.

Kontakt z Charlesem Campbellem stał się dla prawnika okazją do przyjrzenia się klasycznemu psychopacie. „Mogłem przeanalizować zachowanie człowieka oczekującego na wykonanie wyroku śmierci za trzy morderstwa”.

Charles Campbell został powieszony. Był tak przerażony, że nie mógł samodzielnie wejść na podest z szubienicą, dlatego musieli go tam zanieść strażnicy.

Obrońcy w sprawach karnych często są uprzedzeni do ludzi, którym mają pomagać, lecz Royce niemal zawsze szukał choćby najmniejszych przejawów człowieczeństwa u potencjalnych klientów lub tych, których pozywał w imieniu kogoś innego. Starał się zrozumieć motywy, jakie kierowały nimi, w chwili gdy dopuszczali się zbrodni.

Trudno było mu wyjaśnić psychopatię. Miał jednak do czynienia z równie ciężkim przypadkiem, gdy niejaki David Schubert stał się głównym podejrzanym w sprawie o zabójstwo żony.

Trzydziestoletnia Juliana Schubert po raz ostatni była widziana 30 czerwca 1989 roku. Jej szef z Everett Steel Company pożegnał się z nią w piątek. W poniedziałek 3 lipca czterdziestosiedmioletni David Schubert zadzwonił do firmy z wiadomością, że jego żona nie będzie mogła dziś przyjść. Dwa dni później zadzwonił ponownie i powiedział, że Juliana wyjechała do Kolorado z „przyjacielem”, toteż w ogóle nie wróci już do pracy. Następnie udał się do jej biura, by zabrać rzeczy osobiste i oddać kluczyk od szafki. Spytał też, czy otrzyma czeki z wypłatą żony. Szef odmówił ich wydania, lecz mąż zaginionej kobiety i tak odebrał pieniądze z agencji pracy, która pośredniczyła w jej zatrudnieniu.

Para mieszkała wraz z dziećmi w domu ze sporą działką w Arlington, ale nie układało im się zbyt dobrze. Juliana rozmawiała z przyjaciółmi o tym, że rozważa rozwód, i zamierzała wynająć mieszkanie dla siebie i dwóch synów w wieku siedmiu i pięciu lat. Jeden ze świadków zeznał, że miesiąc przed zniknięciem kobiety jej mąż powiedział: „Zabiję ją i będę miał święty spokój”.

Przez kolejne tygodnie David udzielał sprzecznych informacji na temat miejsca jej pobytu. Raz twierdził, że wyjechała do Kolorado, innym razem - że ma urlop i jest w Chicago, Nowym Jorku, „na wschodzie” lub też w Arizonie z innym mężczyzną.

Prawie cztery tygodnie po zniknięciu Juliany, 24 lipca, Schubert powiedział o tym wreszcie jej matce, Karil Nelson. Twierdził, że żona nie zabrała ani samochodu, ani swoich ubrań - ale wydawało mu się, że mogła wziąć ze sobą torebkę i pięćset dolarów w gotówce. Matka natychmiast zadzwoniła na policję w Everett, gdzie usłyszała, że David nie zgłosił nawet zaginięcia.

Wydawało się to tym bardziej dziwne, że mężczyzna był funkcjonariuszem w rezerwie. Pracował także jako agent ubezpieczeniowy. Zeznał później, że on i Juliana mieli problemy małżeńskie i od jakiegoś czasu przygotowywali dokumenty rozwodowe.

Szukał on porady prawnej u adwokata, od którego dowiedział się, że będą musieli opracować plan opieki nad dziećmi. Juliana rzekomo zareagowała bardzo nerwowo na jego wybór prawników - ponieważ jeden z nich reprezentował także jej matkę. Schubert opowiedział, jak rzuciła w niego kluczykami od samochodu, krzycząc: „To twój wóz i twój dom! Bierz je sobie! Mam to gdzie!”. A potem podobno wyjechała, porzucając dzieci i całe dotychczasowe życie. Mąż twierdził, że spodziewał się, iż wróci do domu, gdy ochłonie. Nie zrobiła tego.

Schubert mawiał czasem: „Tylko idioci dają się złapać”.

Policja podejrzała, że David zamordował Julianę. Aresztowano go nawet pod zarzutem zabójstwa, lecz po tym jak główny detektyw zachorował na białaczkę i zmarł, oskarżenie zostało wycofane.

Kobieta nie odnalazła się przez kilka lat, więc David Schubert wnioskuje o uznanie jej za zmarłą. Stosowne orzeczenie wydano 23 września 1996 roku. Następnego dnia wdowiec wypełnił wniosek o wszczęcie postępowania spadkowego i wyznaczenie go na wykonawcę ostatniej woli żony.

Tymczasem Karil Nelson udała się do Royce'a Fergusona. Nie dawała za wygraną. Uważała, że Schubert zabił jej córkę. Prawnik miał argumentować przed sądem, że „ponieważ wdowiec jest prawdopodobnie zabójcą Juliany Schubert, nie może zostać pełnomocnikiem, wykonawcą testamentu ani spadkobiercą zmarłej”.

Na osobę rozporządzającą majątkiem Juliany wyznaczono jej matkę. Ta złożyła pozew cywilny przeciwko byłemu zięciowi, oskarżając go o spowodowanie śmierci jej córki. Sąd miał orzec, czy w świetle prawa Schubert może być uznany za zabójcę.

Morderstwo Juliany stało się źródłem kolejnych rodzinnych dramatów: chłopcy nie mogli widywać się ze swoją babcią i przez lata wierzyli w każde słowo ojca.

David Schubert został po raz kolejny oskarżony o zabicie swojej żony i stanął przed sądem trzynaście lat po jej zaginięciu. Choć nigdy nie znaleziono ciała, mężczyznę skazano w 2002 roku na ponad trzynaście i pół roku więzienia. Obecnie jest już starszym panem po siedemdziesiątce. Jego jedyną nadzieją na wcześniejsze wyjście byłoby nagłe pojawienie się Juliany - dowód, że wcale nie umarła.

Royce Ferguson reprezentował matkę Juliany, Karil Nelson, *pro bono*.



Barbara Thompson nie wiedziała prawie nic o dokonaniach Fergusona. Zapewne nie zdawała sobie również sprawy, że jako jeden z niewielu prawników był gotów podjąć się reprezentowania jej interesów, nawet jeśli nie miała zbyt wiele pieniędzy, a od śmierci Rondy minęło ponad dziesięć lat. Do dziś pamięta ich pierwsze spotkanie.

„Zaczęliśmy rozmawiać o sprawie - wspominała - i na początku widziałam, że nie wierzy za bardzo w to, co mówię. Ale słuchał dalej. Był uprzejmy i w którymś momencie zaczął zadawać pytania. Poprosił, bym na poparcie swoich słów pokazała mu jakieś dowody. Udało mi się zilustrować moje argumenty zgromadzonymi materiałami. Wtedy zobaczyłam, że jego zainteresowanie wzrosło”.

Rozmowa trwała dwie godziny. Pod koniec spotkania Ferguson zrozumiał, że Barb bardzo dobrze się przygotowała. Nie przyszła narzekać i żalić się na niesprawiedliwość świata. Miała w ręku fakty, zeznania i dowody na potwierdzenie swoich słów.

„Postanowił wziąć tę sprawę” - opowiadała kobieta. Po dziś dzień jest wdzięczna Marty'emu Hayesowi. „Znalazł najlepszego człowieka do naszej walki o wytoczenie procesu. Niczego mi nie obiecywał. Poprosił jedynie o niewielką opłatę na pokrycie kosztów sądowych. Uścisnęliśmy sobie dłonie i nie oglądaliśmy się więcej za siebie”.



W kolejnych latach Barb przekonała się, że Royce jest uczciwy, szczerzy i bardzo oddany swej profesji. „Ktokolwiek twierdzi, że prawnicy są pozbawieni serca i sumienia i że interesują ich tylko pieniądze, najwyraźniej nie poznał Royce'a Fergusona! To wzór prawnika. Odkąd do nas dołączył, walczył tak zaciekle, jak ja. Pomimo wszystkich napotkanych przeszkód nie wydaje mi się, by kiedykolwiek żałował, że zaangażował się w tę sprawę”.

Raz lub dwa razy w miesiącu Ferguson gra na trąbce i klawiszach ze swoim zespołem North End Jazz Quintet. Występują zwykle w kawiarni Wayward w dzielnicy Greenwood w północnym Seattle oraz w Jewel Box Cafe. To dla niego jeden ze sposobów na odreagowanie i złagodzenie stresu związanego z pracą adwokata. Historia kariery zawodowej oraz zajęć dodatkowych Royce'a nadaje się

na scenariusz serialu telewizyjnego, lecz jest on na to zbyt skromny.

Thompson, Berry'ego, Hayesa i Fergusona połączyły oddanie, ciężka praca i pomysłowość. Wkrótce zrodziła się między nimi mocna więź. Często się spotykali, śmiali się, gdy byli bliscy płaczu, i poprzysięgli wywalczyć sprawiedliwość dla Rondy.

Czekały ich jednak ciężkie czasy.



George Fox, emerytowany detektyw z Kalifornii pracujący w zespole HITS, który oceniał śledztwo w sprawie śmierci Rondy i wydał opinię zgodną z poglądami pracowników biura szeryfa hrabstwa Lewis, że kobieta odebrała sobie życie, był niezwykle uszczypliwy, opisując w liście do nowego szeryfa hrabstwa Lewis Steve'a Mansfielda z czerwca 2006 roku mężczyzn, którzy pomagali Barb Thompson.

„Uważam za niepokojący fakt, że ludzie bez doświadczenia - lub też z bardzo niewielkim doświadczeniem - żerują na rozpaczającej matce dla korzyści finansowych czy też politycznych”.

Nic dziwnego, że nie spodobało się to Marty'emu Hayesowi. Przepracował on dla Barbary prawie tysiąc godzin, wszystkie *pro bono* - podobnie jak Berry i Ferguson. Zmierzył liczbę decybeli dzwoniącego budzika i porównał to z głośnością wystrzału; leżącą na głowie Rondy poduszkę zbadał pod kątem obecności śladów prochu. Ponieważ miał niemal identyczny pistolet, sprawdził, w którą stronę powinien skierować go odrzut. Niektóre zdjęcia - wykonane rzekomo w dniu śmierci ofiary - zniknęły, zostały zgubione, skradzione lub też wyrzucone bez wyraźnego powodu.

Hayes bez wątpienia znał się na broni. Nie miał może tak długoletniego doświadczenia jak detektywi pracujący przy poszukiwaniach prawdziwej przyczyny śmierci Rondy Reynolds, lecz znał zasady działania pistoletów, wiedział, jak są głośne i jak ludzie ich używają. Ponieważ detektyw Neiser przesunął broń użytą do

uśmiercenia ofiary, ważne było, aby ktoś z taką wiedzą, jaką posiadał Hayes, pomógł zrekonstruować wydarzenia.

On i George Fox spędzili wiele czasu, starając się udowodnić sobie nawzajem niekompetencję, błędne rozumowanie, uleganie cudzym wpływom, obłudę i przerost ambicji. Wojny podjazdowe są częste podczas prowadzenia ważnych śledztw. Należy jednak uważać, by nie utrudniały dotarcia do rozwiązania.

Fox twierdził, że Vernon Geberth, ekspert z Nowego Jorku, przyznał później, iż zmienił zdanie odnośnie do uznania śmierci Rony za zabójstwo, i obecnie wierzy, że kobieta odebrała sobie życie. Ponieważ Geberth jest moim znajomym, zadzwoniłam do niego i spytałam, czy naprawdę uważa, że Rodna się zabiła.

„Nie!” - odpowiedział. „Nigdy nie mówiłem czegoś takiego Foxowi. Gdybym zrewidował swoje opinie, na pewno bym to napisał. Nie udzielam przypadkowych komentarzy na temat tego, że zmieniłem zdanie! Wciąż uważam, że Ronda Reynolds padła ofiarą zabójcy!”

Ostatecznie zaufałam Marty'emu. Owszem, chciał zostać koronem hrabstwa Lewis. Nie było w tym nic złego. Wiele wydarzeń przemawiało za dokonaniem zmiany na tym stanowisku. Podczas rozprawy - o ile miałyby do niej dojść - Hayes byłby ważnym świadkiem, ponieważ potrafiłby zademonstrować, jak zginęła Ronda.

Biegły rozpoczął serię prób. Najpierw musiał znaleźć broń podobną do tej, z której oddany został strzał. Zdobył rewolwer Rossi, kaliber .32. Chciał sprawdzić, czy to możliwe, że kobieta otuliła pistolet poduszką, a potem strzeliła sobie w głowę. Podczas pierwszych dwóch prób poszwa dostawała się pomiędzy iglicę (która w rewolwerach Rossi jest połączona z kurkiem) a łuskę naboju. Przy trzymaniu broni bez dotykania poduszki iglica swobodnie się poruszała, lecz taki sposób wystrzału tworzył na poszewce inne ślady niż te, które znaleziono na poduszce przykrywającej głowę zmarłej.

„Byłoby niezwykle trudne, jeśli nie niewykonalne - wyjaśnia! Hayes - aby ułożyła się ona w tej pozycji, w jakiej ją znaleziono, otuliła pistolet poduszką, wystrzeliła i żeby po wszystkim broń spoczęła na jej czole lub skroni”.

Na czole Rondy znaleziono wyraźny odcisk broni, co trudno było wyjaśnić, zważywszy, że pistolet leżał pod poduszką z dziurą po kuli od zewnętrznej strony.

Chyba że broń została położona na jej głowie przez kogoś innego.

Marty Hayes nie zaprzestał wykonywania testów i eksperymentów z różnymi narzędziami diagnostycznymi, aby podważyć lub potwierdzić początkowe wnioski sformułowane przez ludzi z biura szeryfa.

ROZDZIAŁ 26

Marty Hayes, Jerry Berry i Royce Ferguson pracowali z Barb Thompson, ponieważ wierzyli, że Ronda zasługiwała na to, by prawda została ujawniona. Zdarzały się także osoby, które niczym pasażerzy czy sępy szukały okazji do zarobienia pieniędzy lub też czerpały perwersyjną przyjemność z cudzego cierpienia.

Droga Barb,

czas na gorzką prawdę. Jeśli łatwo Cię urazić, przestań czytać to teraz i kliknij na „Usuń wiadomość”. Jeśli tak nie jest, możesz kontynuować. Pamiętaj jednak, że zostałam ostrzeżona, iż może Ci się nie spodobać to, co zaraz przeczytasz.

Czegóż takiego miałem się dowiedzieć na naszym spotkaniu, czego jeszcze nie wiedziałem?

Wiem, że Twoją córkę zamordowano.

Wiem, kto to zrobił.

Wiem, że zostało to zatuszowane.

Wiem, dlaczego zostało zatuszowane.

Wiem, kto ją zamordował.

Wiem, jak to zrobił.

Wiem, dlaczego to zrobił.

Wiem, kto mu w tym pomógł.

Wiem, jak rozwiązać tę sprawę.

Co jeszcze muszę wiedzieć?

Nie muszę budować makiety garderoby ani włamywać się do biura szeryfa McCroskeya, żeby rozwiązać sprawę. Nie muszę w tym celu wysłuchiwać Twoich lamentów. Nie muszę słuchać Twojej gadki o „ochronie tożsamości anonimowych świadków”. Nie muszę słuchać, jak ktoś, kto nigdy nie nosił odznaki, mówi mi, jak rozwiązać sprawę.

Profesjonaliści oferują swój czas, wiedzę, wysiłek i doświadczenie... zazwyczaj za pieniądze. Gdybyś naprawdę chciała rozwiązać tę sprawę, Barb - jeśli rzeczywiście chciałabyś „sprawiedliwości dla Rondy” - znalazłabyś pieniądze i zapłaciła mi za pracę.

Wszystko wskazuje jednak na to, że nie chcesz, bym to zrobił. Nie chcesz rozwiązać tej sprawy. Chcesz tylko ciągnąć swój „dramat” i wynajdywać nowych ludzi, którzy mają Ci współczuć.

Ja nie zamierzam tego robić. Zbyt wielu moich przyjaciół zmarło, żebym musiał uważać się jeszcze nad Tobą. Ludzie ci zginęli, służąc obywatelom. Żal, który czuję po ich stracie, starczy na resztę życia.

Dziesięć tysięcy dolarów to absurdalnie niska kwota, jak na wynagrodzenie za rozwiązanie sprawy zabójstwa. Inni detektywi roześmialiby się, słysząc taką sumę.

Ja jednak dotrzymuję słowa. Jeśli zdecydujesz się na zebranie pieniędzy, w każdej chwili zgodzę się rozwiązać tę sprawę. Nie będę jednak grać w Twoją grę.

Życie polega na dokonywaniu wyborów, Barb. Twoja córka wybrała ślub z Ronem. Potem zdecydowała, że się z nim rozwiedzie. Ron postanowił zabić Rondę, a uniknął kary, ponieważ Ty dokonałaś wyboru - pozwoliłaś, by tak się stało.

Niezależnie od tego, ile łez wylejesz i ile kartek w pamiętniku zapiszesz, nie przywróci to życia Twojej córce ani nie wsadzi Rona do więzienia.

Podjmij decyzję, Barb. Zgłoś się na terapię i uporaj się ze swoim żalem albo zapaść komuś, żeby rozwiązał tę sprawę. Zaczniij myśleć o przyszłości albo nadal się nad sobą użalaj. Wybór należy do Ciebie.

Profesor „Wredny” nie znał odpowiedzi na wszystkie pytania, choć bardzo chciał sprawiać takie wrażenie. Wykładał prawo proceduralne w college'u w hrabstwie Clark. Zapoznał się z faktami na podstawie tego, co mówili o sprawie jego studenci sprzed kilku lat, i trzymał rękę na pulsie w oczekiwaniu na nowe plotki. Chodziło mu o szybki zarobek. Niestety, głośne sprawy, które przez długi czas pozostają nierozwiązane, przyciągają fałszywych specjalistów - od tak zwanych mediów, poprzez niedoszłych kaznodziejów, po pseudo-przyjaciół ofiary. A zdesperowane rodziny płacą im, w nadziei, że poznają odpowiedzi na pytania, które je gnębią.

Barb Thompson nie dała się omotać i zerwała wszelkie kontakty z tym człowiekiem.



Gdy stało się jasne, że koroner Terry Wilson nie zamierza zmienić słowa „samobójstwo” w akcie zgonu Rondy, Barbara gotowa była spełnić swoją groźbę. Za radą Fergusona postanowiła złożyć pozew cywilny o zaniechanie obowiązków.

Nie chcieli sędziego z Lewis. Mieli nadzieję, że uda się sprowadzić kogoś z innego hrabstwa - kto nie miałby już wyrobionej opinii w kwestii śmierci Rondy. Hrabstwo Thurston leżało na północ od Lewis. Graniczyło także z hrabstwami Grays Harbor i Cowlitz, a na wschodzie, za ogromnymi połaciami lasu, leżało Chelan.

Zanim doszło do rozprawy, prawnicy Wilsona złożyli wniosek o oddalenie pozwu, argumentując, że po dwóch latach nastąpiło przedawnienie. Został on przyjęty przez sędziego Richarda Hicksa z hrabstwa Thurston 4 maja 2007 roku. Royce odwołał się od tej decyzji do sądu apelacyjnego.

Do końca roku 2007 Barb, Marty, Jerry i Royce czekali na decyzję sądu apelacyjnego. W tym czasie do ich obozu dołączyła kolejna osoba. Tracy Vedder, reporterka stacji KOMO-TV w Seattle, podlegającej pod sieć ABC, zaczęła śledzić długą walkę zdesperowanej matki ze wschodniej części stanu Waszyngton. Udała się na ranczo Barb i przeprowadziła z nią wywiad, ukazując jej drugie życie, które prowadziła, kiedy nie zajmowała się stukaniem do drzwi sądów na „wybrzeżu”.

Najpierw reporterka KOMO przeanalizowała nieliczne dowody na to, że Ronda odebrała sobie życie. Z czasem została specjalistką od tej sprawy. Rozmawiała z osobami, które znały zmarłą, a których wspomnienia radosnej i upartej byłej policjantki nie pasowały do charakterystyki przedstawionej przez wdowca.

Tracy zamierzała stworzyć dokument uświadamiający mieszkańcom stanu Waszyngton, co się działo w spokojnym hrabstwie, przez które przejeżdżali i zatrzymywali się na godzinę, by pochodzić po sklepach czy posilić się w barze Country Cousin.

Jak tylu innych ludzi, którzy zainteresowali się tą sprawą, Tracy nie mogła przestać o niej myśleć.



Pod koniec stycznia 2008 roku sąd apelacyjny uchylił decyzję sędziego Hicksa o oddaleniu pozwu. Uznano, że przedawnienie nie miało miejsca, gdyż Wilson - wbrew prawu - sam odwlekał spotkanie z Barb Thompson. W efekcie w odniesieniu do tej sprawy całkowicie zniesiono zastosowanie przepisów o przedawnieniu.

Matka Rondy czekała na to bardzo długo. Mogła przeczekać każdy okres - byle tylko udało jej się dotrzymać obietnicy złożonej córce, że będzie dla niej walczyła o prawdę.

Dziewiętnastego września 2008 roku sędzia Hicks orzekł, że rozprawa jednak się odbędzie, i poinstruował strony, jakie dokumenty mają złożyć, oraz poprosił o przygotowanie dowodów, które - według nich - powinny być włączone do postępowania.

Zespół Barb Thompson najwyraźniej poczynił postępy w swej misji, choć posuwali się o centymetry. Gdy zbliżała się jedna z najcięższych zim w stanie Waszyngton, kobieta musiała przejechać przez dwa przesmyki górskie, pokonując setki kilometrów, by móc uczestniczyć w procesie, który - zgodnie z jej oczekiwaniami - miał doprowadzić przynajmniej do usunięcia z aktu zgonu Rony słowa „samobójstwo”.

Zdrowie babci Virginii pogarszało się, więc Barb nie chciała zostawiać jej samej. Miała też wiele cennych koni oraz inne zwierzęta, o które trzeba dbać. Oznaczało to, że za każdym razem musiała prosić kogoś, by przyszedł i wykonał wszystkie prace, którymi zwykle sama się zajmowała. Wiele razy, kiedy znajdowała się po drugiej stronie gór, otrzymywała telefon, że matkę przewieziono do szpitala. Nie było jej łatwo. Mimo to, zachęcana przez Virginie do dalszej walki, jakimś sposobem wciąż sobie radziła. Wyczuwała, że jej matka nie chce odchodzić z tego świata, dopóki nie przekona się, że dobre imię Rony zostało przywrócone. Zapewne tkwiło w tym źdźbło prawdy.

5 grudnia 2008 odbyło się kolejne przesłuchanie na ponowny wniosek prawników Terry'ego Wilsona o oddalenie pozwu. Sędzia Hicks odmówił.

Barb i jej „trzej muszkietierowie” byli tak podekscytowani tą decyzją, że postanowili wracać do hotelu pieszo. W tej bitwie zwyciężyli. Barb włożyła tego dnia szpilki; zazwyczaj chodziła w kowbojkach, więc długi spacer dał się jej we znaki. W końcu zdjęła buty i zamiast nich włożyła grube skarpetki. Kiedy tak szła ulicą, przyciągała wiele spojrzeń, ale nie przejmowała się tym. Royce wyjął aparat i uwiecznił tę beztroską chwilę.

Minęło prawie dziesięć lat od momentu, gdy Ronda powiedziała matce, że Ron zamierza zostawić ją dla byłej żony; dziesięć lat bez tygodnia od dnia, w którym zginęła od kuli. Idąc ulicami, mijali świąteczne wystawy. Od 1998 roku każde Świąta zaprawione były goryczą, gdyż Ronda nie siedziała przy stole ze swą rodziną ani z

Dave'em Bellem, który nie ożenił się ponownie i od czasu jej śmierci z nikim się nie związał. Czasem Barb cierpiała, zastanawiając się, jak potoczyłyby się sprawy, ale zwykle zatrzymywała te myśli dla siebie.

W to Boże Narodzenie po raz pierwszy od dziesięciu lat rozbłysła dla niej iskierka nadziei. Może nowy rok przyniesie to, na co tak długo czekała.

9 stycznia 2009 roku adwokaci koronera złożyli wniosek, by decyzję Hicksa z 5 grudnia przekazano do rozpatrzenia przez sąd apelacyjny. Ta prośba także została odrzucona.

19 maja 2009 roku odbyło się krótkie przesłuchanie na wniosek zespołu Wilsona. Chcieli, żeby ich klienta zwolniono z obowiązku pojawiania się na rozprawach. Hicks oddalił również ten wniosek. Stwierdził, że nie zwolni Wilsona z udziału w postępowaniu prowadzonym przez Royce'a Fergusona, ale od niego samego zależy, czy będzie uczestniczył w przesłuchaniach dotyczących usunięcia słowa „samobójstwo” z aktu zgonu Rondy. Jeśli chciał, mógł na nie po prostu nie przychodzić.

Równocześnie sędzia odpowiedział na prośbę Rona Reynoldsa i unieważnił wezwanie do stawienia się przed sądem w celu złożenia zeznań. Reynolds argumentował, że gdyby werdykt nakazał zmianę rodzaju śmierci na zabójstwo, on automatycznie zostałby uznany za podejrzanego.

Wdowiec po Rondzie wciąż pracował jako dyrektor szkoły podstawowej i miał sporą grupę zwolenników: wielu dawnych uczniów wspominało go jako uprzejmego człowieka, który chętnie z nimi rozmawiał, gdy spotykał ich na ulicy w Toledo. Inne osoby jednak traktowały go jak trędownego i nie chciały siadać obok niego na szkolnych meczach.

Stał się swego rodzaju odludkiem - przynajmniej jeśli chodzi o media. Każda próba rozmowy z Reynoldsem była przerywana przez Raya Dudenbostela, prawnika jego rodziny z Elmy, który nadal go reprezentował. Na prośby o wywiad z Ronem odpowiadał zawsze,

że gdy zmarła Ronda, jego klient przeżył głęboki wstrząs, i nie chce wracać pamięcią do tego okresu.



Podczas majowej rozprawy w 2009 roku po raz pierwszy miałam okazję porozmawiać osobiście z Barb Thompson nieco dłużej niż dotychczas; przez lata korespondowaliśmy drogą pocztową, elektroniczną, rozmawialiśmy przez telefon i spotykałyśmy się przelotnie na podpisywaniu książek. Spodziewałam się ponurej i zmoczonej życiem kobiety, bardzo się jednak pomyliłam. Natychmiast się polubiłyśmy i rozmawialiśmy przez ponad pięć godzin.

Zaprzyjaźniłyśmy się jeszcze bardziej w dniu, kiedy odwiedziła mnie w moim domu. Kiedy odprowadzałam ją do samochodu - czekała ją długa jazda do Spokane - mój pies, berneńczyk o imieniu Yogi, zbiegając ze schodów, podciął mi nogi, tak że przewróciłam się na murek. Barbara podniosła mnie, otarła krew z twarzy i pobiegła po lód, by obłożyć nim opuchliznę nad prawym okiem. Uparła się, że zostanie, dopóki nie przyjedzie ktoś, kto się mną zaopiekuje.

Po tym incydencie miałam podbite oko, a siniec utrzymywał się przez kilka tygodni. Wiedziałam jednak, że Barb Thompson i ja będziemy przyjaciółkami do końca życia.

ROZDZIAŁ 27

Ron Reynolds unikał mnie i wszystkich innych dziennikarzy, którzy chcieli z nim rozmawiać, nie stronił jednak od imprez towarzyskich. Jego dawni znajomi ze szkoły średniej w Elmie byli zszokowani, gdy w sierpniu 2009 roku wraz z czwartą żoną pojawił się na zjeździe absolwentów z okazji czterdziestolecia ukończenia szkoły. W związku z plotkami, jakie krążyły o nim po śmierci Rondy, nie spodziewano się jego obecności. A jednak przybył - w szampańskim humorze, pozornie zadowolony, że widzi się z dawnymi kolegami ze szkolnej ławy, obecnie mającymi już ponad pięćdziesiąt lat.

Wyglądał zupełnie inaczej, niż go zapamiętali. Kiedyś był szczupły; czterdzieści lat później przybyło mu kilkadziesiąt kilo. Oczywiście nie tylko on się zmienił. Prawie wszyscy wyglądali na grubszych, wielu panów wyłysiało, a koleżanki ze szkoły stały się kobietami o siwych włosach lub widocznym odcieniu farbowania. Jeśli jednak chodzi o Reynoldsa - gdyby nie plakietka z imieniem i nazwiskiem, nie dałoby się go rozpoznać.

Nie wydawał się wcale przejęty czekającym go przesłuchaniem przed procesem, które wyznaczono na przyszły miesiąc, ani też samą rozprawą mającą rozpocząć się 2 listopada. Zresztą nikt o tym nie wspominał. Przynajmniej nie przy Ronie. Ludzie szeptali o tym w małych grupkach. Dopiero po zjeździe absolwentów dzielili się tym, co wiedzą na temat Reynoldsa, jego czterech żon i pięciu synów. Choć w mieście wrzało od plotek, nie przerodziły się one w otwarte oskarżenia.

Dzięki postępom, jakie Barb Thompson poczyniła w ciągu tych jedenastu lat, wzrost zainteresowania sprawą Rondy był tylko kwestią czasu. Dawni uczniowie szkoły średniej w Elmie odliczali tygodnie do rozpoczęcia rozprawy.

Początkowo sędzia Hicks planował słuchać zeznań świadków, a następnie samodzielnie rozstrzygnąć sprawę. Zmienił jednak zdanie i poprosił o wyznaczenie dwunastoosobowej ławy przysięgłych, choć ostateczna decyzja miała należeć do niego. Ponadto obecność ławników sprawiła, że rozprawa przypominała bardziej proces karny.

Zastanawialiśmy się, czy sędziowie będą bezstronni - wybierano ich bowiem spośród mieszkańców hrabstwa Lewis. Kiedy jeździłam tam wcześniej, każdy, z kim rozmawiałam, wiedział o sprawie Rondy Reynolds. Niektórzy mieli wyrobione zdanie - sympatyzowali zjedną lub drugą stroną.

Wybór ławników nie jest prostym zadaniem, może trwać nawet kilkanaście godzin, lecz w poniedziałek 2 listopada 2009 roku przed budynkiem sądu hrabstwa Lewis zebrała się spora grupa kandydatów.



Pierwszy tydzień listopada 2009 roku w Chehalis był bardzo zimny, a zacinający deszcz i porywisty wiatr smagały ściany budynku sądu, kiedy szczęśliwcy, którzy znaleźli miejsce parkingowe, biegli skuleni, by schronić się w środku.

John McCroskey nie pracował już jako szeryf, lecz nadal chętnie rozmawiał z dziennikarzami o sprawie Rondy Reynolds. W roku 2009 obowiązki szeryfa hrabstwa Lewis pełnił Steve Mansfield, który odziedziczył to śledztwo i kłopoty z nim związane.

2 listopada salę na czwartym piętrze przydzieloną sędziemu Hicksowi wypełniali kandydaci na ławników. W sześciu rzędach długich dębowych ław nie pozostało zbyt wiele miejsca dla widzów. Na końcu zasiedli koronerzy z innych hrabstw- chcieli usłyszeć,

jakie dowody zostaną przedstawione przeciwko ich koledze po fachu. Ponad połowa dziennikarzy musiała czekać na korytarzu.

O godzinie 10.48 Hicks zajął swoje miejsce. Wyglądał jak typowy sędzia z filmów: siwy, z gęstą brodą. Na piersi zwisały mu na łańcuszku okulary do czytania. Był wysokim mężczyzną o szerokich ramionach, który bez wątpienia całkowicie kontrolował to, co działo się na jego sali.

John Justice, prawnik z Olympii, miał reprezentować Terry'ego Wilsona. Wyglądał młodo, ale z pewnością był dużo starszy, niż się wydawało. Nosił zadbaną fryzurę i nienaganny strój. Z Wilsonem za stołem strony pozwanej siedziała Carmen Brunton. Barb towarzyszyli za to Marty Hayes i Royce Ferguson. Członkowie ławy przysięgłych, którzy zostali już wybrani, zasiadali po lewej stronie sali w specjalnej niszy, gdzie nie byli widoczni z miejsc dla publiczności.

Większość kandydatów na ławników słyszała o śmierci Rony Reynoldsa; zeznali oni jednak, że nie wyrobili sobie jeszcze opinii na ten temat. Pewien wysoki mężczyzna, na oko po pięćdziesiątce, ostrzegł sędziego i prawników obu stron, że nie będzie przysięgłym, jakiego chcieli. Tym, którzy zadawali mu pytania, nie szczędził impertynencji. Można było odnieść wrażenie, że ukrywa jakąś tajemnicę i dobrze się bawi podczas przesłuchania.

Kiedy go odrzucono, spojrział w kierunku Wilsona i krzyknął: „Powodzenia, Terry!”, po czym wyszedł. Po tym człowieku raczej nie należało się spodziewać bezstronności.

O 14.30 zakończono kompletowanie ławy przysięgłych. Znalazło się w niej osiem kobiet i czterech mężczyzn w wieku od dwudziestu do siedemdziesięciu lat. Sędzia Hicks zarządził dziesięciominutową przerwę.

Brak okien w sali rekompensowało dobre oświetlenie. Podłogi przykryto szarą wykładziną w kolorowe wzory. Uczestniczyłam już w ponad stu rozprawach sądowych i podczas przerw lub męczących

sporów o zawile kwestie prawne zwykle przyglądam się wzorom na dywanie bądź płytkom na suficie. Przez większość czasu jednak notuję tak zawzięcie, że dostaję skurczów dłoni.

Proces rozpoczął się o 14.40 tego samego dnia. Sędzia Hicks przedstawił przysięgłym Johna Justice'a oraz Royce'a Fergusona i przypomniał im, by słuchali uważnie.

- Pamięć jest lepsza niż notatki - zauważył. - Odradzam notowanie, ponieważ może ono rozproszyć państwa podczas słuchania.

Wyjaśnił, że jest to postępowanie cywilne. Po zeznaniu świadka ławnicy oraz sam sędzia także mogą zadawać pytania. Podczas procesu karnego ławnicy muszą ustalić werdykt, kierując się zasadą „ponad wszelką wątpliwość”. W rozprawie cywilnej powinni jedynie zgodnie stwierdzić, czy dowody przemawiają za winą, czy za niewinnością pozwanego.

Ostrzegł ich, by nie rozmawiali między sobą o sprawie, dopóki obie strony nie przedstawią swoich argumentów. Wtedy będą mogli dyskutować podczas narady.

- Kiedy skończycie i wróćcie tu z werdyktem - mówił sędzia - możecie już rozmawiać o wszystkim.

- Panie Ferguson - zwrócił się następnie do adwokata Barb Thompson i skinął głową, dając znak, że może zaczynać.

Terry Wilson siedział nieruchomo na swoim miejscu, najwyraźniej niezbyt przejęty tym, że przemawiający prawnik i jego pomoce wizualne znajdują się tyłem do niego. Carmen Brunton również rzadko zmieniała pozycję czy choćby wyraz twarzy. Donna Wilson - pełna gracji wysoka blondynka gustująca w jaskrawych strojach - niczym wzór oddanej żony siedziała za swoim mężem, wszystkim obecnym okazując jednakową uprzejmość. To oczywiste, że proces stanowił dla niej źródło ogromnego stresu, ale starała się to ukryć.

W ławach dla publiczności zrobiło się trochę luźniej, kiedy salę opuścili niedozbli ławnicy. Widocznie lokalni mieszkańcy nie przyszli na rozprawę, spodziewając się, że oficjalna część rozpocznie się dopiero nazajutrz.

Wreszcie się zaczęło. Rodzina Rondy miała spędzić bez niej już dwunaste Świąta, lecz najpierw musieli przetrwać proces i Święto Dziękczynienia. Boże Narodzenie nadal stanowiło dla nich bolesny czas, a przypominały o nim ozdoby świąteczne, które umieszczano na sklepowych wystawach już w listopadzie.

Siedząc na sali sądowej, Barb Thompson wiedziała, że miała o wiele więcej szczęścia niż inni rodzice protestujący przeciwko temu, jak prowadzone było śledztwo w sprawie śmierci ich dziecka. A jednak obawiała się tego, co miało nastąpić.



Royce Ferguson wstał z miejsca i skierował swe kroki ku tablicy, na której wcześniej zapisał nazwiska osób biorących udział w śledztwie, aby szybko zaznajomić z nimi ławników.

Kamery telewizyjne stacji KOMO-TV mogły być obecne na sali, podobnie jak fotoreporterzy z gazet. Kilka osób z publiczności także przyniosło własne aparaty.

Prawnik opisał życie Rondy - od jej narodzin w 1965 roku poprzez dzień, w którym spełniło się jej marzenie, kiedy to została najmłodszą funkcjonariuszką policji stanowej. W końcu doszedł do przedwczesnego małżeństwa z Ronem Reynoldsem. Żadne z nich nie wytrzymało w samotności zbyt długo. Wiele par odczekałoby, aż zgłiszczą poprzednich małżeństw ostygłą, ale oni zdecydowali się pobrać już 2 stycznia 1998 roku. Zdawało się wówczas, że przed nimi wiele szczęśliwych lat spędzonych razem. Nawet podobieństwo imion wydawało się potwierdzać to, że są sobie przeznaczeni: Ron i Ronda.

W dniu swego drugiego ślubu panna młoda promieniała radością. Przyszłość niosła ze sobą tyle obietnic. Miała zaledwie trzydzieści dwa lata. Liczyła, że urodzi Ronowi dzieci i będzie dobrą matką dla jego własnych synów.

Ferguson przerwał tę sielankową wizję stwierdzeniem, że kobieta zmarła jedenaście miesięcy po ślubie. Poinformował przysięgłych,

że planowała polecieć do Spokane 16 grudnia i spędzić okres przedświąteczny z mamą, babcią i bratem. Małżeństwo z Ronem Reynoldsem dobiegało końca na jego prośbę - to zrozumiało, że potrzebowała wsparcia bliskich.

„Po powrocie ze Spokane zamierzała poszukać mieszkania”.

Lecz po tej długiej grudniowej nocy nie wyszła już z domu przy Twin Peaks Drive.

W tym procesie nie chodziło o to, by skazać kogoś za zabicie Rondy, choć prawnik wspomniał, że trzy podejrzane osoby to Ron Reynolds, Katie Huttula oraz ich syn, Jonathan (o którym wiadomo, że miał skłonności do okrucieństwa: pozbawił życia psa macochy i strzelał do kotów). Żadne z nich nie musiało brać udziału w tej rozprawie ani zeznawać.

Ławnicy mieli jedynie rozstrzygnąć, czy Terry Wilson zaniedbał swoje obowiązki jako koroner. Dlaczego w ciągu dekady wydał cztery różne opinie w kwestii rodzaju śmierci Rondy?

„Terry Wilson nie pojawił się w miejscu, gdzie zginęła - kontynuował Ferguson - ani nie uczestniczył w sekcji zwłok. W obu przypadkach zastąpiła go Carmen Brunton”.

Wszyscy detektywi wiedzą - lub powinni wiedzieć - że na każdą śmierć muszą patrzeć najpierw jak na potencjalne morderstwo. Po wykluczeniu tej opcji bierze się pod uwagę samobójstwo, potem wypadek, a dopiero na końcu można rozważyć, czy zgon nie nastąpił z przyczyn „naturalnych” lub też „nieznanych”. Poza Jerrym Berrym i Bobem Bishopem wszyscy pracownicy biura szeryfa pominęli opcję „zabójstwo” i od razu założyli, że mają do czynienia z samobójstwem.

Przemawiający prawnik wyliczył kolejne wersje aktu zgonu, zaznaczając, że pierwszy został „poprawiony” trzykrotnie. W rubryce „rodzaj śmierci” wpisywano kolejno:

1. Nieznany

2. Samobójstwo

3. Nieznany

4. Samobójstwo

„Nic więc dziwnego, że detektyw Berry zastanawiał się, czy samobójstwo to nie zostało upozorowane. Niemożliwe, że był to prawdziwy przypadek samobójstwa!” - argumentował Royce. „Na ani jednej z sześciu kul nie ma odcisków palców Rondy”.

Nie znaleziono też żadnych innych.

Matka ofiary nie walczyła o pieniądze. Śledztwo prowadzone przez biuro szeryfa hrabstwa Lewis także nie miało być kwestią omawianą podczas procesu. Ron Reynolds również nie był stroną w tym sporze. Chodziło wyłącznie o to, jak koroner Wilson zajął się sprawą śmierci Rondy 16 grudnia 1998 roku oraz w kolejnych latach.

Barb chciała jedynie, aby w wyniku tego procesu z aktu zgonu jej córki usunięto słowo „samobójstwo”. Po latach rozczarowań nauczyła się modyfikować swoje cele i dążyć do nich małymi krokami.



Ferguson powiedział przysięgłym o licznych niezgodnościach, które sprawiły, że detektyw Jerry Berry i zastępca szeryfa Bob Bishop od początku zastanawiali się, co tak naprawdę zaszło. Dlaczego Ron zdjął obrączkę? Dlaczego łazienka przy sypialni małżeńskiej była zaparowana, jakby chwilę wcześniej ktoś wziął prysznic? Tam właśnie leżała obrączka mężczyzny.

Butelka black velvet - rzekomo przyniesiona z barku w kuchni - stała na nocnej szafce Rondy. Obok łóżka znaleziono też dwie szklanki oraz puszkę pepsi. Według zeznań Reynoldsa butelka powinna być w jednej czwartej pełna. Opróżniono ją jednak przed przyjazdem policji - ale kto z niej pił? Ofiara nie miała we krwi ani promila alkoholu. Jej mąż twierdził, że on również nie pił nic w nocy z 15 na 16 grudnia.

Royce odczytał listę świadków, których zamierzał wezwać: Barbara Thompson, David Bell, Robert Bishop (zastępca szeryfa, który jako drugi przybył na miejsce zdarzenia), Jerry Berry, Marty Hayes

oraz doktor Jeffrey Reynolds, lekarz medycyny sądowej, niespokrewniony z Ronem. Następnie poinformował ławników o sformułowanych przez Jerry'ego Berry'ego dwudziestu jeden pytaniach, na które policjant nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

„Były to ważne wątpliwości - zauważył prawnik Barb - a mimo to nie pozwolono mu ich zgłębić. Zadarł z kierownictwem i w końcu odsunięto go od sprawy. Pracował we wrogim środowisku i dlatego zrezygnował”.

Nieprzenikniony wyraz twarzy ławników zmienił się lekko, gdy usłyszeli, że Katie Huttula, była żona Reynoldsa, wyszła z jego sypialni dzień po tym, jak zabrano stamtąd ciało Rondy. „Matka zmarłej może to potwierdzić przed sądem - widziała, jak Katie wychodzi z sypialni w szlafroku”.

Ferguson stwierdził, że koroner Terry Wilson, określając rodzaj śmierci Rondy Reynolds, polegał na opinii biura szeryfa. Oznajmił, że powoła na świadka, między innymi, Marty'ego Hayesa, eksperta od balistyki, który „zajął się sprawą, mając stuprocentową pewność, że ofiara została zamordowana”.

Sierżant David Bell miał opowiedzieć przysięgłym o długoletniej przyjaźni ze zmarłą. Prawniki przypomniał, że mężczyzna ten jest ostatnią osobą, która w tamten wtorkowy wieczór widziała Rondę żywą - nie licząc rodziny Reynoldsov.

Nazwisko ostatniego świadka wywołało - zgodnie z przewidywaniami - pewne poruszenie. Doktor Jeff Reynolds, główny patolog dziewięciu hrabstw stanu Waszyngton, miał wydać opinię na temat rodzaju śmierci kobiety. Nie był spokrewniony z Ronem Reynoldsem, ale wydawało się dziwnym zbiegiem okoliczności, że jeden z głównych świadków ze strony Barb Thompson nosił takie samo nazwisko jak główny podejrzany.

Royce zakończył swe wystąpienie słowami: „Nie jest prawdą - mówił głośno - że było to samobójstwo!”. Obiecał ławnikom, że przedstawi dowody oraz zeznania na poparcie tego stwierdzenia.



Mowa Fergusona brzmiała przekonująco i niektóre osoby z publiczności szeptały później między sobą na korytarzu, zastanawiając się, dlaczego śledztwo nie wykazało, jak dokładnie zginęła Ronda. Dlaczego biuro koronera nie mogło się zdecydować przez jedenaście lat? Zamilkli, kiedy obok przechodzili przysięgli udający się na przerwę do przeznaczonego dla nich pokoju.

Adwokat Wilsona przeszedł od razu do ataku i rozpoczął mowę od krytyki Rondy. Poruszył kwestię kart kredytowych, które rzekomo wyrabiała na fałszywe nazwiska. Może kiedy jej machlojki wyszły na jaw, nie potrafiła poradzić sobie z wyrzutami sumienia i wstydem? Ale czy myślała o samobójstwie? Justice wspomniał także o receptach na Zoloft, które kobieta otrzymała kilka miesięcy przed śmiercią. Detektywi znaleźli buteleczkę leku w łazience; prawnik nie wspomniał jednak, że ponad połowa tabletek wciąż znajdowała się w opakowaniu. Mógł też nie wiedzieć, że to Ron Reynolds pierwszy poinformował policjantów o leku.

Justice stwierdził, że Ronda nie miała prawa do jakichkolwiek roszczeń finansowych w kwestii domu, w którym mieszkała z mężem. Oznajmił, że w żaden sposób nie partycypowała w kupnie nieruchomości. Mówił też o śladach prochu na jej dłoni - nie wspomniał jednak, że żadnego z domowników nie zbadano pod tym kątem.

Później przytoczył wypowiedź Cheryl Gilbert, rzekomo najlepszej przyjaciółki zmarłej, która miała usłyszeć od Rondy, że chciała-by ona zasnąć i już się nie obudzić. Czy słowa te wskazywały na myśli samobójcze?

Ta garstka osób, która wiedziała o romansie Rona z byłą żoną, mogła skojarzyć dwa fakty: wystawienie recepty na lek antydepresyjny oraz podejrzenia Rondy, że mąż ją zdradza.

„Nie istnieją żadne materialne dowody łączące kogokolwiek ze śmiercią pani Reynolds” - argumentował Justice.

W zasadzie była to prawda. Jeśli sprawa dotyczy wyłącznie członków rodziny, dowody, na których zwykle opierają się detektywi - takie jak odciski palców, płyny ustrojowe, włosy czy włókna - znajdują się na miejscu jeszcze przed popełnieniem zbrodni. Dlatego też o wiele trudniej jest znaleźć dowody obciążające podejrzanych, którzy mieszkali w tym samym domu co ofiara lub często tam przychodzili. Wszelkie ślady i dowody rzeczowe są bowiem bezużyteczne. Kluczowe mogły się okazać jedynie ślady zostawione przez kogoś z zewnątrz.

Tymczasem śledczy nie znaleźli żadnych nieznanych odcisków palców, włosów czy włókien, a niewystrzelone naboje w broni, z której strzelano do Rondy, wytarto do czysta, podobnie jak sam pistolet.

Nikt nie mógł nie zgodzić się z Justice'em, kiedy podsumował swe wystąpienie: „Jest to najbardziej niezwykła sprawa, o której kiedykolwiek państwo słyszeli - a także najtrudniejsza”.

Rzeczywiście tak było - i tak też miało pozostać.



Pierwsza zeznawała Barb Thompson. Miała na sobie jeden z żakietów córki - różowo-szary. Leżał na niej idealnie. Do tego włożyła buty na obcasie, choć nabawiała się od nich odcisków. O wiele lepiej czuła się w kowbojkach, ale często wymieniały się z Rondą ubraniami.

Po jedenastu latach włosy kobiety posiwiały całkowicie, ale teraz doskonale pasowały do jej jasnoniebieskich oczu. Kiedyś była piękną dziewczyną, obecnie także robiła wrażenie. Lecz gdy zajmowała miejsce dla świadków, trzęsła się ze zdenerwowania. Najbliższy tydzień był dla niej bardzo ważny, a żakiet Rondy dodawał jej siły.

Zaczęła zeznawać dokładnie o 15.55 w pierwszy poniedziałek procesu. Royce Ferguson zapytał ją o wykonywany zawód, a ona odpowiedziała, że hoduje i sprzedaje konie rasy American Quarter,

raz na jakiś czas zabierając je na wystawy lub zawody jeździeckie. Zeznała, że - podobnie jak ona sama - córka kochała konie i inne zwierzęta.

- Wiele razy wygrywała na zawodach jeździeckich - dodała.

Z trudem powstrzymywała łzy, gdy opowiadała, ile Ronda przeszła w swoim krótkim życiu. Po ukończeniu szkoły średniej w wieku osiemnastu lat rozpoczęła studia, a potem - gdy tylko osiągnęła wymagany wiek - zgłosiła się do waszyngtońskiej policji stanowej.

- To było jej marzenie od dziecka - mówiła. - Jej motto brzmiało: „żadnego strachu”. Potem przez osiem lat jeździła w patrolach drogowych.

Kobieta nie martwiła się o córkę, kiedy ta pracowała w policji; wiedziała, że jest zdolna i inteligentna. Jeśli któraś z nich czuła się niepewnie, druga przypominała jej o zasadzie „żadnego strachu”.

Opowiadała dalej, że kiedy zakończyło się małżeństwo z Markiem Liburdim, córka i zięć wystawili ranczo w McCleary na sprzedaż. Ronda miała otrzymać około pięciu tysięcy dolarów.

- Czy znała pani Rona Reynoldsa, zanim córka za niego wyszła? - spytał Royce.

Barb wyjaśniła przysięgłym, że poznała go dopiero po ich ślubie, ponieważ mieszkała kilkaset kilometrów od nich, a Ronda i Ron postanowili się pobrać dość niespodziewanie.

- Przenieśli się z McCleary do Toledo, kiedy on dostał tam pracę. Pożyczyłam córce piętnaście tysięcy dolarów na kupno nowego domu - dodała.

Ronda niepokoiła się nieco trzema pasierbami, którzy z nimi zamieszkali; określała ich jako „chłopców z problemami”. Wcześniej wychowywała troje dzieci Marka i wtedy to ona przełamała pierwsze lody. Uważała, że z synami Rona będzie podobnie. Ale nie poszło tak łatwo.

Świadek zeznała, że martwiła się o bezpieczeństwo córki, po tym jak ta wyznała, iż siedemnastoletni Jonathan groził jej śmiercią.

Zdarzyło się to na początku 1998 roku, kiedy była jego macochą zaledwie od paru miesięcy. Nie przejęła się tym aż tak bardzo jak matka, ale kiedy chłopak trzeci raz zakradł się do sypialni, by podglądać ją pod prysznicem, straciła cierpliwość i postanowiła go obezwładnić.

Powiedziała matce, że pasierb kipiał ze złości, gdy został powalony przez kobietę, ale Ronda była przecież wyszkolona w walce wręcz.

- Po tym incydencie znienawidził ją jeszcze bardziej i nie zanosił się na to, że kiedyś mu przejdzie.

Następnie kobieta zeznała, że Ronda zawsze miała pracę. Po odejściu z policji, a przed rozwodem przeszła szkolenie na pracownika ochrony w sieci Walmart w Aberdeen w hrabstwie Grays Harbor, a potem w Centrala.

Jej matka często przywoziła do McCleary konie i razem jeździły po lasach i plaży.

Pomijając incydent z przyczepą na konie, rozwód córki z Markiem przebiegł w pokojowej atmosferze. Każde z nich rozpoczęło nowy związek i nowe życie.

Ferguson przeszedł do pytań na temat problemów małżeńskich Rondy i Rona. Barb mówiła, że zięć przyznał się do romansu z Katie Huttulą oraz że to on zażądał rozwodu. Nie zaskoczyło to jednak jego młodej żony, która od miesięcy podejrzewała, że Katie miesza się w jej małżeństwo.

- Czy 15 grudnia rozmawiała pani z córką?

- Tak. Trzy razy. Rano, potem w środku dnia i wieczorem.

Podczas trzeciej rozmowy Ronda powiedziała, że następnego ranka przyleci do Spokane. Już planowała dalsze życie. Ponieważ Katie została skazana za posiadanie narkotyków, kobieta stwierdziła, że poczeka pół roku, aby wykonać badanie na obecność wirusa HIV, zanim zgodzi się na rozwód. Po zakończeniu okresu próbnego w Macy's zamierzała poprosić o przeniesienie do innego miasta. Barb i babcia Virginia liczyły po cichu, że wróci do Spokane. Na dobre.

Jak wiadomo, matka nie doczekała się córki na lotnisku w Spokane. Tak zaczął się jej koszmar.

Royce przeprowadził swego świadka przez ostatnie jedenaście lat pełne wzlotów i upadków. Sprawa śmierci Rondy została zamknięta, potem ponownie otwarta, znów zamknięta, a Barb przez cały czas zbierała informacje na własną rękę. Uważała, że tylko dzięki łasce Boga otrzymała pomocników takich jak Jerry Berry, Marty Hayes i Royce, którzy wspierali ją w tej niemal niemożliwej do zrealizowania misji.

Opowiedziała, jak Ferguson przekonał ją, że największą nadzieję daje złożenie pozwu cywilnego. „Zróbmy to” - odparła wtedy Barb. Wyjaśniła, że dokumenty złożyli w sądzie już w 2006 roku, lecz pozew został oddalony. Dwa lata później sąd apelacyjny stanu Waszyngton uchylił wcześniejszą decyzję i wyznaczył rozprawę na listopad 2009 roku.

Było to ogromne zwycięstwo dla niej i jej zespołu, tym bardziej że sprawa ta miała stanowić precedens, dlatego też - wyjaśniał prawnik - zjechali się tu koronerzy z innych hrabstw, by przyglądać się jej przebiegowi. Mieli przekazać swoje spostrzeżenia Waszyngtońskiemu Stowarzyszeniu Koronerów i Patologów. Do sądu przybył także koroner hrabstwa Cowlitz oraz wiceprezes stowarzyszenia Tim Davidson.



Przyglądając się ławnikom, od razu zauważyłam, że niektórzy z nich byli w wieku Barb i zapewne mieli dzieci w wieku zmarłej. Czy utożsamiali się z zeznającą kobietą? Wśród ławników znajdowało się też kilka młodszych kobiet, które mogły identyfikować się z Ronda. Mimo to próba odgadnięcia, o czym myślą przysięgli, to daremny trud, ponieważ od momentu zaprzysiężenia - w każdym procesie i w każdym sądzie - niemal natychmiast opanowują sztukę całkowitego kontrolowania mięśni twarzy. Może nawet część z nich była równie

stronnicza jak tamten odrzucony mężczyzna, który na odchodne życzył Wilsonowi powodzenia.

Jedno nie ulegało wątpliwości: przysięgli słuchali uważnie tego, co mówiła Barb Thompson, siedząc na miejscu dla świadków. Nigdy nie widziałam ławy przysięgłych, która z takim skupieniem śledziła-by to, co dzieje się na sali. Barbara po raz pierwszy miała okazję opowiedzieć w sądzie historię swej utraconej córki. Można było czytać w niej jak w otwartej książce. Mimo ogromnego stresu zdołała dokończyć zeznania.

Później przesłuchał ją również John Justice, ale dzięki jej ostrożnym odpowiedziom nie zdołał zjednać sobie przysięgłych.

Następnie na świadka powołano Davida Bella. Wciąż pracował w wydziale policji w Des Moines i miał już pięćdziesiąt trzy lata - jego włosy i wąsy stały się śnieżnobiałe, a smutek wyrył głębokie bruzdy na jego twarzy. Prawdopodobnie pragnął w tamtym momencie być wszędzie indziej, byle nie na tej sali, ale obiecał Barb Thompson, że zawsze będzie ją wspierał. Ponadto doskonale pamiętał swoje ostatnie spotkanie z Rondą Reynolds. Możliwe, że był ostatnią osobą - nie licząc zabójcy - która widziała ją żywą.

Bell nie ożenił się przez te wszystkie lata, ale zdołał wychować synów, a nawet otrzymał awans. Przez ostatnią dekadę w Des Moines doszło do wielu zabójstw, między innymi do brutalnego morderstwa jednego z funkcjonariuszy.

Gdy zeznawał, miało się wrażenie, że od lat zadawał sobie wciąż te same pytania: dlaczego zostawił Rondę samą w Toledo? Dlaczego nie zawiózł jej przynajmniej do motelu, gdzie mogła zamknąć drzwi i być bezpieczna? Czy dawała mu jakieś sygnały, których nie dostrzegł?

Czy wciąż obwiniął się za podjęcie złej decyzji? Nie mógł przecież przewidzieć, że grozi jej niebezpieczeństwo.

Powiedział przysięgłym, że 15 grudnia pojechał do Toledo na prośbę Rondy, pokonując odległość jakichś stu trzydziestu

kilometrów. Dotarł tam około 19.30 i miał pomóc jej spakować i wynieść rzeczy z domu, w którym mieszkała z Ronem.

- Przyjechałem pomóc jej się wyprowadzić.

Ronda próbowała namówić go, by zabrał pistolet - z tego co pamiętał, chodziło o walthera PPK. Odmówił jednak, kiedy dowiedział się, że broń należy do jej męża, który odziedziczył ją po swoim ojcu.

- Spytałem ją, dlaczego chce, żebym go wziął, a ona tylko wzruszyła ramionami.

Bell zeznał, że wyjął sześć ostrych naboii.

- Zawsze tak robię, kiedy wiem, że w domu są dzieci.

Przenoszenie rzeczy Rondy zajęło dużo czasu. Zapakowali też do samochodu klatki do przewożenia psów oraz jej odtwarzacz wideo.

- Czy w tym czasie w domu był ktoś jeszcze? - dociekał Royce.

- Chłopcy, synowie Rona.

Prawnik zastanawiał się, czy widzieli oni scenę z przekazywaniem broni pomiędzy Bellem a Ronda.

- Mogli to widzieć.

Jeśli byli świadkami, jak kobieta dawała mu pistolet, możliwe, że widzieli także, jak mężczyzna opróżnia magazynek - wyrzucając naboje na łóżko lub na podłogę - i umieszcza broń w szufladzie łóżka od strony ich ojca.

Świadek zeznał, że pojechali z Rondą na przejażdżkę, aby spokojnie porozmawiać, bez obawy, że usłyszą ich synowie Rona. Kobieta zastanawiała się, co ma robić. Myślała o tym, by zamieszkać na jakiś czas u Cheryl Gilbert, ale zmieniła zdanie. Poprosiła Dave'a, żeby zawiózł ją do przyjaciółki. Ponieważ nikogo nie zastała, otworzyła zamek, wrzuciła klucze do środka i wychodząc, zatrzasnęła drzwi.

Zatrzymali się na stacji benzynowej.

- Ronda pożyczyła moją komórkę i zadzwoniła do swojej teściowej. Potem rozmawiała z mężem. Była godzina dziesiąta wieczorem, może wpół do jedenastej. Zadzwoniła też do kolegi z pracy, Dana.

Rozmawiali o zamienieniu się dyżurami w czasie, gdy miała być w Spokane.

- Czy zamierzała się zwolnić z pracy? - spytał Ferguson.

- Nie, nie planowała tego - stwierdził Bell i dodał, że Ronda chciała wrócić do pracy przed Świątami, na czas gorączki zakupów. Nie wiedziała tylko jeszcze, gdzie się zatrzyma.

Ronda i matka Rona, Laura, lubiły się, dlatego chciała osobiście powiadomić teściową, że ich małżeństwo się rozpada. Dave nie słyszał większości tych rozmów, ponieważ najpierw był zajęty tankowaniem, a później płaceniem za paliwo.

Mimo to pamiętał, że przyjaciółka nie potrafiła się zdecydować, gdzie będzie nocować przed wyjazdem. Za kilka godzin znów miał po nią przyjechać i zawieźć na samolot do Spokane. Nie chciała zatrzymywać się u Cheryl Gilbert ani u Dana Pearsona, chociaż w rozmowie telefonicznej tamtego wieczora 15 grudnia kolega z pracy zapewniał ją, że zawsze będzie mile widziana w domu jego i jego żony.

Ona i Bell zgodzili się już wcześniej, że nie jest to najlepszy moment na przedstawienie jej jego synom ani też przywożenie psów do domu pełnego kotów. Przez lata oboje uważali, że dzieci Dave'a są najważniejsze i nie chcieli ich teraz niepokoić.

„Nie mam ochoty iść do motelu” - mówiła Ronda. W końcu stwierdziła, że przenocuje w Toledo - ostatni raz. Praktycznie wszystko, co posiadała, znajdowało się w tym domu - jej meble, obrazy, zdjęcia, pamiątki rodzinne, no i oczywiście psy. Gdyby wyjechała bez porozumienia się z mężem, ktoś mógłby potem uznać, że porzuciła jego oraz swój dobytek. Nie wierzyła już, że będzie chciał podzielić majątek na pół, tak jak obiecywał. Obawiała się, że zostanie z niczym.

Kiedy zajechali przed dom, stał tam już samochód Rona. Bell nie wiedział, czego się spodziewać, nie doszło jednak do żadnej kłótni; wszystko odbyło się w zadziwiająco spokojnej atmosferze. Reynolds

nie wydawał się zazdrosny czy zły z powodu tego, że jego żona udała się na przejażdżkę z innym mężczyzną, który na dodatek pomagał jej w wyprowadzce.

- On i jego synowie przebywali w innej części domu - powiedział David.

- Nie zauważył pan żadnych znaków, że stanie się coś złego?

- Nie! - oznajmił świadek z przejęciem. - Gdyby tak było, wyciągnąłbym ją stamtąd siłą!

Dave Bell musiał już wracać do Des Moines i dokończyć swoją zmianę.

- Zadzwoiłem do niej po północy, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Stwierdziła, że trochę się przespała i czuje się już lepiej. Chciała lecieć do Spokane z Portland, ale wyjaśniłem jej, że będzie mi trudno przejechać ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na południe, a potem wracać do Des Moines. Poprosiłem, żeby zmieniła rezerwację i leciała z SeaTac. To tylko dziesięć minut drogi od mojego posterunku. Zgodziła się. Miałem zadzwonić rano i obudzić ją, gdyby nie skontaktowała się ze mną wcześniej.

Lecz rano Ronda się nie odezwała. W drodze do hrabstwa Lewis zadzwonił do niej, spodziewając się, że za chwilę usłyszy jej zaspany głos. Słuchawkę podniósł jednak ktoś obcy.

- Był to detektyw albo zastępca szeryfa, który przekazał telefon Ronowi. Powiedział mi on, że Ronda nie żyje. Nie mogłem tego pojąć - opowiadał świadek. - Doznałem szoku. Nie rozumiałem, co się stało, więc postanowiłem jechać dalej do jej domu.

Uważał, że Reynolds zachowywał się „wyjątkowo spokojnie”. Ponieważ sam był policjantem, pozwolono mu wejść do pomieszczeń oznakowanych taśmą z napisem „Miejsce zbrodni - zakaz wstępu”. Wciąż pozostawał w szoku. Powinien wieźć przyjaciółkę na lotnisko i odprowadzać na samolot, tymczasem ona leżała martwa, z raną postrzałową głowy.

Mężczyzna zeznał, że został przesłuchany przez sierżanta Glade'a Austina, a następnie dwukrotnie przez detektywa Berry'ego. Obaj

chcieli, by przypomnieli sobie każdy szczegół z poprzedniego wieczoru.

Z 16 grudnia 1998 w pamięci utkwiło mu najbardziej jedno: pytanie, które zadała mu Carmen Brunton.

- Spojrzała mi w oczy i spytała: „Czy on mógł ją zabić?”.

Wiedział, że mówiła o Ronie Reynoldsie, lecz prawie nie znał tego człowieka. Wówczas nie potrafił odpowiedzieć, ale zamierzał dowiedzieć się wszystkiego o okolicznościach szokującej śmierci Rondy.

- Czy utrzymuje pan dobre relacje z Barbarą Thompson? - zapytał na koniec Ferguson.

- Tak, często się kontaktowaliśmy przez ostatnie dziesięć lat. Nadeszła kolej Johna Justice'a.

- Jaki czas dzielił oba małżeństwa Rondy Reynolds? - zaczął.

- Nie jestem pewien, półtora do dwóch miesięcy - odparł Bell.

- Nie kontaktowaliśmy się ze sobą od grudnia 1997 roku. Słyszałem tylko, że miała wyjść za Rona w styczniu. Bardzo przeżyła to, że jej drugie małżeństwo także okazało się klęską.

- Co wiedział pan o jej sytuacji finansowej?

- Niewiele. Miała ograniczony dostęp do pieniędzy. Nawet kiedy chciała skorzystać z bankomatu, Ron musiał iść z nią. Zdradziła mi, że zainwestowała w ich dom piętnaście tysięcy dolarów.

Co jakiś czas pytanie zadawał mu także sędzia Hicks. Teraz chciał wiedzieć, dlaczego Bell wyrzucił kule z pistoletu na podłogę lub łóżko, a nie schował ich do szuflady, lecz mężczyzna nie potrafił tego wyjaśnić. Pamiętał, że włożył nienaładowany pistolet wraz z kaburą do szuflady pod łóżkiem - skrzypiała i otwierało się ją z trudem.

- Co się stało z rzeczami, które włożył pan do samochodu? - kontynuował sędzia.

- Wnieśliśmy je z powrotem do domu.

Jak wszystkie osoby, które dobrze znały Rondę - może z wyjątkiem Cheryl Gilbert - Dave Bell nie wyobrażał sobie, by mogła rozważać samobójstwo, a co dopiero się zabić. W ostatnią noc przed śmiercią jej myśli krążyły wokół wielu spraw. Zastanawiała się, co w tej sytuacji będzie najrozsądniejszym wyjściem. Pragnęła zobaczyć się z rodziną, ale bała się zostawiać psy.

Ale żeby się zabić? Zdecydowanie nie. Najpierw ułożyłaby swoje sprawy. Oczywiście, że nie kochała już Reynoldsa. Była gotowa przeboleć stratę i zacząć od nowa. Miała plany i Dave Bell z przekonaniem stwierdził, że nie należało do nich odebranie sobie życia.

Za jakiś czas mogliby wreszcie być razem, lecz jedna kula pozbawiła go wszelkich nadziei.

ROZDZIAŁ 28

Barb Thompson cierpiała nie tylko duchowo, kiedy w sądzie prezentowano historię życia Rondy oraz jej brutalnej śmierci; doświadczała także bólu fizycznego. Miała zerwane ścięgno w barku i przeżywała prawdziwe męki, ale nie powiedziała o tym nikomu. Poprząsięła sobie, że będzie obecna na całej rozprawie, zanim podda się operacji, której tak bardzo potrzebowała. Do tego nosiła ciężkie akta sądowe oraz ogromny biały segregator, w którym zebrała wszystkie dokumenty związane ze sprawą Rondy. Starła się, by nikt nie widział, jak krzywi się z bólu za każdym razem, gdy musi je podnieść. Teraz ponownie przemierzała trasę wiodącą przez górskie przełęcze, co także wymagało wielkiego wysiłku.

Była przyzwyczajona do bólu - wielokrotnie konie czy krowy następowały jej na stopy, lecz nigdy nie porzucała zadania, które należało w danej chwili wykonać. Rezygnacja po prostu nie leżała w jej naturze. Tym razem również nie zamierzała się poddać.

Martwiła się nieustannie o swoją matkę. Virginia zbliżała się do dziewięćdziesiątki i dokuczały jej problemy z sercem oraz inne dolegliwości. Stan jej zdrowia stale się pogarszał. Barb kilka razy dziennie dzwoniła do domu, by dowiedzieć się od opiekunki, jak czuje się matka. Co parę dni otrzymywała telefony, że staruszka poczuła się gorzej i została zabrana do szpitala lub też że nie może jeść. Już od jakiegoś czasu Barbara spała na łóżku polowym w pokoju Virginii, a kiedy musiała wyjechać, denerwowała się jeszcze bardziej. Każdy dzwonek telefonu komórkowego sprawiał, że jej serce zatrzymywało

się na moment, gdyż spodziewała się informacji od opiekunki lub Freemana o śmierci matki.

Wiedziała jednak, że Virginia nie chciała, by opuściła ona rozprawę, na którą czekały tyle lat i dzięki której mogły otworzyć się drzwi do prawdy na temat śmierci ich ukochanej córki i wnuczki.



Następnym świadkiem, którego wezwał Royce Ferguson, był Robert Bishop. Pojawił się on jako drugi zastępca szeryfa na miejscu śmierci Rony Reynolds - zaledwie trzy minuty po Garym Holcie.

Bob Bishop służył w policji trzynaście lat, choć teraz nie należał już do organów ścigania. Wysoki, barczysty trzydziestoparolatek o ciemnych włosach mówił spokojnym głosem. Zznał, że obecnie pracuje jako kierownik produkcji w lokalnej firmie. Spytany, dlaczego zrezygnował ze stanowiska w biurze szeryfa hrabstwa Lewis, odparł, że uczynił to „z powodów osobistych”.

Podczas gdy Holt wierzył w słowa Reynoldsa, że jego żona odebrała sobie życie, Bishop nie był tego pewien. Kiedy tam dotarł, nie zastał synów Rona, ponieważ Holt pozwolił im pojechać do domu Katie Huttuli. Nikt nie wiedział, co mogli widzieć lub słyszeć poprzedniej nocy oraz tuż przed świtem.

Holt przesłuchał męża zmarłej w kuchni. Mężczyzna wyjaśnił, że był z Rondą całą noc i nie spał do 4.30 rano. Starał się powstrzymać ją od zrobienia sobie krzywdy. W końcu jednak zmęczenie zwyciężyło i zasnął. Gdy się obudził, leżał w łóżku sam. Szukał żony po całym domu, sprawdzał w kuchni, ponieważ myślał, że mogła karmić psy. W końcu znalazł ją w „zamkniętej garderobie”.

„Nie słyszałem strzału” - powiedział Reynolds Holtowi. Zdanie to powtarzał wielokrotnie przez lata. „To dlatego że drzwi do garderoby i do łazienki były zamknięte”.

Bishop zeznał, że przyjrzał się ciału kobiety.

- Leżała na lewym boku, prawą rękę miała pod kocem. Nie widziałem poduszki ani dokładnego ułożenia lewej ręki.

Ale coś mu nie pasowało. Ron Reynolds wydawał się „spokojny i pozbawiony emocji”.

Dlaczego nie słyszał strzału? Bishop zeznał, że zauważył ślad po obrączce na palcu lewej ręki mężczyzny. Potem znalazł ją na zlewie w łazience obok sypialni. Odnosił też wrażenie, że ktoś brał tam prysznic w ciągu ostatniej godziny.

- Czy miał pan wyrobione zdanie na temat tego, co się stało z Rondą Reynolds? - spytał Ferguson.

- Nie wierzyłem, że to samobójstwo.



O 11.43 rano drugiego dnia przesłuchań Ferguson wezwał na miejsce dla świadków Jerry'ego Berry'ego. W sportowej marynarce, wykrochmalonej koszuli z krawatem i w kowbojskich butach detektyw wyglądał jak rasowy stróż prawa z prowincji. Brakowało mu tylko kowbojskiego kapelusza. Miał niezwykle łagodny wyraz twarzy - być może to dzięki niemu Barb Thompson zaufała mu w chwili, gdy go poznała.

Berry opowiedział o latach spędzonych w policji. Niczego nie ukrywał. Po zmianie zawodu rozpoczął błyskotliwą karierę w organach ścigania. Już w 1995 roku został detektywem wydziału zabójstw i od tamtej pory brał udział w dwudziestu trzech śledztwach. W 2001 roku przestał być pupilem przełożonych, po tym jak poróżnił się z nimi i innymi detektywami i zaczęto go nieustannie krytykować.

- Od momentu, gdy poleciłem Vernona Gebertha naszemu szefowi wydziału, Joemu Doenchowi, wszystko się zmieniło - mówił ławnikom. - Joe bardzo się zdenerwował, kiedy Geberth wytknął błędy w śledztwie dotyczącym Rondy Reynolds. Powiedział, że przez niego wyszliśmy na bandę idiotów.

- Co się stało potem? - pytał Ferguson.

- Zabroniono mi pracować nad tą sprawą, a jeśli ktokolwiek z wydziału zdradziłby mi coś na jej temat, miałem natychmiast zgłosić się do Doencha. Zdegradowano mnie do policjanta patrolu. Kazano pójść na terapię. A wszystko to stało się jednego dnia.

Zastosował się do wszystkich zaleceń i warunków postawionych przez Joego Doencha, ale niewiele to pomogło.

- W końcu złożyłem wypowiedzenie.

Choć nie pracował już jako detektyw w biurze szeryfa, nie przestał zajmować się śmiercią Rondy. Był upartym człowiekiem, który nie porzucał sprawy ot tak, jeśli uważał, że została źle poprowadzona - nawet gdyby miało go to kosztować utratę stanowiska.

Berry zeznał, że 16 grudnia przybył do domu Reynoldsów o 8.30 rano, po tym jak detektyw Neiser zadzwonił do niego i poprosił o konsultację. Nawet Joe Doench stwierdził, że „pewne rzeczy” się nie zgadzają.

- Powiedział mi, że mąż wydawał się „zbyt opanowany”, poza tym zastanawiały go inne kwestie, których jednak nie sprecyzował. Dave Neiser zaprowadził mnie do miejsca, gdzie leżało ciało, i oznajmił, że zabrał pistolet ze względów bezpieczeństwa. Od samego początku uważał to za samobójstwo, a nie zabójstwo - mówił Berry. - A przecież trzeba było traktować to jak zbrodnię, dopóki nie wykluczy się takiej możliwości.

Wiadomość o usunięciu broni bardzo go zdenerwowała.

- Wykonali jakieś zdjęcia, ale nie mogłem już zrobić własnych, by udokumentować, gdzie dokładnie leżał pistolet po wystrzale.

- Czym zajmowały się poszczególne osoby obecne na miejscu? - spytał prawnik.

- Przez pierwszą godzinę Neiser przesłuchiwał ludzi w salonie, a ja wykonywałem czynności śledcze wokół ciała. Dostrzegłem odcisnięty ślad broni na czole Rondy. Pojawiało się coraz więcej wątpliwości i rozbieżności...

- Jakich rozbieżności?

- Wiadomość napisana szminką na lustrze, chociaż kobieta spa-
kowała już wszystkie kosmetyki. Neiser mówił, że pistolet leżał bli-
sko lewej ręki, ale ta dłoń zaciskała się na kocu, więc nie mogła
trzymać w niej broni.

- Coś jeszcze? - naciskał Ferguson.

- Ron Reynolds zeznał, że on i Ronda zasnęli dopiero po 4.30,
ale tylko lewa strona łóżka wyglądała, jakby ktoś tam spał, prawa
była zasłana. Stała tam pusta butelka black velvet, lecz sekcja wyka-
zała, że w organizmie ofiary nie znaleziono ani grama alkoholu.
Garderoba ma wymiary półtora na dwa metry. Wiszące tam ubrania
jeszcze ją pomniejszały. Drzwi otwierały się do środka. Niemożliwe
było zamknięcie ich przy takim ułożeniu nóg ofiary.

- Ile wynosiła odległość od ciała do lewej strony łóżka?

- Około pięciu metrów, nie więcej.

- Ale Ron Reynolds twierdził, że nie słyszał wystrzału?

- Tak powiedział. Ze snu wybił go dopiero dzwonek budzika.

- Rozmawiał pan o swoich wątpliwościach z Terryem Wilsonem?

- Nie chciał ze mną o tym dyskutować.

Berry zeznał, iż Carmen Brunton, która przyjechała na miejsce
zdarzenia tamtego ranka, oceniła, że napis na lustrze wykonała osoba
leworęczna.

- To wszystko?

- Wiadomość znajdowała się na poziomie mojego wzroku - kon-
tynuował świadek. - Mam metr osiemdziesiąt, ofiara miała dużo
mniej, a pamiętajmy, że ludzie piszą na tablicy lub na ścianie na
wysokości swojego wzroku.

Ponadto zmarła była praworęczna, a Reynolds leworęczny - choć
nie pamiętał, którą ręką posługiwała się jego żona. Brunton nie była
wprawdzie grafologiem, ale jej stwierdzenie dotyczące wiadomości
na lustrze dawało do myślenia.

- Gdzie są zdjęcia wykonane przez pana na miejscu zdarzenia? -
chciał wiedzieć Ferguson.

- Nie wiem. Zrobiłem ich wiele, ale zniknęły. Myślałem, że znajdę je w aktach w biurze szeryfa... lecz tak się nie stało. Nie mam ich.

Jerry Berry zeznał, że jakiś czas później Barb Thompson poprosiła biuro szeryfa o kopię akt sprawy. Miała do tego prawo.

- W końcu otrzymała część dokumentów, ale kiedy spojrzałem na fotografie, które jej dostarczono, powiedziałem: „Mój Boże, Barb, te zdjęcia zrobiono dopiero kilka dni po zdarzeniu”.

Mężczyzna opisał bitwę, którą przyszło mu stoczyć. Na początku wydawało się, że nie będzie tak źle.

- Podczas głosowania w wydziale większość śledczych uznała, że śmierć Rondy to zabójstwo. Nawet Joe Doench skłaniał się ku tej teorii.

Szybko jednak zmienili zdanie.

- Pamiętam, jak Dave Neiser droczył się ze mną, mówiąc: „Dajcie Berry'emu sprawę, a zrobi z niej morderstwo”.

Stało się wówczas jasne, że opinię tę podzielają inni koledzy z biura szeryfa hrabstwa Lewis. Przynajmniej nieoficjalnie.

Mimo to Barb wykazała się wielką determinacją: zdobyła wszystkie numery telefonów Jerry'ego - do biura, do domu, na komórkę - i zdołała go wyśledzić. Pamiętał, jak oznajmiła, iż pogodziłaby się nawet z tym, że córka popełniła samobójstwo, gdyby otrzymała na to niezbite dowody. „Miałabym pewność, że to był jej wybór” - wyznała. „Ale nie ma takich dowodów. Nie wiem, co się z nią stało”.

Wkrótce zaangażował się w poszukiwanie zabójcy Rondy równie mocno jak jej matka.

- Czy Barbara Thompson płaciła panu za pracę nad tą sprawą? - zapytał Ferguson.

- Ani centa. Nie chciałem brać od niej pieniędzy.

Jerry Berry zeznał, że wciąż ma listę dwudziestu jeden wątpliwości, które pojawiły się w pierwszych miesiącach śledztwa.

- Ron Reynolds zatrudnił prawnika i nie chciał rozmawiać z detektywami. Ta ścieżka była już dla nas zamknięta.

Świadek zeznał, że w ciągu jedenastu lat od śmierci żony Reynolds kilkakrotnie zmieniał wersję wydarzeń.

- Dostosowywał zeznania do aktualnej sytuacji - stwierdził.

Przypomniał, że zarówno doktor Selove, jak i doktor Donald Reay, lekarz medycyny sądowej z Seattle, stwierdzili, iż paraliż nastąpił natychmiast po strzale.

- Jak więc mogła włożyć ręce pod koc? - pytał retorycznie Berry.

Co oznaczał złamany paznokieć ofiary? Ronda zawsze dbała o paznokcie. David Bell nie zauważył, żeby coś było nie tak z jej manikiurem tego wieczoru, kiedy widzieli się po raz ostatni. Lecz rano detektywi dostrzegli ten szczegół. Dlaczego przed lotem nie doprowadziła go do porządku? Być może nie mogła.

Royce Ferguson przeprowadził świadka kolejno przez ponad dwadzieścia kwestii, które wzbudziły jego podejrzenia, kiedy badał przyczynę śmierci Rondy. Ławnicy pochyłili się do przodu, słuchając uważnie, jak Berry je wyliczał. Co sobie wtedy myśleli?

- Czy rozmawiał pan z trzema synami Rona Reynoldsa, którzy przebywali w domu przy Twin Peaks Drive w nocy z 15 na 16 grudnia?

- Chciałem ich przesłuchać, ale sierżant Austin powiedział, że zrobi to prawnik Reynoldsa.

Adwokat Rona próbował przekonać śledczych z biura szeryfa, by zamknęli śledztwo. Nie zdziwiło to detektywa, ale zniechęcił się dopiero wtedy, gdy doszły go słuchy, że jego przełożeni rzeczywiście to rozważają.

Jerry Berry nie miał możliwości zbadania kilku obiecujących tropów. Choć minęło tyle lat, wciąż nie potrafił ukryć oburzenia. Zastanawiał się, dlaczego Reynolds - który podobno miał tak lekki sen, że zabronił Rondzie wpuszczać psy do sypialni - nie usłyszał strzału. Dlaczego jego synowie także go nie słyszeli?

- Podczas badań na dłoni ofiary odkryto niewielką ilość prochu. Sierżant Austin zaniechał wykonywania dalszych badań na innych osobach związanych ze sprawą, gdyż uznał, że wyniki nie będą

wiążące - wyjaśniał Berry. - Po co samobójczynie miałyby usuwać z kul swoje odciski palców, zanim załadowała broń? Dlaczego na pistolecie także nie było żadnych odcisków? Wcześniej trzymali go przecież zarówno Ronda, jak i Dave Bell, który ponadto dotykał kul, opróżniając magazynek. Ich odciski powinny znajdować się na broni oraz nabojach, lecz najwyraźniej ktoś je starł, z siebie tylko znanych powodów.

Berry spędził na miejscu dla świadków kilka godzin. Zaczął zeznawać o 11.30, w trakcie zarządził godzinną przerwę na obiad, a teraz dochodziła już 16.00. Tymczasem lodowaty wiatr oraz deszcz ze śniegiem uderzały w ściany budynku sądu.

Podczas swojej części przesłuchania John Justice zadał niewiele pytań. To była jego taktyka od samego początku. Terry Wilson nie musiał niczego udowadniać; podobno nie zamierzał nawet występować w swojej obronie. Nie licząc pierwszego dnia, nie pojawiał się nawet na rozprawie.

Justice skupił się na osiemdziesięcioczworominutowej rozmowie telefonicznej pomiędzy Ronem i Ronda, która rzekomo miała miejsce późnym popołudniem 15 grudnia, kiedy mężczyzna jechał z Olympii do Toledo. Nikt nie miał pewności, o czym rozmawiali, choć mąż zmarłej twierdził, że wtedy właśnie zdradziła swoje myśli samobójcze. Podczas rozmowy uspokoiła się jednak, więc kiedy dotarł do Toledo, zamiast jechać prosto do domu, postanowił coś zjeść i udać się na przedstawienie szkolne.

- Czy w rozmowie Ronda groziła, że odbierze sobie życie? - dociękał adwokat.

- Nie mam pojęcia - odparł Berry.

Jeśli Justice chciał wykazać, jak przejęty i zaniepokojony był Ron Reynolds wieczorem 15 grudnia, nie udało mu się. Obraz męża jedzącego hamburgera i słuchającego kolęd na szkolnym koncercie, podczas gdy jego żona mogła próbować popełnić samobójstwo, sprawiał, że wydawał się on człowiekiem zupełnie pozbawionym empatii.

Spytany, czy grafolog badał napis na lustrze w łazience, Berry potwierdził i przyznał, że specjalista doszedł do wniosku, iż pismo prawdopodobnie należało do Rondy. Justice nie wezwał jednak owego eksperta na świadka.

Adwokat Wilsona chciał wiedzieć, czy detektywi znaleźli w łazience buteleczkę Zolofu przepisaną na nazwisko zmarłej.

- Tak - odparł Berry. - To prawda, aczkolwiek nie pamiętam, czy lek przepisano akurat Rondzie. Z tego co wiem, receptę wystawiono w maju 1998 roku, siedem miesięcy przed jej śmiercią. W środku zostało jeszcze dużo pigułek.

- Czy doktor Reay skomentował jakoś stężenie pośmiertne i czas zgonu Rondy Reynolds?

- Owszem.

Detektyw przytoczył wypowiedź patologa z Seattle, który stwierdził, że to niezwykle, by ktoś, kogo stawy były tak zeszywniałe z powodu stężenia pośmiertnego, zmarł zaledwie godzinę wcześniej.

- Ale nie powiedział, że to niemożliwe.

- Nie mam więcej pytań.



We wtorek o godzinie 16.00 publiczność spodziewała się, że sędzia zakończy już przesłuchania świadków na ten dzień i wznowi rozprawę nazajutrz, ale stało się inaczej.

Dębowe ławki wydawały się twarde jak stal i wielu z nas chciało już wyjść - zapewne by w drodze do domów czy hoteli zatrzymać się w restauracji Kit Carson. Wyśmienite żeberka, kurczak i duszona wołowina smakowały jak domowy obiad, a porcje podawano obfite. Ciasto kokosowe krojono na ćwiartki, a w czasie happy hour serwowano podwójne martini.

Kałuże na parkingu stawały się coraz większe i głębsze, a do tego otoczone obwódka śniegu. Sędzia Hicks nie zamierzał kończyć tego dnia wcześniej. Na miejscu dla świadków zasiadł Marty Hayes.

Poza wspólnym celem dotarcia do prawdy zeznający po sobie świadkowie różnili się diametralnie. Berry był raczej spokojny i mówił stonowanym głosem, natomiast wybuchowy Hayes zwykle wypowiadał się bardzo głośno. Biła od niego pewność siebie i często schodził ze swego miejsca, by coś zademonstrować, lub zbliżał się do barierki, za którą siedzieli przysięgli, żeby zwrócić się bezpośrednio do nich.

Zauważyłam, że jego zeznanie ich wciągnęło. Po rozprawie kilku ławników wskazało go jako swego „ulubionego” świadka.

Przed zeznaniem Hayesa doszło do słownej potyczki, kiedy prawnik Wilsona sprzeciwił się uznaniu go za eksperta w kwestii prowadzenia śledztwa oraz w kwestii broni. Sędzia Hicks zgodził się, że świadek prawdopodobnie nie posiada wystarczającego doświadczenia w sprawach dotyczących morderstw, ale jednocześnie orzekł, że przez niemal dwadzieścia lat prowadzenia własnej szkoły strzelniczej zdobył on wiedzę, która pozwala mu wypowiadać się na temat zagadnień związanych z balistyką.

W przeciwieństwie do mieszkańców aglomeracji ławnicy z małych miast są dobrze obeznani z bronią, toteż szybko pojmowali to, co mówił i pokazywał im Marty. Używając broni jak najbardziej podobnej do tej, z której postrzelono Rondę, Hayes przeprowadził badania nad dynamiką odrzutu rewolweru firmy Rossi. Jako głowy ofiary użył torebki z piaskiem. Potem wystrzelił osiemnaście pocisków, trzykrotnie zmieniając sposób trzymania broni. Umiejscowienie rany na głowie Rondy nie pasowało do pozycji, w jakiej znajdowały się obie jej dłonie.

Kolejna próba, tym razem przeprowadzona przez Hayesa z pomocą jego żony, miała zmierzyć poziom decybeli wystrzału z broni w odległości od trzech do pięciu metrów - takiej jak dystans między łóżkiem, w którym spał Reynolds, a wnętrzem garderoby. Mężczyzna ocknął się ze snu na dźwięk budzika, ale nie usłyszał strzału, który zabił jego żonę.

Zagadnienie to okazało się kością niezgody.

Marty Hayes przeprowadził badania, mierząc natężenie dźwięku dzwonka telefonu, budzika oraz wystrzału z odległości pięciu metrów. Zwykła rozmowa ma od 58 do 72 decybeli, dźwięk budzika około - 62, a telewizor nastawiony na dużą głośność - 65 decybeli. Jak głośny jest zatem wystrzał z broni?

Świadek udzielił wyczerpującej odpowiedzi.

- Strzał ma od 120 do 130 decybeli - zeznał. - Proszę pamiętać, że 70 decybeli to dwa razy głośniejsze niż 60, 80 to dwa razy głośniejsze niż 70, a 100 decybeli to dwukrotnie głośniejsze niż 90.

Podczas analizy natężenia dźwięku broni Hayes najpierw strzelił dwa razy, przyciskając pistolet do „głowy”, a potem jeszcze dwa razy - trzymając go w niewielkiej odległości od celu. W obu przypadkach zanotował liczbę decybeli.

Broń przyciśnięta

114

92

Broń lekko odsunięta

129

127

Następnie zamknął drzwi pomieszczenia, w którym przeprowadzał testy, i pięć metrów dalej ustawił miernik.

Broń przyciśnięta

97

Broń lekko odsunięta

101

Doszedł do wniosku, że strzały głośniejsze od nastawionego na cały regulator telewizora, nagłego dźwięku budzika lub głośnej rozmowy powinny obudzić kogoś śpiącego niecałe pięć metrów dalej. To prawda, że zamknięte drzwi obniżały poziom decybeli, jednak było już wiadomo, iż ciało uniemożliwiało domknięcie drzwi.

Marty Hayes zeznał:

- Analiza ta dowodzi, że Ronda Reynolds nie mogła wystrzelić z rewolweru rossi kaliber .32 prawą ręką - przez poduszkę - tak, żeby

broń opadła potem na jej czoło. Z drugiej strony zdjęcia miejsca oraz powyższa analiza wskazują, że broń mogła zostać umieszczona na czole ofiary przez inną osobę, która ułożyła rękę kobiety tak, by wydawało się, że to ona strzelała. Na jej głowie położono poduszkę, by przykryć ranę i rewolwer.

Hayes trzymał teraz nienaładowaną broń, której użył do badań - przykładał ją do swej skroni, demonstrując różne kąty padania strzału. Chociaż publiczność i ławnicy wiedzieli, iż w środku nie ma kul, widok ten i tak sprawiał, że czuli się nieswojo.

Mężczyzna podejrzewał, że pudełka upominkowego, które znaleziono przy zwłokach, użyto do podparcia prawego ramienia i dłoni ofiary.

Dlaczego dziury po kulach w poduszce nie pasowały do rany w głowie Rondy? Być może umieszczono ją tam później, aby wyjaśnić fakt, że nikt z domowników nie słyszał wystrzału.

A może zabójca (zabójcy) nie mógł (nie mogli) znieść widoku martwej kobiety...



Była środa, trzeci dzień rozprawy. Marty Hayes powrócił na miejsce dla świadków. Zeznał, że próbował odtworzyć pozycję poduszki przykrywającej twarz Rondy.

- Kiedy trzymałem poduszkę blisko rewolweru, nie udawało mi się wystrzelić, ponieważ iglicę i kurek blokował materiał poszewki. Musiałem trzymać broń nieco oddaloną od poduszki.

Poduszka mogła zostać użyta do stłumienia odgłosu, lecz ślady prochu, które na niej pozostały, nie pasowały do ułożenia broni i toru kuli. Marty próbował strzelać przez poduszkę, by sprawdzić, jak bardzo wytłumi ona hałas.

Podczas prób jego żona, stojąca pięć metrów dalej, ponownie pomagała mu w odnotowywaniu liczby decybeli.

Bez poduszki	Z poduszką
112	91
113	83
94	86

Po raz kolejny Hayes zademonstrował ławnikom, co oznaczają wyniki badań. Wyszedł na środek sali i z każdym krokiem mówił coraz głośniej. Krzyczał w końcu najgłośniej, jak tylko mógł - a jego głos był rejestrowany przez miernik decybeli. Nie udało mu się osiągnąć takiego poziomu jak pojedynczy wystrzał. Pokaz odniósł zamierzony skutek - na sali zapanowała martwa cisza.

Dlaczego Ron Reynolds - ani nikt inny z osób przebywających w domu - nie słyszał strzału?



Hayes ostrzegł Barb Thompson, że być może będzie musiał włączyć do swego zeznania zdjęcia ciała, aby ławnicy mogli zobaczyć to, co widzieli świadkowie. Uświadomiła sobie, że lada chwila na salę wniesiony zostanie projektor i ekran.

Przez jedenaście lat kobieta nauczyła się radzić sobie z emocjami, które - jak mogłoby się wydawać - powinny ją obezwładniać. Kiedyś ścisnęła jej gardło i sprawiały, że do oczu napływały łzy. Czytała, oceniała i zapamiętała wiele makabrycznych szczegółów dotyczących śmierci jej córki. Nauczyła się znów śmiać, choć czasami żartowała tylko po to, by nie wybuchnąć płaczem. Wciąż jednak zdarzały się sytuacje, którym nie potrafiła stawić czoła.

Barb widziała miejsce zbrodni i fotografie ciała Rondy. Wiedziała, że Marty może włączyć je do materiału dowodowego. Szokowały nie tylko ją, ale i każdego, kto nie był policjantem, lekarzem czy patologiem. Teraz jednak przynajmniej mogła znieść ten widok. Zamieściła te zdjęcia na stronie poświęconej córce. Uznała, że gdyby ktoś chciał udzielić jej porady czy pomocy, powinien znać wszystkie szczegóły sprawy.

Kiedy jednak nadszedł czas pokazania przysięgłym powiększonych zdjęć zakrwawionego ciała, zrozumiała, że nie może zostać na sali. Tyłu ludzi miało patrzeć na jej martwe, bezbronne dziecko - od ławników, poprzez obce osoby z publiczności i sędziego, aż po Donnę Wilson i Carmen Brunton (Terry Wilson oczywiście znów się nie zjawił). Nie zdawała sobie sprawy, jaką torturą okaże się oglądanie tych wielkich zdjęć.

Łzy płynęły jej po twarzy, kiedy nachyliła się do Fergusonona, szepnęła mu coś na ucho, po czym zerwała się z krzesła i wybiegła na korytarz. Nie spodziewała się, że emocje uderzą z taką siłą; wiedziała tylko, że nie da rady przebywać w pomieszczeniu, gdzie pokazywano martwe ciało Rondy.

Rysy twarzy ofiary zostały zniekształcone przez spływającą krew. Rana wlotowa znajdowała się przed prawym uchem, ale krew utrudniała jej zlokalizowanie. Różowa piżama także była zakrwawiona. Na zdjęciach z kostnicy Ronda wygląda już zupełnie inaczej: jest naga, ma czyste włosy i twarz. Na jej jasnej skórze dało się dostrzec zarys pierwszych plam pośmiertnych, które powstały zaraz po zatrzymaniu akcji serca, oraz plamy wtórne o jaśniejszym zabarwieniu, które utworzyły się, kiedy ułożono ją na plecach.

Pół godziny później, kiedy przez ekran przemknęły już wszystkie zdjęcia i został on zdemontowany, Barb wróciła na salę z paczką chusteczek w ręku. Sądziła, że będzie potrafiła patrzeć na zdjęcia z miejsca zbrodni, lecz dotarło do niej, jak bardzo się myliła. Teraz nie ufała swoim reakcjom, więc wołała mieć ze sobą chusteczki, na wypadek gdyby coś ponownie wytrąciło ją z równowagi. Nie zamierzała płakać, ale nie mogła powstrzymać łez.

Obiecała sobie, że więcej się nie załamie.

ROZDZIAŁ 29

John Justice zaczął przesłuchanie Marty'ego Hayesa w czwartek o 13.45. Na początek wypomnił mu brak doświadczenia w pracy detektywa.

- Czy brał pan udział w śledztwach dotyczących samobójstwa lub zabójstwa?

- Nie.

- Zeznawał pan na ten temat w sądzie?

- Nie.

- Jaki wpływ na śpiącą osobę ma jeden głośny dźwięk w porównaniu z ciągłym, takim jak dzwonek budzika? - zapytał Justice.

- Czy ten pierwszy mógłby kogoś obudzić?

Royce Ferguson zgłosił sprzeciw i obaj prawnicy podeszli do sędziego. Świadek nie był bowiem w stanie wypowiedzieć się na temat reakcji różnych osób.

Wkrótce Justice zakończył przesłuchanie Hayesa, ale sędzia miał własne pytania.

- Czy Ronda Reynolds mogła owinąć broń kocem? Czy wyjaśniałoby to brak odcisków palców na rewolwerze?

- Nie. Pistolet osunąłby się na podłogę, a nie na czoło - dodał.

- Odrzut następuje bowiem w kierunku przeciwnym do kierunku strzału i tam, gdzie opór jest najmniejszy. Opcja owinięcia broni kocem nie zgadza się z pozycją Rondy w momencie oddania strzału.

Trajektorię kuli także uznał za dziwną, pocisk wszedł bowiem tuż nad prawym uchem, ale w środku mózgu zmienił tor i skierował się w dół, ku potylicy.

Było dopiero wczesne popołudnie, ale sędzia Hicks ogłosił przerwę aż do poniedziałku rano.

Barb Thompson udała się do domu przez góry, starając się zdążyć przed zapadnięciem kompletnych ciemności. Dni robiły się coraz krótsze. Wiedziała, że matka będzie na nią czekała, aby usłyszeć więcej szczegółów z pierwszych czterech dni rozprawy. Royce Ferguson miał wezwać tylko jeszcze jednego świadka: doktora Jeffreya M. Reynoldsa.

Jednak ekspert przebywał poza granicami Stanów Zjednoczonych na wyjeździe służbowym, a Barb i jej zespół wstrzymywali oddech, dopóki nie pojawił się on w Chehalis, aby zeznawać. Okazało się, że niepotrzebnie się martwili, ponieważ w poniedziałek rano Reynolds czekał już przed wejściem na salę sądową. Wyglądał na zmęczonego podróżą i nie był ubrany jak większość biegłych sądowych. Miał na sobie skórzaną kurtkę, a kiedy ją zdjął, ukazała się koszula w niebieskie paski i krawat.

Przez swoje półdługie siwe włosy sięgające do kołnierzyka mężczyzna przypominał bardziej profesora literatury angielskiej niż lekarza medycyny sądowej. Mógł się jednak pochwalić imponującym doświadczeniem w swej wąskiej specjalizacji. Choć posiadał dyplom inżyniera mechaniki Massachusetts Institute of Technology, po trzyletniej służbie w jednostkach specjalnych armii USA, Zielonych Beretach, postanowił pójść na studia medyczne na University of Miami. Staż odbył na patologii w Oregon Health Sciences University w Portland.

Zaczął pracę w 1989 roku i od tamtej pory jest lekarzem medycyny sądowej dla ośmiu hrabstw stanów Waszyngton i Idaho. Wykonał ponad dwa tysiące autopsji. Już na początku swego „śledztwa” Barbara Thompson zadzwoniła do Jeffreya Reynoldsa, prosząc o ocenę sprawy Rondy. Zgodził się przejrzeć gruby segregator z ogromną ilością informacji.

- Gdyby powiedziano panu, że śmierć Rondy Reynolds to samobójstwo - zaczął Ferguson - zgodziłby się pan z tym?

Świadek potarł czoło i lekko pokręcił głową.

- To byłoby dość niezwykle - odparł. - Kobiety rzadko strzelają sobie w głowę.

Miał jednak inny powód, by wątpić we wnioski wyciągnięte przez koronera i śledczych biura szeryfa.

- Rana postrzałowa zadana samodzielnie prawie zawsze ma wylot po przeciwnej stronie głowy. W tym przypadku tak się nie stało. Kula, zamiast przeciąć środkową część mózgu, skierowała się w dół.

- I to jest nietypowe? - upewnił się Ferguson.

- To prawie niemożliwe, by ofiara strzelała do siebie pod takim kątem.

Doktor Reynolds przyłożył nienaładowany pistolet do swej głowy w podobny sposób, jak robił to Marty Hayes. Jego nadgarstek wygiął się bardzo, kiedy próbował celować w dół i równocześnie w tył czaszki zamiast prostopadle do skroni. Jego dłoń prawie dotykała przedramienia.

- Nie zgadza się kąt toru kuli - zeznał, potwierdzając słowa Hayesa.

Patolog wyliczał inne aspekty strzału, który zabił Rondę, niepasujące do wersji samobójstwa.

- Potrzeba ponad półtora kilograma siły nacisku na spust, aby ta broń wystrzeliła. Uważam, że z ręką w tak nienaturalnej pozycji nie mogła tego zrobić. A wokół rany wlotowej pozostał wyraźny odcisk lufy.

- Czy po postrzale w głowę umiera się natychmiast?

- Mózg zostaje uszkodzony przez kulę oraz gaz i gorące powietrze, które za nią podążają. Przystaje działać natychmiast - odpowiedział doktor Reynolds. - Człowiek nie jest w stanie wykonywać żadnych ruchów, chociaż serce może jeszcze bić, nawet do piętnastu minut, wyłaczając krew z rany.

Świadek dokładnie wyjaśnił przysięgłym zjawisko plam pośmiertnych.

- Krew spływa do najniższej położonych partii ciała i tam krzepnie, pozostawiając wyraźne plamy. Następnie - jak zdarzyło się w tym przypadku - jeśli w kilka godzin po zgonie ciało zostanie ułożone w innej pozycji, występują plamy wtórne. W ten sposób otrzymujemy podwójny zarys plam pośmiertnych.

- Ron Reynolds zeznał, że jego żona żyła jeszcze między 4.30 a 5.00 rano i że na pogotowie zadzwonił o 6.20 - zaczął Ferguson. - Czy plamy mogły wystąpić już po półtorej godzinie?

- Musiałyby nie żyć od co najmniej trzech godzin, aby utworzyły się pierwsze trwałe plamy.

- Czy koc elektryczny, którym była przykryta, mógł wpłynąć na stopień stężenia pośmiertnego?

- Nie. Stężenie występuje, gdy mięśnie nie otrzymują tlenu. Zwykle pierwsze sztywnieją mięśnie szczęki, co następuje już po dwóch godzinach.

- Czy Ronda Reynolds miała ślady prochu na dłoniach?

- Ależ skąd! - wykrzyknął Jeffrey Reynolds. - Na dłoniach nie znajdowały się żadne ślady wskazujące na to, że strzelała z broni palnej... chyba że laboratorium się pomyliło.

- Zupełnie nic?

- Nic, co dowodziłoby, że palec ofiary pociągał za spust.

- Uważa pan zatem, że ofiara nie zadała sobie sama tej rany?

- Tak uważam. Nie widziałem jeszcze samobójstwa, w którym tor kuli nie przecięłby centralnej części mózgu.

- Jak oszacowałby pan czas zgonu Rondy Reynolds?

- Cztery do sześciu godzin przed znalezieniem ciała.

Oznaczało to, że kobieta zginęła między wpół do pierwszej a wpół do trzeciej rano.



Doktor Reynolds był niewygodnym świadkiem dla linii obrony Terry'ego Wilsona, ale Justice postanowił podważyć jego wnioski dotyczące czasu zgonu.

- Jeśli stwierdzono utrwalenie się plam pośmiertnych około siódmej rano, to ile czasu upłynęło od momentu zgonu?

- Trzy lub cztery godziny.

Po raz kolejny padł najmocniejszy argument przeciwko Wilsonowi, potwierdzający zarazem, że Ron Reynolds kłamał. W odpowiedzi na pytanie Johna Justice'a doktor Reynolds stwierdził, że Ronda musiała umrzeć zdecydowanie wcześniej, niż twierdził jej mąż - między drugą a trzecią nad ranem, a nie po piątej.

Żadna ze stron nie mogła wygłosić jednoznacznego sądu w kwestii śladowych ilości prochu na dłoni ofiary. Badania laboratorium policyjnego nie wykazały obecności antymonu - co sugerowało brak śladów prochu.

Proces wytoczony przez Barbarę Thompson Terry'emu Wilsonowi dobiegał końca. Publiczność, dziennikarze i ławnicy czekali niecierpliwie na zeznania pozwanego. Chcieli również przekonać się, jaką taktykę obierze Justice, by udowodnić, że koroner nie zaniedbał swoich obowiązków.

Przed przerwą obiadową przysięgli zgłosili jeszcze kilka wątpliwości. Poprosili o ponowne pokazanie zdjęć Rondy leżącej na podłodze garderoby oraz o zbliżenia plam pośmiertnych na jej nogach. Powiedziano im, że będą mogli obejrzeć wszystkie dowody podczas narady.

- Czy jej palec wskazujący był posiniaczony, jak to bywa po strzelaniu? - spytał inny z ławników.

- Nie.

- Czy we krwi zmarłej znaleziono składniki jakichś leków?

- Nie.



Kiedy o 13.30 publiczność i uczestnicy procesu wrócili na salę, w powietrzu wyczuwało się napięcie. Wszyscy zerkali w kierunku wejścia, czekając na pojawienie się Terry'ego Wilsona lub też Carmen Brunton.

Jednak pozwany nie przyszedł. Carmen, Donna Wilson i jej przyjaciółka zajęły swe stałe miejsca - Brunton przy stole strony pozwanej, a żona koronera i druga kobieta w pierwszej ławce za nią.

Gdy sędzia Hicks zwrócił się do Johna Justice'a i poprosił o wezwanie pierwszego świadka, ten odparł, że nie zamierza żadnych powoływać. Przez salę przetoczył się stłumiony pomruk rozczarowania.

Być może było to najmądrzejsze posunięcie. Terry Wilson nie musiał niczego udowadniać. To Barbara Thompson i Royce Ferguson oraz ich świadkowie mieli dowieść swoich racji. Koroner pokazał już, że nie musi nawet pojawiać się w sądzie, jeśli nie ma na to ochoty. Jeszcze mniej prawdopodobne, by zechciał się poddać przesłuchaniu przez prawnika strony przeciwnej.

Justice na pewno musiał rozważać powołanie Carmen, ponieważ od samego początku brała udział w postępowaniu w sprawie Rondy. Nie potwierdził więc, że nie ma żadnych świadków.

Proces został skrócony, przerwany w połowie. Mieszkańcy hrabstwa Lewis zastanawiali się, co ten człowiek ma do powiedzenia po jedenastu latach, i oczekiwali, że będzie zeznawał. Jego przesłuchanie mogło otworzyć drogę do pojmania zabójcy Rondy - o ile w ogóle był jakiś zabójca.

Jak to się skończy bez zeznań Terry'ego Wilsona i Carmen Brunton?

Sędzia Hicks nie marnował czasu - od razu rozpoczął instruowanie przysięgłych. Po mowach końcowych mieli oni udać się na naradę. Wszystko działo się tak szybko. Werdykt mógł być wydany jeszcze tego samego dnia.

Strażnik rozdał ławnikom kopie regulaminu sądowego, a sędzia wyjaśniał, na czym polega ich obowiązek - mają orzec, czy Terry Wilson wykazał się „samowolą i niezdecydowaniem”, ustalając rodzaj śmierci Rondy Reynolds, czy też jego decyzje można uznać za trafne. Przysięgli winni wydać swoją decyzję na podstawie faktów popartych dowodami wykorzystanymi w tym procesie.

- Proszę nie kierować się własnymi odczuciami ani wypowiedziami usuniętymi z protokołu, lecz wziąć pod uwagę wszystkie dowody i zeznania wszystkich świadków. Nie należy uwzględniać moich opinii - jeśli takowe padły. Proszę pamiętać, że stwierdzenia prawników nie stanowią dowodów.

Hicks mówił dalej:

- Niech państwo nie ulegają emocjom. Istnieją dwa rodzaje dowodów. Dowody rzeczowe - coś, co świadkowie widzieli lub słyszeli bezpośrednio - oraz dowody poszlakowe - czyli to, co można wniosioskować. Jedne i drugie musicie wziąć pod uwagę podczas waszej narady i podejmowania ostatecznej decyzji.

Sędzia dodał, że należy uwzględnić również opinie biegłych - takich jak doktor Jeffrey Reynolds.

- Koroner musi ustalić zarówno przyczynę, jak i rodzaj śmierci.

Przyczyna zgonu to zastosowana metoda - uduszenie, utonięcie, strzał, uderzenie w głowę itp. W rubryce „rodzaj śmierci” można wpisać „nieznany”, „zabójstwo”, „samobójstwo”, „celowe działanie osoby trzeciej” lub „wypadek”.

Przysięgli mieli dostęp do „dowodu nr 2”, czyli kopii segregatora Barb Thompson, który włączono do materiałów dowodowych. Sędzia przypomniał jednak, że część zawartych w nim informacji to komentarze laików.

- Koroner Terry Wilson miał dostęp do tych informacji i ustalił, że rodzaj śmierci Rondy Reynolds to samobójstwo. Pani Thompson musi udowodnić, że nie jest to prawda lub też, że podczas formułowania swoich opinii wykazał się on „samowolą i niezdecydowaniem”.

Hicks podsumował swą wypowiedź słowami:

- Muszą państwo zdecydować, co jest prawdą, a co nie, lub też czy prawdopodobne jest, że koroner Wilson postępował w sposób samowolny i niezdecydowany. Proszę nie ulegać innym ławnikom i nie dostosowywać do nich swojej opinii. Pamięć jest dokładniejsza od notatek - powiedziałem to państwu na początku. Proszę wybrać

spośród siebie przewodniczącego. Przysięgli muszą zgodzić się co do odpowiedzi na każde pytanie zamieszczone w pozwie. Na każde odpowiedzieć oddzielnie. Gdy już wszystkie zostaną rozważone, przewodniczący powiadomi strażnika, że werdykt jest gotowy.

Zanim przysięgli mogli wreszcie zająć się sprawą Rondy, mieli wysłuchać mów końcowych obu stron. Choć są one zwykle czystą retoryką i nie zawsze opierają się na faktach, te ostatnie zdania mogą zaważyć na opinii ławników.

ROZDZIAŁ 30

Royce Ferguson rozpoczął swą mowę końcową. „Jak brzmiałoby zeznanie Rondy, gdyby tu była? A zeznanie Rona Reynoldsa? Powołał się on jednak na piątą poprawkę do konstytucji. Terry Wilson jest tu z nami, ale nie poznaliśmy jego opinii”.

Zapytał, jak przysięgli mają dojść do porozumienia i uzgodnić wspólne stanowisko, skoro nikt, kto zajmował się tą sprawą, nie potrafił tego zrobić. „Odpowiedź jest prosta: wykorzystać zdrowy rozsądek”. To nim musieli się kierować, aby ocenić, czy w momencie popełniania zbrodni na miejscu znajdował się ktoś oprócz ofiary. Rozważając rodzaj śmierci, zachowanie konkretnych osób, sprzeczne fakty czy zeznania świadków, musieli też polegać na własnej pamięci. Powinni zastanowić się, która z osób związanych ze sprawą „coś z tego miała”.

„Czy koc mógł zostać użyty do wytarcia odcisków z broni?” - pytał, a następnie odpowiedział sam sobie. „Tak - jego włókna znaleziono zaczepione o elementy rewolweru”.

Jerry Berry zauważył krew na niektórych kulach, mówił Ferguson, i na godzinę umieścił rewolwer w pojemniku z klejem, aby zachować wszystkie odciski. Następnie zbadalo je laboratorium policji stanowej. Ani Berry, ani kryminaliści z laboratorium nie znaleźli odcisków na kulach i broni.

„Terry Wilson nie przyjechał na miejsce, nie rozmawiał z ludźmi szeryfa ani z Barbarą Thompson - aż do 2008 roku” - zaznaczył prawnik. „Dowody zniszczono. Może mieli dość słuchania matki zmarłej? To Ron pierwszy stwierdził: »Musiała stłumić strzał

poduszką«, a słowo »stłumić« zagnieździło się w świadomości śledczych i wpłynęło na przebieg dochodzenia. Pierwsi funkcjonariusze, którzy przybyli na miejsce, mieli już zakodowane w głowach, że było to samobójstwo, a kobieta strzelała przez poduszkę”.

„Mąż Rondy zeznał, że zmarła między 5.00 a 6.20, lecz podwójne plamy pośmiertne dowodzą, iż zgon nastąpił przed piątą rano, a ściślej między wpół do pierwszej a piątą”.

Terry Wilson odmówił zapisania tego spostrzeżenia w swoim raporcie. „Nie napiszę tak, ponieważ obciążyłyby to Rona” - argumentował.

Dziwne. Dlaczego Reynolds zyskał swego rodzaju ochronę i miał być wyłączony z ewentualnego kręgu podejrzanych? Owszem, zatrudnił prawnika, lecz robi to większość osób, do których policja może mieć pytania. Nie oznaczało to, że nie można go przesłuchać.

Ferguson zasugerował, że biuro szeryfa hrabstwa Lewis nie przyznałoby się do tego, iż nie posiada funduszy na dalsze prowadzenie śledztwa - dlatego postanowiono orzec, że śmierć Rondy to samobójstwo.

Następnie powiedział, że jedynym problemem finansowym zmarłej był jej mąż. Pracowała ciężko i Ron zakładał, że jej ubezpieczenie na życie opiewa na trzysta tysięcy dolarów. Taka kwota wystarczaby mu na uregulowanie wszelkich zaległości, a także na bieżące opłaty - i sporo by jeszcze zostało. Tymczasem Ronda ubezpieczyła się tylko na sumę pięćdziesięciu tysięcy, a wdowiec wpłacił ostatnią składkę już po jej śmierci. „Oczywiście odebrał pieniądze, gdy tylko było to możliwe”.

Ponadto Reynolds próbował dobrać się do 7500 dolarów, które jego żona miała otrzymać po sprzedaży rancza w McClery, gdzie mieszkała z Markiem Liburdim. (Ronda zamierzała dać te pieniądze matce w ramach spłaty pożyczki, którą otrzymała na dom przy Twin Peaks Drive).

Royce przypomniał, jak Ron powiedział policjantom, że wieczorem 15 grudnia znalazł kaburę od pistoletu obok sedesu. Podobno spytał Rondę o pistolet swego ojca, a ona odparła, że oddała go Davidowi Bellowi. Reynolds schował zatem kaburę do szuflady.

„Detektywi nie znaleźli jej ani tam, ani nigdzie indziej, a pan Reynolds twierdził potem, że schował kaburę do szuflady dopiero po wyjściu funkcjonariuszy. Dwa lata później mówił Glade'owi Austinowi podczas przesłuchania, że musiało mu się coś poplątać”.

Niektórzy śledczy napisali w swych raportach, że broń znajdowała się w lewej ręce Rondy, inni twierdzili, że leżała między jej dłońmi, a Bob Bishop widział, jak rewolwer spoczywał na czole kobiety. Jerry Berry dostrzegł nawet odcisk broni na skórze. Nikt nie był pewien, gdzie dokładnie leżał, ponieważ David Neiser przesunął go, jeszcze zanim wykonano zdjęcia.

Sędzia Hicks zarządził przerwę, lecz salę opuściło tylko kilka osób. O 15.20 Royce kontynuował swoją przemowę.

„Ron Reynolds udzielił trzech różnych odpowiedzi na temat butelki black velvet znalezionej w sypialni, gdy pytano go, czy Ronda z niej piła: »Tak, widziałem, jak robiła sobie drinka«, »Mogła coś pić« i »Nie wiem, butelka stała w sypialni, ale nie widziałem, czy piła«”.

„W rozmowie z Austinem zeznał, że obudził się na moment o 5.30 i czuł obecność żony w łóżku”.

Prawnik zastanawiał się, jak długo Reynolds zwlekał z telefonem na pogotowie. Czy mógł odczekać, aż wykrwawiła się na śmierć? Dlaczego zdjął obrączkę i zostawił ją w łazience? Dlaczego kiedy przybyli tam policjanci, lustro i ściany pomieszczenia wciąż pokrywała para? Dlaczego mężczyzna dwukrotnie wciskał przycisk drzemki na budziku, opóźniając czas wstania o trzydzieści sześć minut?

Istniało dwadzieścia jeden wątpliwości - i Royce Ferguson omówił każdą z nich. Niektóre dowody i zeznania zupełnie nie pasowały do reszty.

„Jerry Berry prosił przełożonych, by nie zamykali sprawy. Błagał, żeby tylko ją zawiesili. Zespół HITS nie dysponował nawet kopią dwudziestu jeden pytań detektywa”.

Kto posiadał większą wiedzę i doświadczenie w orzekaniu o rodzaju śmierci? Doktor Jeffrey Reynolds, patolog z dyplomem medycyny sądowej, który przeprowadził tysiące autopsji - czy Terry Wilson, asystent lekarza, który nie pojawił się nawet na miejscu śmierci Rony ani nie uczestniczył w sekcji zwłok?

„Doktor Reynolds powiedział państwu, że jest »wysoce nieprawdopodobne«, by Ronda popełniła samobójstwo. Moim zdaniem - mówił na koniec Ferguson - dowody przemawiają za tym, że została ona zamordowana, i proszę państwa o taki właśnie werdykt”.



John Justice rozpoczął swą mowę o 15.42. Jego arsenał świecił pustkami. Nie mógł podsumować tego, co mówili jego świadkowie, ponieważ Terry Wilson i Carmen Brunton nie zeznawali. Prawnik nie przedstawił opinii żadnego biegłego, która miałaby podważyć zeznania doktora Reynoldsa. W ogóle nie powołał żadnych świadków.

Odnosił się do jednego z raportów sporządzonych podczas śledztwa, mówiąc, że „nigdzie nie jest napisane, iż na broni nie znajdowały się odciski”.

W pewnym sensie w procesie tym sądzono Rona Reynoldsa, choć rozprawa dotyczyła tego, jak koroner zajął się sprawą Rony. Tak, to prawda, że nazajutrz po śmierci żony mąż nie okazywał emocji, ale Justice zauważył, że ludzie różnie reagują na szok i żal po stracie bliskiej osoby. Niektórzy nie potrafią opanować emocji, podczas gdy inni zachowują stoicki spokój - a pomiędzy tymi dwoma ekstremami znajduje się cała skala uczuć.

Justice miał jeden mocny argument. Odnosił się do opinii sporządzonej przez zespół HITS, czyli detektywów z wieloletnim

doświadczeniem, którzy doszli do konkluzji, że przyczyną śmierci Rony Reynolds była rana, którą sama sobie zadała. Podobne wnioski wyciągnęli śledczy z biura szeryfa hrabstwa Lewis... oraz Terry Wilson.

Prawnik pozwanego przemawiał niecałe pół godziny. Znajdował się między młotem a kowadłem. Atakiem na zmarłą oraz jej zdeterminowaną matkę nie zjednałby sobie ławników. Nie chciał również poruszać kwestii nieobecności Wilsona na sekcji zwłok Rony Reynolds i jego zwyczaju unikania miejsca zbrodni.



Wreszcie rozprawa dobiegła końca. Przysięgli udali się na naradę. Dzień także chylił się ku końcowi - w listopadzie o tej porze panował już mrok. Czy owe dwanaście osób wybierze spośród siebie przewodniczącego i zacznie obrady od razu? A może najpierw poproszą o dostarczenie im kolacji lub też zechcą porządnie się wyspać, zanim rozpoczną dyskusję?

Przez pierwszą godzinę nie pojawiły się żadne informacje. Przez drugą także. Reszta wieczoru przebiegła równie spokojnie. Co stanie się rano?

ROZDZIAŁ 31

We wtorek wczesnym rankiem widzowie i dziennikarze zebrali się w sali sądowej, nie chcąc przegapić powrotu przysięgłych. I czekali, w pełni świadomi, że werdykt może równie dobrze pojawić się za kilka dni.

Royce Ferguson złożył wniosek z prośbą o przeprowadzenie ankiety wśród przysięgłych, jeśli uznają, że Terry Wilson zaniedbał swoje obowiązki. Chciał wiedzieć, co myśleli. Jeśli według nich samobójstwo nie było prawidłowo określonym rodzajem śmierci, pragnął się przekonać, czy uważali to za zabójstwo, czy też za jeszcze inny przypadek? Sędzia Hicks oddał wniosek.

- To nie jest dochodzenie. Gdyby tak było, nie mógłbym przyjąć niektórych zeznań i dowodów.

Zarządzono przerwę na obiad. Większość widzów nie zamierzała wychodzić. Wyczuwaliśmy, że zbliża się moment ogłoszenia werdyktu - i nie pomyliliśmy się. Ława przysięgłych wysłała informację o 13.15. Klamka zapadła. O godzinie 13.32 przysięgli zajęli swoje miejsca na sali sądowej.

Urzędnik spytał ich, czy podjęli decyzję w sprawie numer 062010441.

- Tak - odparł krótko przewodniczący.

Ponieważ była to sprawa z powództwa cywilnego, do ustalenia werdyktu wystarczyła zgoda dziesięciu ławników. Mieli oni odpowiedzieć na trzy pytania:

1. Czy Terry Wilson dobrze wykonał swoją pracę i podjął trafną decyzję w sprawie rodzaju śmierci Rony Reynolds?

Odpowiedź przysięgłych brzmiała: „Nie”.

2. Czy orzeczenie o samobójstwie było błędne?

Odpowiedź przysięgłych brzmiała: „Tak”.

3. Czy podczas dochodzenia w sprawie śmierci Rony Reynolds biuro koronera wykazało się „samowolą i niezdecydowaniem”

Odpowiedź przysięgłych brzmiała: „Tak”.

Następnie każdego z przysięgłych przepytano oddzielnie, by przekonać się, jak głosowali.

Barb Thompson, wciąż niepewna, czy wygrała po tak wielu latach i tak licznych przeszkodach, patrzyła i słuchała, jak każdy z ławników zgadzał się, że koroner zaniedbał swoje obowiązki i pozwolił, by w dokumentach znalazł się nieprawdziwy zapis dotyczący rodzaju śmierci jej córki - najboleśniej dla jej bliskich.

Na sali panowała całkowita cisza. Terry Wilson, który pojawił się tego dnia w sądzie, leniwie żuł gumę, zachowując niemal pokerową twarz. Jego emocje zdradzał tylko silny rumieniec. Po zakończonej rozprawie bez słowa wstał i wyszedł.

Tracy Vedder z KOMO-TV oraz inni dziennikarze musieli szybko przemieścić się z sali rozpraw, aby dogonić koronera i jego świtę. Tracy, która przez lata wspierała Barb w jej pozornie beznadziejnej misji, podstawiała przegranemu mikrofon i spytała:

- Czy zmieni pan teraz zapis w akcie zgonu?

- Zrobię to, co doradzą mi prawnicy - odparł Wilson oschle, wchodząc do windy.

Matka Rony płakała - tym razem ze szczęścia. Nie przejmowała się, czy ktoś ją widzi. Pierwsze, co zrobiła, to chwyciła za telefon i zadzwoniła do babci Virginii, by przekazać jej dobre wieści. Po drugiej stronie gór jej matka także nie mogła powstrzymać łez. Gdy tylko pożegnała się ze staruszką, zadzwoniła do Freemana.

Kim Edmundson, porucznik z biura szeryfa z Idaho i jedna z wielu młodych kobiet, które Barb „adoptowała” w ciągu ostatnich lat, przyjechała z nią na wybrzeże. Wiedziała, jak ciężko jest prowadzić samochód, mając naderwane ścięgno. Nie chciała też, by Barbara jechała sama po ewentualnej porażce w sądzie. Kobiety objęły się, a flesze aparatów i światła kamer migały, uwieczniając tę chwilę radości.

Royce Ferguson, Marty Hayes i Jerry Berry, którzy podczas procesu zachowywali śmiertelną powagę, teraz ściskali się nawzajem i uśmiechali szeroko. Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że któryś z nich podskoczył nawet z radości.

Wyeliminowanie słowa „samobójstwo” było niewątpliwym sukcesem całej czwórki.



Terry Wilson miał dziesięć dni na złożenie apelacji, lecz nikt nie spodziewał się, że to zrobi.

Sędzia Hicks odrzucił wniosek Fergusona o przeprowadzenie wśród przysięgłych ankiet, by dowiedzieć się, czy sądzili, że Ronda padła ofiarą zabójstwa. Tak więc choć istniała liczba „potencjalnych podejrzanych” - większa niż w typowych sprawach o morderstwo - policja i władze hrabstwa Lewis nie spieszyły się, by ująć sprawcę lub sprawców.

Z upływem lat wspomnienia świadków coraz bardziej się zacierały. Ludzie przeprowadzili się do innych miast i być może przekonali samych siebie, że lepiej się w to nie mieszać, nawet jeśli wiedzą coś o sprawie. Niektórzy z nich zmarli.

Żadne wysiłki nie przywrócą życia Rondzie, którą ograbiono z cennych lat młodości. Dziś miałyby czterdzieści cztery lata i zapewne byłaby żoną kogoś, kto by ją kochał, być może również matką gromadki dzieci.

ROZDZIAŁ 32

Dwa tygodnie po zakończeniu procesu wróciłam z Barb Thompson do hrabstwa Lewis. Już dawno się zaprzyjaźniłyśmy. Najpierw kontaktowałyśmy się poprzez e-maile i listy, a potem podczas procesu w Chehalis - osobiście. Obie zatrzymałyśmy się w hotelu Best Western Inn - podobnie jak większość osób spoza hrabstwa Lewis, które uczestniczyły w rozprawie.

Barb zawsze wstawała wcześniej rano i jechała do sądu, podczas gdy ja przekraczałam jego próg tuż przed pojawieniem się sędziego Hicksa. Wieczorami naradzała się ze swoim zespołem, a potem kładła się do łóżka i zapadała w głęboki sen. Raz na jakiś czas szłyśmy prosto z sądu na drinka, aby się odprężyć, lecz ona nie pozwalała sobie na zbytne rozluźnienie. Musiała być silna i czujna podczas całej rozprawy.

Od samego początku - jeszcze w 1998 roku, kiedy po raz pierwszy usłyszałam o byłej policjantce stanowej, która zginęła w tajemniczych okolicznościach - wątpiłam, że Ronda Reynolds popełniła samobójstwo. Przeczyło temu wszystko, czego nauczyłam się o dowodach rzeczowych przez trzydzieści lat pisania o morderstwach. Przyznaję otwarcie, że w listopadzie 2009 roku jechałam do Chehalis uprzedzona: całym sercem wierzyłam, że Ronda została zamordowana. Nie miałam jednak pojęcia, kto mógł to zrobić. Znałam się na kryminalistyce i zapoznałam się z faktami w tej sprawie, ale nie wiedziałam nic o osobach, które stanowiły część życia zmarłej.

Teraz wyruszyłyśmy z Barb w podróż, dzięki której - jak sądziłyśmy - zdobędziemy informacje zawężające krąg podejrzanych. Gdy

jechałyśmy na zachód, pogoda zdawała się zwiastować dobre nowiny - słońce świeciło jasno, choć jeszcze dwa tygodnie wcześniej niebo nad hrabstwem Lewis całkowicie zasnuwane było chmurami. Przez ten czas obie mogłyśmy odpocząć i nabrać sił, bo podróż, choć zabrzmiała to dziwnie, wydawała się jak krótka labia. Obie miałyśmy zadatki na pracoholiczki - nigdy nie brałyśmy prawdziwego urlopu.

Przed rozpoczęciem rozprawy na początku listopada sędzia Hicks powiedział przysięgłym, że nie mogą rozmawiać z nikim o tym, co usłyszą w sądzie. Gdy proces dobiegł końca, mogli omawiać swe wrażenia z kimkolwiek chcieli. Sześć byłych ławniczek zjadło kolację z Barb i ze mną. Miał dołączyć do nas jeden mężczyzna, ale zatrzymała go burza. Kobiety chciały rozmawiać z nami tak bardzo, jak my z nimi.

Jedna z nich przyznała, że zdziwiła się niepomiarowo na widok rysunku przedstawiającego układ domu przy Twin Peaks Drive - był identyczny z jej własnym domem.

- Sypialnia, łazienka i garderoba wyglądały zupełnie jak u mnie, nie miałam więc problemu ze zrozumieniem opisu miejsca zdarzenia.

Żadnej z osób, z którymi rozmawiałyśmy, nie sprawiło kłopotu ustalenie werdyktu.

Zdziwiły się, że Terry Wilson nie zeznawał. Jedna z nich stwierdziła stanowczo:

- Jeśli jesteś niewinny, bronisz się.

Jego decyzja, by nie zeznawać, najwyraźniej mu zaszkodziła. Podobnie jak jego nieobecność przez większość procesu.

- Okazał brak szacunku dla sędziego i ławy przysięgłych - stwierdziła jedna z kobiet.

- A kogo uznalibyście za najlepszego świadka? - spytałam, zmieniając temat.

Niemal bez namysłu wskazały Marty'ego Hayesa. Dzięki ciekawemu sposobowi przekazu przyciągnął ich uwagę. Większość z nich nie brała nigdy wcześniej udziału w rozprawie i niektóre oczekiwały czegoś w stylu seriali telewizyjnych, czy tak zwanych dramatów sądowych. Hayes wydawał im się postacią żywcem wyjętą z filmu.

W pamięć zapadł im również David Bell - jego wyraźny ból po stracie Rondy, widoczny podczas zeznań, bardzo poruszył kobiety z ławy przysięgłych. Podobnie jak determinacja Jerry'ego Berry'ego, który nie zamierzał się poddać, chcąc za wszelką cenę doprowadzić sprawę do końca.

Jedna z pań miała nadzieję, że podczas procesu pojawi się informacja, która sugerowałaby, kto zabił Rondę.

- Zmarnowali tyle pieniędzy na proces, z którego nic nie wynikało.

Barb nie zgadzała się z tym. Wygrała właśnie ważną bitwę i zamierzała znaleźć osobę, która uśmierciła jej córkę, nawet jeśli miało jej to zająć kolejne jedenaście lat. Jednak dobrze było wiedzieć, że dwanaście obcych osób podzielało jej przekonanie, iż Ronda nie popełniła samobójstwa.

Przewodnicząca ławy przysięgłych miała na imię Angel. Barb uważała ich wszystkich za anioły.



Następnego ranka jechałyśmy bocznymi drogami i zwiedzałyśmy miejsca, w których Ronda przeżywała kiedyś szczęśliwe chwile. W McCleary pokazała mi ranczo, gdzie mieszkała wraz z Markiem Liburdim. Był to spory teren ze stajniami, wybiegiem i pastwiskiem, na którym swobodnie mogły pasać się konie. Za domem płynął strumyk i rosły krzaki jeżyn oraz wysokie drzewa iglaste. Niemal wyczuwałam radość i spokój Rondy, które przepełniały ją, gdy wracała tam po męczącym patrolu. Na lewo od pastwiska piaszczysta droga prowadziła do odgradzonego terenu.

- Tu znajdowała się kryjówka Marka - wyjaśniła Barb. - Stąd nie widać, ale stoi tam niewielka szopa. Wydaje mi się, że wciąż należy do niego.

Następnie udałyśmy się do hrabstwa Grays Harbor, by odwiedzić Glendę i Steve'a Larsonów. Ona była druhną Rondy na ślubie z Ronem Reynoldsem. Otwierając drzwi, nie kryła radości na widok Barb. Zrobiła nam kawę i opowiedziała o przyjaźni z jej córką i o tym, jak w deszczowe dni godzinami przesiadywały w stodole i rozmawiały.

Zadzwoiła do swego męża - zastępcy szeryfa hrabstwa Grays Harbor, który przebywał na patrolu - i powiadomiła go, że przyjechałyśmy. Natychmiast zjawił się w domu i uraczył nas historią o chłopcach, którzy rzucali kamieniami w wóz patrolowy Rondy, oraz o wspólnym wytropieniu sprawców.

Jedną z wielu rzeczy, których dowiedziałam się w tamtym czasie, było to, ile osób kochało Rondę - oraz ile uwielbiało także Barb. Prawie wszędzie, gdzie pojechaliśmy tego dnia, przyjmowano nas serdecznie. Jedno miejsce stanowiło wyjątek.

Pojechaliśmy do Aberdeen, gdzie - naszym zdaniem - mogła przebywać Huttula. Barb odwiedziła ją kilka miesięcy wcześniej z Tracy Vedder. Kobieta nie była wówczas zbyt wylewna, ale zgodziła się na rozmowę. Katie zawsze zdawała się lubić Barbarę. Pięć lat wcześniej napisała do niej list, w którym zasugerowała, że Ronda nie zabiła się sama. Matka zmarłej bardzo chciała zapytać ją wreszcie, co przez to rozumiała - i być może teraz miała ku temu okazję.

Obie nie mogłyśmy doczekać się spotkania z drugą żoną Rona. Specjalnie zwlekałyśmy z tym do zakończenia rozprawy, bo sądziłyśmy, że wtedy chętniej zgodzi się na rozmowę. Ani ona, ani Ron nie zbliżali się nawet do budynku sądu i nikogo to nie dziwiło. Reynolds udał się wówczas na zwolnienie i podobno w ogóle nie wychodził z domu, a miejsce pobytu jego byłej żony pozostawało nieznanne.

Wjechałyśmy do Aberdeen, niegdyś prosperującego miasta rybackiego, poważnie osłabionego przez recesję. Nie licząc tabliczek z napisem *Zamknięte*, okna wystawowe wielu sklepów świeciły pustkami, a w samym centrum stały budynki wyglądające na mocno zaniedbane. Wyglądało na to, że po wielu latach rosnącego bezrobocia miasto w końcu się poddało.

Po przejechaniu dziesięciu przecznic Barb skręciła w lewo. Była pewna, że trafi na osiedle mobilnych domów, choć nie pamiętała dokładnego adresu.

- Jej ojciec to przemiły człowiek - mówiła. - Przekazał prowadzenie apteki synowi i z całych sił stara się pomóc Katie. Stracił syna w Wietnamie, a młodsza córka, Mary, popełniła samobójstwo. Słyszałam, że niedawno przydarzył mu się niefortunny upadek i podejrzewano nawet pęknięcie czaszki.

Blake Huttula kupił dom na osiedlu, którego szukałyśmy, w nadziei, że jego córka będzie radziła sobie lepiej, mając własny kąt.

- Z tego co wiem, Mary zabiła się, kiedy mieszkały razem z Katie, sześć lat temu - opowiadała dalej Barb. - Ale nie jestem pewna, czy zdarzyło się to w tym samym domu.

Poleciła mi wyglądać osiedla po lewej stronie drogi i po pewnym czasie rzeczywiście się pojawiło. Wydawało się zadbane, choć pozbawione liści drzewa nie nadawały mu zbyt przyjaznego wyglądu. Każdy z domów stojących w trzech lub czterech rzędach miał przed wejściem miniaturowy trawnik.

- Mieszka przy Meander Way, pod numerem dziewiętnym - oznajmiła Barb. - To niedaleko wjazdu.

Niebiesko-biały dom Huttuli stał po lewej, tuż przy bramie wjazdowej na osiedle. Był sporych rozmiarów, z salonem znajdującym się na wprost drzwi wejściowych, kuchnią, łazienką i dwoma sypialniami. W oknie zobaczyłyśmy tablicę z napisem *Na sprzedaż*.

Choć nie zauważyłyśmy śladów niczyjej obecności, zapukałyśmy do drzwi i czekałyśmy. Po ponownej próbie, osłaniając oczy przed

słońcem, zajrzałyśmy do środka przez szybkę w drzwiach. Wewnątrz znajdowało się niewiele mebli; nie widziałyśmy żadnych rzeczy osobistych. Dom najwyraźniej został opuszczony i od jakiegoś czasu nikt w nim nie mieszkał.

Wyczułyśmy, że jesteśmy obserwowane - lecz nie z domu, przed którym stałyśmy. Gdy spojrzwałyśmy w stronę sąsiedniego budynku, zasłony, które przed chwilą były odsunięte, natychmiast opadły. Stwierdziłyśmy, że ludzie mieszkający tak blisko muszą mieć jakieś informacje o sąsiadce, toteż spytałyśmy przechodzącego mężczyznę, czy wie, dokąd wyniosła się Catherine Huttula. Pokręcił głową.

- Proszę spytać w biurze, czwarty dom na prawo.

Człowiek, który nam otworzył, podał się za menedżera. Wyjaśniłyśmy, że szukamy Katie.

- Wyprowadziła się.

- Wie pan może dokąd? - spytała Barb.

- Mieszka teraz na wzgórzu, w budynku komunalnym przy Salmon Street.

Uśmiechnął się do nas i zamknął drzwi.

Skierowałyśmy się więc ku drodze, którą przyjechałyśmy, i ruszyłyśmy na poszukiwanie owego wzgórza. Miałyśmy mapę, ale nie mogłyśmy znaleźć wspomnianej ulicy. Wjechałyśmy na kilka pagórków i przemierzyłyśmy nawet kilka bardziej pochyłych dróg, które na upartego można by uznać za „wzgórza”, lecz nie udało nam się znaleźć Salmon Street ani żadnych domów lub też bloków, które wyglądałyby na komunalne.

Spytałyśmy o drogę w sklepie oraz restauracji typu drive-through. Nikt nie kojarzył adresu, który nam podano. Wylądowałyśmy w końcu przy torach, na tyłach jakichś magazynów.

- Barb - powiedziałam w końcu. - Wydaje mi się, że ten facet wiedział, gdzie mieszka Katie, ale nas okłamał.

- Chyba masz rację - wymamrotała Barb, zawracając. - Wróćmy tam i porozmawiajmy z nim jeszcze raz.

Przejechałyśmy ponownie Meander Way i zatrzymałyśmy się przed biurem. Tym razem nie zastałyśmy kierownika, ale otworzyła nam kobieta z bardzo kwaśną miną. Kiedy spytałyśmy o Katie Huttulę, wzruszyła ramionami i odparła:

- Nie mam pojęcia, dokąd wyjechała.

- Pani mąż - ten pan, który rozmawiał z nami wcześniej - powiedział, że mieszka w budynkach komunalnych przy Salmon Street, ale chyba źle go zrozumialiśmy.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- A zna pani taką ulicę?

- Nie - warknęła i zamknęła nam drzwi przed nosem.

I na tym zakończyło się nasze śledztwo. Obie byłyśmy przekonane, że ludzie nadzorujący osiedle znali miejsce pobytu Katie, ale z jakiegoś powodu nie chcieli nam go zdradzić. Może uważali, że jesteśmy jej znajomymi i nie chcieli wyświadczać jej żadnych przysług, jeśli wyjechała, nie zapłaciwszy czynszu. A może brali nas za pracowników firmy windykacyjnej czy nawet prywatnych detektywów i woleli ją chronić lub po prostu zabawiali się naszym kosztem, wysyłając nas na bezowocne poszukiwania nieistniejącej ulicy.

Tak czy inaczej, zrozumialiśmy, że nie przekażą nam żadnych przydatnych informacji. Ściemniało się, a nas czekała długa droga, udałyśmy się więc do Chehalis.

Wolałyśmy nie kontaktować się z rodzicami Katie Huttuli - ci starsi, schorowani ludzie dość już wycierpieli. Być może nie wiedzieli nawet, gdzie jest ich córka.



Mam zasadę, że zawsze czekam do końca rozprawy sądowej, zanim zabiorę się za przeprowadzanie wywiadów ze świadkami, dlatego też nie poznałam jeszcze wielu osób związanych ze sprawą. Barb zaproponowała Blair Connery, by zjadła z nami obiad w chińskiej restauracji w Chehalis. Ku mojemu zdziwieniu przyjęła zaproszenie.

Była bardzo otwarta i przyjaźnie nastawiona - tak jak opisała ją Barb. Chętnie rozmawiała o latach spędzonych z Ronem Reynoldsem, choć z pewnością nie wspominała ich z przyjemnością. Żałowała, że tak późno dostrzegła, jaką rolę pełniła w jego życiu. Kiedy miała w końcu dość posługiwania mu jako pomoc domowa i kucharka, postanowiła odejść. Ich synów i tak niewiele łączyło, mieli zupełnie inne zainteresowania, więc raczej nie było szans, że nagle nawiążą bliższe relacje. Na szczęście tak bardzo zaangażowała się w ślub jednego z synów, że rozstanie z Ronem przeżyła bezboleśnie.

Blair nie cierpiała specjalnie po zakończeniu tego - jak się okazało - jednostronnego związku. Nie straciła poczucia humoru. Ponieważ mieszkali blisko siebie, widywała czasem Rona na ulicy lub w sklepie, a wtedy nie mogła uwierzyć, że kiedyś go kochała. Odczuwała ulgę, że nie jest już częścią jej życia.

Któregoś dnia Barb i ja zatrzymałyśmy się w Olympii. Dan Pearson, który przez kilka lat pracował z Rondą w ochronie, zaprosił nas do siebie i z chęcią opowiedział mi, jak odważną i zabawną była osobą. Gdy wspominał, jak razem łapali „rzezimieszków”, łzy napływały mu do oczu. Miał wrażenie, że zginęła wczoraj, a nie jedenaście lat temu. Bardzo brakowało mu zmarłej przyjaciółki. Zapisałam wiele stron w swym notesie, słuchając wspomnień Dana Pearsona, mówiącego o kolejnych incydentach ze złodziejami sklepowymi w Walmarcie i Bon Marche.

Poznałam również funkcjonariuszy policji stanowej - zarówno kobiety, jak i mężczyzn - którzy zapamiętali Rondę jako doskonałą policjantkę. Podobne opinie słyszałam od pracowników biura szeryfa hrabstw, w których pracowała - twierdzili, że zawsze udzielała im wsparcia, jeśli nocą mieli kłopoty na mało uczęszczanych drogach.

Podczas dorocznej konwencji Międzynarodowego Stowarzyszenia Kobiet w Policji rozmawiałam z panią sierżant z waszyngtońskiej policji stanowej. Gdy powiedziałam jej, że zbieram materiały do

książki o tajemniczej śmierci Rondy Reynolds, wykrzyknęła:

- Dzięki Bogu! Zasługuje na to, by ktoś opisał jej historię!

Barb przedstawiła mnie telefonicznie Judy i Larry'emu Semankom, siostrze i szwagrowi Rona, z którymi rozmawiałam przez kilka godzin. Ponieważ Larry pracował jako zastępca szeryfa hrabstwa Lewis, a przez jakiś czas także jako zastępca koronera, miał wystarczające doświadczenie, by dostrzec mętne aspekty śledztwa w sprawie śmierci Rondy. To on po przybyciu do domu przy Twin Peaks Drive widział, jak Ron pakuje świąteczne prezenty. On też wyczuł zapach świeżego prania. Dlaczego szwagier postanowił nagle uprać górę ubrań, gdy jego żona wciąż leżała martwa w ich sypialni? „Policyjny radar” Larry'ego uaktywnił się, dając do zrozumienia, że coś jest nie tak. Od tamtej pory zachował podejrzliwość, wyczuwając, że nie wszyscy z otoczenia Rondy mówili prawdę.



Kiedy umieściłam na swej stronie internetowej apel z prośbą o kontakt do osób, które znały Rondę, Rona lub Katie Huttulę, zostałam zasypana telefonami, listami i e-mailami od ludzi - obecnie w wieku ponad pięćdziesięciu lat - którzy znali ich w dzieciństwie lub chodzili z nimi do szkoły średniej w Elmie. Wszyscy pamiętali sytuacje sprzed lat związane z tymi trzema osobami, których znajomość nawiązana w grupie Świadków Jehowy rozbiła dwa małżeństwa i zakończyła się tragedią.

Ronda nie uczyła się oczywiście z Katie i Ronem, była znacznie młodsza i dorastała setki kilometrów od nich. Z pomocą Barb zlokalizowałam jej dawnych kolegów, niektórych jeszcze z czasów podstawówki.

Pewnego dnia zadzwoniła do mnie kobieta pracująca w urzędzie państwowym w McCleary. To ona organizowała sierpniowy zjazd absolwentów rocznika 1969 szkoły średniej w Elmie. Podobnie jak inni jego uczestnicy, zdziwiła ją obecność Rona, a także jego

zachowanie - wydawał się zupełnie wyluzowany, choć była tam również jego pierwsza żona, a on zjawił się w towarzystwie czwartej.

- Czy Katie też przyjechała? - spytałam.

- Nie i nie spodziewaliśmy się jej. Na początku lata jedna z dziewczyn wybrała się do niej z wizytą. Zamierzałyśmy wykonać album ze zdjęciami wszystkich absolwentów zatytułowany *Wczoraj i dziś*.

Kiedy Huttula otworzyła drzwi, zdawała się nie rozpoznawać stojącej na progu kobiety i nie pozwoliła zrobić sobie żadnych zdjęć.

- Zachowywała się jak paranoiczka - mówiła moja rozmówczyni.

- Wyrzuciła z posesji naszego fotografa! Od tamtej pory nie próbowaliśmy więcej się z nią kontaktować.

Nie mogłam namierzyć Katie Huttuli. Szukałam jej danych w Internecie i znalazłam adres e-mailowy. Napisałam wiadomość, prosząc o spotkanie i rozmowę - twarzą w twarz lub przez telefon. Dwa dni później otrzymałam trzy e-maile pisane dziwnym szyfrem. Nie znałam nazwiska nadawcy, nie rozumiałam też, o co może mu chodzić. Odpisałam, pytając, czy rozmawiam z Katie. W odpowiedzi przeczytałam, że coś mi się pomyliło i że osoba ta nie zna nikogo o takim imieniu. Dostawałam dużo e-maili, więc wiadomość ta była pewnie zwyczajną pomyłką... a może nie.

Choć wiedziałam, gdzie przebywa Ron Reynolds, znałam jego adres, miejsce pracy, nawet numer telefonu, na nic mi się to zdało. Najpierw pisałam do niego zwykle listy. Odpowiedź przyszła nie od niego, lecz od jego prawnika, Raya Dudenbostela, który stwierdził, że jego klient bardzo przeżył tragiczną śmierć żony i nie chce wracać pamięcią do tego strasznego grudniowego dnia.

Ron Reynolds od lat nie udzielał żadnych wywiadów - pozostawał nieuchwytny. W końcu przestałam liczyć na to, że zdołam wydobyc od niego jakiegokolwiek informacje.



Nie tylko Ron nie chciał ze mną rozmawiać. Wiele trudności nastąpiło mi namierzenie Vince'a Parkinsa, kolejnego kolegi Katie ze szkoły w Elmie. Jego brat nie zaprzeczył, że Vince przeżył otrucie arszenikiem, gdy mieszkał z Huttulą, ale też nie potwierdził. Dał mi jego numer telefonu, lecz kiedy dzwoniłam tam kilkakrotnie, nikt nie odbierał.

W małych miastach sekrety zazwyczaj szybko wychodzą na jaw, ale są też takie, do których osoba z zewnątrz nigdy nie uzyska dostępu.

Niektórzy mieszkańcy Toledo nie lubili Rondy. Pewna pani powiedziała mi, że uczestniczyła w spotkaniach grupy kobiet, do której należała również zmarła. „Lubiła być w centrum uwagi, zachowywała się zbyt żywiołowo. Nie nadawała się na żonę dyrektora szkoły. Spodziewałam się kogoś cichszego i bardziej dystyngowanego”.

Ronda była sobą i nie zamierzała dopasowywać się do staromodnego modelu żony dyrektora. Przez osiem lat pracowała w policji, a potem w ochronie. Widziała rzeczy, których większość kobiet z Toledo nie byłaby w stanie sobie wyobrazić. Tryskała energią i miała duże poczucie humoru, ale - to prawda - popołudniowe herbatki nie należały do jej ulubionych zajęć.

Kilka miesięcy po ślubie z Ronem Reynoldsem odkryła jego romans z byłą żoną. Skoro według niektórych na co dzień zachowywała się zbyt głośno, ile w takiej sytuacji musiało ją kosztować udawanie przykładowej żony. Zresztą i tak sądziła, że nie pomieszką w Toledo długo - nawet kiedy urządziła dom, czuła się w nim obco.

ROZDZIAŁ 33

Święta 2009 roku minęły szybko. Barb do pewnego stopnia odzyskała spokój ducha, po tym jak dwunastu przysięgłych oceniło, że koroner Wilson pomylił się, określając śmierć jej córki jako samobójstwo.

Babcia Virginia również była spokojna. „Przez ostatnie kilka lat miałam wrażenie, że moja matka za wszelką cenę chciała doczekać chwili oczyszczenia imienia Rondy” - powiedziała Barbara. „Po rozprawie nie zależało jej już na tym, by żyć. Chciała być przy mnie, dopóki nie udowodnimy, że córka nie popełniła samobójstwa, ale miała już wszystkiego dość. Pragnęła być ze swoją wnuczką. Przekomarzałam się z nią, mówiąc, iż zazdroścę jej, że pierwsza się z nią spotka”.

Sanitariusze znali ich adres na pamięć - wielokrotnie byli tam wzywani. Za każdym razem Barb martwiła się, czy matka przeżyje - ale jej obawy się nie sprawdzały. Obiecała sobie, że będzie opiekować się nią do końca i jeśli taka będzie jej wola, pozwoli jej umrzeć w domu. Nadal spała na połówce przy łóżku Virginii.

Staruszka prawie nic nie jadła. Nic jej nie cieszyło.

- Wiem, że ją stracę - wyznała mi Barb któregoś dnia. - Ona jest gotowa odejść, a ja nie mogę trzymać jej przy sobie na zawsze.

Zerwane ścięgno w lewym barku bolało ją coraz bardziej. Mimo to pracowała przy koniach i w domu, bez słowa skargi. Opiekowała się kłaczą, którą lada dzień czekał poród, więc musiała mieć na nią oko. Jeśli coś okazywało się dla niej za trudne, z pomocą przychodził Freeman.



Wilson miał dziesięć dni na odwołanie się od listopadowego werdyktu. Poprosił o przedłużenie terminu - i je otrzymał. Ogłosił już, że nie będzie ubiegał się o reelekcję na stanowisko. Barb pamiętała o zbliżającym się ostatecznym terminie składania ewentualnej apelacji, lecz zakładała, że koroner da sobie spokój i skupi się na przyszłości.

Tymczasem Terry Wilson w ostatniej chwili złożył apelację. Wyglądało na to, że zamierza wykorzystać wszelkie dostępne środki prawne, by opóźnić zmianę aktu zgonu Rondy - tak, by stało się to dopiero, gdy minie jego kadencja.

Koszmar powrócił. Royce Ferguson prosił Barb, aby się nie martwiła, zapewniając, że wszystkim się zajmie. Wiedziała, że może na niego liczyć.



Virginia Ramsey w końcu się poddała. Nie chciała nic jeść i odwracała się nawet na widok płynów. Dzięki lekarzowi Barb mogła przynajmniej ulżyć jej w bólu. Kobieta zmarła 4 lutego 2010 roku.

Po listopadowej rozprawie i werdykcie uznającym, iż Terry Wilson popełnił błąd, oceniając śmierć jej ukochanej wnuczki jako samobójstwo, Virginia zdecydowała, że jej czas nadszedł. Żyła jeszcze tylko trzy miesiące.

Choć Barb spodziewała się tego, strata matki była dla niej dotkliwym ciosem. Zajmowała się nią przez tyle lat. Tak naprawdę dbały o siebie nawzajem - oraz o Rondę i Freemana. Musiały stawić czoła wielu sytuacjom, w których żadna z nich nie poradziłaby sobie sama, ale razem przetrwały. Kiedy Barbara miała jakieś wieści - dobre czy złe - zawsze dzwoniła najpierw do Virginii.

Czuła wszechogarniającą pustkę. Wszyscy odeszli: matka, siostra, córka, pierwszy mąż. Nie miała pojęcia, co się dzieje z Halem Thompsonem - nie dzwonił do niej od kilku lat. Skeeter nie żył prawie od dekady, a Don Hennings dostał wylewu w październiku 2007

roku. Był bardzo chory, więc kobieta zabrała go do siebie, by się nim opiekować. On także odszedł od niej w lipcu 2008 roku.

Miała jeszcze Freemana i brata, Billa, a także licznych znajomych, ale bez Virginii świat wydawał się smutniejszy.

W ostatnich tygodniach ból w ramieniu narastał. Teraz Barbara miała się w końcu poddać operacji. Chciała jednak spędzić w szpitalu jak najmniej czasu- nie mogła zostawić bez opieki ciężarnej klaczy.



Podczas gdy Royce Ferguson przygotowywał odpowiedź na apelację Wilsona, Berry i Hayes nie zrezygnowali z poszukiwań zabójcy. Wygrali pierwszą rundę bardzo długiej walki - ale do jej końca nadal było daleko.

Dzięki rozgłosowi, jaki - jeszcze przed procesem - sprawie nadały media, pojawiła się szansa na wyjście z impasu. Od ludzi, którzy dowiedzieli się o wszystkim z gazet lub z telewizji, zaczęły napływać nowe informacje. Detektyw starał się zbadać każdy trop. Próbował oczyścić umysł, by pozbyć się wszelkich założeń na temat tego, kto zabił Rondę - chciał zacząć od zera, sprawdzając różne opcje.

Zgodnie z przewidywaniami wiele zgłoszeń zawierało jedynie teorie i domysły, a Berry i Hayes musieli je odsiać. Podczas rozprawy kilka osób podeszło do mnie w korytarzu, dzieląc się swymi opiniami. Pewna kobieta była przekonana, że Ronda została zlikwidowana przez „meksykańską mafię”.

W styczniu 2010 roku Barb Thompson odebrała telefon od mężczyzny przedstawiającego się jako Sig Korsgaard *, który twierdził, że posiada informacje dotyczące ranka 16 grudnia 1998 roku. Jego żona, Karen *, widziała wtedy jednego z synów Reynoldsa. Barbara przekazała tę informację Jerry'emu, który natychmiast skontaktował się z małżeństwem. Miał się z nimi spotkać jeszcze tego samego wieczoru.

Był 9 stycznia 2010 roku, od ślubu Rondy i Rona minęło dwanaście lat i siedem dni. Kiedy Berry zobaczył, jak blisko nich mieszkali Korsgaardowie, zaczął mieć nadzieję, że para rzeczywiście może mu przekazać cenne informacje.

Karen powiedziała, że 16 grudnia wyszła z domu bardzo wczesnie rano - między szóstą a wpół do siódmej. Aby dotrzeć do autostrady, musiała przejechać obok domu Reynoldsów. Wiedziała, kto tam mieszka, ponieważ jej syn, Tom Spencer, nazywany przez znajomych „Bing”, znał dobrze dwóch starszych synów Rona.

- Kiedy mijaliśmy ich dom - opowiadała - z podjazdu wyskoczył nagle jeden samochód, a za nim drugi. Oba ruszyły z wizgiem opon. Żwir spod ich kół posypał się na moją maskę. Trochę mnie to zezłościło.

- Rozpoznała pani któryś z pojazdów? - pytał Berry.

Pokiwała głową.

- Jeden to taurus, którym jeździł czasem Jonathan. Drugi to mały pikap w ciemnym kolorze.

Kobieta dojechała do skrzyżowania Twin Peaks Drive z Drews Prairie Road: oba samochody stały zaparkowane na chodniku. Wciąż było ciemno - za pięć dni wypadał najkrótszy dzień w roku - lecz rozpoznała jednego z dwóch chłopaków, którzy stali przy pojazdach.

- To był Jonathan Reynolds - stwierdziła pewnym głosem.

- Ten drugi mógł być jednym z jego starszych braci. Wyglądało, jakby się kłócili.

- Wie pani, jak ten chłopak ma na imię?

- Nie jestem pewna, ale rozpoznałabym go na zdjęciu.

Karen Korsgaard pojechała do pracy, zastanawiając się, o co mogło chodzić.

- Wydało mi się to na tyle niezwykle, że zadzwoniłam do męża i opowiedziałam mu o tej dziwnej sytuacji. Poradził mi, bym zgłosiła to do biura szeryfa.

Tak też zrobiła, a detektyw, który odebrał, miał przekazać wiadomość Jerry'emu Berry'emu. Kiedy następnego dnia Korsgaardowie dowiedzieli się o śmierci Rony, uznali, że to, co widziała Karen, mogło mieć duże znaczenie. Mimo to detektyw, z którym rozmawiała - kimkolwiek był - nie przekazał wiadomości dalej.

- Nikt mi o tym nie powiedział - mówił Berry.

- I nikt nie przyszedł z nami porozmawiać - odparł Sig.

- Dzwoniliśmy tam jeszcze, ale w końcu zrezygnowaliśmy.

Mężczyzna powiedział, że ktoś - nie chciał zdradzać nazwiska - wyznał mu, iż tej nocy, gdy zginęła Ronda, w domu Reynoldsów odbywała się impreza.

- Wiem, że Ron nie przebywał wtedy w domu, byli tylko chłopcy i ich znajomi. Jonathan mówił wówczas, że „Ronda jest u siebie, strzeliła focha”.

Jeśli to prawda, była to bardzo ważna informacja. Ron zeznał przecież, że on i Ronda położyli się do łóżka około dziesiątej wieczorem i że większość nocy próbował uspokoić ją i odwieść od samobójczych zamiarów, dopóki nie zasnął koło piątej.

Czy to możliwe, że Ronda była sama w domu z imprezującymi nastolatkami? Całkiem prawdopodobne.

Ostatniego dnia stycznia Berry stawiał się w domu Korsgaardów na kolejną rozmowę. Pokazał Karen zdjęcia trzech nastolatków, którzy skończyli szkołę średnią w Toledo w roku 1998. Kobieta wskazała na fotografię numer trzy.

- Micah Reynolds... - wyjawiał detektyw. - Widywała go pani?

- Wielokrotnie. Nie mieszkał tam, ale często przyjeżdżał. To on kłócił się z Jonathanem tamtego dnia, gdy zginęła Ronda.

Para wyjawiała, że osobą, która powiedziała im o imprezie u Reynoldsów, był ich syn, Bing Spencer.

- Miał zadzwonić do pana tydzień temu - oznajmił jego ojczym - ale został zatrzymany. Przebywa w areszcie hrabstwa Lewis.

Bing Spencer poinformował wcześniej matkę, że w nocy z 15 na 16 grudnia 1998 w domu przy Twin Peaks Drive przebywały też

inne osoby. Pamiętał, że przyszedł tam Adam Skolnik * i być może jego brat, Ace. Obaj mieli wtedy po kilkanaście lat; teraz byli mężczyznami po trzydziestce - jak sam Bing Spencer.

Jerry Berry przeszukał archiwa wydziału komunikacji i dowiedział się, że Micah Reynolds jeździł w tamtym czasie dodge'em pikapem z 1991 roku. Następnie sprawdził, w jakich kolorach produkowano takie wozy w 1991 roku - między innymi w ciemnognatowym, co pasowałoby do opisu podanego przez Korsgaard.

Detektyw nawiązał nić porozumienia z obecnym szeryfem hrabstwa Lewis, Steve'em Mansfieldem, który w 2005 roku zastąpił Boba McCroskeya.

„Powiedział mi, że musi brać na siebie całą nagonkę, toteż chce zatrudnić mnie jako konsultanta. Gdyby nie znaleziono zabójcy, odpowiedzialność spadłaby wyłącznie na mnie” - mówił Berry, nie kryjąc rozbawienia.

Jerry nie był zbyt popularny w wydziale śledczym, ale też nie taki miał cel. Jeśli istniał choćby cień szansy na współpracę i zdobycie wystarczającej ilości dowodów, by aresztować sprawcę, z chęcią podjąłby się tego zadania.

3 lutego 2010 roku skontaktował się z Bingiem Spencerem przebywającym w areszcie. Pierwszy raz rozmawiali przedzieleni szybą w sali widzeń. Spencer szybko wyjaśnił, dlaczego on i inni goście na imprezie u Jonathana mieli mgliste wspomnienia tamtego wieczoru - palili wtedy marihuanę.

Mimo to Spencer twierdził, że całkiem dobrze pamięta wydarzenia z nocy z 15 na 16 grudnia. Ponoć przyjaźnił się wówczas z Adamem Skolnikiem - mieszkali nawet razem niedaleko jego rodziców. Do domu Reynoldsów przyjechali około ósmej. Ron zaraz potem wyszedł na jakieś szkolne zebranie.

- Nie widziałem go przez resztę nocy.
- A Rondę?
- Około dziesiątej wyszła z sypialni i poprosiła, byśmy się uciśzyli.

Spencer przyznał, że to on przyniósł marihuane.

- Czy któryś z was jeździł starym pikapem? - spytał Berry.

- Stała tam jakaś stara bryka, ale nie wiem czyja - odpowiedział Spencer. - Na imprezie był też starszy brat Jonathana. Nie pamiętam, jak miał na imię. Może to jego.

- Czy wszyscy paliliście trawkę?

- Wszyscy poza Adamem. On tylko pił whisky.

- Jaką markę?

- Black Velvet albo Jacka Danielsa. Przynieśliśmy na imprezę butelkę black velvet.

Berry zeszytniał. Może pusta butelka tego alkoholu wcale nie pochodziła z barku Reynoldsów.

- Jakoś między północą a drugą nad ranem bracia Reynoldsowie kazali nam wyjść i wrócić za godzinę albo półtorej, kiedy wszystko się uspokoi.

Według Binga Spencera wszyscy goście zastosowali się do prośby. Wyjaśnił, że nie pamięta wszystkiego - ale to, co mu się przypominało przez ostatnie dziesięć lat, zapisywał w notesie.

- Ma pan go jeszcze?

- Jest u mojej byłej żony, więc nie mam teraz do niego dostępu. Z tego co wiem, wyrzuciła wszystkie moje rzeczy. Zawsze uważałem, że Jonathan i jego brat mieli coś wspólnego ze śmiercią Rondy, ale bałem się o tym mówić... Poza tym nie wiedziałem, do kogo z tym iść.

Na kamiennej twarzy Jerry'ego mężczyzna nie mógł dostrzec nadziei, która przepełniła detektywa. Wracając do samochodu, analizował to, co usłyszał, i niektóre fragmenty układanki wreszcie zaczęły tworzyć sensowny obraz.

Mocna woń kadzidełka miała zapewne maskować zapach marihuany. A gdy synowie Reynoldsa kazali wszystkim wyjść po północy i wrócić za godzinę, zyskali czas potrzebny do zgwałcenia i/lub zabicia Rondy.

Prywatny detektyw słyszał z różnych źródeł, jak bardzo Jonathan nienawidził macochy. Może na umysł otumaniony marihuaną jej narzekanie na hałas podziało jak czerwona płachta na byka.

Berry udał się następnie do mężczyzny, który w 2009 roku przekazał mu, że Katie Huttula wyznała: „Mój syn Jonathan zabił swoją macochę w Toledo”. Informator Joey Martin * - także narkoman - jechał wtedy samochodem z Huttulą i innym mężczyzną.

- Pamięta pan jego nazwisko? - spytał detektyw.

- Tak... Zatrzymałem się na autostradzie i pobiegliśmy do jego domu - odparł Joey. - On będzie pamiętał, co powiedziała. Nazywa się Sam Berdelli *.

- Podpisze pan oświadczenie na temat tego, co mi pan przekazał?

- Jasne.

Dla detektywa szukającego niepodważalnych dowodów narkomani nie należą do najbardziej wiarygodnych świadków. Prawnikom przeciwnej strony nietrudno skompromitować ich w oczach ławników, ich zeznania nie są więc zbyt cenne. Ale dla Berry'ego ta wyrywana z kontekstu wypowiedź nabierała sensu.

ROZDZIAŁ 34

Detektyw biura szeryfa hrabstwa Lewis Bruce Kimsey spotkał Jerry'ego Berry'ego, kiedy ten wchodził do budynku, w którym mieścił się areszt. Kimsey przekazał mu, że rozmawiał właśnie z Bingiem Spencerem i miał postarać się załatwić mu „umowę”, co oznaczało zapewne, że aresztowany chciał zostać płatnym informatorem.

- Powiedział mi o tej sprawie z Reynoldsami - dodał mężczyzna.
- Pewnie to samo co tobie.

Berry nie zamierzał na razie zdradzać śledczym szeryfa, co usłyszał od Spencera. Pokiwał tylko głową i życzył Kimseyowi powodzenia.

Bing przyznał, że rozmawiał z detektywem biura szeryfa i nie rozumiał, dlaczego tamten wypytywał go o sprawę Rundy.

- Próbuję dogadać się z nim i przekazać mu nazwiska i miejsca związane z handlem narkotykami.

Mężczyzna najwyraźniej starał się ugrać jak najwięcej dla siebie. Berry zaczynał podejrzewać, że nie mówił on całej prawdy na temat imprezy w domu przy Twin Peaks Drive.

- Czy przypomniał pan sobie coś jeszcze? - spytał aresztowanego.

- Tak, ale nie chcę teraz o tym mówić.

Detektyw odczekał kilka minut, lecz nie zamierzał tańczyć tak, jak mu Spencer zagra.

- Odezwe się jeszcze - rzucił na odchodne.



Berry czekał, ale dopiero 17 lutego dostał wiadomość od Siga Korsgaard. Bing znów chciał rozmawiać z detektywem.

- Muszę być w Olympii - odparł. - Podjadę do niego w drodze do Chehalis.

Po raz kolejny spotkali się w budce z przezroczystego materiału, gdzie byli widoczni dla innych.

- Co chce mi pan powiedzieć? - spytał detektyw po zdawkowym powitaniu.

- Nie przytoczę panu całej historii - zaczął Spencer - ale nie zrobili tego chłopcy Reynolds.

- Kto zatem pociągnął za spust?

Jego rozmówca opuścił głowę i zaczął płakać. Po chwili opanował się i podniósł wzrok.

- Czy zrobił to Adam?

Mężczyzna potaknął.

- Skąd pan to wie? - pytał dalej Berry.

- Wrócił do domu, żeby się przebrać. Na koszulce miał krew. To był biały T-shirt z logo Uniwersytetu Stanu Oregon. Kiedy go zdjął, wrzuciłem go do moich brudnych ubrań. Może wciąż gdzieś go mam.

Znów zaczął płakać. Wyznał, że tajemnica ta ciążyła mu od dwunastu lat, lecz nie był w stanie donieść na przyjaciela.

- To mnie dobija.

Choć detektyw chciał się dowiedzieć jak najwięcej, Spencer stwierdził, że o zdarzeniach z nocy z 15 na 16 grudnia chciałby opowiedzieć gdzieś, gdzie zagwarantowano by mu większą dyskrecję.

- Porozmawiam z adwokatem - odparł Berry - i postaramy się znaleźć lepsze miejsce na rozmowę.

Z samochodu zadzwonił do Karen i Siga Korsgaardów. Czy ktoś z nich pamiętałoby znalezienie zakrwawionej koszulki dwanaście lat temu? Owszem. Bing powiedział im, że wdał się w bójkę, stąd

kwę na ubraniu. Uwierzyli mu. Dał matce do prania także parę dzinsów.

Następnego dnia Jerry Berry ponownie odwiedził Binga. Jego informator stawał się coraz bardziej chętny do współpracy. Zrelacjonował, jak siedział w kuchni Reynoldsów z Jonathanem i Adamem około wpół do dziewiątej wieczorem 15 grudnia. Najpierw pojawiła się Ronda, a potem Ron. Reynolds otworzył piwo i zaproponował jedno Bingowi. Miał na sobie koszulę, spodnie od garnituru i sportową marynarkę. Niedługo potem wyszedł.

- Przyszedł też Jack Walters * - mówił dalej Spencer. - Miesiąc wcześniej Jonathan spytał mnie, czy nie zgodziłbym się zabić Rondy, zasugerował nawet kilka sposobów. Potem, kiedy impreza się rozkręciła, on i Adam zaczęli rozważać, jak mogliby się jej pozbyć. Jonathan stwierdził, że od dawna ma jej dość. Widziałem po spojrzeniu Adama, że stanie się coś złego. Najpierw chcieli, żeby wyglądało to na włamanie, które nie poszło najlepiej. Potem kazali nam wyjść na jakiś czas. Wyszedłem, a ze mną chyba Jack Walters. Adam został.

Bing powiedział, że wrócił do położonego niedaleko mieszkania, które dzielił z Adamem. Około 2.30 lub 3.00 nad ranem pojawił się Skolnik.

- Miał czerwoną plamę na prawym policzku, a jego T-shirt i spodnie były zakrwawione. Rzucił tylko: „Już po wszystkim”.

Wyszliśmy razem po trzeciej i pojechaliśmy gdzieś na Michigan Hill. Adam przyłożył mi pistolet do głowy i zagroził: „Zabiję cię, jeśli komukolwiek powiesz o tym, co się stało”.

Brzmiało to wiarygodnie, ale Berry wiedział, że musi znaleźć dowody rzeczowe - po tylu latach od zdarzenia - które skłoniłyby prokuraturę do postawienia zarzutu zabójstwa, a potem przekonały ławę przysięgłych, że Ronda zginęła tak, jak opisał to Bing Spencer.

Powiadomił o wszystkim Barb Thompson i poprosił ją, żeby zadzwoniła do laboratorium sądowego w Oregonie i dowiedziała się,

czy po dwunastu latach da się przeanalizować DNA z płynów ustrojowych takich jak krew.

Powiedziano jej tam, że jest to możliwe. Najpierw jednak musieli znaleźć zaginioną koszulkę z zaschniętą krwią. Karen Korsgaard pamiętała, że prała te ubrania w 1998 roku, więc nawet gdyby je znalazła, mogły nie nadawać się do badań.

Dwudziestego szóstego lutego Berry spotkał się z szeryfem Mansfieldem i przekazał mu kopie materiałów dotyczących wydarzeń z nocy z 15 na 16 grudnia w wersji przedstawionej przez Spencera. Opisał swoje rozmowy z aresztowanym. Spytał szeryfa, jak powinni według niego postąpić. Ten odparł, że przeczyta raport i odezwie się za parę dni.

Berry nie pracował jako funkcjonariusz w biurze szeryfa, ale od momentu gdy wręczył swój raport Mansfieldowi, obowiązywała go tajemnica śledztwa. Z żalem poinformował Barb, że odtąd nie może dzielić się z nią swoimi odkryciami. Przynajmniej na razie.

Tymczasem Bing Spencer poczuł się pewnie i zażądał specjalnego traktowania. Przekonywał, że gdyby tylko mógł wyjść z aresztu i uzyskać dostęp do swego komputera, na pewno udałoby mu się spisać całą sekwencję wydarzeń.

Jego rodzice wierzyli, że brał udział w imprezie u Reynoldsów, lecz nie przyjmowali do wiadomości, że mógł mieć cokolwiek wspólnego ze śmiercią Rondy. Niemniej jednak jego matka stwierdziła: „Każdy musi ponieść konsekwencje swoich czynów”.

Jerry Berry miał problem z odzyskaniem zakrwawionych ubrań oraz notesu, w którym Bing rzekomo zapisywał swoje wspomnienia z nocy śmierci Rondy. Wyczuł, że Korsgaardowie obawiają się, iż syn wpakował się w poważne tarapaty - groziło mu oskarżenie o współudział w zabójstwie. Nie pomylił się. Karen i Sig zażądali potwierdzenia na piśmie, że tak się nie stanie. Tego nie mógł im zagwarantować.

Mimo to Bing Spencer - wciąż przebywając w więzieniu za inne wykroczenia związane z narkotykami - nie zaprzestał rozmów z

Jerrym. Powiedział, że podczas imprezy poszedł po „trawę”, a kiedy wrócił, Jonathan i Adam się kłócili.

- Chyba chodziło o to, jak zabić Rondę. Wszedłem do domu i skierowałem się na korytarz. Micah akurat wychodził z pokoju ich najmłodszego brata. Spojrzeliśmy na siebie i wtedy w sypialni rozległ się strzał. Usłyszałem, jak Jonathan krzyknął: „O kurwa!”, a potem Adam wrzasnął: „Pomóż mi”. Jakaś dziewczyna w kuchni wrzasnęła i wybiegła na zewnątrz. Ja też wyszedłem stamtąd i pobiegłem do naszego mieszkania. Usiadłem na kanapie... Nie wiedziałem, co mam zrobić.

Ponownie opisał, jak Adam Skolnik wrócił cały zakrwawiony - jego ubranie upstrzone było czymś, co przypominało tkankę mózgową.

- Wyglądało, jakby ktoś rozprysnął mu krew na twarzy.

Opisywał efekt rozprysku krwi po postrzale.

Każdy uznałby tę historię o imprezie nastolatków bez nadzoru za całkiem wiarygodną. Jerry Berry bardzo chciał zyskać pewność, że on i Barb Thompson tym razem trafili na prawdziwych zabójców.

Spencer często zzywał detektywa do aresztu, obiecując „kolejne informacje”. Większość z nich obciążała jego dawnego przyjaciela, Adama Skolnika.

- Wracałem już do domu - opowiadał potem Berry - kiedy zadzwonił do mnie ojciec Binga, mówiąc, że syn zapomniał mi czegoś powiedzieć. Zawróciłem więc i pojechałem do aresztu. Spencer opisał, jak rano, po śmierci Rondy, udali się z Adamem do restauracji Denny's. Podobno przyjaciel pochylił się nad stołem i spytał go: „Chcesz wiedzieć, jakie to uczucie?”. Bing spytał: „O czym mówisz?”. „O tym, jak ją załatwiłem” - odparł tamten. „No jakie?” „Wiesz, jak to jest, kiedy masz zwierzynę na celowniku? Właśnie to czułem - tylko że po tym, jak pociągnąłem za spust”.



Bing Spencer sądził, że jest pupilkiem detektywów. Nie mógł się doczekać „umowy” i pracy dla policji w charakterze płatnego informatora od spraw związanych z narkotykami, poza tym Jerry i inni śledczy poświęcali mu sporo uwagi. W końcu jednak powinęła mu się noga. Jego opowieść zaczęła się rozpadać jak domek z kart.

Piątego marca 2010 roku Jerry Berty przedstawił Binga detektywom z biura szeryfa, Jamesowi McGinty'emu i Kevinowi Engelbertsonowi. Sam przebywał w sali przesłuchań tylko kilka minut. Poprosił mężczyznę, aby mówił prawdę i powtórzył detektywom to, co przekazał jemu.

- Zaznaczyłem, że ufam im w stu procentach i chcę, by on także im zaufał.

Cztery dni później Kimsey zaprosił go na kolejne przesłuchanie Spencera. Posadził Berry'ego w pomieszczeniu za lustrem weneckim i wręczył słuchawki, aby mógł słyszeć całą rozmowę. Przy stole za szybą siedzieli Bing wraz z Engelbertsonem i McGintym. Prywatny detektyw nie wierzył własnym uszom.

„Bing mówił im zupełnie co innego niż mnie. Powiedział, że nie wierzy, aby to Skolnik zabił Rondę i że według niego kobieta sama odebrała sobie życie” - opowiadał Berry. „Zeznał, że przekręciłem jego słowa i dałem mu do zrozumienia, że może za to liczyć na zwolnienie!”

Wyszedł na korytarz i poprosił o rozmowę z sierżantem Dustym Breenem. Wyjaśnił, że Bing Spencer najwyraźniej pogrywa sobie z nim i z policją, przedstawiając każdemu inną bajeczkę.

Czy zatem cała opowieść o imprezie została zmyślona?

Po zakończonym przesłuchaniu zorganizowano spotkanie w biurze szeryfa, w którym uczestniczyli sierżant Breen, detektywi Kimsey, McGinty i Engelbertson oraz Berry. Kimsey uważał, że cała ta historia była wyssana z palca, a McGinty i Engelbertson uznali, że Bing ma zbyt wiele na sumieniu, by mu wierzyć.

Berry nie krył rozczarowania, a sierżant Breen i szeryf Mansfield stwierdzili, że śledztwo będzie kontynuowane, dopiero gdy zdobędą więcej informacji popartych faktami.



Był jeszcze jeden młody człowiek, który rzekomo brał udział w tamtej imprezie: Jack Walters. Detektywi nie potrafili go namierzyć, ale z pomocą Berry'ego Barb Thompson dowiedziała się, że mieszka w hrabstwie Cascade w stanie Montana. Tamtejsze biuro szeryfa chętnie aresztowało go, gdy okazało się, że został skazany za przestępstwa na tle seksualnym i wbrew wymogom prawa nie zgłosił się na policję.

Jeff Ripley - zastępca szeryfa, z którym rozmawiała Barb - powiedział, że osobiście zadzwoni do sierżanta Dusty'ego Breena i zaoferuje pomoc. Po usłyszeniu historii Rondy Ripley zaproponował nawet, że sam przesłucha Waltersa, jeśli detektywi z Lewis wyślą mu listę pytań. Czekał na jakieś informacje z ich strony... Nikt jednak nie zadzwonił do biura szeryfa hrabstwa Cascade.

ROZDZIAŁ 35

Wiosną 2010 roku pojawiły się dowody sprzed lat: szeryf Mansfield doniósł, że uzyskano próbki DNA Rondy i Rona Reynoldsa. Najwyraźniej to jednak jego nasienie znajdowało się na wymazie z pochwy ofiary. Nie odkryto innych śladów spermy. Nie dało się jednak stwierdzić, czy przez cały ten czas - od 1998 roku - próbka była przechowywana właściwie.

Odnaleziono także fragmenty rozdartego paznokcia Rondy. Nie znajdowało się pod nim cudze DNA. Nie złamała go, walcząc o życie; stało się to zapewne podczas przenoszenia rzeczy lub opróżniania łóżka wodnego - o ile w ogóle to robiła.

Bing Spencer uknuł ohydny intrygę. Czy wszystko, co mówił, było wytworem jego wyobraźni - czy jednak rzeczywiście widział i słyszał to, o czym opowiedział? Znał wiele faktów: wiedział o butelce whisky Black Velvet, o kłótni między chłopakami, którą zauważyła jego matka; godziny, które podał, zgadzały się z czasem zgonu ofiary oszacowanym na podstawie stężenia i plam pośmiertnych.

Przez dwanaście lat napisano kilka artykułów o tajemniczej śmierci Rondy Reynolds. Możliwe, że Spencer wyszukał w nich jakieś szczegóły, chociaż nie wyglądała na osobę, która zadałaby sobie tyle trudu.

W końcu wycofał się z tego, co zeznał Jerry'emu Berry'emu. Pod koniec kwietnia zgodził się poddać badaniu na wykrywaczu kłamstw. Przeszedł je, przyznając, że nie wie nic o okolicznościach śmierci kobiety. Zeznał, że wszystko zmyślił, aby zyskać przywileje i wydostać się z aresztu.

Adam Skolnik także został poddany badaniu - i także je przeszedł. Powiedział, że nie miał nic wspólnego z zabójstwem macochy kolegi.

Stanowiło to poważny krok wstecz, ale Jerry i Marty Hayes nadal sądzą, że Bing Spencer uczestniczył w imprezie w domu Reynoldsów w noc śmierci Rondy. Wierzą również, że był tam Micah Reynolds, ponieważ matka Spencera potwierdziła oba te fakty, a Berry uważają za wiarygodnego świadka.



Micah mógł być w domu swego ojca w tamtą grudniową noc - a jeśli tak - mógł wiedzieć, co zaszło. Nikt nie sugerował, że miał coś wspólnego ze śmiercią Rondy. Śledczy nie próbowali nawet dotrzeć do niego, aby go przesłuchać.

Dwudziestego siódmego kwietnia 2010 Jerry Berry napisał swój końcowy raport.

Przekazałem wszystkie swoje raporty i dane pracownikom biura szeryfa hrabstwa Lewis. Opowieści głównego świadka, Toma „Binga” Spencera, okazały się fałszywe i utrudniły śledztwo. (...)

Zamykam swoje prywatne dochodzenie w sprawie śmierci Rondy Reynolds. Jeśli jednak pojawią się wiarygodne informacje, przekażę je do zweryfikowania detektywom biura szeryfa hrabstwa Lewis.

*Z poważaniem,
prywatny detektyw
(West Coast Investigative Services)
Jerry C. Berry*

CZEŚĆ VI

PODEJRZANI

ROZDZIAŁ 36

Przed wakacjami 2010 roku wiedzieliśmy już, że Ronda Reynolds nie popełniła samobójstwa. Dwunastu przysięgłych szybko zgodziło się, że cztery akty zgonu wystawione przez biuro koronera hrabstwa Lewis zawierały nieprawdziwy rodzaj śmierci. To wydarzenie dodało Barbarze Thompson otuchy.

Decyzje sędziego Richarda Hicksa ograniczone były prawem, dlatego nie mógł uznać zmarłej za ofiarę zabójstwa. Kiedy ostatniego dnia listopadowego procesu oddalił wniosek Royce'a Ferguson, odniosłam wrażenie, że chciałby przychylić się do tej prośby.

Uważam, że Ronda Reynolds padła ofiarą morderstwa. Jej rodzina nadal sądzi, że ktoś uśmiercił ją celowo. Prywatny detektyw Jerry Berry, były zastępca szeryfa hrabstwa Lewis Bob Bishop, ekspert od broni Marty Hayes oraz prawnik Royce Ferguson zgodnie twierdzili, że zginęła ona z czyjejś ręki. Tysiące osób, które śledziły tę sprawę w mediach od grudnia 1998 roku, wysyłały jej matce słowa otuchy i wsparcia.

Na pewno łatwiej jest stwierdzić, że doszło do zabójstwa, niż udowodnić, kto je popełnił. Wiele osób mogło chcieć pozbyć się Rony; być może wciąż o niektórych z nich nie wiemy. Bez wątpienia są też tacy, którzy znają prawdę, ale z jakichś powodów boją się o tym mówić.

W śledztwie dotyczącym zabójstwa - szczególnie takiego, do którego doszło w domu ofiary - pierwszym podejrzanym jest współmałżonek lub partner. Dopiero potem policja rozszerza nieco krąg potencjalnych sprawców, przyglądając się uważnie ludziom blisko związanym ze zmarłym.

Miłość może przerodzić się w nienawiść. Niewierność i zazdrość zniszczyły już wiele małżeństw. Uczucia wybuchają jak pożar w lesie, którego nie powstrzyma żadna siła. Są także przypadki, w których motywem zabójstwa jest zimna kalkulacja. Ludzie mordują się z różnych powodów.

Ron Reynolds był oczywiście podejrzanym numer 1 i pozostał nim. Od początku zachowywał się dziwnie: nie opłakiwał żony i od razu zasugerował samobójstwo. Najtrudniejszą do przyjęcia częścią tej historii jest jego twierdzenie, że nie słyszał strzału, który zabił Rondę - chociaż znajdował się zaledwie kilka metrów dalej, co sam przyznał.

Po co jednak uśmiercałby kobietę, z którą i tak miał się rozstać?

Sądzę, że powodem były kwestie finansowe. Każdy, z kim rozmawiałam, a wiele z tych osób znało Rona od lat, wspominał o jego zachłanności. Jako dziecko nie chciał dzielić się swymi zabawkami ani wpuszczać rówieśników do pokoju. Rodzice rozpuścili go, dając mu poczucie, że wszystko mu się należy. Jako dorosły interesował się tylko kobietami zamożnymi - które albo dorobiły się same, albo odziedziczyły majątek po rodzinie. Nie przeszkadzało mu oczywiście, jeśli przy okazji były również atrakcyjne.

Choć Ron temu zaprzeczał, Ronda dała mu piętnaście tysięcy dolarów jako swój wkład w kupno domu przy Twin Peaks Drive. Wiedział też, że miała otrzymać około siedmiu tysięcy ze sprzedaży nieruchomości należącej do niej i Marka Liburdiego.

Po rozwodzie z Katie Reynolds musiał jej zapłacić niemal sto tysięcy dolarów. Kwota ta nie wydaje się wygórowana, jeśli wziąć pod uwagę ponad dwadzieścia lat małżeństwa oraz fakt, że urodziła mu i wychowała pięciu synów, lecz dla niego stanowiło to poważny cios finansowy.

Czy Ron Reynolds nie mógł po prostu rozwieść się z Rondą po jedenastu miesiącach od ślubu?

Choć Ronda nie kryła rozczarowania rozpadem drugiego małżeństwa, była gotowa zacząć życie od nowa. Snuła plany, zastanawiała się, gdzie będzie mieszkać, chciała rozwijać karierę zawodową. W końcu zapewne wyszłaby za Davida Bella - choć nie tak szybko, jak za Rona po pierwszym rozwodzie.

Catherine kosztowała Reynoldsa sto tysięcy. Mógł się obawiać, że kolejna żona będzie miała podobne oczekiwania. Ponadto sądził, że Ronda ubezpieczyła się na trzysta tysięcy dolarów i że to on będzie jej głównym spadkobiercą. Ten motyw często pojawia się w powieściach kryminalnych - ale również w życiu.

Katie i Ron zaczęli romansować dwa lub trzy miesiące po jego kolejnym ślubie. Najwyraźniej oboje żalowali rozstania po tylu latach. Wydawało się, że są od siebie uzależnieni. Huttula mówiła wielu znajomym, że chciałaby wrócić do byłego męża. Powiedziała swojej dawnej koleżance ze szkoły: „Chcę znów być z Ronem. I zdobędę go. Nieważne, jakim sposobem, ale dopnę swego!”. W wieczór, gdy zginęła Ronda, wciąż mieli romans.

Kobieta chciała odzyskać rodzinę. Mimo uzależnienia i faktu, że nawet będąc w ciąży, zażywała niebezpieczne substancje, uwielbiała swoich synów. Chłopcy byli inteligentni i utalentowani, ale niektórzy z nich jako nastolatki sami eksperymentowali z narkotykami.

Nie powinno to nikogo dziwić, skoro ich rodzice mieli problemy ze środkami odurzającymi. Ron zerwał z tym dość wcześnie, lecz nałóg wciąż trzymał w swych szponach Katie, zaburzając jej zdolność racjonalnego myślenia i podejmowania decyzji.

To przecież ona wysłała e-mail do Barb w czerwcu 2004 roku, w którym pisała, że wie, iż jej córka została zamordowana. Z jej słów wynikało, że mordercą może być więcej niż jedna osoba. Twierdziła jednak, że nie zna tożsamości sprawcy/sprawców. Wiadomość od Huttuli do dziś dnia nie daje Barbarze spokoju.

Ile właściwie Katie wiedziała o śmierci Rondy?

Nawet jeśli rewelacje Toma „Binga” Spencera na temat imprezy w nocy z 15 na 16 grudnia okazały się w większości nieprawdziwe,

możliwe, że ani Ron, ani Katie nie przebywali tamtej nocy przy Twin Peaks Drive. Wydaje się prawdopodobne, że Ron zamiast udać się tam po szkolnym przedstawieniu, pojechał na północ, do mieszkania byłej żony.

Ich trzech młodszy synowie zostali odprawieni z domu zaraz po przybyciu pierwszych funkcjonariuszy policji. Nikt nie rozmawiał z chłopcami przed wyjściem. Jakim cudem żaden z nich nie słyszał strzału? Czy ktoś ich o to spytał?

A kiedy Barb przyjechała tam po około trzydziestu godzinach, odkryła ku swojemu zdumieniu, że noc po śmierci jej córki Reynolds spędził z byłą żoną... w sypialni należącej do niego i Rondy.

Czy to możliwe, że wersja mężczyzny o tym, jak przybył do domu około dziesiątej wieczorem i przez resztę nocy próbował odwieść żonę od popełnienia samobójstwa, nie była prawdziwa? Według mnie - jak najbardziej. Mógł zostawić Rondę samą, bezbronną wobec jego synów i ich kolegów, którzy urządzili sobie imprezę zakrapianą alkoholem i doprawianą narkotykami.

Oto jeden ze scenariuszy wartych rozważenia:

Wczesnym rankiem Rona i Katie wyrwał ze snu telefon od spanikowanego syna: macocha nie żyje. Para pospieszyła z Olympii do Toledo, by pomóc zatrzeć ślady zabójstwa i upozorować samobójstwo.

Być może Reynolds nie słyszał strzału, który zabił jego żonę, ponieważ dzieliło go od niej nie kilka metrów, lecz kilkadziesiąt kilometrów.

Tragiczne zdarzenie podczas domniemanej imprezy miałoby miejsce około drugiej nad ranem - zgadzałyby się to z czasem zgonu oszacowanym przez doktora Daniela Selove'a. Ron i Katie zapewne nie wiedzieli nic na temat zmian zachodzących po śmierci w organizmie człowieka. Kobieta wyszła po 5.00 rano, zanim Ron zadzwonił pod 911. Synowie dołączyli do niej dwie godziny później.

Ale to tylko jedna z wersji.

Mark Liburdi był mężem Rony przez kilka lat - w tym czasie należał do wąskiego grona jej najbliższych. Choć ich rozwód nie przebiegł zupełnie bezkonfliktowo, zachowali dobre stosunki. Oboje szybko ponownie zawarli związku małżeński. Kiedy kobieta zginęła, mieli już ułożone życie.

Liburdi jest zwolniony z podejrzeń głównie dlatego, że w czasie, gdy Ronda straciła życie, przebywał na patrolu i często rozmawiał przez radio z innymi funkcjonariuszami policji stanowej.

„Jerry sprawdził nawet Bella” - powiedziała mi Barb z żalem w głosie. „Musiał to zrobić. Okazało się oczywiście, że Dave mówił prawdę, twierdząc, iż we wczesnych godzinach porannych patrolował ulice Des Moines”.

Bell domyślał się zapewne, że Berry go sprawdzał. Jest przecież doświadczonym policjantem i rozumie, jak wygląda proces zawężania kręgu podejrzanych.

Śledczy, który go nie znał, mógł zastanawiać się, czy Bell nie odczuwał zazdrości lub gniewu z powodu tego, iż Ronda postanowiła spędzić w domu Rona jeszcze jedną noc. Bell nie był w tamtym czasie jej kochankiem - stanowili jednak parę dziesięć lat wcześniej i to sytuowało go w drugim rzędzie osób podejrzanych.

A co z Cheryl Gilbert? Miała obsesję na punkcie Rony i często twierdziła, że była jej „najlepszą przyjaciółką”. Czyjej zainteresowanie miało podłoże uczuciowe lub erotyczne? Tego nie wie nikt. Ale chciała być częścią jej życia. Mogła się zdenerwować, widząc klucze, które Ronda zostawiła u niej wieczorem 15 grudnia. Cieszyła się, że po rozstaniu z Ronem przyjaciółka na jakiś czas zatrzyma się u niej. Mówiła nawet, że Ronda kupiła już sobie łóżko, na którym będzie u niej spała. Cheryl liczyła na to, że zawiezie ją na lotnisko do Portland, a po drodze wstąpią gdzieś na śniadanie, by spokojnie porozmawiać.

Z jakiegoś powodu Ronda zmieniła zdanie i poprosiła o transport Dave'a Bella. Być może czuła się przytłoczona zachowaniem Cheryl, w którym dało się dostrzec pewne znamiona obsesji.

A może potrzebowała zapasowego kierowcy, by mieć pewność, że dotrze na lotnisko na czas.

Cheryl na pewno podobało się, że w dniu śmierci Rony oraz później była w centrum uwagi. Podczas przesłuchania opowiadała wszystko z wielkim ożywieniem. Kilka razy zmieniała zeznania. W końcu rok po śmierci przyjaciółki poparła teorię, iż zapewne odebrała ona sobie życie. Nie jest tajemnicą, że Cheryl wielokrotnie kłamała.

Ronda nigdy nie nazywała jej swoją „najlepszą przyjaciółką”, ponieważ nie było to zgodne z prawdą. Często jednak zachowywała się w stosunku do niej przyjaźnie, ponieważ robiło jej się żal tej kobiety. Cheryl tymczasem postrzegała ich relacje w zupełnie innych kategoriach. Zmarłej nigdy nie pociągały kobiety. Czy pociągały Cheryl? Czy mogła czuć się na tyle zdradzona i odrzucona, by zastrzelić Rondę?

A może zabił ją Jonathan Reynolds? Istnieją dowody, że jej nienawidził. Ponadto - chociaż była jego macochą - jako piękna, stosunkowo młoda kobieta mogła wzbudzać jego pożądanie, a to mogłoby doprowadzić do powstania w jego umyśle dychotomii „miłość - nienawiść”.

Ronda żywiła przekonanie, że Jonathan lub jeden z jego braci zabił jej psa. Uważała, że chłopak potrafi być okrutny i na domiar złego czerpać z tego przyjemność. Jeden z jego kolegów opowiedział potem Barb o pewnym incydencie. Chłopak próbował kiedyś wydoستاć ptaka uwięzionego w szybie kominka. Jonathan przyjechał do niego, zobaczył, co się dzieje, po czym zapalił zapałkę i przyłożył ją do przygotowanej podpałki. „Widziałem jego minę, kiedy to biedne zwierzę spłonęło żywcem” - mówił chłopak. „Ten widok go podniecał”.

Niezależnie od tego, czy przy Twin Peaks Drive w nocy z 15 na 16 grudnia odbywała się impreza, której uczestnicy nie stronili od narkotyków - Ronda musiała się wyspać. Jeśli z innej części domu dobiegały głosy i muzyka, zrobiłaby to, co zawsze robiła, kiedy

potrzebowała ciszy i spokoju lub gdy chciała być sama po kłótni: wzięła poduszkę i koc i poszła spać w jakieś ustronne miejsce.

Odurzony narkotykami Jonathan mógł wpaść w szal, jeśli macocha krzyknęła, żeby się uciszeli. Bardzo możliwe, że obawiała się grupy nastolatków o sile dorosłych mężczyzn.

Jonathan mógł postanowić ją zabić i pozbyć się jej raz na zawsze. Wiedział, gdzie przechowywana jest broń - może nawet widział, jak Bell opróżnia magazynek i wkłada rewolwer do szuflady pod łóżkiem. Kule wciąż znajdowały się tam, gdzie wyrzucił je Dave.

Według Binga Spencera - który przyznał, że kłamał w wielu kwestiach - zaraz po wystrzale Jonathan krzyknął, a przerażony Adam Skolnik wybiegł z pokoju.

No i były jeszcze badania wariograficzne. Wykrywacz kłamstw nie jest jednak tak niezawodny, jak sądzą laicy. Prawdziwi socjopaci potrafią wyprowadzić w pole nawet tak zmyślne urządzenie. Są pewni tego, co mówią, więc nie odczuwają strachu. Nie mają sumienia, a zatem i poczucia winy, dlatego podczas badania nie występują u nich żadne reakcje fizjologiczne - inaczej niż u większości zwykłych ludzi: ich rytm serca pozostaje niezmieniony, nie pocą się i nie rośnie im ciśnienie.

Tymczasem to, co mówił Bing Spencer, idealnie pasowało do faktów.

Jest jeszcze jedna osoba, która nigdy nie została przesłuchana: Jack Walters, którego Bing wymienił jako jednego z gości w domu przy Twin Peaks Drive.

Z pomocą Jerry'ego Barbara wytropiła go w Montanie, po tym jak sprawdziła, czy mężczyzna jest notowany. Okazało się, że był. W 2003 roku zgwałcił piętnastolatkę, dokonał także innych przestępstw na tle seksualnym - toteż wpisano go do specjalnego rejestru. Prawo nakazywało mu meldować się w lokalnej jednostce policji, za każdym razem gdy zmieniał miejsce pobytu. Kiedy zamieszkał w Montanie, nie zrobił tego.

Barb dotarła do kuratora Scotta Alberta, który poszukiwał Jacka Waltersa. „Bardzo mi pomógł” - wspominała. „Kiedy należało coś poprawić w nakazie aresztowania, przepisał cały dokument. Wszyscy w hrabstwie Cascade byli uczynni, ale Scott postarał się wyjątkowo”.

Z pomocą Alberta zdobyła dokładny adres Waltersa i zastępca szeryfa Jeff Ripley aresztował go za niezgłoszenie się na policję.

Gdyby mężczyzna potwierdził, że tamtej nocy w domu Reynoldsów rzeczywiście odbyła się impreza, Barb i Jerry mogliby domagać się dalszego śledztwa w tej sprawie. Czekali na odkrycia detektywów z biura szeryfa hrabstwa Lewis.

Kilka tygodni po tym jak śledczy z Waszyngtonu otrzymali kontakt do Waltersa, Barb i Jerry dowiedzieli się ku swemu przerażeniu, że nikt nie zadzwonił do Ripleya, by umówić się na przesłuchanie. W tamtym czasie Jack nie przebywał już w areszcie hrabstwa Cascade. Ripley stwierdził, że trzymali go tam tyle, ile mogli, ale teraz trudno będzie go zlokalizować.

Barb Thompson była wściekła. „Podałam im Waltersa na tacy - mówiła - a im nie chciało się nawet sprowadzić go do Waszyngtonu albo polecieć do Montany, żeby osobiście z nim porozmawiać”.

Zaoferowała, że kupi Berry'emu bilet lotniczy, by sam mógł przesłuchać świadka, ale on uważał, że powinni się tym zająć śledczy z biura szeryfa. Kiedy dowiedział się, że nikt z Lewis nie podjął tematu, żałował swojej decyzji: „Gdyby Jack Walters został przesłuchany i zeznał, że impreza opisana przez Binga Spencera miała jednak miejsce, byłibyśmy lata świetlne dalej niż w tej chwili - ale najwyraźniej detektywi hrabstwa Lewis nie zamierzali zbadać tego tropu”.

Choć istnieje ryzyko, że podczas przesłuchania Walters zataiłby prawdę, by chronić siebie, nie zmienia to faktu, że najprawdopodobniej dysponuje wiedzą o okolicznościach śmierci Rondy. Dołączył więc do listy podejrzaných.

Katie Huttula wprowadziła się do Rona zaraz po śmierci Rondy. Możliwe, że działali wspólnie, by chronić synów. A może zamieszkali razem, żeby pilnować się wzajemnie, lecz nie trwało to długo.

Pozostaje też mniej prawdopodobna możliwość, że Ronda zginęła z ręki kogoś obcego, kto wtargnął do jej domu. Miała wrogów - jako policjantka i pracownik ochrony doprowadziła do aresztowania wielu przestępców. Mogła nawet nie zdawać sobie sprawy, że któryś z nich chce się zemścić. Nietrudno byłoby ją znaleźć: mieszkała w małym miasteczku, gdzie ludzie wiedzieli o sobie niemal wszystko.

Była piękną kobietą, mogła paść ofiarą prześladowcy - mężczyzny lub kobiety - osoby, która znała plan jej dnia i wiedziała, kiedy będzie w domu. Jeśli feralnej nocy przebywała sama, mogła zostać napadnięta. Synowie Rona na pewno nie kłopotaliby się zamykaniem drzwi na klucz.

Często pisałam, że istnieje coś takiego jak „morderstwo doskonałe”. Zwykle wiąże się to ze spotkaniem dwóch obcych sobie ludzi. Ronda - w okresie gdy mieszkała z Ronem - często stykała się z podejrzanymi osobami: narkomanami, młodocianymi przestępcami i przynajmniej jednym skazanym gwałcicielem. Jako policjantka i pracownik ochrony umiała się obronić, lecz ktoś, kto chciał pozbawić ją życia w grudniu 1998 roku, działał z zaskoczenia.

Nie spodziewała się nadciągającego niebezpieczeństwa.



Barb Thompson i ja nie zaprzestałyśmy naszej pracy detektywistycznej, byliśmy jak dwa podstarzałe Aniołki Charliego. W lipcu 2010 udałyśmy się jeszcze raz do hrabstwa Lewis, by porozmawiać z ludźmi, których nie udało nam się złapać wcześniej, oraz spotkać się z Jerrym Berryem i Martym Hayesem.

Pojechaliśmy najpierw do domu Korsgaardów. Sig pracował kiedyś jako zastępca szeryfa, toteż on i Karen nie mogli zrozumieć,

dlatego ich gotowość złożenia zeznań spotkała się z brakiem zainteresowania. Od 1998 roku chcieli podzielić się z detektywami biura szeryfa informacją o nocnej imprezie u Reynoldsów, lecz nikt im nie odpowiedział, a Berry'emu nie przekazano, by się z nimi skontaktował. W końcu, po werdykcie w sprawie Terry'ego Wilsona, spróbowali ponownie.

Przyjechało do nich dwóch detektywów, którzy oznajmili:

- Szeryf Mansfield kazał nam tu przyjechać i porozmawiać z państwem.

„Nie wydawali się zbyt zainteresowani całą sprawą” - stwierdziła Karen. „Przyjechali dlatego, że zlecił im to przełożony. Może lekceważyli nas, ponieważ poprzedni szeryf, McCroskey, zignorował nasze zgłoszenie. Nasz syn dostarczył wielu informacji i uważamy, że w większości mówił prawdę. Wiemy, że nie jest ideałem i zdarza mu się kłamać, ale tym razem mu wierzyliśmy”.

Karen i Sig pamiętali zakrwawione ubrania, które Bing przyniósł do domu 16 grudnia 1998 roku. „Powiedział, że wplątał się w bójkę - a może chodziło o Adama - i dlatego ubrania są poplamione. Ale coś mi nie pasowało” - mówił Sig. „Na spodniach znajdowało się zdecydowanie za dużo krwi, żeby mogło chodzić wyłącznie o bijatykę. Były nią dosłownie przesiąknięte, za to koszulka wyglądała na lekko poplamioną”.

Bing trzymał się jednak swojej wersji, a jego matka uprała zakrwawione dżinsy w zimnej wodzie.

Kiedy tak rozmawialiśmy, zdaliśmy sobie sprawę, że tylko klejąc w kałuży krwi, można tak zamoczyć nią spodnie. Ciało Rony znaleziono właśnie w kałuży krwi.

Niezależnie od grzechów młodości Binga Spencera jego rodzice nie wierzyli, że mógłby kogoś zabić. Przyznali, że ma słabość do narkotyków i skłonność do koloryzowania, a nawet kłamania w żywe oczy. Karen była przez jakiś czas zła na syna za jego zuchwałe

postępowanie z policją - ale wierzyła, że dziewięćdziesiąt procent jego relacji o wydarzeniach z nocy śmierci Rony to prawda.

Korsgaardowie przeszukali dokładnie rzeczy czwórki swoich dzieci. Mieli nadzieję, że znajdą notes, który mimo upływu lat Bing wciąż przechowywał. Sig od dzieciństwa prowadził pamiętniki i syn najwyraźniej odziedziczył tę skłonność po nim. „Zawsze uczyłem go, by zapisywał to, co pamięta, bo dzięki temu będzie się miał do czego odnieść” - stwierdził Sig. „Myślę, że tak właśnie robił”.

Małżeństwo przekazało nam inne ważne informacje - których nie mogę obecnie ujawnić. Zrozumiałam, że dzięki nim może uda nam się dotrzeć do zabójców Rony Reynolds.

Pracując znów jako detektyw, czułam się dziwnie, ale podobało mi się to. Barb szła przed siebie jak burza i nie zamierzała się poddać.

Kilkakrotnie przejeżdżałyśmy obok domu z niebieskim frontem, w którym dwanaście lat wcześniej doszło do tragedii. Ron oczywiście już tam nie mieszkał; kupiło go starsze małżeństwo. Para twierdziła, że nie wyczuwa tam żadnych negatywnych wibracji.

Barb wskazała na połac ziem pokrytą wysokimi zaroślami.

- Myślę, że pokrowiec na pistolet ojca Rona może leżeć gdzieś tam - powiedziała. - Nigdy go nie znaleziono. Sama go poszukam.

- Teraz? - spytałam, przypominając jej, że na zewnątrz panuje straszliwy upał.

Zaśmiała się.

- Nie, nie teraz. Kiedyś.

Następnego dnia próbowałyśmy odnaleźć Katie Huttulę. Podobnie jak w listopadzie - szczęście nas zawiodło. Każdy, z kim rozmawiałyśmy, twierdził, że jej nie zna. Powiedziano nam w końcu o pewnym osiedlu, które miało być jej obecnym miejscem pobytu. Bez wątplenia mieszkali tam narkomani. Na parkingu przed budynkiem grupa ludzi w wieku około dwudziestu kilku lat urządziła sobie

grilla. Wyczułyśmy zapach marihuany i zauważyłyśmy, że jedna z kobiet najwyraźniej jest na haju, ale oni także powiedzieli, że nigdy nie słyszeli o Catherine Huttuli.

Wracałyśmy tam trzykrotnie, przekonane, że ją znali, ale za każdym razem zaprzeczali. Uśmiechali się pod nosem i wydawało się, że łączy ich wspólny sekret, ale może chodziło po prostu o trawkę.

Według niektórych informatorów Katie wyjechała do Kalifornii. Zadzwończyłyśmy pod znaleziony numer telefonu, ale odezwała się automatyczna sekretarka. Nie udało nam się odnaleźć byłej żony Rona. Być może nie żyła lub wyjechała - byle dalej od hrabstwa Lewis. Jest jedną z osób, z którymi bardzo chciałabym porozmawiać. Jestem pewna, że coś wie, ale boi się powiedzieć.

Wiele z postaci tragicznej opowieści o Rondzie Reynolds wciąż mieszka w hrabstwie Lewis. Inni zniknęli i ślad po nich zaginął.

Ron Reynolds mieszka obecnie ze swoją czwartą żoną we wspólnie posiadłości otoczonej wielkimi połaciami ziemi. Wciąż jest dyrektorem tej samej szkoły. Gdyby kuratorium zwolniło go wyłącznie z powodu podejrzeń, mógłby pozwać swoich przełożonych do sądu, ponieważ niczego mu nie udowodniono. Nie udziela żadnych wywiadów. Nawet jeśli on lub on i Katie przyjechali z Olympii, by pomóc synom uporzędkować samobójstwo Rondy, żadne z nich nie może już zostać oskarżone o współudział - sprawa uległa przedawnieniu.

David Bell mieszka w Des Moines, kilka kilometrów od mojego domu, i nadal pracuje w policji. Wciąż jest sam.

Kilku synów Reynoldsa - w tym Micah - przeniosło się na Alaskę, by pracować przy połowie ryb. Jonathan założył zespół, który występuje w barach w hrabstwie Lewis i Gray's Harbor. Micah został niedawno ojcem.

Mark Liburdi wkrótce przejdzie na emeryturę.

Tom „Bing” Spencer spędzi najbliższe lata w więzieniu. Jego matka nie utrzymuje z nim obecnie kontaktu.

Cheryl Gilbert nie odzywała się do Barb Thompson od wielu lat. Wiadomo jedynie, że mieszka gdzieś w hrabstwie Lewis.

Jerry Berry, Marty Hayes i Royce Ferguson pracują w swoich zawodach. Berry i Hayes - niezależnie od siebie - ubiegali się o stanowisko koronera hrabstwa Lewis, lecz żaden z nich nie odniósł sukcesu. Nie zamierzają startować w najbliższych wyborach.

Prywatna agencja detektywistyczna Berry'ego - West Coast Investigative Services - radzi sobie znakomicie. Jest on rzetelnym detektywem i często polecam go piszącym do mnie osobom.

Marty Hayes wciąż prowadzi swoją akademię broni w Seattle i niedługo uzyska dyplom prawnika. Jego dom leży niedaleko strzelnicy, więc odwiedzający muszą się przyzwyczaić do odgłosów wystrzałów, gdy jego uczniowie trenują na zewnątrz.

Royce Ferguson złożył właśnie odpowiedź na apelację Terry'ego Wilsona.

Niezależnie od tego, co mówią niektórzy, tercet ten nie przestanie pracować nad sprawą Rondy Reynolds, dopóki jej zabójca nie znajdzie się za kratkami.



Barb Thompson nadal mieszka na swoim ranczu w Spokane. Wciąż hoduje i trenuje konie rasy American Quarter. Tej wiosny była obecna przy narodzinach kilku źrebiąt. Dzwoniłam do niej dwa tygodnie temu, a ona odebrała komórkę, będąc na dachu stodoły, który właśnie naprawiała! Żyje zgodnie z zasadą, którą wyznawały z Rondą: „Żadnego strachu”. Jest twardą zawodniczką, ale potrafi być też piękna i kobieca.

Podczas naszej następnej rozmowy nie czuła się najlepiej, ponieważ jeden z jej koni znowu kopnął ją w nogę. Długo musiałam ją przekonywać, że powinna udać się do lekarza. Miała infekcję rany, ale wyleczyła się na tyle, by w weekend wybrać się z przyjaciółmi na górską przejażdżkę na mułach.

Za niecały tydzień zawiezie część koni do ich nowych właścicieli w Snoqualmie Pass i wówczas dołączę do niej w następnej wyprawie do hrabstwa Lewis. Musimy przeprowadzić rozmowy z kolejnymi osobami i świadkami mającymi dla nas nowe informacje.

Jak wiele osób przede mną, ja także zarażałam się poszukiwaniem sprawiedliwości dla Rondy.

Jesteśmy już o krok od schwytania mordercy... lub morderców.

PODZIĘKOWANIA

Zbierając materiały do książki o Rondzie Reynolds, bez wątpienia potrzebowalam pomocy, mimo że sledzilam te historie od samego poczatku, czyli od grudnia 1998 roku. Na szczescie moglam liczyc na wiele osob, ktore zglaszaly sie do mnie ze wspomnieniami i opowieściami o wzruszajacych, radosnych, a czasem tragicznych szczegolach z jej zycia. Dzieki nim Ronda ozyła w moich myslach, podobnie jak w umyslach trzech mezczyzn - Jerry'ego Berry'ego, Marty'ego Hayesa i Royce'a Fergusona - specjalistow w swoich dziedzinach. Kazdy z nich pracowal *pro bono* przez lata, by usunac przepaskę z oczu Sprawiedliwosci i ujawnic prawde.

Jest to ksiazka poswiecona Rondzie, ale takze jej matce, Barbarze. Cytujac „Ladies' Home Journal”: „Nie lekcewazcie sily kobiet”. Niektore z osob wymienionych ponizej podziely sie ze mna waznymi informacjami, niektore nauczily mnie tajnikow medycyny sadowej potrzebnych do opisania tej historii, a inne wspieraly mnie w wyzwaniach, ktore podejmowalam, zaczynajac pisac o Rondzie.

Wszystkim tym ludziom naleza sie serdeczne podziekowania, a sa to:

- Lois Duncan, wspaniala pisarka prowadzaca strone internetowa dla osob szukajacych prawdy o losie swoich bliskich: www.realcrimes.com, dr John Demakas, dr Michael Gruber, Rowdy Berry, Susan Berry, Richard i Donica Fletcherowie, Pete Erickson, Robert Bishop oraz dr Jeffrey Reynolds;

- „Smerf Gila Hayes, Sarita McClellan, Jerry Johnston, Kathy Neu, Kurt Wetzold, Vernon Geberth, Raymond Pierce, Alan i Ella McDonnellowie, Robert Zielke, Sue Sampson, Juanita Vaughn, Tony i Belinda Rodriguezowie, Connie Riker, Darrell Prowze, Linda Eller, Larry i Judy Semankowie, Julie Colbert, Claudia Self oraz Danita Rakov;
- Sharyn Decker, Ian Ith, Tracy Vedder i Kiyomi Taguchi ze stacji KOMO-TV;
- ławnicy z hrabstwa Lewis, którzy podjęli jednomyślną decyzję w trudnej sprawie: Angel, Debra, Pete, Denise, Nathan, Sandy, Opal, Elaine, Scott, Corina, Josie oraz Don - kilkoro z nich po zakończeniu procesu podzieliło się ze mną swymi przemyśleniami;
- Lauren Sund, Pat Henning z Centralii, Kate Jewell, Gerry Hay, Rod Englert, David Bell, Freeman Thompson, Joanne Gonzales, Lee Shallat, Eric Roberts, Dan Pearson, Dave i Marion Nordquistowie, Donna Anders, Glade Austin, Gary Aschenbach, Rahma Starret, Abe Miller - „Pan Wesoly Komputer”, Betty May Settecase, obsługa hotelu Best Western w Chehalis, Kim Edmondson, Steve i Glenda Larsonowie, Scott Albert, dr Michael Nevins, dr Nathan Green oraz dr Diane Dozois z Group Health.

Specjalne podziękowania dla Międzynarodowego Stowarzyszenia Kobiet w Policji (IAWP) oraz oczywiście dla Barb Thompson, Jerry'ego Berry'ego, Marty'ego Hayesa, Royce'a Fergusona i Blair Connerry.

Dziękuję także:

- mojej rodzinie, a należą do niej: Matt, Andy, Lindsey, Mike, Marie i Holland Rae Rule, Bruce, Machell, Olivia, Tyra oraz Logan Sherles, a także kuzyni z Michigan i Ohio: Chris i Linda, Jim i Mary, Sara Jane, Bruce i Diane, Jan i Eby, Sherman, David, Lucetta May i Glenna;

- rodzinie Rondy: Freemanowi Thompsonowi, Virginii Ramsey, Williamowi Ramseyowi, Donowi Hennifigsowi, Beverly Branom, Billowi Clarkowi oraz setkom jej przyjaciół - jest ich zbyt wielu, by wszystkich wyliczyć;
- tysiącom fanów Ann Rule - którzy odwiedzają moja, stronę www.annrules.com, by zadawać pytania, przekazywać mi wskazówki i informacje, komentarze oraz pochwały. Zawsze podnosicie mnie na duchu, kiedy zmagam się z niemocą twórczą!

Jeszcze raz dziękuję agentom literackim, z którymi współpracuję od trzydziestu pięciu lat i którzy nigdy mnie nie zawiedli - Joan i Joemu Foleyom - oraz mojemu agentowi filmowemu, Ronowi Bernsteinowi z International Creative Management, który magicznym sposobem zamienia książki w filmy.

I - jak zawsze - dziękuję za długą i owocną współpracę:

- firmom Free Press, Pocket Books i Simon & Schuster. Jestem związana z nimi od ponad dwóch dziesięcioleci - takiego zespołu, który pomaga mi pisać, drukować i publikować książki, może pozazdrościć każdy pisarz!
- mojemu wydawcy, Marcie Levin, która zawsze mnie broni; mojemu redaktorowi, Mitchellowi Wersowi, za krytykę i wnikliwe oko; jego asystentce, Jessice Webb, za pracę nad stworzeniem części ze zdjęciami i zajmowaniem się tysiącem innych szczegółów oraz za pogodę ducha; zespołowi od składu tekstu: Thomasowi Pitoniakowi i Carol de Onis; korektorce Isabel Tewes; moim prawnikom: Elisie Rivlin, Felicii Javit i Duane'owi Bosworthowi, a także publicystce Carisie Hays.

Jest to jedna z trzech najtrudniejszych książek, jakie napisałam. Nie dokonałabym tego bez pomocy tak wielu osób.

Ann Rule

O AUTORCE

ANN RULE - autorka trzydziestu bestsellerów, była policjantka z Seattle znająca z autopsji tematykę śledztw w sprawie zbrodni. Prowadzi treningi i wykłady dla funkcjonariuszy policji, prokuratorów oraz organizacji uczestniczących w dochodzeniach, w tym dla FBI. Przez ponad trzydzieści lat aktywnie wspierała programy pomocy skierowane do ofiar przestępstw. Zeznawała przed podkomisją Senatu USA w sprawach seryjnych morderstw oraz praw ofiar, udzielała się jako konsultantka w Programie Ścigania Brutalnych Przestępców (Violent Criminal Apprehension Program, VI-CAP). Jest absolwentką Uniwersytetu Waszyngtońskiego; zdobyła również stopień doktora (Ph.D.) na Willamette University. Mieszka w okolicy Seattle. Można się z nią skontaktować przez stronę internetową: www.annrules.com